

**REKOPIS
ZNALEZIONY
W GARDLE**

ŁUKASZ ORBITOWSKI



Łukasz Orbitowski

Rękopis znaleziony w gardle

Rękopis znaleziony w gardle

Redakcja: Katarzyna Derda

Skład i korekta: Katarzyna Derda i Paweł Dembowski

Ilustracja na okładce: Jarek Kubicki

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-89-7

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Równik

I

Nad moją działką znieruchomiało słońce — błyszczący ćwiek wbity w błękit. Nie chciało zejść, nie wiem jak długo, dni i tygodnie przepadły wraz z nocą. Zastygła kula spaliła mnie na brąz, promienie przywoływały sawannę. Tylko powietrze drży, w zieleni pojawiają się dzikie zwierzęta, bluszcz i światło spowity mój dom.

II

Działkę mam w Rudniku. Kupiłem ją w latach osiemdziesiątych, spora jest, ćwierć hektara słabej zieleni. Posadziłem drzewa — gruszę, orzech, modrzewie, potem żywopłot i kwiaty, wreszcie wyrósł mi domek. Tu przyjechałem, żeby pożegnać się ze sobą nieco zdziwiony, że wszystko stoi i tylko ja — bez lasek — nieustannie się wywracam. Oferma wsparty na drewnie, niezdolny do kroku bez użalania się nad sobą. Laski mam dwie.

Czasem mogłem poruszać się o jednej, drugą zastępowało mi wszystko obok: regały i ściany, ludzie i latarnie, niekiedy odrzucałem i tę pierwszą. Stawałem pośrodku pokoju i gdyby sprzedać mi pstryczka, padłbym na plecy. Trach. W strachu przed drugą laską było coś nieuczciwego, jakbym nie mógł się zgodzić, że ciało nie zgadza się już na mnie. Aż wziąłem ją i nawet zżyliśmy się ze sobą. Stawiałem przy łóżku te drewniane bliźniaczki, a raz nawet śniłem, jak to się budzę z nimi wrośniętymi w dłonie. Laską robię herbatę, chwytam pigułkę za pigułką, wrzucam sobie w usta, zakładam pampersa. Nawet kości miałem z drewna, w tym śnie.

No i przyjechałem na działkę, by umrzeć, mówiłem sobie, naprawdę — porozpaczać nad sobą. Kochałem siebie i to jojczenie; gdyby ktoś mnie słuchał, puknąłby się w głowę. Stary jedzie na śmieci trzy razy młodsze, by pić i konać, kurwa, przecież myślałem, że przetrwam tam wieki z butelczyną i lamentem. No przyjechałem. Zaraz zdziwienie — tak dawno mnie tu nie było. Żywopłot się pokrzączył, brama zardzewiała, klucz obrócił się z trudem i wszedłem w dzicz. Trawa po kolana, pompę pośrodku z trudem mogłem dostrzec, koty i kocięta pierzchały przede mną, wszędzie fura butelek; drzwi domku uchylone, wewnątrz dywan z kurzu i popiołu, trzeszczało szkło. Meble pocięto. Telewizor, lodówka, radio, przepadły. To miejscowe pijaki urządziły sobie u mnie garownię, nie ma co się złościć. Nie byłem na działce od sześciu lat.

Domek ma taras, na dole jest kuchnia i salon, na piętrze dwie sypialnie, nie wszedłem tam. Próbowalem, pękłem na trzecim stopniu (liczenie stopni idzie mi lepiej niż cokolwiek). Ale zyskałem trochę siły.

Zamiotłem. Starłem meble. Pozbierałem świerszczyki. Pościel przepadła, ale znalazłem koc. W maju nocie są ciepłe. Worki ze śmieciami poszły w trawę, otworzyłem okna, żeby wygnać dym, słońce zachodziło za lasem. Rozłożyłem łóżko, papierosowe oparzenia ziały z tapicerki, przez środek biegł rząd wygnieceń, akurat po trzech tyłkach. Skończyłem nim zapadł zmrok. Rozejrzałem się — co zostało? Zimny kominek, szafka, gołe ściany i drewniany, ruchomy kalendarz. Przetawiłem go na właściwą datę. Zabrałem się za rozpakowywanie: cztery butelki. Bateria lekarstw. Stare gazety z placu za pół ceny. Chleb. Szynka. Bielizna. Pieluchy. Sweter. Karty do gry. Dres. I tak dalej, rozstawiłem to dziadostwo przy łóżku jak magiczny krąg, chroniący przed złem.

Zapadła noc, piękna jak to w majowym Rudniku. Las pociemniał, księżyc śmiał się do mnie, z dwoma gwiazdami tuż obok, razem złożyły się w przewrócony uśmiech, podobny do tego, który Wojtek pokazał mi w telefonie i nazwał emotką. Tylko jaśniejszy. Przepchałem przed sobą dziurawy leżak i opadłem. Obiecałem sobie, że jutro kupię radio.

Nie mogę pić. Nie dużo. Cztery pięćdziesiątki muszą wystarczyć, tak mam dosyć w czubie. W moim wieku kac jest dosłownie śmiertelny. Sącyłem sobie, myślałem jak mi źle i o tym, czego już nie zrobię. Wyciągnięte nogi bolały mniej, za to pojawiał się ucisk w rejonach mostka, straszny, jakby dłubać w kości. Koty przyglądały się, miauczac w ciemności, wiatr świstał i przemieniały się kształty, szły w wielką obłóść, dołączały do łagodności wzgórza: kartony, zębate resztki flaszek, drewno. Tak sobie siedziałem.

Potem przyszli. Usłyszałem klekotanie bramy, zachrypnięte śmiechy, dwa lub trzy, i przestraszyłem się. Co, jeśli też się przestraszą i mnie zabiją, nawet ich nie przekonam, że domek i wszystko wokół należy do mnie. Wstałem, wsparty o drewniane koleżanki, przeczłapałem przez pokój, tuż przy drzwiach odrzuciłem jedną laskę, drugą chwyciłem jak miecz. Pchnąłem drzwi. Musiałem zrobić dwa sprawne kroki by oprzeć się o barierkę, wtedy miałem szansę. Dałem radę. Wyprułem, z laską uniesioną do ciosu, ręka sama znalazła poręcz. Było ich trzech.

Nierozróżnialni, pewno czterdziestoletni, pogięci lecz żyłaści, z winem i w czapkach. Akurat przeskoczyli bramę i znieruchomieli na mój widok. Teraz albo nigdy, wydarłem się: co panowie tu robią? To wy mi tu śmiecie? Won z posesji albo zawołam policję! Won, do jasnej cholery!

No co stoicie? Oj, bo inaczej pogadamy! Zbaranieli najpierw, najwyższy nawet się cofnął, drugi ruszył ku mnie. Uniósłem laskę i nagle pojąłem, co naprawdę się dzieje. Mogłem zadzwonić na policję i może nawet by przyjechali. Telefon miałem w kieszeni, żeby po niego sięgnąć, puściłbym barierkę i runąłbym. Niski szedł na mnie, błysnęły białka oczu, nie bał się wcale. Miałem jeden cios. A trzeci nagle krzyknął:

— Zostaw! Zostaw! Ja go znam! No daj dziadowi spokój! To jego! To jego!

Znał mnie? Skąd? Bywałem tu całe tygodnie, może zapamiętał? Albo nie szukał kłopotów. Niski zamarł, zerknął na siebie, potem na mnie, uniósł dłoń. I już ich nie było. Przesadzili bramę, wylądowali ładnie; ludzie którzy tak skaczą nie boją się drewnianej laski i pierdziela, co nią wywija. Wycofałem się, zasunąłem zasuwę.

Okazało się, że w kominku żyje kot, wyraźnie rozczarowany, że teraz nie może wyjść na zewnątrz. Uwił sobie gniazdo z paprochów. Dałem mu trochę szynki, wcinał i nieustannie zerkał na mnie z wyraźną pretensją. Rozumiałem go świetnie — to był przecież jego dom, nie mój, no nic, przyjacielu, jakoś się tu zmieścimy. Uchyliłem okno, tak by mógł precyzyjnie się przez kraty, i usiadłem na brzegu łóżka. Bardzo się bałem, strach przed niedoszłym starciem właśnie przyszedł. Patrzyłem na sęki w stopniach wiodących ku górze i na drewniany pręt balustrady.

Zasypianie to ból, nogi drętwieją, mostek uciska, rwą kręgi; zjadłem leki i kręciłem się ostrożnie, moje obolałe ciało szukało bezpiecznej kotliny w materacu. Zamknąłem oczy. Słyszałem kota chroboczącego w kątach. Jednak został. A potem pojawił się inny dźwięk: szuranie z góry, jakby ktoś przesuwiał meble małymi szarpnięciami. Deski skrzypiały pod butem albo i bosą stopą. Takie dźwięki nie biorą się same z siebie, ktoś tam był, to nic dziwnego, tyle lat dom stał pusty.

Podnosiłem się na raty, najpierw nogi, za nimi ramiona, korpus ledwo nadążył. Uzbrojony w laskę spróbowałem wspiąć się na górę, zrezygnowałem ledwo spróbowałem — tak bolało. Co będzie, jak dotrę na piętro? Co powiem temu człowiekowi? Machnę laską? To jakiś pijak, przysnął sobie i nic nie słyszał. Nie wie, że tu jestem. Sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić na policję. Nie odważyłem się — ten facet mógłby usłyszeć mój głos i zejść, coś mi zrobić, nim przyjadą. Położyłem się znowu, wylądowałem w miękkim miejscu. Leżałem i słuchałem,

czekając, aż szuranie ustanie. Doczekałem się.

III

Rano schody prowadzące na piętro wyglądały na miękkie, gąbczaste pułapki dla stóp. Nie przespałem nocy. Z działki brzmiały świerszcze, w stawie za płotem chlupnęła ryba, bredziły żaby. Podniosłem się w pół godziny, obrót w obrót, zwlekanie nóg. Popęzłem na taras — jak zielono i soczyście. Na poręczy przysiadł ptak, którego nie widziałem wcześniej, podobny do kawki, ale z pomarańczową smugą nad kuprem; przechylił łepkę, łypnął czarnym okiem i poderwał się do lotu.

Wybrałem numer i zadzwoniłem na policję, wyszeptalem prośbę o pomoc — na górze, w moim domu ktoś jest. Skąd pan wie? Szurał godzinę. Był pan tam? Nie byłem, nogi nie pozwoliły. Już wysyłam patrol. Owinąłem się w dres i przycupnąłem na tarasie, nie śmiąc wejść do domu. Bałem się, że człowiek z góry zejdzie i mnie zobaczy.

Ledwo dzień nastał, a słońce już stało wysoko. Myślałem o odległościach, o tym, że kiedy się starzejemy, wszystko wydaje się dalekie aż po nierealność. Nie tylko śmierć, spacer do sklepu, droga między rolką papieru na ścianie a tyłkiem, miłość, w ogóle ludzie, bo nikt nie traktuje mnie poważnie, godziny się wydłużają. I działka. Nie wiedziałem, że jest taka ogromna. Staw za płotem srebrzy czy też złocił się w słońcu, ale siatka i czworaki za siatką wyglądały na odległe o kilkaset metrów. To przez zieleni, jej całe kopy wyrastały na metr i wyżej, drzewa skręcały się ze sobą. Nie przywykłem do takich kolorów. Wysoko nad lasem krążył myszołów lub jastrząb.

Przyjechali i wyszedłem na durnia. Najpierw musiałem przejść aż do bramy, każdy krok wyłuskiwał mi rzepkę z prawego kolana. Było ich dwóch, młodych i wiotkich, zupełnie nie jak policjanci. Powiedziałem, w czym rzecz, wskazałem na schody, weszli. Z rosnącym niepokojem wyczekiwałem odgłosów szamotaniny, ale dobiegł mnie tylko dźwięk zatraskiwanej szafy. Policjanci zeszli i powiedzieli, że nikogo tam nie ma.

Wściekły starzec jest żaloszny jak mokry kot. Tłumaczyłem, że słyszałem wyraźnie kroki, jakby coś ciężkiego spacerowało po podłodze, może coś pchało? Obdarzyli mnie wzrokiem pełnym politowania,

zgodnym, lecz nie uzgodnionym, powtórzyli, nikogo. Mało tego, brud tam panie na dwa palce, powiedzieli, jeśli ktoś tam by się kręcił, zostawił by ślady na podłodze. Ręczymy panu, nikt tam nie wchodził od dawna. Zacisnąłem usta. Wściekły starzec jest żalosny, zwłaszcza jak nie ma racji. Kot otrzepie się i wyschnie. A ja?

IV

Tego popołudnia myślałem o swoich dłoniach i rynku w Rudniku.

Trudno, bym polubił swoje ciało, w lustrze przypomina blady łach zdarty z kogoś dużo większego. Mostek mnie złości, brzuch boli, nogi przeklinam, ale dłoni po prostu nie znoszę. O bólu czasem można zapomnieć, zakląć lekarstwami, uciec w sen, a o dłoniach nawet śnię. Są brzydkie, grube, ale wyczyszczone z wszelkiej siły, nawykłe tylko do drżenia i upuszczania wszystkiego co chwycę. Nienawidzę każdej plamy na nich, a mam ich kilkadziesiąt. Są ciemnobrązowe, niektóre jak łebek od szpilki, inne mają średnicę złotówki, gęstnieją na skórze, raz na czas pojawiają się nowe, konstelacje mojej starości. I paznokcie, których nigdy nie potrafiłem dobrze obciąć. Nie umiałem zapomnieć o dłoniach i patrzyłem na nie nieustannie. Wyrastały z mojego ciała, ale nie należały do mnie.

Chciałem wybrać się na rynecek. To trzy kilometry piechotą i nie wyobrażałem sobie tej drogi (ruszyłem wprawdzie, dotarłem tylko do sklepu, wróciłem z bułką i kefirem). Dobrze pamiętam to miejsce — nie ma w nim nic niezwykłego. Budynek wzniesione kilkadziesiąt lat wcześniej, w nich kolejno sklep spożywczy, piekarnia, szmateks, kiosk. Na wydzielonej przestrzeni stał kościółek, przed którym rozciągał się brukowany kwadrat z zielonym skwerkiem pośrodku.

Naprzeciwko kościółka od zawsze mieściła się kawiarnia, gdzie lubiłem przesiadywać, najpierw po mszy, potem zamiast niej. Takie lokale są tylko w dziurach jak Rudnik: proste, drewniane stoły przykryte zielonym obrusem, lekkie popielniczki, w rogu jednoręki bandyta, nieodmiennie zajęty. W słoneczne dni można było siedzieć na zewnątrz, czytać gazetę i patrzeć na ludzi. To ostatnie lubiłem najbardziej, bo rynecek w małym miasteczku jest po części miejscem spotkań i interesów, po części spacerniakiem i placem handlowym. Bywałem tutaj z Wojtkiem, z Zosią, z Karolkiem, a potem czasem ktoś obcy zwyczajnie się do mnie przysiadł.

Chciałem tam pójść na piwo — mogę wypić dokładnie dwa duże i jedno małe — oraz kupić radio od ruskich. Zdobyłem je w inny sposób;

wracając ze sklepu dałem stówę spotkanemu nastolatкови, obiecując drugą, jeśli przyniesie mi sprawny, stereofoniczny odbiornik z podwójnym kompletem baterii. Zjawił się błyskawicznie, radio okazało się w miarę nowe i odbierało bez szumów. Nie mogło kosztować więcej niż pięćdziesiątkę. Ucieszyłem się i tak. Dom wypełniła muzyka.

Nie przypominałem sobie tak ciepłego maja. Wedle drugiej, upał był nie do zniesienia. Słońce spalało trawę. Szukałem cienia między drzewami, z chustką na głowie i w krótkim rękawie. Woda w butelce zrobiła się ciepła. Jakoś uczyłem się radości, w dziwnym przekonaniu, że w taki dzień nie może przydarzyć się nic złego. Zdziwiony, obserwowałem kwiaty, których nie widziałem wcześniej, wielkie i napuchłe, niby wypełnione oleistą mazią, o niespotykane intensywne kolorach. Niektóre były ciężkie, a wszystkie bardzo piękne.

Na łodydze grubej jak gałązka kołysała się kiść pomarańczowych prętów. Nieco dalej wypatrzyłem przedziwny kwiat o cienkich, różowych liściach, zwieńczony guzowatą, zieloną koroną. Liście odchodziły równomiernie, ale ku dołowi, jakby światło biło nie z nieba, lecz z ziemi. Jego kolega był jeszcze dziwniejszy, usadowiony wygodnie między liśćmi o czerwonych obramówkach, jeżasty talerz, biały pośrodku, żółty na brzegach. Dotknąłem, zakołysał się lekko.

Za siatką wylał staw, to dziwne, pomyślałem — tak dawno nie padało. Jednocześnie wydawał się płytszy. Ciężka woda dotarła prawie pod las i podmurówkę, odgradzającą moją działkę od świata. Wiatr kołysał podmokłą trawą, coś chlupnęło, a po drugiej stronie zobaczyłem sarenkę, która wyszła spomiędzy drzew. Zgarbiła brązowy kark nad taflą, zamoczyła pyszczek, zerknęła w moim kierunku i odbiegła. Na tarasie bezczelnie wygrzewał się kot. Poszedłem. Upał męczył.

Obiecałem sobie wrócić tutaj pod wieczór, by pocieszyć się parną ciemnością. Pomyślałem też o kocie i o tym, że skoro sam jestem emerytem, to i kota nim uczynię — upodabniając świat do siebie czynimy go gorszym. Więc zwierzę do siebie przywiążę kajdanem misek, rybek, wody, przysmaków. Wywdzięczy mi się mruzeniem. Akurat mrugnął złotym ślepiem i umknął w wyraźnym przestachu, zniknął za uchylonymi drzwiami, tylko ogon śmignął.

Na balustradzie przysiadł drapieżny ptak. Widziałem go akurat pod słońce, dłoń sama sięgnęła po aparat w telefonie. Ptak nic sobie ze mnie

robił, ruszał głową jak bokser przed walką, schował dziób pod skrzydło. Zatoczyłem łagodny łuk po działce, uważając by ptaka nie spłoszyć i nawet zapomniałem o bólu z tej ostrożności. Diabło duży jak na jastrzębia, nie, to orzeł wylądował na mojej balustradzie. Słońce padało już z boku, wyraźnie widziałem potężną klatkę piersiową, brązowe żagle skrzydeł, dziób potworny, mechaniczną głowę. Przykucnąłem, pstryknąłem, telefon syknął i ptak spojrzał wprost na mnie, przekrzywiając łeb dokładnie jak jego mały kolega, którego widziałem o poranku. Napreżył się, skrzydła złożyły się w habit, na pazurach miał brąz. Ziemię lub krew.

Poderwał się do lotu, w pierwszej chwili myślałem, że rusza na mnie, ale już mknął hen, koło za kołem na wodzie i w wodę właśnie runął brązową smugą. Już znów był wysoko, ryba trzepotała w kleszczach pazurów, a ja zorientowałem się, że siedzę i trawa wchodzi mi do nosa. Nogi mi się rozkraczyły, widziałem tylko zieleń i słońce, myślałem o orłach, to nie takie znów rzadkie, góry niedaleko, zabłąkał się i tyle, mnie to dziwić nie powinno — co jeśli wróci? Podniosłem się ciężko, wsparty na drzewie i lasce (kora jakaś dziwna, gładza), świat zbrązowiał jak wielkie skrzydła. Chciałem do domu, gdzie nie ma nikogo, do lekarstw, do wody, na leżak.

Już dochodziłem do schodów (trzy stopnie, dam radę), działką poszedł śmiech, nisko, nad trawą, szyderczy podmuch. Obejrzałem się, gdzieś tam falował krzak, którego nie mogłem rozpoznać i którego wcześniej nie było — krzaki są jak dzieci, tak szybko rosną. Zwierzę, pies lub wielki kot, przemknęło przy siatce. I znów poszedł śmiech, nieludzki w każdym dźwięku, bez złośliwości, za to pełen draństwa. Uciekłem, zerkając na ptasią kreskę na bezchmurnym niebie.

W domku — wielkie krążenie. Czy starość przetrąciła mi zmysły, a może starość ze słońcem? Sarenka i orzeł, takie rzeczy dzieją się przecież, ludzie zakochują się w sobie i to jest dopiero dziwne. Gorzej z tym śmiechem, z krzakiem, z kwiatami, które nie istnieją — raz po raz podchodziłem do okna i nieustannie widziałem te wielobarwne kropki. Słońce przełamywało trawę, brązowiała na jasno. Odszedłem do radia, opadłem w siebie i myślałem, czy nie wracać do miasta, z tego zakleszczenia tutaj przez szuranie z góry i śmiech z zewnątrz.

Próbowałem czytać, układać pasjanse, kot wrócił i patrzył na mnie z

kąta, dumny i ufurmaniony. Coś zmieniało się we mnie albo zwyczajnie dopadła mnie nuda, wyśmiałem więc siebie — dom trzeszczał w nocy, echo poszło ci przez głowę i wezwałeś policjantów. Orły (jeśli to rzeczywiście był orzeł, na zdjęcie nie spojrzałem) czasem sfruwają ludziom nad domy, kwiaty nie mają nóg albo kłów, świat śmieje się z ciebie, nie przywykłeś? Wszystko będzie dobrze. Pójdź. Poszedłem.

Panował półmrok i ziemia grzała przyjemnie. Położyłem się na plecach, choć nie powinienem, pod głową znalazł się życzliwy korzeń, laskę przycisnąłem do piersi i zasłuchałem się. Wszystko wokół trzeszczało, szumiało, gryzło się ze sobą, dźwięki brały się za łby. Tylko mój oddech był cichy. Gdzieś w trawach buszowały zwierzęta. Mruknięcie, skrzek, szept. Tylko odgłosy od wsi umilkły, ledwo słyszalna muzyka szła od strony czworaków. I szybko ucichła. Nade mną garściami rozpały się gwiazdy.

Były jak kwiaty na działce — ułożone we wzory, których nie widziałem nigdy wcześniej. Nawet księżyc był inny, wisiał niżej, spał się od wczoraj. Próbowałem znaleźć coś znajomego na tym niebie, lecz gwiazdy zrobiły mnie w konia, ledwo znalazłem między nimi linię, drugą, złożyłem w pół kształtu, zaraz rozbłysnęło kilkadziesiąt nowych, przecięło niedokończoną figurę. Zodiak za zodiakiem ulatywał niedopełniony, więc spróbowałem je przynajmniej policzyć. Znów na próżno. Zasypiając, nie miałem wątpliwości — było ich wiele, a każda inna.

V

Obudziłem się pod rozpalonym słońcem. Jeszcze większym niż wczoraj. Przeraziłem się — przeleżałem całą noc i chłód poranka. Zaraz dotarło do mnie, że wcale nie jest najgorzej, ból ożywił splot słoneczny, nogi zdrętwiały, kark łupał, nic niezwykłego przecież. Właściwie, to nawet nieźle, wiatr wiał nisko. Tylko chciało mi się pić.

Z ziemi wstaje się dłużej niż z łóżka, ziemia już mnie wołała, już miała dziurę dla mnie. Jakoś się podniosłem i zaraz omal nie runąłem na powrót, urzeczony ogromem zmian. Bluszcz porósł siatkę tak szczelnie, że nie widziałem drutu ani stawu, zniknął też czworak, trawa zrobiła się brązowawa, a drzewa — ogromne. Za mną ciągnęła się równina, drogi już nie widziałem, tylko dalekie domy i ich cienie. Żywopłot zmienił się w luźne kopy wypłowiących roślin. Co się stało?

Najpierw pomyślałem, że oszalałem i zaraz, że umarłem. Świat przecież nie zmienia się tak sam z siebie. Stałem oparty o drzewo, patrząc na dzicz w okóło, zieleń wspinała się na dom i wyobraziłem sobie, że w łóżku leży moje zimne ciało. Czy tak wygląda śmierć? Czy zostanę tutaj? Ból przywrócił mi rozum, żyłem jednak. Podreptałem do domu na śniadanie, po plan. Czułem się jak harcerz — zabrałem nóż kuchenny, bułkę, porcję lekarstw, telefon przypięty do smyczy zawiesiłem na szyi. Znalazłem starą torbę, schowałem wszystko. Poszedłem, nie wiedząc czego oczekiwać.

Na zewnątrz znów się pozmieniało, godzina nie minęła, a siatka przepadła od strony stawu, drżało powietrze. Nie widziałem drogi ani czworaka, tylko otwartą przestrzeń, wysoką trawę, pokręcone drzewa o brązowych liściach. Kot odprowadzał mnie wzrokiem, znać, że świetnie wiedział, co jest grane. Przez trawę szło się ciężko, ziemia stwardniała, brakowało cienia. Im dłużej szedłem, tym lepiej rozumiałem, że słońce tkwi nieruchomo, więcej, że nic się nie rusza i idę tylko ja. Brakowało głosów, chciałem, żeby ktoś był przy mnie. Spojrzałem za siebie, domek zmienił się w punkt, mały gwóźdź w zieleni.

Rozbierałem się, odrzuciłem kurtkę, miałem wielką ochotę zdjąć koszulę. Już dawno powinienem minąć czworaki i dotrzeć do torów.

Przemknęło przede mną stado antylop, niemal na mnie wpadły, zaskoczone, rozbiegły się na dwie strony. Patrzyłem za nimi. Widziałem masywne palmy, zupełnie inne od tych, które pokazują w telewizji: pochylone, z postrzępioną koroną — tylko kiście bananów były filmowe.

Jakoś dobrze mi się szło, może dlatego, że nieustannie widziałem coś nowego, wierzyłem też, że śnię. To było szalone i piękne — zagajnik, a przed nim cztery zebry, zajęte skubaniem popielatej trawy. Zignorowały mnie, jedna tylko podniosła leniwą głowę, kiwnęła, pokazała, jak się żuje. Zwierzęta, na które nie znalazłem nazwy, podobne krowom, ale bardziej zwinne, o pyskach niczym kowadła i śmieszno-ostrych rogach, odpoczywały w cieniu baobabu, między nimi podskakiwały małe. Żyrafa skubała liście.

Z nieznanego powodu sądziłem, że będę tak laźł do końca świata. Drzewa rozstały się i zobaczyłem rozległy płaskowyż, na horyzoncie majaczyły góry o pionowych stokach, a za nimi wznosił się prawdziwy garbaty olbrzym o czapie ze śniegu. Wydało mi się, że widzę pradawne schody po lewej. Ale była to zwyczajna skała. Obsiadły ją małpy, dziesiątki pawianów o różowych tyłkach. Rozskrzeczały się najpierw i zaraz przeszły nade mną do porządku dziennego, z wyjątkiem spasionego samca. Niczym wielki, leniwy kot zsunął się z głazu, zbliżył do mnie wypinając klatę, jeszcze kiwnął głową, pewny własnej małpiej potęgi — co tutaj, staruszk, robisz? Kiwnąłem mu, poszedłem.

Zorientowałem się, że mogę się zgubić. Albo że działka zgubi mnie, przecież skoro przepadły czworaki i siatka, to mogłem też stracić swój domek. Spojrzałem za siebie, był, maleńki jak pyłek. Postanowiłem iść dalej, mając słońce za plecami, oszczędzać wodę i zawrócić w chwili, gdy opróżnię połowę butelki.

Zabrzmiał śmiech, ten sam, który wystraszył mnie rano. We śnie jednak nie można umrzeć, a jeśli nie śniłem, to byłem już martwy — uniosłem laskę do ciosu i jakoś poszedłem. Śmiech dochodził zza krzaków. Co jeśli to rzeczywiście diabeł? Serce szarpało się we mnie, przedarłem się przez chaszczę, گیاłem kark bez powodu. Jaki tam diabeł, nic złośliwego, to dwie hieny szarpały się z padliną. Uskoczyły na mój widok, zaraz odbiegły, a jedna wybuchnęła śmiechem. Pochyliłem się.

Najpierw myślałem, że jedzą wielką małpę, ale to był człowiek, tak zmasakrowany, że gdybym znał go za życia, nie zdołabym rozpoznać.

Skóra z twarzy była zdarta, ręka oderwana, brzuch rozpruty, uda rozerwane. Przyklęknąłem. Miał pewno pięćdziesiątkę, cholerną nadwagę, nosił lniane spodnie, białą koszulę. Na palcu złociła się obrączka. Przyglądałem się, wspominając swoją i zaraz pomyślałem, że powinienem go pogrzebać. Rozgarnąłem ziemię — za twarda. Zamknąłbym mu oczy, ale wydziobały je ptaki. Nawiedziły mnie dziwne myśli: nie śpię i spoglądam na swoje własne truchło, zmarłem dwadzieścia, trzydzieści lat wcześniej, tyle że zdołałem o tym zapomnieć. Obrączka. To majaczenie, mówiłem sobie, żyjesz, nie śniesz, świat ci się zmienia.

Przecież to nie była prawdziwa Afryka! Tam pawiany nie żyją tuż przy zebrach, antylopa nie sąsiaduje z orłem, wyobraźnia podsuwa te obrazy, wciąż jestem na działce, między siatką a siatką. Nagle zobaczyłem rynek w Rudniku, z kościółkiem i stłoczonymi ludźmi, ciśnięty bez sensu pośrodku sawanny. Wróciłem do trupa i włożyłem palec w ranę. Powąchałem ziemię. Roztarłem źdźbło w dłoniach, powąchałem, wszystko po to, by zastanowić się, co byłoby, gdybym poszedł na rynecek i wypił piwo, które nie istnieje.

Pomysł, by dotrzeć aż do gór, nagle przestał być atrakcyjny. Świat się zmieniał, ale nie bardzo — wciąż miałem osiemdziesiąt trzy lata. Musiałem wracać. Spojrzałem na telefon, nie było zasięgu. Co nadaje moje radio? Zawróciłem, poszedłem znajomą trasą obok zebr i pawianów. Wielki samiec znowu syczał na mnie.

Przed domem zobaczyłem go po raz pierwszy. Nigdy nie myślałem, że taki strach istnieje, gorszy od bólu. Schowałem się za drzewem, ale on widział mnie doskonale. Lew. Prawdziwy. Żadne zdjęcie, żaden film, wizyta w zoo nie odda tego, jak potworne to zwierzę. Leniwe i wściekłe, o szerokich barach, piaskowy, muskularny. Siedział w cieniu. Tuż przy moim domu. Bił ogonem, ruszał pyskiem, grzywę miał jak słońce. Samotny samiec, pewno cholernie stary.

Spróbowałem iść i nawet nie połapałem się, kiedy pobiegłem. Ja biegłem! Bez laski. Jak chłopiec. Nogi, plecy znów mnie słuchały, chore, chciały żyć. Od domku dzieliło mnie ze sto metrów, gnałem, a on się zastanawiał. Głodny czy nie? I ruszył, jak byłem w połowie drogi, gdyby jeszcze chciał mnie dopaść z głodu lub wściekłości, nie, w nim grała nonszalancja, sadził leniwe susy, ryknął, przyspieszyłem. Nie

marnowałem czasu na wejście od frontu, wskoczyłem — tak! — na schody, na taras. Był tuż za mną, zatrzasnąłem drzwi. Przekręciłem zamek, upadłem na łóżko. Uderzał łbem o drzwi, raz za razem, cały dom się trząsał. Ucichło na moment. Znowu bił. A potem ryknął. Ptaki poderwały się do lotu, szyba zabrzęczała, cała Afryka wyła razem z nami.

VI

Chciałbym powiedzieć, że lew odszedł przed nocą. Nie mogę. Co prawda odpuścił i odszedł, przez okno widziałem jak maszeruje w stronę lasu i znika wśród drzew, ale zaraz przyszedł ponownie, w odróżnieniu od nocy. Ta nie chciała się zjawić. Zegarek się spóźniał. Ten w komórce także, dokładnie o tyle samo. Nastąpiła północ a słońce nawet nie drgnęło. Poczłapałem na taras, zadarłem głowę, wypatrując kopuły czy czegoś — gram w jakimś eksperymencie? Dziś Rudnik zmienił się w Afrykę, rynek stał się swoją własną fatamorganą, gonił mnie lew, więc na nieruchome słońce nie starczyło zdziwienia. Przyjąłem zwyczajnie — nad moją działką ono nie zachodzi.

Jakimś echem afrykańskiego zamętu była awaria radia. Nie zdołałem złapać żadnej stacji, z trzasków wyłapałem strzępy rozmów, chyba wojskowych. Dostałem ciszę i wieczne słońce, pomyślałem sobie i zabrałem się za zamartwianie: jeśli żyłem, to miałem nieliczne kłopoty. Podobał mi się nowy świat, nawet z lwem i orłem, pamiętam jak lata temu marzyłem o jesieni życia w Portugalii. Wraz z Rudnikiem przepadły sklepy spożywcze, to jeszcze nieważne — ważna apteka! Gorączkowo przeliczyłem zapasy, wystarczy na tydzień z kawałkiem, chyba że ciało wywinie mi jakiś numer. Co ze mną będzie? Ej, stary durniu, spróbowałem się zaśmiać, przecież przyjechałeś tutaj umrzeć. Chciało mi się pić, ale nie byłem głodny.

Położyłem się przez rozum. Drobinki światła były nawet pod moimi powiekami, gdzieś, na granicy jawy i snu lew ocierał się o mój dom. Dziwnie się śpi w słońcu, jeszcze dziwniej w nim wstaje, świat się zmienił, ja zostałem — wystarczyło spojrzeć na własne dłonie. Wtedy zobaczyłem ją. Podniosłem wzrok na okno i mi się objawiła. Murzyńska dziewczynka, kruszynka, skarb. Biegła prosto w stronę domku.

Na szczęście kuchnia była blisko, wróciłem na taras z garnkiem. Dziewczyna wyciągała nogi, lew był tuż za nią. Jąłem walić chochlą w dno garnka, ile sił, zaraz chwyciłem sam garnek i tłukłem nim o schody, aż huczało mi we łbie. Dziewczynka pojęła grę. Brakowało sił. Lew się zawahał i umknął, z prawdziwie kocią godnością, każdym gestem dając

do zrozumienia, że wcale się nie boi, ale zwyczajnie mu się nie chce. Zatrzymał się przy krzakach, zerknął. Poznał mnie.

A ona była już w moich ramionach, spocona i drżąca, nic nie mówiła, tylko oddychała w moją szyję. Była ciepła, jak Afryka. Zaprowadziłem ją do środka, dałem wody, wypita zaraz i chciała jeszcze. Przygotowałem bułkę z serem, pożarła na dwa razy. I jeszcze. Nie nadażalem. Jeść i pić, pić i jeść, między kęsami odzyskała oddech. Drżała, ze strachem zerkała w okno. Wypowiedziała kilka słów w dziwnym języku, pokazałem więc, że drzwi są dobrze zamknięte i nic nam nie grozi. Była naga, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach. Przyjrzałem się dyskretnie — piersi już się wykształciły, wciąż bardzo młode, ramiona kobiece, ale biodra jeszcze nie zarysowane. Zawstydzilem się, okryłem ją koszulą i objąłem jak ojciec. Długo płakała. Nie puściłem, aż oddech się uspokoił. Trwaliśmy tak.

Przysnęła. Jakimś cudem zdołałem złączyć dwa fotele i przyszykowałem jej poślanie. Zasnęła natychmiast, okryłem ją jeszcze, usiadłem i patrzyłem jak śpi. Piłem i patrzyłem, rodził się we mnie spokój, rozlałem się nim i sam zrobiłem się senny. Za oknem ryczał lew. A ona przyszła do mnie, myślałem, że przerażona tym dźwiękiem. Wśliznęła się już bez koszuli, pocałowała w szyję i niżej. Drgnąłem ze wstydem, przecież to dziecko, potem drgnąłem już bez wstydu, zdumiony własną sprawnością, sięgnęła, ruch po ruchu pokazała, że w Afryce dziewczynka jest kobietą.

Rano długo jej szukałem.

VII

Czułem się lepiej — dawno nie spałem tak długo i mocno, obudziłem się w mocnym poczuciu, że jestem facetem. Mała Afrykanka uskrzydliła mnie, myślałem o świństwach, o tym, żeby przyszła jeszcze, czułem się młodszy o dekadę. Przyglądając się sobie w lustrze, nabrałem nawet złudzenia, że zachodzi jakaś odmiana. Policzki miałem czerwone jak mały podglądacz, zbrązowiła skóra wyglądała o wiele lepiej. Plamy na dłoniach były mniej wyraźne. Może nawet trochę schudłem? Przez chwilę uwierzyłem, że naprawdę odmłodziłem, aż pojąłem przyczynę zmiany. Oczywiście były inne, grało w nich życie.

Podobno przed śmiercią się polepsza. Włączyłem radio, pokręciłem od szumu do szumu aż znalazłem dziwną audycję, na wpół słyszalną. Ludzie coś mówili, wsłuchałem się i zrozumiałem, że rozmawiają o mnie. Brzęczało szkło, ktoś śmiał się, kobieta płakała, zaraz, jaka kobieta, to przecież Kamila, nikt inny, nie wiedziałem, czemu jej smutno. Za chwilę inny głos. Mówiono przez trzaski.

— To nie było tak, że każdemu zaraz pomógł, ale, mi się wydaje, że jak widział autentyczną krzywdę, potrzebę, to ruszał. Dyskretnie. Czasem przy wódce opowiadał, kogo pchnął, wokół kogo się zakręcił. Jakby ktoś mi teraz powiedział bydlę, w mordę bym dał, w mordę normalnie. Długo żył. Nagle umarł. Długo.

Trzask, szur.

— A wiecie, że kiedyś dawał radę? Pamiętam jak oknem skakał, kiedy żona przyszła. Albo jak robiliśmy czujki, (szuru szuru), bo on akurat robił taką studentkę kiedyś, jeszcze na obozie, a że był z narzeczoną, to tamci poszli ją urznąć, tę narzeczoną, a on wywijał w krzakach i w deszczu. Nie powinienem tego mówić. No ale co?

Szrrrrrrrrra. Przykręciam.

— To tak się mówi, kochał kobiety. Wszystkie kobiety świata. Ale jako kobieta powiem, że to dziwkarz był. Fiut i dziwkarz. Uroczy.

Truuuuuu...

— Był kiedyś u mnie, raz. Na wódkę. Już nie bardzo mógł, ale pił. Nogi mu siadały i tak śmiesznie człapał. Wypiliśmy prawie wszystko, a

on wrócił spod drzwi, przyszedł i jeszcze się stuknęliśmy w progu. Zszedł po schodach i już go nie widziałem.

Jeszcze ruszyło.

— Nie wyobrażam go sobie jak był młody, wiesz? Nie umiem. Takim bezradnym był człowiekiem, co chce a nie może. Złoszczę się na niego, choć nie powinnam.

Słuchałem audycji z własnej stypy.

Kiedy myślimy o śmierci, często wyobrażamy sobie jak nasi bliscy lamentują i znajdujemy w tym pocieszenie. Mnie się to spełniło, ale wcale nie słuchałem, rozpaczliwie łowiłem słowa, które pomogłyby mi się połapać — kiedy to się stanie. Potem wrzeszczałem do aparatu, że przecież żyję, jestem tutaj, w Rudniku, czyli Afryce. Nie słyszeli, słuchałem wystarczająco długo, by z przebaknięć, półśmiechów i żali dowiedzieć się, że to niedługo. Pokręciłem jeszcze między stacjami, zastanawiając się, czy wywalić to cholerne radio.

Bałem się wyjść. Zabrałem nóż, gazetę i zapalniczkę — w najgorszym razie zwyczajnie podpalę suchą trawę. Poszedłem więc z wiatrem. Lwa nie znalazłem, lecz mnóstwo jego śladów — rozszarpaną antylopę, skrwawione kłęby sierści przylepione do ziemi, rowy po pazurach zostawione na drzewie, ptaka z ukręconą głową wygniecioną trawę. Widziałem cienie o jego kształcie, drzewa i krzewy miały złote grzywy, wszystko szumiało jak jego kroki. Nieustannie oglądałem się za siebie.

Znów widziałem Rudnik. Szło mi się dobrze, ból w piersiach zniknął, nogi tylko mrowiły w kolanach. Zastanawiałem się dlaczego i nagle zrozumiałem, że Afryka mnie oszukała, swoje lekarstwa brałem rano i wieczorem, o świcie, przed zmrokiem, a to zniknęło. Zapomniałem o tabletkach, nie wiem nawet, od kiedy ich nie brałem.

A potem krzaki zadrzały, sprężyłem się, wyszarpnąłem nóż, wyłoniła się ona — królowa całej Afryki, kobieta bez wieku, ale o oczach mojej czarnej dziewczynki, złożona wyłącznie z ciała i zmysłów. Jak ona szła, dziewczyna ze snu, o hebanowych nogach, lekko zaokrąglonym brzuchu, rozkołysanych piersiach, ciemnych monetach sutków, za które można by kupić wszechświat. Włosy spięta w kok, nad głową kołysała się korona z papuzich piór przestrzelona słońcem. Na nadgarstkach i kostkach kołysały się bransolety.

Dziewczyna szła w moim kierunku, lekko odginając głowę. Wokoło zgromadziły się zwierzęta, a ona była tak piękna, że nie od razu je dostrzegłem. Małpy i fenki, żyrafy i słonie, antylopy, zebry, dziesiątki kolorowych ptaków schylało karnie głowy. Tylko lwa zabrakło. Królowa złożyła mi dłonie na ramionach, przyciągnęła do siebie, runąłem na trawę. Wspięła się, odnalazła i rozkołysała nade mną, krzyżując dłonie nad głową, piękna jak czarny żagiel, ogromna.

VIII

Zmieniłem się. Wracałem do domu na sprężystych nogach, lekki, uwolniony. Zamiast do domu, skręciłem nad staw, teraz zmieniony w błękitne rozlewisko. Zobaczyłem w nim siebie. Krzepkiego pięćdziesięciolatka, o torsie spalonym słońcem, muskularnej klatce, żyłastych bicepsach. Podobałem się sobie i do domu wróciłem już bez koszuli. Zrobiłem sobie drinka, jednego, czwartego, urżnąłem się w oczekiwaniu na królową. Wreszcie zaległem na łóżku, zachwycony tym, że mogę zwyczajnie się położyć, bez kręcenia się, rozprostowywania i kurczenia nóg. Wcześniej zamknąłem okiennice. Udawałem, że jest noc.

Ryk wyrwał mnie ze snu, jakby wyła cała ziemia. Dom trząsał się, w półmroku widziałem schody, klekoczące jak drewniane szczęki. Coś łupało na górze, głośno, lecz niemal niesłyszalnie — to lew tak wył. Zerknąłem przez szparę w okiennicy, biegał dookoła domu i łup, łup, uderzał o ściany. Naparł na drzwi, trzeszczały, to go zachęciło. Sądząc z długiej przerwy pomiędzy uderzeniami, rozbiegał się przez kilkadziesiąt metrów. Raz skoczył, drzwi się odgięły, wpadło światło.

Czy ty chuju nie umiesz nawet się zmęczyć? Podparłem drzwi krzesłem, akurat wtedy walnął, czułem jego gniew. Po raz pierwszy od dawna zrobiło mi się zimno. Stałem chwilę z nożem w drżącej łapie i tak mi wstyd — umknąłem, zatrzasnąłem się w kiblu, schowałem głowę w dłoniach. Ryk narastał, ryczała każda deska, niebo i drzewa, skuliłem się, zacisnąłem powieki, a gdy je otworzyłem, wydało mi się, że siedzę maleńki w lwiej paszczy, która się zamyka. Ucichło.

Wiele godzin, może dni minęło, nim wyszedłem. Lew zniknął, pewno spał. Zaostrzonym kijkiem upolowałem rybę, rozpałem ogień i upiekłem. Jadłem palcami, jeszcze półsurową. Byłem człowiekiem, który je, nikim więcej. Potem rozglądałem się, kwiaty zniknęły, nieruchome słońce zrobiło się nudne, za to wrócił orzeł. Lwy też czasem śnią.

Wieczorem zjawiała się znowu. Zupełnie inaczej. Obudziłem się i leżała przy mnie. Znów przemieniona, tym razem w pełni dojrzała, o spracowanych dłoniach. Wokół oczu i ust rozplotły się zmarszczki, szyję znaczyły już smugi, piersi wyciągnęły się po dzieciach. Jak brzuch.

Musiała być brzemienna mnóstwo razy. Zyskałem siłę, by unieść się nad nią, raz, raz, nasze usta blisko, twarze w dłoniach, ścisk ciał, pot, mówiłem: zostań ze mną. Bądź. Potem nie zostałem już sam ze sobą, roztopiłem się w mojej Afryce, sklejonny z jej skórą, twardą i ciepłą, spaloną jak ten ląd.

Zniknęła. W jej oczach widziałem, że wróci. Z dziecinnym zachwytem patrzyłem na jej wielki tyłek. Przepadła w słońcu. Zostań, bądź, szepnąłem i owinąłem się w jej zapach.

Lew dopadł ją tuż za domem. Odgryzioną głowę przyniósł na mój próg.

IX

Wyglądałem na trzydzieści lat. Nie myślałem o tym.

Przetrząsnąłem dom, ale nie licząc noża i zardzewiałej siekierki, nie znalazłem niczego, co nadawałoby się na broń. Odważyłem się na krótki wypad do najbliższych krzaków, gałęzie były zbyt słabe na włócznię. Z tarasu spoglądały na mnie martwe oczy.

Przyjrzałem się swojej lasce. Wykonano ją z twardego drewna, miała dobrze ponad metr długości. Podrzuciłem ją kilkakrotnie. Moja dziewczyna, miałem dla niej jedno zadanie. Próbowałem naostrzyć jej szpic, szło jednak ciężko. Więc rozebrałem radio, wyrwałem kable i najmocniej jak mogłem przywiązałem nóż do jej końca. Uderzyłem kilkakrotnie o ścianę, wbił się, nie odpadł, nie wygiął.

Przygotowałem się dobrze. Wziąłem prysznic, upolowałem i zjadłem kolejną rybę, do plecaka schowałem resztkę chleba, butelkę wody i drugą, pustą i szklaną. W najgorszym razie zdołam ją stłuc i użyć jako ostrza. Tknęła mnie beznadziejność, to był olbrzym. Nie wiedziałem, gdzie naprawdę się znajduję, czy żyję i ile mam lat. Jeśli coś miałem przed sobą, to tylko zabicie tego zwierzęcia. Żadnych myśli o sobie, żadnych tęsknot. Ja i lew.

Przed wyjściem pogłaskałem kota.

Afryka stała się mi obca, słońce wstrętne — przecież z tej chorej ziemi wyklął się morderca. Co było w niej dobrego? Tyle że uczyła cierpliwości, myślałem, durny, że ledwo wyjdę, a dostanę łajdaka na gorącym widelcu. Polazł, doniknął, najedzony. Wybierałem otwartą przestrzeń, żeby mnie nie zaskoczył. Po co miał się chować? Chciał mnie, to ma.

Byłem młody i zmęczony. Woda skończyła się szybko, nabrałem nowej ze źródła. Słońce rozpałiło mi głowę. Kręciłem się właściwie bez sensu, bo skąd, do diabła, miałem wiedzieć, gdzie chowa się lew? Migaly mi tylko jego cienie, czasem gałąź zmieniała się w ogon, sęk w oko. Lew był sprytny. Wiedział, że jesteśmy skazani na siebie, możemy się zwodzić, wyczekiwać aż drugi osłabnie. Dlatego wróciłem, wbrew sobie — chciałem drażnić Afrykę, aż go nie znajdę. Rozumiałem, że muszę być

wypoczęty. On mógł spać gdziekolwiek, ja w domu.

Drzwi zamknąłem za sobą ogarnięty poczuciem rozczarowania, przecież zawsze mścimy się tylko dla siebie. Obawiałem się, że będziemy szukać się tak przez wiele tygodni albo że lew wpadł na szczególnie rodzaj okrucieństwa, zagryzł królową i zwyczajnie sobie poszedł. Po co mnie zabijać, przecież wygrałby, skoro może mnie porzucić, samego i oszalałego z rozpaczy.

Usiadłem. Kot przyszedł mi na kolana, wraz z nim rozmruczał się dom. Wypiłem trochę, choć nie powinienem, osunąłem się na łóżko, pod powieki wpełzła mi moja królowa. Czułem się słaby jak po przetańczonej nocy, ostrożnie dotykałem napuchłych mięśni, zapomniałem przecież, co to znaczy mieć mięśnie. I nagle usłyszałem to znowu. Mocne, wyraźne szuranie. Nie człowiek tak szura, lecz zwierzę. Kot błyskawicznie umknął, śmignął i już trząsał się pod kanapą.

Zerwałem się, laska sama wskoczyła w dłoń. Próbowałem przypomnieć sobie rozkład pokoi na górze. Jeden na wprost. Jeden po lewej. Dam radę — żeby tylko nie skoczył na plecy. Spięty i silny wspiąłem się na schody. Spojrzałem do góry, lew musiał czekać w głębi. Wspinałem się ostrożnie, nie próbując być cicho, i tak mnie słyszał, a wtedy, przy trzecim kroku, schody zaatakowały.

Stopnie ucięły się, lewa noga wpadła po kostkę, a stopień zatrzasnął się jak wnyki. Drewno doszło do kości, stłumiłem krzyk, wolną dłoń bezwiednie zamknąłem na poręczu, ta zmieniła się w węża, też mnie oplotła, zęby kłapnęły tuż przy nadgarstku. Stopień trzymał mocno, spojrzałem w dół, schody były stalowosine, falujące, pełne kłów, nie, ty nie masz prawda tutaj wejść, stary głupcze. Szarpałem się głupio i bezskutecznie, aż przypomniała mi się laska, uderzyłem raz i drugi, nóż wszedł jak w mięso, wydawało mi się, że słyszę syk, pełen wściekłości i rozczarowania. Nogę miałem już wolną i mogłem się szarpnąć, poręcz wciąż trzymała, ślepy łeb wciąż się miotał, aż nadział się sam na czubek noża. Tym razem bezgłośnie.

Popęzłem jak starzec, zgarbiony i powolny, wbijałem nóż w kolejne stopnie, śluz tryskający na metr nim opadł zmieniał się w drzazgi i wióry. Wchodziłem w stygnącą maź; paliła, krew wypełniła mu buty. Nie wejdiesz, a takiego, sukinsyny, właśnie że wejdziesz. Szarpacie mnie. Znieście mnie. Nie pozwolę. Na ścianie majaczyły czarne twarze z

grubymi powiekami, wargi skrywały zwierzęce kły, więc ile tylko mogłem, kułem, poprawiałem łokciem, drewno wchodziło w moje ciało, schło, kłap i trzask, po oczach, wgniatałem je aż po ocieplenie. Niósł się jęk, w którym nie było jednej ludzkiej nuty, jakby ziemia mogła się zużyć i pęknąć. Ich usta potrzaskane, połamane policzki, nie wejdiesz, właśnie że wchodzi, już minąłem półpiętro.

Zaatakowały mnie po raz ostatni, schody ze wsparciem ściany, przemienionej w ślepą paszczę z drzazgami kłów, odskoczyłem wprost na wyższy stopień, pochłonał mnie po kolano, lecz i laskę wraz ze mną, weszła do połowy, czułem drżenie rozmiękłego drewna. I to drewno mnie wypluło, dało pęd, byłem już na górze i on też był.

Czekał spokojnie w pokoju naprzeciwko. Jezu, ale był ogromny, w ciasnych ścianach wydawał się większy nawet ode mnie, ze złotą grzywą, wściekłym pyskiem, przyczajony do skoku. Posłał mi zimne spojrzenie i wystrzelił w powietrze, wprost na mnie, ostrze laski poszło w próżnię, nad nim, sam ledwo uskoczyłem, przetoczyłem się sprawnie i już byłem na nogach. On rąbnął w barierkę — już zwyczajną — pokruszył i potoczył się po schodach. Widziałem jak wstaje, szybciej niż bym o wstawaniu pomyślał, potrząsa zdziwioną głową.

Stałem w rozkroku, na lekko ugiętych nogach. Włócznia była zbyt krótka, jeśli skoczy, i tak mnie obali, nieważne, nie o mnie tu chodzi. Podszedł ostrożnie, ze stopni nie miał jak się wybić, więc kombinował inaczej. Dałem mu miejsce, dźgałem powietrze, żeby nie miał za łatwo. Zmrużył powieki. Ruszył dokładnie w chwili, gdy się tego spodziewałem, ale w innym kierunku, wziął mnie niżej i z boku, ledwo się uchyliłem — na otwartej przestrzeni już by mnie rozszarpał. Ostrze weszło mu w bok, zjechało po żebrach, wyszarpnąłem. Pysk kłapnął obok mnie, a nóż zagłębił się w oku. To stało się w kompletnej ciszy, bez mruku czy oddechu, przeciął ją tylko dźwięk nieco podobny do otwarcia butelki coli.

A potem lew zawył, bez złości, płaczkliwie, szarpnął łbem, laska wypadła mi z dłoni. Wycofałem się do pokoju, rozpaczliwie szukając czegoś, co nadałoby się do obrony, porwałem krzesło, trzasnąłem nim o ścianę, zacisnąłem palce na wyrwanej nodze. Lew potrząsał głową, krew obryzgała mu grzywę i pysk, łapą próbował wygrzebać ostrze z oka, wreszcie mu się udało, laska z nożem poleciała na schody, a on odwrócił się w moją stronę.

Zaraz był mniejszy, obolały, z rubinową raną po prawej, ryknął, wściekły i rozczarowany. Zatarasował sobą przejście, zbliżył się do mnie, spokojnie, świadomy, że już nie zwieję. Ruszał nosem. Przyczał się do skoku, wszystko, co mogłem zrobić, to wysunąć nogę przed siebie, licząc, że rozpruję mu brzuch, kiedy mnie obali. A on łypnął, jakby na coś się zgadzał, odwrócił się i odszedł, zostawiając za sobą czerwone krople. Widziałem, jak ciężko stacza się po schodach. Podszedłem do okna. Zerkał co chwilę w stronę mojego domu i oddalał się, lizać rany. Pozwoliłem mu.

X

Kot poszedł za mną. Wziąłem go na rękę, mruczał mi przez całą drogę. Idąc przez Afrykę, już po raz ostatni, zastanawiałem się, co właściwie się wydarzyło, i gdyby nie ból w kostce przewiązanej szmatą, znów uwierzyłbym, że to sen. Patrzyłem na dalekie góry, brązową trawę, orła, antylopy, łeb krokodyla sterczący z wody. Był we mnie spokój.

Skierowałem się w stronę złudzenia miasta i po chwili już tam byłem, siedziałem na ryneczku, przede mną stał kufel piwa, kot sprawdzał okolicę. Ludzie patrzyli na mnie dziwnie, facet w brudnych ciuchach, ze szmatą na nodze. Ta bolała nawet w tym złudzeniu. Widziałem ludzi, domy i kościół, nic niezwykłego, ale z każdym łykiem bardziej cieszyłem się, że jestem właśnie tutaj. Robiło mi się cieplej, tak od środka. Zwalniało serce, oddech też spowolniał, znalazłem w tym przyjemność.

Zachodziło słońce. Na moich dłoniach pojawiły się plamy.

Koniec

Rękopis znaleziony w gardle

1. Opowieści z układu słonecznego

Mam pięć lat i mieszkam w słońcu.

Mam pięć lat i niewiele wiem, cokolwiek znam jest proste i nierozciągliwe, to punkt starożytnych, jednia, byt bez niebytu.

To nieprawda, że dzieciom brakuje wątpliwości. Dziecięce wątpliwości są niepojęte, tak, że dorosłym brakuje słowa i znaku, dlatego zapominają, dlatego nie możemy się porozumieć.

Dzieci wierzą w bliski kosmos.

Mam pięć lat i nie wiem jeszcze, skąd Brzanka bierze swoje srebrzyste źródło, kogo obłapia matka i jaki kształt, nasycenie kolorem ma komora w której zamyka się mój ojciec, nie dostrzegam żółciejącej śmierci nad moją prababcia, a także rzeczy prostszych.

Mieszkamy w słońcu. Słońce ma trzy pokoje i ogromną kuchnię. Dwa z tych pokoi są przechodnie, w pierwszym mieszkam ja z rodzicami, drugi rozciąga się jak prababcia i taką też radość budzi, z kuchni białe drzwi prowadzą na balkon, przedpokój jest czerwony jak psie gardło, tam łazienka pełna konstelacji podłogowych, spiżarka, wyjście na korytarz i brązowe drzwi do pokoju Pana Siwego; te drzwi pozostają zamknięte. Mieszkamy w słońcu, otoczonym planetami.

Rynek w Rykusmyku, z ratuszem jak zamek i murami kamienic, gdzie każda wyrwa i ubytek tynku staje się blizną po bitwach rycerzy, wilków i olbrzymów. Nie wiem jeszcze, że to prawda, wiem, że to Merkury. Mars ma barwę parku, mruga oczkiem wodnym i kaczuszką, kusi czerwienią huštawek, rdzawymi językami zjeżdżalni. Ziemia wiejska, podmiejska i czarodziejska — Czernica wypełniona piaskiem, kurą i bażantem, strzelającym z pola niby pierzasta rakietą Indian. Wenus kusi jarem zalanego kamieniołomu.

Dalej i dalej, na Jowisz ruszamy rzadko, zawsze przez pas meteorów — toczą się bryły kamieniczek w kwiatowych rojach, psy krążą przy budach na krótkich łańcuchach, za wyłamanym płótem kręcą się

lodowate kobiety o długich warkoczach. Po Jowiszu już Wrocław otoczony pierścieniem dróg i osiedli, o szerokich ulicach bez samochodów i z niewielkim, twardym jądrem Rynku. Tyle znam, tam doleciałem, nie wiem kiedy ani gdzie, wiem, że byłem, wiem że są.

Znam opowieści o gazowych olbrzymach — Poznaniu i Warszawie — gdzie światło dochodzi z trudem i nie raz spada w ciemność. Gdynia, czarny karzełek opiera się o morze, czyli wszechświat. Tam galaktyki Szwecji, Ameryki i Rosji, niczym zdjęcia z łazika i teleskopu, przesłane w czerni, bieli i śniegu na ekran telewizora. Są. Przyjmuję to na wiarę. Wiem, że nigdy tam nie dolecimy. Mieszkamy na słońcu.

A słońce bije życiem, ma swoje burze i wybuchy, dni spędzam z prababcią, czasem schodzę do sklepu w którym pracuje mama, czasem ojciec zabiera mnie tam gdzie wielkie maszyny, lecz on, zamiast przy nich, tkwi za biurkiem i uderza złamanym ołówkiem w arkusz technicznego papieru. Prababcia odgrzewa obiad z menażek i ma nogi jak sińce. Wieczorami mama siedzi w kuchni i pali papierosy, ojciec zabiera mnie na spacer, czyta książki i robi warcaby z kamieni i kartonu, który muszę pomalować. Kamienie często się gubią. Warcaby robimy cały czas. Modlę się przed snem, tak aby prababcia widziała mnie przez uchylone drzwi, jej twarz w szparze przypominam mi Boga i myślę sobie, że Bóg też jest siny.

Zasypiam przed rodzicami i budzę się, kiedy ich senne oddechy rozdymają pokój i wygładzają kontury. Brzmi szuranie. Pan Siwy opuszcza swój pokój i kręci się po kuchni, wydaje mi się, że słyszę bulgot wody w czajniku i wrzask chleba rozdieranego przez nóż. Pan Siwy je i sapie. Szumi woda. Pan Siwy myje naczynia, jakby chciał wytrzeć z kuchni wszelkie ślady swojego żerowania. Zapala światło i ciska swój długi cień na przedpokój. Rozpalony ciekawością naciągam kołdrę pod brodę, krępuję się nią i przyklejam do łóżka. Cień gęstnieje i zmienia się w człowieka. Pan Siwy ma płaszcz i kapelusz, staje przy drzwiach, otwiera papierośnicę i zapala, lewą ręką osłaniając szluga przed nieistniejącym wiatrem, prawą podsuwa ogień, a łokcie mu sterczą jak skrzydła nietola. Zerka w moim kierunku i wychodzi, zostawiając wąły obłoczek dymu, kroki dudnią, pan Siwy wchodzi w światło latarni, pan Siwy jest światłem latarni, a ja już rozumiem — on jeden podróżuje ze słońca w ciemny wszechświat.

2. Ecce homo

Pamiętam jak się zacząłem, gdy rzeczy nie miały jeszcze nazwy, lecz tylko kolory, coś bezkształtnego w środku sunie przez linoleum, wybrzękuje śmiech z siebie, sprawdza, dokazuje i sięga palcem najdalej jak może, w ciemną szczerbę pomiędzy dwoma fascynującymi płaszczyznami. Płaszczyzny drżą, obok przesuwa się cień, szczerba zakleszcza się gwałtownie i nic już nie jest takie same.

Stoję przy drzwiach w kuchni. Mam płócienne spodenki i czerwony sweterek. Podnoszę rękę do oczu. Palec wskazujący wisi na wąskim pasku skóry i bardzo mi się podoba, bąbel krwi wybałusza się jak oko. Onieśmielony i zachwycony pędzę pokazać mamie to cudo, po prawdzie mam i inną wiadomość — jestem, jestem, wyskoczyłem, mamusiu, do ciebie z głębokości — mama pochyla się nade mną, okaleczona ręka biegnie jej na spotkanie, a mama pada nieprzytomna.

3. Demon popołudnia

Sobotnie popołudnie — niedziela. Kuchnia naszym pokojem dziennym, mama tkwi przy otwartych drzwiach na balkon i ćmi papierosa z lufki, ojciec usadowił się na krześle przy lodówce i czyta grubą książkę w płóciennej oprawie. Okulary wiszą, jakby ostatkiem sił chwyciły się końcówki nosa, ojciec sapiąc zerka w stronę parującego garnka, odkłada książkę i będzie szykował mi parówki. Nie naszykuje, gdyż prababcia odkłada kłębek włóczki i zaczyn swetra, kaczym chodem zbliża się do kuchenki, mamrocze, że wszystko źle, nakłada parówki na talerz, zaprasza mnie do stołu a jej twarz rozjaśnia uśmiech. Jem, a prababcia rozczochruje mi włosy, gdy w drzwiach melduje się Pan Siwy w szarych spodniach i koszulce na ramiączkach.

Ogromny, nierzeczywisty i prawdziwie siwy — białe loki osuwają się na byczy kark niby leniwa lawina, sygnety lśnią na palcach, pasek z mosiężną klamrą opina wzdęty brzuch, ze skórzanych kapci sterczą małpie golenie. Mama zaciąga się głębiej i patrzy na podwórko, ojciec zanurza nos w książce, za to prababcia kamienieje nad kolejnym oczkiem, wypluwa powietrze stare jak ona sama i unosi wzrok. Pan Siwy przechodzi przez kuchnię, wesoło pogwizdując, otwiera lodówkę i myszkuje w najniższej półce, tam, gdzie nikt z nas niczego nie trzyma, a mi nie wolno patrzeć. Podkoszulek Pana Siwego unosi się, spodnie zjeżdżają, odsłaniając blade plecy i ciemną szpicę między pośladkami. Pan Siwy wygrzebał salceson, zabiera kawałek chleba, przemierza kuchnię nie przestając pogwizdywać. „Idź stąd!”, szepcze moja mama, tak, żeby ledwo słyszał, żeby jej mowa pozostała jednak milczeniem. Pan Siwy zatrzymuje się w progu, patrzy na mnie tak ciepło i dziwnie, że mało nie zlecę ze stołka od tego spojrzenia, wykonuje teatralny ukłon, znika w swoim pokoju i zamyka drzwi na klucz. „Po coś gadała”, warczy ojciec, „już szedł”. Matka macha ręką, papieros leci na wykładzinę. Krzyk. Garbię się nad talerzem i wołam, że niedobrze, parówki wystygły.

4. Mój tato wśród skał

Drogę do kamieniołomu przebywam na ramionach ojca, chwytam promyki, tato stawia ostrożne kroki, choć z mojej perspektywy jest niewzruszony. Balansujemy na skraju urwiska, ku zielonej patelni, tam tylko kępka krzaków oddziela nas od wody poniżej. Ojciec stawia mnie na ziemi, poucza i rozkłada tajemniczy sprzęt. Naprzeciwko chłopcy skaczą do wody ze skały, ojciec mówi o nich coś niedobrego, ostrzega, rozsuwa wędkę teleskopową, wybiera przynętę z puszki, szykuje podbierak i wiklinowy koszyk, siada na wędkarskim krzeselku. Chwilę to trwa. Niedobrzy chłopcy porzucają swoje zajęcie i nikną w krzakach. Tato łąwi, pali papierosa i patrzy na wodę. Trwam chwilę w milczeniu i pytam: kim jest Pan Siwy, dlaczego mieszka z nami? Ojciec wykonuje nieudany ruch, jakby chciał odłożyć wędkę, ale nie wiedział jak to zrobić i odpowiada, że Pan Siwy jest sublokatozem. „Czasem jest tak, że przy rodzinie mieszka ktoś obcy, zawsze tak było, przynajmniej w naszych czasach. Nikt nie jest z tego zadowolony, ale co zrobić, zawsze tak było, zawsze tak było”, mamrocze, ożywia się i prosi, abym przypadkiem z nim nie rozmawiał, bo nigdy nie wiadomo, co takiemu przyjdzie do głowy. Obcy jest obcy i cześć, to powinienem zapamiętać.

Słowa taty niosą nakaz milczenia, w ciszy ustawiam wojsko z gałęzi i patyków, czekam aż żyłka zadrży, lecz nie mamy szczęścia. Ojciec opowiada mi, jak to przed wojną kamieniołom był czynny, jak go zalało i jakiś mądry człowiek, właściwie wielu mądrych ludzi, nawpuszczało tu ryb i teraz można łąwić. Ale ryb jest mało. Ci ludzie nie byli dość mądrzy. Trwamy tak aż przychodzą niedobrzy chłopcy. Gęsiego, w samych majtkach i nazbyt dorośli, o chudych i silnych ramionach. Na widok mojego ojca przystają i chyba nie wiedzą co robić, przyszli poskakać, a tu nie ma jak. Tato opuszcza wzrok i składa wędkę. Bierze mnie na barana. Już na ścieżce słyszę plusk i śmiech.

5. Ludzie porzuceni

Prababcia upada i wiozą ją do szpitala, dziwię się, że pielęgniarki zachowują się tak spokojnie — powinni krzyczeć na nogę, aby się zrosła. Te dwa smutne cienie znoszą staruszkę po schodach, w domu zapada cisza i mama pali jeszcze więcej papierosów, ojciec zabiera mnie do maszyn na całe dni. Prababcia wraca, cisza nie ustępuje.

W domu pojawia się metalowy chodzik, którym nie mogę się bawić. Rozpędziłem się i pomknął przedpokojem, uczepiony srebrnej obręczy. Czuję się skrzywdzony, gdyż babcia prawie go nie używa, tylko leży całe dni, rodzice prowadzą ją do łazienki, włączają i wyłączają telewizor, karmią, słuchają dobrych rad. Wrze kłótnia o przedszkole, matka chce mnie tam posłać, lecz boi się wszawicy. „Do zakonnicy!” krzyczy, tatko czerwienieje, unosi ramię i trzepie rękawem, „patrz, patrz jak pieniądze lecą”, matka łapie się za głowę „och, zostawisz go tutaj, a ten skurwysyn co?”. Babcia pcha chodzik, nim dotrze do kuchni, awantura zamarznie na kość. W końcu zostajemy we dwoje. We troje, zależy jak na to spojrzeć.

Matka zostawia mi śniadanie i wychodzi. Jem, sam włączam sobie telewizor, lecą programy rolnicze których nie rozumiem, tymczasem prababcia drzemie pod drewnianym krzyżem i marszczy kołdrę. Budzi się na krótko, nawołuje szeptem i skinieniem dłoni. Zalegam na jej twardych kościach, próbuję skubać delikatną skórę, słyszę „kończy ci się babunia”, więc protestuję jak umiem: „Babcia zatańczy na moim weselu”.

Trwa jednak taniec kuchenny, prababcia porzuca chodzik, podtrzymuje się ściany i mebli drepta do szuflady i prosi żebym zaniósł nóż z widelcem do stołu. Sama rozpala ogień pod kuchenką. Chwyta brzeg chodzika. Człapie w stronę fotela, gdzie zwykł siadać ojciec. Tam zamiera, kręci głową, zawraca, żeby zamieszać, tak w kółko — przypomina jaszczurkę rozleniwioną słońcem. Drewnianą łyżką dzieli bigos, zabieram talerz i zaczynam jeść. Prababcia zawisa nade mną, na chodziku, pilnuje, żebym zjadł do końca. Nie mogę grymasić, prababcia grymasi za mnie: „Szkoda, że nie ma zupy bo jest najzdrowsza”. Bierze skręt i znika w przedpokoju. Zaglądam do niej. Śpi.

Cichy dom prowokuje do zabaw. Kosmetyki matki toczą długie

wojny z fajkami ojca. Z puszeki wędkarskiej wydobywam muchy i blaszki, plącę haczyki. Cieszę mnie korale zamknięte w słoiczkach po lekarstwach. Mam też drewniane miecze, dziecienny zestaw majsterkowicza i magnetofon szpulowy, którego nie potrafię obsługiwać. Majstruję przy radiu, próbuję wspiąć się na regał, zeskakuję w ostatniej chwili, obok upada książka. Zaraz zmienię ją w ptaka, pozwalam by krążył mi nad głową, ciskam w przedpokój, czy raczej w głowę Pana Siwego, który akurat tam się pojawił. Pan Siwy jest szybki, przechwytuje ptaka, a jak chcę zniknąć pod ziemią. Niepotrzebnie. Pan Siwy klęka przede mną, oddaje książkę, głaszcze mnie po głowie i wycofuje się do kuchni. Biorę głęboki oddech i idę za nim.

Pan Siwy gotuje wodę na kawę i wygląda zupełnie zwyczajnie. Garbi się na mój widok, coś go tam dusi. Pędzi z czajnikiem, niemal go upuszcza. Nalewa wody do połowy, zasypuje cukrem, miesza, kuca i mówi, że nie powinienem być tutaj sam. Przypominam o prababci. Przerywa mi machnięciem ręki i pyta czy przed chwilą bawiłem się w wojnę i sam sobie odpowiada: „pokażę ci prawdziwą wojnę”. Rozkłada szachownicę na podłodze, tłumaczy co i jak, nic nie rozumiem, wpatrzony w brodatego króla z koroną jak skrzydła, w pogarbione piony i wieżę, która zdaje się skrywać więźnia z miękkiego drewna. Pan Siwy rozstawia te figury, wyłuskuje laufra z mojej dłoni, wykonuje pierwszy ruch, czeka. Pcham pionek. Poprawia. Tak to trwa, w przypływie rozbawienia pcham moje czarne na jego białe, koniem dociskam króla do szachownicy, rżę na znak zwycięstwa. Twarz Pana Siwego zjeżdża jak na szynach, brew pręży się nad przekrwionym okiem, Pan Siwy ściąga szare usta, dusi mój śmiech tylko po to, żeby samemu się roześmiać. „Tak, chłopcze, na tym polega wojna!”, mówi zgarniając figury do pudełka, dorzuca, że na niego czas, „niech to zostanie między nami”. Przekręca klucz w drzwiach do swojego pokoju i pyta, czy chciałbym go kiedyś odwiedzić.

6. Pokój i korytarz

Drzwi do pokoju Pana Siwego, osadzone na błyszczących zawiasach otwierają się, wpuszczając uśmiech gospodarza. Pan Siwy kuca przede mną i zaprasza do środka. Pierwszy krok przychodzi z trudem, dalej już łatwo i nim się obejrzę, stoję na środku pomieszczenia o czerwonych ścianach i szarej lampie zwisającej z sufitu. Tam posrebrzany myśliwy z gończym i umykający zając, niedźwiedź rozcina blaszane krzaki. Brązowy kredens skrywa kieliszki za grubym szkłem, obok stoi łóżko przykryte brązowym kocem, po przeciwnej stronie rozwiera się okno z widokiem na Brzanę i wieżę ratuszową. Ścianę przede mną zajmują portrety ludzi poważnych i z czegoś niezadowolonych: dumna kobieta maltretująca własne dłonie, wędrowcy w deszczu, koń ciągnący za sobą jeźdźca, rodzina ściśnięta przez złotawe ramy. Wiszą tak bez ładu i składu, strącisz jeden to polecą wszystkie.

Pan Siwy rozkłada przede mną drobiazgi — butelkę z grubego, rubinowego szkła, ciężką talię kart, muszlę z morzem w środku i górski kapelusz z muszelkami. Porywam drewniane pudełko, tam coś, czego nie umiem nazwać — brązowe tutki pachnące herbatą. Pytam co to takiego, Pan Siwy szczerzy się szelmowsko i zawodzi czarodziejskim szeptem „to są cygaaaraaa”. Jest wesoło. Oglądam kulę ze śniegiem i domem, czarno-biały album pełen żołnierzy i gotyckich, niezrozumiałych napisów, wieczne pióro, złotą bransoletkę. Porywam pudełko, ponawiam pytanie, brzmi odpowiedź na którą czekałem — „to są cygaaraaa”. Pan Siwy znajduje pudełko pchełek i urządzamy bitwę skoczków, nurkuję pod łóżko, nie chcę wyjść, Pan Siwy wyciąga mnie za nogi i zaraz pokazuje tępą szablę tłumacząc, że to rekwizyt teatralny. Co to takiego, proszę pana? „to są cygaaaraaaa”. Szybko mija czas.

Pan Siwy oznajmia, że ma jeszcze trochę pracy, a ja mam ochotę zasypać go gradem pytań: kim pan jest? A jeśli sublokatozem to jakim? Gdzie pan tak nocą spaceruje? Jaki jest wszechświat? Odmawiam wyjścia bez prezentu, najchętniej drapnąłbym drewniane pudełko, lecz spotykam się z odmową. Pan Siwy wypycha mi w rękę talię kart i prosi, żebym jej nikomu nie pokazywał. Obiecuję, rzeczywiście tak zamierzam

postąpić. Pan Siwy popycha mnie do drzwi, nie wiem dlaczego mam ochotę rzucić mu się na tę czerwoną szyję, szeptam podziękowanie i już jestem za progiem. Zapuszczam pożegnalnego żurawia w głąb czarodziejskiego pokoju. W miejscu ściany z obrazami ciągnie się korytarz, niknący w ciemności. Piękna kobieta unosi sukienkę i odsłania brzuch.

Karty chowam za szafą, gdzie nikt nie zagląda.

7. Tam będą smoki

Czekam, aż prababcia zapadnie w sen, liczę do stu i pędzę pod drzwi Pana Siwego. Mam wrażenie, że Pan Siwy czeka po drugiej stronie, gdyż otwiera natychmiast, ledwo zastukam. Rozsypuje przede mną kulki z łożyska i objaśnia zasady gry. Wciąga na mnie białą koszulę i przemienia w ducha. Odnajduje kawał szła i pokazuje, jak zrobić witraż. Jego oddech przyspiesza, czerwone plamy wypływają na policzki, prosi mnie, bym uszanował jego zmęczenie, siada z papierosem przy oknie i patrzy, jak śmigam po pokoju.

Opowiada mi o smokach żyjących wśród czerwonych skał, o starych klasztorach zagubionych na wrzosowiskach i dzielnych chłopcach w moim wieku. Gdy przywołuje żeglarzy, jego wielkie dłonie składają się w kadłub i trójkąt żagla, pokazuje sposób, w jaki okręt odrywa się z wody ku słońcu. Dwa włochate palce stają się nogami wielkoluda, zrywa muszkę spod gardła i przemienia w smoka. Krztusi się własnym śmiechem i przypomina, że tajemnica musi pozostać tajemnicą. Daje mi muszkę na pożegnanie, dziewczyna w znikającej ścianie ma towarzyszkę, czasem trzy, niekiedy zamiast niej pojawia się grupka młodych mężczyzn, ciemna ulica, bar, korytarz, który nie chce się skończyć.

Sekretna kolekcja prezentów rośnie z tygodnia na tydzień i napełnia mnie obawą, że niedługo pod szafą zabraknie miejsca. Prócz kart mam scyzoryk o ułamanej końcówce ostrza, butelkę ciemnego płynu, której pod żadnym pozorem nie wolno mi otwierać, pocztówki z końmi, samochodami i żołnierzami, długi kawałek drutu, kilka ciężkich zapalniczek bez kamieni, puzderko w kształcie muchy, złoty medal i rzecz najcenniejszą — wyblagane cygaaaro owinięte w kawałek folii. Gdy Pana Siwego nie ma, co zdarza się dość często, wyjmuję je ostrożnie, rozkładam i oglądam. Skarby do niczego nie służą, nie potrafię bawić się nimi. Po prostu patrzę. Zgarniam je na kupę, przygniatam brzuchem, muszkę układam między łopatkami i oto jestem: smok na górze złota.

8. Łazienka jest zajęta

Prababcia umiera przez trzy dni, rodzice czuwają przy łóżku na zmianę. Matka pochlipuje, donosi wodę, poprawia poduszkę pod tą główką, małą i suchą jak czaszka małpki, zadaje mnóstwo pytań i wyznaje coś, czego nie mogę dosłyszeć. Znużony ojciec dopełnia obowiązków z najwyższą niechęcią, jego ręka krąży, jakby w poszukiwaniu książki. Gdy są razem — matka i ojciec — prababcia budzi się gwałtownie, mamrocze i łączy im dłonie.

Ja także muszę się pożegnać. Podchodzę do łóżka i wyobrażam sobie, że życie odfrunie z prababci przez wyostrzony nos. Wyobrażam sobie jak wygląda życie. Dłoń prababci opada na moją głowę, nie bez pomocy mamy, szafranowa główka obraca się w moim kierunku i już wiem, że cokolwiek widzi moja prababcia, to nie jestem ja. Rusza czarnymi ustami, odsłania dziąsła bez jednego zęba, słyszę, czy też dopowiadam: „poradzisz sobie”.

W dłoniach prababci pojawia się gromnica, a w pokoju Pan Siwy. Od łóżka odgradza go moja mama i odmawia dostępu, Pan Siwy podkula ogon i krąży po pokoju niczym zagłodzony szczur. Splata ręce na plecach i maltretuje zimnego papierosa. Rodzice przeganiają mnie do łóżka. Nie mogę zasnąć wpatrzony w teatrzyk cieni skupiony wokół gromnicznego blasku. Rodzice wychodzą. Pan Siwy — rosła garść ciemności — zasiada przy łóżku i sztywnieje. Nie wiem jeszcze, że sztywnieją oboje.

Pan Siwy przystaje przy moim łóżku i rozkłada dłonie. Idzie do kuchni, gdzie wzbudza płacze i krzyki. Mama leci do pokoju prababci, zwała się na kolana, za nią ojciec, a i ja muszę się pomodlić. Klęczę i tłumaczę Panu Bogu, że powinien przyjąć prababcię do siebie, przecież nie ma żadnego powodu aby tak nie uczynił. Kątem oka widzę, jak Pan Siwy, w płaszczu i kapeluszu, zapala papierosa i wychodzi w noc.

Rano rodzice pieczołowicie myją zmarłą i nie pozwalają mi wejść do łazienki. Nie pomagają prośby i błagania. W końcu dostaję w twarz, mama krzyczy na mnie i nazywa potworem, ojciec prosi, aby dała sobie spokój, mama wypycha go i zamyka za sobą drzwi. Ojciec woła, że musimy ją zmierzyć (pałę się do mierzenia), inaczej niczego nie załatwi,

tak teraz trudno o porządne ubrania. W przedpokoju, poprzedzany wonią ledwo przetrawionej wody, melduje się Pan Siwy z kapeluszem w dłoni. Człapie do siebie, nie może trafić kluczem do dziurki, osuwa się na kolana i zasypia na progu.

9. Słowa nie znaczą za wiele

Po śmierci prababci tracę Pana Siwego, to mały dramat którym nie mogę się podzielić. Ojciec zabiera mnie do zakładu, gdzie właściwie mam tylko siebie. Zapełniam bloki rysunkowe, miejsce w miejsce, z obu stron, żeby starczyły na dłużej. Dostaję kupkę książek, najpierw rozpoznaję słowa, potem litery. Tatko przynosi starą maszynę do pisania, wkręca kartkę jakiegoś formularza, biję w klawisze i wyobrażam sobie, że jestem kimś ważnym, przynajmniej sekretarzem, jeśli nie królem, dyktującym mądre prawo niewdzięcznym poddanym. W domu mama wrzeszczy na ojca, że przez to będę się nudził w szkole. Ojciec odpowiada, że każdy inteligentny człowiek nudzi się tam śmiertelnie. Brzęk szkła. Wstydzę się, że umiem czytać i pisać.

Czasem schodzę do mamy, kucam za białą ladą i bawię się pudełkiem po czekoladkach „Anetka”, ściągam na siebie szary papier, chwytam płachty gazet i chcę uciekać. Z półki spoglądają przyłbice konserw i kawa w pękatym sreberku, małe paczki kisielu i wódka z czerwoną naklejką. Nad tym wszystkim, niczym upolowane węże, zwisają skąpo kawałki szarej kiełbasy. Mama jest tutaj inna, lekko opada dłońmi na ladę, wypina pierś, droczy się wesoło z chłopem o nieszczęśliwych oczach, zabiera od niego siatkę i napełnia pod ladą; nawet gdy wali mnie w tyłek, czyni to lżej, jakby dla zabawy.

Wyobrażam sobie co robi Pan Siwy, śledzę jego ruchy obserwując światło w szparze pod drzwiami. Zastanawiam się jak mu jest, myślę nawet, czy nie powiedzieć rodzicom prawdy. Jestem pewien, że nie rozdzielili nas umyślnie. Brakuje odwagi. Wieczorami udaję sen i czekam, ojciec śpi w pokoju prababci, mama łóżko obok, twarzą do ściany. Idę na palcach, otwieram drzwi do przedpokoju, nurkuję pod kołdrę, liczę oddechy. Po jakimś czasie — zawsze zbyt długim — zapala się światło. Pan Siwy staje w przedpokoju, zapala papierosa rozkładając szeroko łokcie. Spogląda w moją stronę, wyciąga rękę, dwa palce układają się w literę „V”. Wychodzi buszować po wszechświecie. Chciałbym, aby wziął mnie ze sobą. Ostrożnie zamykam drzwi do przedpokoju i natychmiast zasypiam.

10. czas płynie jak człowiek a człowiek jak czas

Środek lata, środek zalanego kamieniołomu, siedzę w łódce, obok uszczęśliwiony tatuś moczy kij. Niedobrzy chłopcy skaczą ze skał, lecz nic nas to nie obchodzi. Mamy butelkę wody, koszyk i słoik z robakami. Uwolniony od brzegu ojciec postanowił pójść na całość. Leżę i spoglądam w rozpalone niebo, zerkam na szczyrbaty brzeg i wykręcone drzewa, kurczowo uczepione skały. Tato zastygł, śledzi drgania na wodzie. Przechylam się przez burtę, z drugiej strony i moczę dłoń. Woda jest fantastyczna.

Przechylam głowę i spoglądam w toń. Nie przypomina żadnej innej, którą widziałem. Brzanka jest płytka, łatwo wypatrzyć rybę, kijankę i oszlifowane szkło. Pamiętam muliste dno innego jeziora i trawiasty brzeg. Tu tylko zielona, kojąca głębia, w której gubi się słońce i niedobry chłopak, który właśnie skoczył. Przechylam się bardziej, moczę nos i już cały jestem zmoczony. Chłodno, lecz przyjemnie, przez moment utrzymuję głowę na wodzie, łódka dalej i dalej, przymykam oczy, a gdy je otwieram, odkrywam siebie w zielonej kuli oplecionej promieniami. Im głębiej, tym ciemniej, rozprostowuję ramiona, wypuszczam powietrze i już mi inaczej, dziwnie, jakby zaczynał się film, którego nie mam ochoty oglądać. W plecy mi ciepło, chłód uderza w brzuch. Z głębokości dobiega pomruk. Jest coraz ciemniej, daleki plusk zwiastuje szarpnięcie. Ojciec chwyta mnie w ramiona i płynie ku powierzchni.

11. Tak trudno być smokiem

Rodzice zarządzają przemeblowanie, co demoluje mój świat. Najpierw, pokój po prababci zostaje oczyszczony. Ojciec wywleka rzeczy z bieliźniarki a mama ocenia, co przyda się, a co nie. Oceniają stan łóżka i materaca, przeglądają zdjęcia i papiery, wszystko ładuje w kufrze, kufer w piwnicy. Trwa mycie okien i luster, przyglądam się zafascynowany, nawet chcę pomóc, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, a gdy pojmuję co jest grane, jest już za późno. Tato opróżnia szafę w środowym pokoju, zapiera się i popycha, ledwo ruszył i już kryjówka stoi otworem, tato potyka się o moje skarby i z trudem utrzymuję równowagę.

Czuję się winny, choć nikt nie ma do mnie żalu. Wrastam w łóżko z przejęcia. Ojciec unosi skarb za skarbem i pokazuje mamie. Muszla, karty, cygaro w woreczku. Mama zagryza usta. Sprawdza ostrze scyzoryka, ogląda karty tak, jak inni ludzie przyglądają się zapomnianym zdjęciom i tu niespodzianka, ojciec odkorkowuje butelkę, tę samą, której nie wolno było mi otwierać i wybucha jako pierwszy. Krzyczy. Daje mamie do powąchania. Krzyczy znowu i rusza przez pokój z flaszą w naprężonej dłoni. Pojmuję w czym rzecz, pędzę, dopadam go już w łazience i uwieszam się na przedramieniu. Krzyczę, przepraszam, błagam, obrywam w twarz na odlew i to tak, że sunę pod sam próg, gdzie stoi mama. „Widzisz! Widzisz, dziecku takie rzeczy daje!”, woła ojciec i wylewa koniak do klozetu.

12. Pan Siwy i nie Pan Siwy

Rodzice zabrali moje skarby i w kuchni szeptem radzą co dalej. Ojciec pije z wysokiej szklanki, matka pali i mówi mu, że skoro ma takie podejście do sprawy, mógł nie marnować tak głupio koniaku, dostrzega mnie w drzwiach, podchodzi, obejmuje, „moje ty biedactwo”, dodaje, że muszę iść spać. Przyjmuję to z ulgą. Wstydzę się przed Panem Siwym, chcę zniknąć, w ciemnym pokoju wyobrażam sobie, jak to uciekamy we dwóch, starzec i chłopiec skaczący radośnie po planetach. Matka zagląda do mnie, udaję sen. Naciąga mi kołdrę na uszy. Razem z ojcem dobijają się do pokoju Pana Siwego.

Słyszę, jak za ścianą Pan Siwy kokosi się i klnie, skrzypią drzwi, ojciec krzyczy, a matka mu sekunduje. Części słów nie umiem rozpoznać, części wolałbym nie umieć, mówią coś o wódce i dziecku, jej — mojej mamy — własnym dzieciństwie jest o prababci nieboszczce, co jeszcze nie ostygła, a tu takie rzeczy się dzieją. Ojciec przypomina jakieś ustalenia, Pan Siwy charczy, że na nic się nie umawiał tylko wykazał się dobrą wolą, nie pierwszy, lecz na pewno ostatni raz. Kulę się w strachu, że ściana skruszeje od tego głosu, bariera między nami zniknie i wszystko zostanie odkryte. Mama mówi, że ludzie nas usłyszą, tatko w odpowiedzi próbuje przekrzyczeć Pana Siwego który wylicza swoje krzywdy, jak to schylał głowę, ustępował, choć trzeba było, po prostu, trzymać chuja w spodniach, wtedy miałyby życie szczęśliwe. Mama dostaje szału i łka, Pan Siwy wybucha śmiechem, „dobrze ci tak, co się dziwisz” łomocze spadający obraz, brzęk szkła, jęczy stół, kulę się na łóżku z kołdrą przy uszach, tatko porykuje na ściśniętym gardle, „co, co, co” woła jeszcze Pan Siwy, rozlega się trzask jakby mi głowa pękła i zapada cisza. Cisza trwa długo, rozbudzana szuraniem, usadawiam się na boku, chcę zapomnieć i zasnąć, rozbudza mnie łkanie mamusi: „Jezu, Jezu, Jezu”.

Rodzice mruczą coś w kuchni, brzęczy szkło, delikatna woń papierosów dochodzi aż do mnie. Niepokoję się milczeniem Pana Siwego, ale on zawsze, nocą był jak mysz. Matka wyrzuca coś ojcu i niespodziewanie milknie, pierwszy raz słyszę żeby mowa ojcowska

brzęczała jak stal i nagle oboje płaczą. Następuje cisza, jeszcze dłuższa niż poprzednio. Mama wchodzi do mojego pokoju, przykłada nad łóżkiem i gładzi mnie po głowie. Udaję sen, ale kątem oka widzę jej trupią twarz drążoną przez łyzy i cienie. Nie chcę, żeby mnie pocałowała. Całuje, odchodzi, zostawiając otwarte drzwi.

W przedpokoju zapala się światło, ktoś tam się krząta, przy drzwiach staje Pan Siwy w kapeluszu naciągniętym głęboko na czoło i kołnierzu płaszczu postawionym na sztorc. Zapala papierosa i wiem, że coś jest nie w porządku, łokcie, zamiast sterczeć, ściśle przylegają do tułowia. Zaciąga się, jakby z obrzydzeniem, wydaje się niższy i pozbawiony dawnej siły, chciałbym, aby spojrzał w moim kierunku; nie spogląda, tylko trwożnie wychodzi w noc.

13. Prawda jest zbędna

Kilka dni później milicjanci w sile dwóch pytają o Pana Siwego. Jeden drobny mundurze mikrym wąsem, w mundurze i czapce, drugi tęgi za to po cywilnemu. Przyjmujemy ich w wysprzątanej kuchni, całą rodziną, natychmiast dostaję czapkę do potrzymania. Mama upomina mnie, abym milczał, chyba, że mnie zapytają i wiem już, że jeśli powiem choćby słowo wydarzy się coś strasznego. Milicjanci z herbatą wyglądają na wszechmocnych, mam ochotę zasypać ich gradem pytań, chciałbym, aby pokazali mi przestępcę.

Ojciec opowiada o Panu Siwym, jak żył i co robił, czyli mówi raczej niewiele. Lubił wychodzić nocą, dokąd wiadomo, pytajcie takiej Gębuli na Spawaczy, kto jak kto, ale stara dobra Gęba będzie wiedzieć. Kto wie, może wciąż u niej siedzi? Mama wyrywa się, żeby sprawdzić knajpy, tymczasem milicjanci dociekają, czemu żadne z nas nie zgłosiło zaginięcia na co tato dodaje sobie autorytetu przyjmując postawę pionową i powtarza, jak to żyli osobno, a on, programowo, nie zwracał uwagi na Pana Siwego. Mundurowy wzdycha, pyta, czy mogą zobaczyć jego pokój, jeszcze nie skończył, mama już stoi: „jasne, jasne, bardzo proszę, tylko widzicie towarzyszu, my nie mamy klucza”, jest gotowa wytłumaczyć dlaczego, milicjant zapewnia, jak to sobie poradzą i radzą sobie w istocie.

Wystarczy chwila przy zamku, milicjanci wchodzą, rodzice za nimi, to i ja zapuszczam żurawia. Pokój straszy nienaturalnym ładem, łóżko jest zaścielone, portret kobiety maltretującej własne dłonie wisi krzywo, przez szyby w kredensie idzie długa szrama, drzwiczki nie chcą się domknąć. Milicjant w cywilu bawi się nimi przez chwilę, jego kolega niucha, ojciec tkwi oparty o ścianę, matka krąży unosząc ręce wysoko, tak, żeby niczego nie dotknąć. „Z tego co mogę stwierdzić nie ma tu jego butów, buty zawsze tutaj trzymał”, mówi głosem życzliwej sklepowej, „ani płaszcz, ani kapelusza”. Mundurowy kiwa głową, zapowiada powtórne przyjście i zaleca czujność, a ja zaraz się dowiem, spadnie lodowaty deszcz, potrzaskają się słońca i wypiętrzą góry, wściekły ocean zeżre pustynię i opluje piaskiem miasta, ptaki pospadają z nieba

zostawiając za sobą smugi gryzącego dymu, o proszę, właśnie to się dzieje, mundurowy ma wyjść, lecz o czymś sobie przypomina, przykłęka przede mną, tak, że mogę policzyć włosy w jego wąsach, owiewa mnie zapach popielniczki, gryzącej wody po goleniu, mundurowy trąca mnie w nos i, alleluja, chwalmy pana władzę, pyta życzliwie:

„A ty, mały, nie wiesz przypadkiem, gdzie podział się twój dziadek?”

14. Leci to życie, ludzie zanikają.

Nie mów o Panu Siwym, o Panu Siwym nie słuchaj, nigdy nie trop jego wspomnień.

Mama utrzymuje, że „dziadek” jest terminem wieloznacznym. „czasem jest tak, że dziadek wcale nie jest dziadkiem, tylko obcym człowiekiem. A niekiedy obcy człowiek, to znaczy nie spokrewniony, zostaje dziadkiem i jest bardzo dobrze.”. Trzyma mnie na kolanach i ociera łzy. Tato opuszcza książkę, dopowiada: „powiedział ci kiedyś kim jest? Nie? To dlaczego się na nas złościsz”. „Sam go zapytasz, kiedy wróci”, szepcze mama, głaszcząc mnie po głowie, a ojciec mierzy ją wzrokiem.

Tygodniami nie chcę spać ani jeść. Żeby mnie pocieszyć, tato oddaje moje skarby, bez scyzoryka i cygara. Gromadzę je wokół łóżka i przypominają mi wypchanych zmarłych. Nocą opuszczają je kolory. Ich cienie wirują w powietrzu, by zaraz się rozwiać, chcę krzyczeć, lecz brakuje mi odwagi nawet na to. Pokój Pana Siwego stoi zamknięty bo przecież — jak powiedział tatko milicjantom — on na pewno wróci, zawsze wracał a często gdzieś szedł.

Rodzice wyznaczają w mieszkaniu ścieżki i wędrują nimi samotnie. Matka siedzi w kuchni, ojciec schodzi na dół lub zamyka się w pokoju prababci, a gdy mijają się w korytarzu, ojciec rozkrzyżowuje dłonie i przykleja się plecami do ściany. Matka nuci stare piosenki, zaczyna znikać, powraca nad ranem, zwala się w łóżko, czochra kudły przez sen, widuję ją jak gorączkowo nakłada gruby makijaż i wlecze się do sklepu. Jej śmiech dochodzi do mojego okna, tato zagłębia nos w książce i wodzi palcem po brzegu kieliszka, jakby chciał wydobyć melodię z tego drażniącego dźwięku, jakby chciał, żeby kieliszek mu śpiewał.

Idę do drugiej klasy i nie ma już mamy, zniknęła bez znaku, tak cicho, że aż nie wypada tęsknić. Zostało puste łóżko, w sklepie stoi inna pani, o mamie się nie mówi, ojcu nie chce się nawet ramionami wzruszyć,

udręczony pytaniami krzyczy: „poszła, poszła, co chcesz, żebym ci powiedział?” mięknie, bierze mnie w ramiona, czuję jak bardzo nudzi go przytulanie i chyba wówczas, daję głowę, że tak, budzi się we mnie proste pragnienie, żeby nie powtórzyć jego błędów. Będę innym człowiekiem, mówię sobie, wyślizguję się z jego objęć, oczy tatusia zachodzą ulgą, otwiera książkę i znika.

Gdzieś w połowie zawodówki tato posuwa się gwałtownie i ktoś mógłby pomyśleć, że powstrzymywał starość specjalnie po to, abym został tym pieprzonym elektrykiem, sam mam inne zdanie — tatko pragnie starości, wywołuje ją jak ducha, a gdy ta wreszcie się zjawia, przyjmuje ją z otwartymi ramionami. Tylko o przewodzącej do pokoju Pana Siwego nie chce słyszeć. W gruncie rzeczy wcale mu się nie dziwię, oczy Pana Siwego biegną mi po plecach, jego cień potężnieje nad kuchenką, odziany w płaszcz i kapelusz zapala papierosa przed podróżą we wszechświat. Tego lata, gdy znika, wydarza się coś jeszcze.

15. Pokój znaczy w poprzek

Mam pięć lat i stoję przed pokojem Pana Siwego. Jest noc. Mamy nie ma, chrapanie ojca dochodzi aż tutaj, zerkam trwożnie za siebie i mógłbym przysiąc, że zaraz poczuję jego rękę na ramieniu. Wsadzam palec w dziurę po zamku, delikatnie pcham drzwi, boję się — mogą zacząć krzyczeć. Wślizguję się do środka, czekam aż oczy przyzwyczajają się do ciemności, nie muszą się przyzwyczajać.

Okno wciąż wychodzi na Rykusmyku, przez kredens biegnie blizna, tak jak biegła, w miejscu ściany z obrazami ciągnie się korytarz z ciemnej cegły, u jego kresu pobłyskują lamp naftowych czy czegoś podobnego. Mam pięć lat i właśnie dowiaduję się, że niemożliwe jednak istnieje. Biorę głęboki oddech, omijam stół, chcę zawrócić, chcę pobiec przed siebie, więc po prostu idę licząc oddechy; nagle, sam nie wiem kiedy — klepki zmieniają się w chłodny bruk. Mam bosc stopy. Biorę lampę naftową i otwieram następne drzwi.

Rykusmyku lecz jakieś inne — nasz dom nie ma szyb w oknach, mostek nad Brzanką jest zniszczony. Brodzę. Woda, która jeszcze niedawno mnie kryła teraz sięga do kolan, choć przecież nie urosłem. Jestem tylko dzieckiem. Wspinam się na stromy brzeg i kieruję się na rynek. Niektóre dachy się zapadły, nad innymi kręcą się nitki dymu, ujadają psy. Na rynku nie ma ani jednego samochodu, właściwie niczego nie ma, prócz gruzu ze strąconej wieży ratuszowej. Z bramy, gdzie teraz mamy szewca wytacza się chłopaczyna w zielonej kurtce wojskowej. Wiem, że taką już widziałem. Chłopaczyna kłania mi się głęboko, przyspiesza. Jakaś dziewczyna macha mi z okna obok. Dziewczyna jest naga. Skręcam w podziemia ratusza, owiewa mnie dym.

Brakuje okien, świece i ogarki płoną na poprzewracanych meblach, spocony grubas wali w pianino krótkimi paluchami, wtóruje mu tęgi kumpel na akordeonie, próbują trzymać melodię, lecz wszystko niszczy jakiś biedaczyna, mordujący się z ustnikiem saksofonu. Ludzie tańczą pomimo tego, piją wprost z butelek, klaszczą w dłonie, mężczyźni szczypią kobiety i padają sobie w ramiona. Część ma mundury, inni już się rozchełstali, za to wszyscy śmieją się na mój widok, pianista wali w

klawisze byle jak, ale za to tryumfalnie, saksofonista krztusi się samym powietrzem, odrzuca instrument i cwałuje ku mnie z wyciągniętą dłonią. Za nim pchają się następni, biorą w półokrąg, popychają w głąb lokalu. Roześmiana młódka podsuwa mi krzesło. Brzmią słowa których nie rozumiem, tak jak nie pojmuje własnych odpowiedzi, ważne, że wszyscy zanoszą się śmiechem. Gra muzyka. Tańczę. Unoszę ramiona, owładnięty wrażeniem lotu.

Mam pięć lat i siedzę w piwnicy ratusza, pot zalewa mi kark, chudzina, który wcześniej grał na saksofonie otwiera mi przed nosem srebrne pudełeczko. Papierosy są krótkie i bez filtra. Biorę jednego. Pianista podaje szklanekę. W drzwiach staje dziewczyna, którą widziałem w oknie. Bosa, starannie omija roztrzaskane szkło. Osuszam szklanekę. Zapalam papierosa. Idę w jej kierunku.

16. Czym jest miłość

Kończę dwadzieścia lat i jestem zakochany. Pracuję w Zakładach Kuzienniczych na Berlinga, dorabiam dłubiąc w elektryce samochodów, czasem jednostka w Legnicy ściągnie mnie żebym coś tam zrobił, słowem, żyć nie umierać — mam sztruksową kurtkę, wąsy i fiata.

Piękna jest tęga, bez przerwy się śmieje i lubi jeździć ze mną samochodem, na lody, do Wrocławia. W soboty tańczymy do białego rana, padam w końcu, a ona dalej wiruje po parkiecie. Pływamy nago w kamieniołomie. Piękna skacze z najwyższej skały, choć proszę, żeby tego nie robiła. Niknie pod wodą, wypływa, zasuwa crawllem, żeby zaraz obrócić się na plecy. Potem chowamy się przed światem, jeszcze później leżymy na trawie i patrzymy na skotłowane chmury.

Czasem przyjdę po nią pod Zakłady Chemii Gospodarczej. Czasem kończę pracę wcześniej, a gdy muszę zostać, szukamy się po całym Rykusmyku. Piękna mieszka z rodzicami blisko baszty, tam syf w jednym pokoju i jeszcze łóżko siostry złożone z dwóch starych foteli. Wieczorem Piękna mówi mi, że jestem innym człowiekiem niż wszyscy i chciałyby wiedzieć dlaczego.

Koledzy pytają, kiedy się ożenię, jestem ostrożny, gdyż wiem, jak łatwo o błąd. Widziałem już takiego, co się pomylił. Siedzimy w kawiarni na rynku we Wrocławiu, Piękna je ciastko, coś tam bazgra na serwetce, gdyż bazgrać po prostu musi, nie ma godziny bez tego — miętoszę pudełeczko z pierścionkiem. Klękam dokładnie w chwili, gdy Piękna odkłada długopis, mruga i ma minę, jakby zobaczyła ducha. Cieszę się, że mam to za sobą. Siedzimy tak jak siedzieliśmy. Piękna podsuwa mi serwetkę. Na jej rysunku wyglądam poważniej, niż bym chciał. Oczy grawitują ku sobie, usta takie zasznurowane, drobna sylwetka. Oglądam i się śmieję, mówię: zawieszę, Piękna powtarza: „Wyjdę za ciebie”.

17. Coś się zdarzyło, lecz już się nie zdarza

Mówię ojcu, że niedługo się ożenię. Siada na łóżku jakby właśnie się przebudził, gazeta zsuwa się na zapadłą pierś, mruży: „Och tak? Synku, to tyle będzie do zrobienia. Jak ty sobie poradzisz? Taki młody jesteś”, nie wiem co on chce usłyszeć, zagaduję: „a może to i lepiej, przyda się w domu trochę życia”. Nie zna Pięknej. Nie pyta kim będzie moja żona. W koszulinie i gaciach, bosy drobi kroczyki do szuflady, mało, a zanurza tam głowę, otwiera mi pod nosem blaszane pudełko, dokładnie takie, w jakim kiedyś trzymał przynęty. Tam błyska ciemne, ruskie złoto. „wybierz sobie obrączki, synuś”, mówi i kładzie się z powrotem. Odpowiadam — obrączki to małe piwo, potrzebuję, drogi ojciec, czegoś jeszcze.

Nie pójdzie ze mną, świetnie go rozumiem. Chcę być sam. Spodziewam się cudów, lecz pokój Pana Siwego, zamknięty od piętnastu lat, nie kryje żadnych tajemnic: obrazy, blizna przez kredens, łóżko śmierdzi robactwem. Wyrzucam je jako pierwsze. W szufladach znajduję dowód osobisty, co dziwne, wystawiony w roku zniknięcia, parę medali, legitymację partyjną i akt chrztu, złożony na czworo. Nic mi po tym. Szukam skrytek w meblach, ostukuję ściany i klepki, przetrzepuję nieliczne książki, starannie odkręcam lampę i sprawdzam, co tam w środku. Kurz, farfocle, rozczarowanie. Ściągam rzeczy na hałdę. Mało, a cisnę popielniczką w szybę. Stukam palcem o płótno. Przytulam się do ściany, tam gdzie wisiał kiedyś obraz. Cokolwiek wtedy widziałem było tylko złudzeniem. Coś się zdarzyło, już się nie zdarza. Biorę głęboki oddech, oceniam, co będzie potrzebne.

Obrazy i ubrania dziadka lądują w piwnicy. Kredens opróżniam ze wszystkiego, poza cygarami, ostrożnie wyjmuję szkło z drzwiczek, przepycham mebel na środek i urządzam małe malowanie. Po trzech dniach pokój wygląda jak nowy. Szklarz montuje szyby za przysłowiowe pół litra, uzupełniam ubytki w bieliźniarce, szlifuję ściernym i jadę lakierem. Nie mogę się doczekać, aż pokażę to miejsce Pięknej. Stoję, podpieram się pod boki, podziwiam własne dzieło. Brakuje tylko łóżka. Ściana naprzeciwko drzwi jest biała i nie skrywa żadnych tajemnic.

„Myślałem, że zamieszkacie w środkowym pokoju”, rzuca ojciec,

wychodząc z kuchni. „Nie”, mówię, „tam damy dzieci”, ojciec przystaje, marszczy brwi, chwyta powietrze: „Och, to będziecie mieli dzieci” rzecz melancholijnym głosem, kiwa głową na znak, że rozumie i idzie do siebie. Siadam na drabince malarskiej. Wyjmuje cygaro z pudełka. Zapalam. Próbuję się zaciągnąć. Kaszlę. Jak zimną zupę, trzymam dym w ustach. Wypuszczam obłok, mówię „to są cygaaara” i jestem szczęśliwy.

18. Zamek w drzwiach

Rodzice Pięknej nas błogosławią. Całuję nogi Chrystusa Króla. Sam ślub wypada skromnie, jak i cały Urząd Stanu Cywilnego, jak i całe Rykusmyku, za cała Ratuszowa się trzęsie, takie jest wesele. Unoszę Piękną nad progiem. Żonka — tak, żonka, mam żonę — gryzie mnie w ucho. Roztrzaskujemy kieliszki. Tatko wpełzł w garnitur i błyska złotym łańcuszkiem od zegarka, włosy natarł pomadą i zadbał o ręce. Krąży między gośćmi, chętnie nastawia ucha. Gra kapela. Tańczymy. Tatko upomina mnie, żebym nie pił za dużo. Kiwa palcem w stronę Pięknej: „Ale ci się trafiło”.

Ratuszowa się trzęsie, Piękna w bieli tańczy z siostrzyczką, podrywa ją tak, że dziewczynka śmieje się i macha kulasami. Upuszczona ląduje jak spadochroniarz, kręci się sama z sobą, porywa jakiegoś wuja i zmusza do podskoków. Piękna z rękoma w górze zdaje się płynąć nad parkietem, chwytam ją we właściwej chwili, wirujemy. Sala klaszcze, śpiewają „Marszałek, marszałek dostanie sto pałek, nie dzisiaj, nie jutro tylko w poniedziałek”, gęsto od dymu, parno, mrok. Jaśniej ta moja żonka, spiłbym pot z jej przedramion, zaglądam poza te błyszczące oczy, poza te mordy rozbawione, bo chcę zobaczyć czy wrócili tamci — pianista, chudzina z saksofonem i naga. Szukam ich wśród cieni, nagle przestają i zapominam. Nie są mi do niczego potrzebni. Baby się drą: „Druhno moja druhno, co ci w brzuchu spuchło, panie dobrodzieju, bo to od oleju.” Całuję pannę młodą.

Srebrny świt trzeszczy lodem, idziemy pod zimnym słońcem, nikt nawet nie chce słyszeć o syrence. Piękna zadziera kieckę, porywam ją w ramiona i niosę do naszego domu. Po schodach nie daję rady. Sapię, krztuszę się. Piękna parska z czystej radości. Otwieram przed nią drzwi, przetaczam przez próg. Uderzam tyłkiem o podłogę, daję znak, że sam jakoś się pozbięram, a Piękna znika w łazience.

Siedzę na ziemi i rozmyślam o tym, że życie jest dobre. Gorący przypływ, chłodny odpływ. Jak ja sobie poradzę? E, chłopcy zawsze sobie radziły. Fajna dziewczyna. Niemal na wyciągnięcie ręki, przed drzwiami do swojego starego pokoju stoi mój dziadek. Nogi nikną mu we mgle,

prześwituje przezeń ściana, ma mocny kontur i twarz człowieka skrzywdzonego. Ubyło mu lat. Dłubie przy drzwiach. Kończy pracę. Naciska klamkę. Przekręca klucz, słucha dźwięku zapadki. Otwiera, przepływa nad progiem, przesyła samotne, złośliwe spojrzenie i zamyka za sobą drzwi. Łoskot zamka poprzedza ciszę. Próbuję wstać. Piękna wypada z łazienki, pyta co się stało. Odpowiadam, że nic. Pomaga mi iść. W drzwiach nie ma żadnego zamka, w pokoju — nikogo.

19. Świat prawdziwy, świat namalowany

Niedługo po ślubie Piękna improwizuje pracownię malarską w kącie środkowego pokoju. Ma kartony, szkicowniki, ołówki i blat ze stolnicy opartej na krześle i parapecie. Odsuwa firankę. Siada i przygląda się temu dziełu. Jestem nazbyt zdziwiony, żeby cokolwiek powiedzieć. Przypominam sobie rysunek trzaśnięty we wrocawskiej kawiarni. Kto by przypuszczał, że zdarzy się ciąg dalszy? Nawet ojciec wypętlął z pokoju, kręci głową, zadowolony jak cholera: „proszę, proszę, artystka nam się trafiła”.

Piękna zapewnia, że to takie sobie zajęcie i w niczym nie będzie przeszkadzało. Zawsze chciała malować — mówi — tylko wcześniej nie było jak, bo rodzice, bo siostra, bo rwetes. Przypominam, że my niedługo też będziemy rodzicami, Piękna wzrusza ramionami, kobiety rodzą i żyją, na tym świat polega, odwraca się ode mnie i bada twardość ołówków. Stoję, bezsilny i wściekły. Zamykam się w kuchni. Czekam na Piękną. Nocą słyszę, jak przemyka się do łóżka i nie wiem, co robić.

Niedługo, a przyznam się do pomyłki, dziwię się wcześniejszemu rozdrażnieniu. Piękna wstaje przede mną, dostaję śniadanie i bułkę na zakład, po siedemnastej podsuwa mi ciepły obiad pod nos. Rozmawiamy jak minął dzień, każde odpływa do zajęć wieczornych. Zmywam. Słucham radia. Czytam gazetę. Piękna sprząta, szykuje kolację, przysiada przy łóżku mojego ojca, rozmawiają. Przed dziewiątą zamykamy drzwi od naszego pokoju i świat przestaje istnieć.

Raz w tygodniu wychodzę z kolegami do Ratuszowej. Niewiele mówię, sączę dwa piwa przez wieczór, gdyż lubię słuchać pijanych. Każdy się żali, ja myślę o moim szczęściu. Dowiaduję się, kogo żona nie kocha, na kogo należy uważać, kto jest sukinsynem. Te twarze, niby maski obleczone w płótno, unoszą się nad księżycami stolików, mruga lampka powyżej i ciemne oko kelnerki. Koledzy przechwalają się, co by to z nią nie zrobili, ich głosy dudnią w kątach pomieszczenia, rezonują śmiech. Ktoś pada razem z krzesłem, inny wychodzi i ryczy sobotniej nocy prosto w twarz. Patrzą, jak się pokładają. Wiem o nich wszystko. Oni o mnie nic. Układam sobie wszystko, co usłyszałem. Notuję. Myślę o

swoim dobrym życiu.

W niedzielę budzi mnie delikatny zapach terpentyny. Nalewam mleko do szklanki. Zastygam w progu środkowego pokoju. Piękna moczy czubek pędzelka w rozrobionej farbie, nanosi na karton, marszczy nos, cmoka, poprawia. Przypomina mi czarodziejkę skupioną nad zaklęciem; trąca barwą o barwę, przywołuje słaby uśmiech, jej ręka przyspiesza i zamiera gwałtownie, jakby natrafiła na niewidzialną przeszkodę. Drapie się po policzku, przekrzywia głowę, wybiera inny pędzel. Między wargami lśni końcówka języka. Nie potrafię do niej podejść. Jest tak daleko ode mnie. Zaciskam złość w pięściach, cofam się, a Piękna mnie spostrzega i leci na przywitanie. Obejmuję ją jak włóczęgę, który wreszcie wrócił do domu.

20. Dorosłość nam służy

Obrazy i rysunki w środkowym pokoju — głowy staruszek rozsadzają okna, koty wiją się na dachach domów, robotnicy popijają wódeczkę przy aucie bez przedniego koła, ciężkie łby kwiatów przeglądają się w Brzance, ludzie jak kreseczki zastygły na rynku w Rykusmyku. Zawieszane po sam sufit zdają się mówić do mnie w języku, którego nie mogę się nauczyć. Nawet nie wiem, kiedy powstały. Drażni mnie zapach dłoni mojej żony i krótko przycięte paznokcie. Szykujemy się do niedzielnego spaceru. Piękna poprawia mi krawat, liże palec i dociska mi brew. Mówi, że jest w ciąży.

O żadnym spacerze nie może być mowy, siadamy w kuchni i gadamy jak to będzie. Wyliczam spokojnie ile potrzeba pieniędzy. Co dostaniemy, o co się wystaram, z czym może być kłopot. Przywołuję znajomych lekarzy. Zastanawiam się, co właściwie wiem o dzieciach, a Piękna kostnieje, chce wiedzieć, czy się cieszę. To głupie pytanie. Serce skacze mi z radości. Będziemy prawdziwą rodziną. Klękam przed Piękną, zadzieram bluzkę poniżej piersi. Wsłuchuję się w burczący brzuch.

Nowina jak wiosna, wyciąga niedźwiedzia z barłogu. Ojciec wreszcie zaścielił łóżko i zapewnia, że ma doświadczenie jak mało kto. W końcu mnie wychował. Wszystko będzie dobrze, zapewnia, jakbyśmy mieli problem, da z siebie wszystko, co już raz uczynił. Nawet nie pocujemy, że mamy dziecko, śmieje się mój tatko, choć najbardziej na świecie chcę poczuć właśnie to. Obiecuje, jak to załatwi mebelki, zabaweczki od pociotków, kogo on nie zna, kogo nie może. Próbuję go nie gasić. Wolałbym, żeby został u siebie w pokoju. „Dajcie dziecko do mnie, niewiele sypiam”, proponuje tatko. Niedoczekanie twoje.

Piękna nie pozwala dotknąć obrazów. Zdejmuje je sama i owija w szary papier, przytargany z całego Rykusmyku. Dociska starannie, krępuje skoczem, krótkim ołówkiem nanosi gdzie góra, gdzie dół, gdzie lico. Ma w sobie smutek kobiety pakującej rzeczy po zmarłym. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Krążę po pokoju, odwracam się od niej, przygryzam wargi, szarpię się za brzuch. Niech skończy. W jakikolwiek sposób. Piękna przeciąga rytuał do nocy, zdążyłem wyjść i przyjść, zasnąć i się

zbudzić. Piękna siada na łóżku i wbija wzrok w poskładane arcydzieła. Zostawiła blat, farby, kartony.

Lubię swoją pracę, te szare poranki i marsz przez miasteczko, kiedy z bram wystają zagubione twarze, rozbiegają się koty, pies szarpie łańcuch a staruch garbi się w ogrodzie. Cieszy uścisk dłoni i zasłyszana rozmowa, iskry strzelają wesoło wokół mojej głowy, potem siadamy na deskach i ruchach, jemy, niewiele się odzywam, przepelnia mnie poczucie siły i sensu. Lubię, gdy moje plecy są zgarbione, suchą woń stali w warsztacie, swoje mocne nogi i stwardniałe palce. Lubię płomyk tańczący na palniku. Tak powinno być. Powtarzalność napełnia mnie radością, spieszę do domu, gdyż mam dokąd wracać.

Proste słowa rozpalają awanturę. Mówię, że chyba nie zamierza wdychać tych trucizn. Jeszcze dziecko urodzi się chore. Piękna wścieka się jak każdy, kto nie ma racji. „Jakich trucizn, półgłówku”, krzyczy, „jeszcze nikomu to nie zaszkodziło! Picasso ma dwoje dzieci!”. Śmieję się na to: „Skarbie, nie jesteś Picassem”. Tatko, wywołany przez ryki prosi, abyśmy się nie kłócili. „Nikt się nie kłóci”, syczy Piękna, tatko podwija ogon, zostajemy we dwoje, patrzymy na siebie. Piękna, jak to baba, ciska bzdurę za bzdurą, jak to nienawidzę jej malowania i zawsze byłem przeciwny, tak cholernie mało wiem o życiu, tkwię w domu albo w robocie i nie mam za grosz fantazji. „Nie wiem czy mam fantazję, wiem, że mam rodzinę”, odpowiadam spokojnie, „proszę cię o parę miesięcy. Do porodu. Pamiętaj, że najpierw jesteś żoną, potem matką, artystką dopiero potem. Wybacz, słoneczko, tak właśnie świat jest urządony”. Piękna słabnie. Powoli, okazując szacunek, składam jej rzeczy do teczki, odstawiam krzesło tam gdzie jego miejsce, kolorową stolnicę chowam za kuchennymi drzwiami. Wracam. Siadam przy żonie. Słyszę: „Czemu świat jest tak urządony?”. Próbuję się roześmiać. Nie wiem, kto wymyślił dorosłość. Wiem, że dorosłość nam służy.

21. To, co ważne

Mikrus, mój syn, przychodzi na świat. Jest szesnasty sierpnia siedemdziesiątego ósmego roku, czwarta rano, noc płynnie przechodzi w skwar, życie zakręca i nic nie jest już takie samo. Chodzę z tym ciepłym tobołeczkiem przerzuconym przez bark. W wózku, spod szmatek mrugają niewidzące, niebieskie oczy. Nocą kołyszę nim i śpiewam o statkach.

W pierwszych miesiącach Piękna pada na twarz i o malowaniu nie może być mowy, za to tatko młodnieje o dekadę i rwie się do czynu. Wstaje najwcześniej. Gotuje kaszę, zalewa kawę dla trojga. Dłonie znaczą mu ranki od wykręcania pieluch nad balią. W ciepłe dni wychodzi z Mikrusem przed dom, siada na ławce i czyta gazetę. Piękna tkwi w oknie. Sprawdza, czy wszystko w porządku.

Wieczory sprawiają mi wielką przyjemność. Myję swojego syna, dbając, by woda nie zalała mu oczu. Układam w łóżeczku, skrobię w brzuch i poluję na uśmiech. Stajemy z Piękną obok siebie, otaczam ją ramieniem. Patrzymy na Maciusia. Piękna delikatnie wyzwala się z mojego uścisku. Zostaję sam. Zastanawiam się, kim będzie mój syn. Czy zdołam opowiedzieć mu o tym, co ważne. Piękna siedzi w kuchni i patrzy na balkon, przez otwarte drzwi. Przykucam. Pytam, czy już może. Piękna kręci głową i odpowiada, że ma złą wiadomość. Lekarz powiedział, że jeszcze sześć tygodni. Zaśniemy przytuleni.

Półroczny Mikrus zaczyna przypominać człowieka, podrywa głowę, szuka mojej dłoni, pełza w kojcu i próbuje stawać. Wydaje z siebie piski niczym oszalały, ogromny nietoperz. Pogania i nawołuje, wszechświat nachyla się ku niemu, ja się wściekam, Piękna wzrusza ramionami, za to mój ojciec pędzi do łóżeczka i w lot odgaduje, czego malcowi trzeba. Przewinie, smoka wsunie, zawoła, żeby synowa podleciała z cymem. Przyczają się na progu, zerka, czy nie zrobimy czegoś głupiego, czy dziecko już śpi.

Piękna ma wracać do pracy, a jednak zastaję ją nad farbkami. Rozkłada tubki, przelicza kartony i przypomina kaprała, który ubrdał sobie, że jest generałem. Pytam co robi, głupio, przecież widzę. Nie

odpowiada, robi swoje, tłumię jakoś wściekłość i chcę wiedzieć co jej do głowy strzeliło. „Nic nie strzeliło”, słyszę; wypalam, że przecież mamy dziecko, niedługo dojdzie orka przy okówkach matrycowych, po co sobie głowę bzdurami zawracać. Piękna wstaje, przez moment myślę, że mnie uderzy, krzyczy tylko coś o umowie którą mieliśmy, czas minął, a ona ani myśli rezygnować. Proponuję kompromis. Rysuj, a nie maluj. Nie możesz rysować? „Nie mogę!”, wrzask kończy dyskusję, przylatuje ojciec, Mikrus zaczyna płakać. Odchodzę w głąb mieszkania, pomrukuje: „i co zrobiłaś, i co zrobiłaś”. Wyjdę na balkon i popatrzę na bruk.

Pan Siwy szalejący w kuchni wcale nie jest siwy — ciemne włosy opadają mu na wściekłą twarz. Podwinięty rękaw marynarki odsłania muskularne przedramię. Sygnety na palcach odbijają światło, które nie istnieje. Pan Siwy wymierza precyzyjne ciosy, ale ten, kto je przyjmuje, pozostaje niewidoczny, tak samo, jak nogi pana Siwego poniżej kolan. Owiewa mnie chłód. Pan Siwy uchyla się przed czymś, wyprowadza cios z barku, za nim serię szybkich uderzeń, chcę nim potrząsnąć, lecz nie mogę się ruszyć. Zmęczenie opada Pana Siwego. Próbuje odzyskać oddech. Kołysze się na lekko rozstawionych nogach. Twarz mu gwałtownie zjeżdża i zalewa się łzami, broda mu chodzi, trzęsą się ręce, usta układają się w przeprosiny. Klęka, obejmuje kogoś niewidzialnego, próbuje całować, głaszcze twarz, która istnieje tylko dla niego i właśnie puchnie od ciosów.

22. Żadnego grobu

„Chciałbym umrzeć we śnie”, oznajmia ojciec. Jest maszyną, figureczką z pozytywki, w której zgasł już dźwięk. Rozwiesza pranie, miażdży marchew we wrzątku, bełta mleko, aby nie wykipiało, zachodzę go z boku, żeby nie przestraszyć i po prostu pytam: „co się z nim stało?”. Ręka ojca zamiera nad mlekiem i zaraz przyspiesza, żeby nadrobić to, co zostało utracone. „Coście z nim zrobili”, powtarzam i tłumaczę, że przecież nigdzie z tym nie pójdę, nawet go nie odkopię. Po prostu muszę wiedzieć. Tatko obdarza mnie szczerym spojrzeniem kretyna. Nie wie o czym mówię. Chcę nim potrząsnąć. Jest siwy i słaby. Powtórzona pytanie wpada w ciszę. Siadam, chowam twarz w dłoniach, biorę tatusia na szczerłość: „on tu jest”. Tatko kuca, mówi: „wiem. Ale nic na to nie poradzimy”.

23. Bezwład małego człowieka

Mikrus spędza mi sen z powiek. Jest niższy i słabszy od innych pięciolatek, unika wysiłku i boi się huśtawki. Ledwo go rozbuja, już płacze i trzyma się poręczy. Nie ustępuję. Mikrus, z nogami wysoko w górze, sinieje i zaczyna się krztusić, zatrzymuję huśtawkę, porywam synka w ramiona, inne dzieci pokazują go palcami. Nie potrafi za nimi nadażyć. Wlecze się na końcu, obrywa w głowę podczas gry w dwa ognie, przepuszcza gole na bramce, każdą porażkę przyjmuje płaczem i zniechęceniem.

Nie interesują go farbki, sklejanie, rysowanie, tatko mój czyta mu książkę, co malec przyjmuje z najwyższą niechęcią — macha nóżkami, próbuje dłużyć w nosie, w końcu bije otwartą dłonią w „Dolinę muminków”, również otwartą i jest po czytaniu. Za chwilę wścieka się, taki znudzony. Praca, którą muszę wykonać, jest ponad moje siły.

Dzień w dzień wychodzimy na długie spacerunki. Kapiemy piłkę w parku. Kupuję mu rower. Latem pluskamy się w Brzance. Zimą zjeżdżamy na sankach, rozważam zakup łyżew i ciskam śnieżkami. Piłkę przelatującą obok Mikrus odprowadza wzrokiem pełnym znużenia. Nie chce wejść do Brzanki, wepchnięty tapla się ospale i narzeka na zimno. Przy rowerze terkoczą dodatkowe kółka. Nie chce ich zdjąć. Młodsze dzieci jeżdżą na dwóch. Biegnę za nim, zachęcam do czynu. Mikrus, kruszynka o plecach wygiętych w kabłąk prosi, żebyśmy już wracali.

Jeden tatko potrafi go odmienić. Pod jego okiem Mikrus zmienia się w rozbrykanego malca: skacze mu w ramiona, przebiega między nogami, buja się na rękach, sam spindra się po pochylonych plecach, zaciska dłonie na uszach swojego dziadziusia i wrzeszczy „wio!”. Tatko mój, posłuszny niby osioł, gania przez całe mieszkanie i pobekuje, czemu przyglądam się z mieszaniną zachwytu i zażenowania. Robi się czerwony, prosi o chwilę przerwy, mały nie zna litości i tatko ustępuje. Potem zwała się na krzesło, krew odpływa mu z twarzy, walczy o oddech i nie może pochwycić szklanki z wodą. Wołam Piękną, żeby sprzątnęła szkło.

Piękna jest zdania, że wszystko się naprostuje, ona sama była

chorowitym dzieckiem, a teraz proszę, kawał baby z pięścią jak mózdzierz. Przyciśnięta, zgadza się na inne gotowanie, teraz porcje będą duże i bogate w mięso. Zadbam o mięso. Moja w tym głowa. „Dbaj, załatwię resztę”, odpowiada Piękna i kreśli farbą kontur słońca.

24. Sztuka i brzuch

Zastaję Piękną zgarbioną nad kartonem i założyłbym się, że przesiedziała tak pół soboty. Ma poplamiony fartuch z pracy, włosy spięta mocno i oczy sprawiają wrażenie wytrzeszczonych. Na środku pokoju siedzi Mikrus i pałaszuje farbę z tubki. Na mój widok dociska jeszcze i rechocze. Jasna zieleń spływa mu na brodę i koszulkę. Wytrącam tubkę z rączki, porywam synka, gnamy ku łazience, Piękna leniwie podnosi głowę, ale ja już nie patrzę w jej kierunku. Mały się szarpie. Przepłukuję mu gardło, mokrego owijam w ręcznik i galopuję co siłą, na pogotowie, gdzie prawie ciskam malcem w osłupiałego lekarza. Mikrus tylko łka, trzymając się za brzuch, wydaje mi się kruchy i straszliwie stary, jakby spoglądał z samego serca świata, chwytą się mnie tym wzrokiem, a ja odpadam, ląduję na korytarzu, gdzie zaciskam pięści.

Mikrus zostaje w szpitalu na noc, dzielnicowy chce wiedzieć jak do tego doszło, na mój widok kurczy się i umyka pogarbiony. Nastaje noc, jutro przyjdę na komisariat. Cieszę się, że tej nocy w domu zabraknie mojego syna.

Nie powiem ani słowa. Przychodzę i walę prosto w rozdziawiony pysk Piękną i Piękna leci jak w teatrze prosto na swoje farbki. Tatko wystawia nos ze swojego pokoju, zerka na Piękną, na farbę tryskającą z jej nosa, próbuje coś mamrotać, strzelam z palców, zupełnie jak czarodziej i tym magicznym sposobem wpycham go z powrotem w bździnę, gdzie spędza całe dni. Piękna szarpie mnie za łydkę, próbuje ugryźć, a gry porywam pierwszy z brzegu obraz jej płacz przechodzi w zawodzenie, które, w innych okolicznościach, pod życzliwszym księżycem, byłoby przejmujące. Mój syn leży w szpitalu. Tylko jego płacz się liczy.

Pod koniec pracy Piękna podrywa się z podłogi, przeklina mnie, próbuje wyrwać obraz, kłuje paznokciem w oko i okłada po plecach. Uderzyłem raz, nie zrobię tego ponownie, bo w tej zabawie nie chodzi o przemoc. Obojętny, wynoszę resztę obrazów, pędzli, farb, kartonów, cały ten szajs ląduje przed domem, wracam, łapię Piękną za nadgarstki, popycham, zatraskuję w mieszkaniu i zastygam wpatrzony w wysoki

płomień, bez jednej myśli, złości, i żalu. Trwa to niemal do jutrzni. Sikam na żar, odchodzę, stęskniony za snem.

Widzę go ponownie — stoi w progu, zapala papierosa, a wygląda jakby miał wzbić się pod sufit od samego machania łokciami. Światło zapalniczki obejmuje mu surową twarz, przy oczach, wąskich ustach rozplotły się nieśmiałe zmarszczki, czoło gładkie i białe jak talerz, dziadek ma dobrze po trzydziestce. To moje usta i czoło, mój bliźniak, w tym samym wieku, opuszcza ręce z gracją szulera, ćmi szluga bez filtra i wyrusza w noc, która zaraz się skończy, więc musi się spieszyć.

25. Pan Siwy tu jest

Zastanawiam się czasem, czy on mnie widzi. Wiem, że nie zdoła mi zagrozić i nie bardzo przypomina upiora o których bredzą starzy: nie dusi mnie nocą, niczego się nie domaga, brakuje w nim skargi, czy czegoś podobnego. Po prostu jest. Jak drzewo, Mikrus i Piękna. Niekiedy myślę sobie — a mam całkiem sporo czasu na myślenie — żadne to widmo, lecz pocztówka z przeszłości. Ułamek czegoś, co się wydarzyło. A zdarzenia lubią się przeplatać i nic nie jest jasne. Piękna już nie maluje, ale ja mieszkam w czerwonym pokoju mojego dziadka i zamykam drzwi na klucz.

26. „Nasza szkapa” Henryka Mickiewicza

Dziesięcioletni Mikrus pozbawia mnie wszelkiej nadziei. Najniższy w klasie, oporny do wszelkiego wysiłku i gdyby tylko mu pozwolić, spędzałby całe dnie na dłubaniu w nosie, ściskaniu smarków w kulki i tworzenia z nich jakichś galaktyk na kuchennym stole. Przychodzi z podbitym okiem, nie powie, kto mu to zrobił i wzrusza ramionami, jakby już o tym zapomniał. Przysypia na boisku. Widuję go, jak drepta sobie za peletonem, dziarskie chłopaki zaraz go zdublują. Potrafi stać przed stołem do pingponga i pełną godzinę bębnić paletką o udo.

Gdyby jeszcze, jak inne niedojdy, trzymał nos w książkach. W szkole same trójki na szynach, z polskiego najgorzej, nie pomaga zachęta, groźba ani lanie. Mikrus patrzy na mnie znudzonym wzrokiem, mówi, że się postara i wraca natychmiast gapić się w blat kuchennego stołu, latem przesiaduje w ogrodzie albo po prostu śpi. Na próżno odpytuję go z lektur; przysiągłem, że nie dostrzegłby różnicy, gdyby „Naszą szkapę” Mickiewicz napisał po chińsku. Uczę się chemii, fizyki, rozwiązujemy zadania. Ja rozwiązuję. Mikrus macha nogami i rozgląda się na boki.

Zdaniem Pięknej, Mikrus znajdzie swoją drogę, tylko trzeba mu nie przeszkadzać. Odpowiadam: „Dokąd ciebie doprowadziło takie myślenie?”. Piękna zatrzaskuje mi drzwi przed nosem. Wlokę Mikrusa na kamieniołom, wbrew jego woli. Nie wierzga, nie marudzi, nie płacze, ślamazarzy się tylko jak jeden tych śpików, które tak kocha. Zasznurowanie buta zajmuje mu kwadrans, zawisa na mojej ręce i ledwo daje się ciągnąć. Na łódce siada z kolanami pod brodą. Nie dam mu wiosła, bo jeszcze upuści.

Wapienne skały otaczają nas białym pierścieniem, drobne ludzkie sylwetki odrywają się od ich szczytów i nikną w wodzie bez jednego dźwięku. Rozbieram Mikrusa i ciskam za burtę. Przepada w zielonkawej toni, tylko po to, żeby natychmiast się wynurzyć. Łapie powietrze, wytrzeszcza oczy i pragnie chwycić się burty. Niedoczekanie twoje. Odpycham się wiosłem, łódka umyka przed jego dłonią. „Płyń”, wołam, „nie oczekuję od ciebie niczego wielkiego. Rób to, co inni chłopcy w twoim wieku”. Mikrus bije ramionami wodę jakby chciał ją pobić, na

przemian, błaga mnie i przeklina. Wolno sunie naprzód, gdy prawie już sięga łodzi znów macham wiosłem. Tak to trwa. Oczy Mikrusa przypominają dwa rozhuśtane spławiki. Mówię mu, że nie stanie mu się krzywda. Mikrus znika pod wodą.

Mój syn woli utonąć, niż zdobyć się na jakikolwiek wysiłek. Skaczę za nim, chwytam niemal od razu — opada bezwładnie, z zamkniętymi oczyma i wiotkimi ramionami rozłożonymi szeroko, jakby miały zaraz odpaść. Nim popłyniemy ku górze, zerkam w ciemniejszą toń, gdzie Pan Siwy, owinięty w wór podnosi rybią głowę. Długi palce, blade jak kość, zamykają się tuż poniżej mojej łydki, nawet nie wiem skąd wziętem się z powrotem na dnie łodzi. Ocucony Mikrus gładko przechodzi z oszołomienia w obojętność. Przechylam się przez burtę. „A więc tu jesteś, to ci zrobili.”

27. Złoto głupców

Ojciec opada z sił. Próbuję zmusić go, by powiedział prawdę. Siadam przy łóżku i obiecuję, że tajemnicę zachowam dla siebie. Mam prawo wiedzieć. Tato udaje głupiego, odwraca się twarzą do ściany, udaje, że śpi, albo szepcze „nie teraz synu, jeszcze jest czas”. Otóż nie, tato, czasu akurat nie mamy za wiele.

Powłóczy nogą, lewe ramie zwisa bezwładnie, jakby wyrwać staw z barku. Przysiada przed domem, gapi się na Brzanę, próbuje mnie nabrać, jak to cieszy się słońcem. Przysiadam, rozmawiamy spokojnie, dociskam. Stary borsuk, mruży „to było przecież tak dawno temu”. „Ale było”, odpowiadam. Bierze głęboki oddech, „masz rację, synku” szepcze i milknie. Zaczepiam go w kuchni nad owsianką, dobijam się do łazienki, staję się jego cieniem, choć przecież wiem wszystko. Pragnę tylko, by ojciec raz w życiu powiedział mi prawdę.

W odpowiedzi tatko stawia jedyny opór, do jakiego jest zdolny, burczy coś z rzadka, czka półsłówkami, aż wreszcie milknie całkowicie i nie sposób go zmusić, aby wypowiedział choćby słowo. Czasem kąciki jego warg unoszą się opornie, jakby ciągnęły za sobą jakiś niestworzony ciężar. Posyła mi drwiące spojrzenie, przerzuca stronę książki małym palcem prawej dłoni. W innych brakuje już czucia. Odchodzi w głąb mieszkania, kładzie się na plecach i patrzy w sufit.

28. Kto?

Mikrus wielkim wysiłkiem zdaje do drugiej klasy szkoły zawodowej, ojciec nie opuszcza już łóżka, słowem mnożą się obowiązki, tymczasem Piękna uznaje za słuszne, żeby zniknąć z domu. Niby wszystko w porządku. Obiad na stole, rzeczy poprane, raz w miesiącu myje podłogi, okna co kwartał, wietrzenie szaf. Co parę tygodni pozwala mi się wziąć. Poznają po tym, że zostawia uchylone drzwi. Odwraca się plecami, w półśnie mamrocze, żebym się pospieszył.

Poza tym — Pięknej nie ma. Czasem mijamy się w drzwiach, kiedy indziej już jej nie zastaję. Nie rozmawiamy ze sobą za wiele, zagadywana odpowiada, że to już nie moja sprawa. Wraca po dziesiątej. Potrafi przepaść na sobotę i niedzielę. Przyglądam się jej uważnie — proste sukienki, banalne kurtki, niepomalowana twarz, żadnych kolczyków. Mimo tego gnębi mnie straszne podejrzenie. Piękna znalazła sobie gacha.

Toczę nocne rozmowy sam ze sobą. Nie jestem złym człowiekiem i nie znam zazdrości, doskonale rozumiem, że moje małżeństwo najlepsze dawno ma za sobą. Rykusmyku nie zna jeszcze rozwodów. Gdyby po prostu zniknęła, jakoś bym to zniósł. Mikrus niedługo będzie dorosły. Takie rzeczy po prostu się dzieją. Przysięgłbym: koledzy z pracy śmieją się za moimi plecami, gdy przychodzę na piwo, gwar w Ratuszowej milknie na moment, by powrócić ze zdwojoną siłą. Znajomi machają ku mnie, pytają co słyhać. Oni coś wiedzą. Może to jeden z nich? Na pewno. Przyglądam się ich twarzom, przypominam sobie wszystko, co spisałem o każdym, a także to, czego spisać nie zdążyłem. Każdy ma coś za uszami. A może biorą ją wszyscy, moja Piękna krąży od łóżka do łóżka — starzejąca się klacz, poszukująca nowej obory.

29. Ma swoją drogę

Piękna ma rację przynajmniej w jednym — Mikrus odnalazł swoją drogę, choć trudno bym się z tego ucieszył. Wciąż jest niski, ma żylaste ramiona i wiecznie zgarbione plecy. Zapuścił biedny wąsik, nosi starą kurtkę dżinsową, dwa numery za dużą, zdartą z jakiegoś Niemca i workowate spodnie. Papierosy zażółciły mu palce i zęby. Mówi bardzo szybko i nigdy z sensem, a mechanik z niego taki wspaniały, że nie rozróżniłby fury z kompostem od poloneza.

Dziewczyny kłębią się pod naszym domem jak na pigalaku. Nie ma dnia, żeby jakaś nie przyszła o niego pytać. Widuję go w Ratuszowej, jak chłepcze jedno piwo przez parę godzin, otoczony wianuszkiem gorących oczu i młodziuchnych biustów, rwących się do jego słabych rąk. Niczym księżę, skinieniem głowy wybiera tę, która uzyska szansę na ciąg dalszy, odchodzą, objęci, on z tym petem w pysku, ona cała rozmarzona, odprowadzani przez wściekłe spojrzenia starców i moje także. Mikrus parzy się w bramach, na strychach i w stodołach. Idę przez Rykusmyku, z okna dochodzi mnie babski pisk i jego sapanie. Czekam, aż ucichną i zatrzeszczy zapalniczka. Czasem, gdy wracam wcześniej niż powinienem, a Pięknej już nie ma, jej pokój rozbrzmiewa odgłosami miłosnych zapasów. Zaciskam wargi i pięści, lecz jakoś nie umiem wejść i im przeszkodzić. Zasiadam w kuchni, zerkam zza gazety. Dziewczyna w końcu wyjdzie. Chcę ją zobaczyć.

Niektóre są tak piękne, że oddech zmienia się w żar na suchym gardle. Bluzki, zapięte na guzik albo dwa, lepią się do ciał wolnych jeszcze od fałd i zmarszczek. Jak rąbek złotej monety na dnie strumyka, załśni sobie sutek w pospiesznie założonym staniku. Odśłoni się łydka, opadną spodnie i mignie mi czubek rowka między pośladkami. Któraś pójdzie przepłukać usta do łazienki, inna zabłądzi do kuchni i natychmiast zawróci. Są uczennice i nauczycielki, podlotki, bibliotekarki, wdowy. Mój syn, niedojda, tuman, słabeusz jest na najlepszej drodze do przerobienia wszystkich lasek w Rykusmyku.

Próbuję z nim porozmawiać, pytam co, u diabła, wyprawia ze swoim życiem. „Dokąd cię to zaprowadzi?” napominam rykiem, „narobisz

wstydu, to jeszcze pół biedy. Narobisz bachorów, to już gorzej? Skąd weźmiesz na te dzieci? Jak je wychowasz? Czy ty wiesz co ludzie mówią, co myślą? Przynosisz wstyd nam wszystkim.” Mikrus nawet głową nie kiwnie. Czeka, aż zamilknę, wówczas popędzi kurwić się dalej. Niedoczekanie twoje, narzucam sobie spokój: „Myślisz tylko o sobie, synuś. Ja, odkąd pamiętam, robiłem wszystko dla was, nigdy nic dla siebie”. A Mikrus nabiera powietrza, mówi nie swoim głosem: „pięknie żeś na tym wyszedł, tatulku”. Trzaska drzwiami, nim zdążę wstać.

30. Chcę umrzeć we śnie

Nie śpię, niewiele jem, tylko czuwam przy ojcu. Jego stopa, stercząca spod gipsu, mogłaby należeć do dziecka. Bez przerwy zrzuca z siebie kołdrę i owija się w nią na powrót. Przynoszę mu wodę. Chłodzę czoło kompresem. Nic więcej nie da się zrobić. Proszę, aby powiedział mi prawdę, podsuwam wszystko, co już wiem. On was krzywdził, prawda? Bił, a potem przeproszał. Najgorsze były właśnie jego łyzy. Potem żyliście razem, ale osobno, dziadzio złamał zakaz i zbliżył się do mnie. Pokłóciliście się wtedy. Przecież nie chciałeś, tak wyszło. Pchnąłeś go, czy sam się wywrócił? Jak było, tato, tylko to chcę wiedzieć, tak jak już wiem, że wyszedłeś na miasto w jego ciuchach, a ciało cisnęliście do kamieniołomu. Ojciec zamyka oczy, jakby chciał przytaknąć. Macha ręką na znak, że wszystko już nieważne. Zapada w płytki sen.

Siedzę przy nim bez przerwy. Na stoliku nocnym leżą książki, do których tato już nie zajrzy, bo oczy zasnuwa mu jedna, ciemna litera. Biorę byle którą, przerzucam parę stron, odrzucam, sięgam po kolejną, otwieram byle gdzie. I tak dalej. Imiona zlewają się w jedno imię, a twarz miesza się z wydarzeniem. Układam ze strzępów jedną opowieść. Przypominam sobie ojca, jak niewiele o nim wiem. Wstaję, żeby rozprostować kości, za oknem mgła rozbełtuje światła i odejmuje konary drzewom, Brzanka przypomina zaszronioną drogę, obok przemyka zabiedzony pies. Wracam. Ojciec śpi. Pociąga nosem. Nie schodząc z krzesła składam skroń na jego łóżku, zapadam w płytki sen.

Budzimy się równocześnie, on za pięć dwunasta. Twarz ojca wygląda jak biały karzeł, w którego wbito dwie gasnące gwiazdy. Tato chwyta mnie za przegub, próbuje przekręcić się na bok, lecz już nie może i tylko wolną dłoń miętosi pościel, podczas gdy resztki włosów rozkładają się w wachlarz. Dolna warga zwisa jak pijawka, tato potrząsa brodą w próżnej próbie wypowiedzenia choćby słowa, z ust dobywa się tylko głuche „błę, błę, błę”, dla którego nie mogę znaleźć żadnego porównania. Drgawki wstrząsają ciałem konającego. Oczy jaśnieją mu od lęku. Obejmuję go mocno, strwożone „błę, błę, błę” rozbrzmiewa przy uchu. Jego ręka spada mi na kark jak śnieżka i przyciąga ku sobie. Ojciec

chce, żebym ocalił go przed nieuchronnym. Milknie. Jego głowę, zmienioną w ciemną materię, składam na poduszce. Kładę palce na jego powiekach. Nie umiem unieść dłoni.

31. To, co nie moje

Dzięki Pięknej poznaję każdy zakątek w Rykusmyku. Po pogrzebie, kiedy trumna zamknęła parę ciekawskich oczu, Piękna zaczyna znikać na całe noce. Wraca z podkrążonymi oczami, roześmiana, jakby lat jej ubyło. Próbuję się z tym pogodzić, nie wytrzymuję. Śledzę swoją żonę.

Gdybym za nią poszedł, zobaczyłaby mnie najdalej na moście, muszę znaleźć inny sposób, oto i jest — zostaję podglądaczem. Popołudnia spędzam na poddaszach z wzrokiem utkwionym w obojętny bruk, z nadzieją, że Piękna się pojawi. Niby przypadkiem przesiaduję za szybą baru mlecznego, na ławce w parku, zaglądam do kościołów i wspinam się na dachy. Zasiadam pod kominem, z nogami pod brodą, czekam na nią, albo na zmrok, który zmusi mnie do zejścia. Koty ocierają mi się o łydki i odbiegają, gdy tylko wyciągnę rękę.

Znajduję otwarty strych. Mijam wrzeciono, łóżko sprężynowe, samowar i sterty gazet powiązanych sznurem, brzęk butelek przegania tłustego szczura, przecieram szybę i siadam na stołku. Piękna idzie dołem, wyraźnie rozluźniona, gorączkowo próbuję otworzyć okno, szkło uderza o kostkę brukową, tuż za Piękną, nawet nie czekam, czy się odwróci, szczupakiem skaczę w najciemniejszy kąt, wpełzam do szafy i boję się własnego oddechu. Wracam do domu nocą, jak złodziej.

Zajmuję opuszczone mieszkanie, skąd przeganiają mnie pijacy. Dzieje się to bez słowa — brudny palec przypomina, gdzie jest wyjście. Ludzie obserwują mnie przez judasze i szpary w drzwiach. W barze mlecznym słyszę, że zajmuję miejsce innym. Przeganiem parę obściskującą się w parku. Znajduję też rzeczy porzucone: puste piętro, gdzie umarł jakiś starzec, pozostawiając mnóstwo zdjęć kobiet, pracowicie wyciętych z „Przekroju”. Powklejane w bruliony tworzą złudzenie tańca, gdy szybko przewracam kartki. Dolne piętro niemieckiego zamku piastowskiego zasnuwa warstwa stłuczonego szkła i lateksu, gdzieś z głębi dochodzą jęki. Zastanawiam się, czy wydaje je mój syn.

W szopie na rogatkach natrafiam na nielegalną rozlewnię spirytusu. Nalewam sobie kielicha i odchodzę, nie mówiąc nikomu słowa. Inny

strych ma skrytkę, a w niej worki ciuchów od fryca. Wiem, że babina na Gagarina wynajmuje pokoje dwóm cichodajkom, do których zaglądamy moi koledzy z pracy. Potężniejsza dosiada gacha i wbija go w wyrko sekwencją potężnych uderzeń. Ta drobna zdaje się myśleć tylko własnej przyjemności. Znam kilkanaście melin, pokoik dla młodych, poddasze onanistów i zaułek pedała. Mógłbym użyć tego w odpowiednim momencie. Póki co, zbieram ślady Pięknej, lecz Piękna nie jest ślepa. Niedługo ktoś jej powie, że krążę, że nadchodzę.

32. Ojciec i syn

Wieczorem zastaję Mikrusa z dwoma dziewczynami. Siedzi niby zabiedzony sułtan, z nogą na nodze, popija wino ze szklanki którą ja kupiłem i patrzy na dwie lafiryndy płasające do łupaniny z radia. Kamienieją na mój widok, starczy, że huknę i lecą w popłochu, mało butów nie zgubią, trzęsą się cycki w głębokich dekoltach. Mikrus wstaje. Nie dam mu dojść do słowa. Mówię, że to dom, a nie burdel. Dałem mu wszystko, jak mi się odwdzięcza? „Jesteś na mojej łasce i byłoby dobrze, żebyś o tym pamiętał”.

Mikrus wstaje leniwie, jakby każde usłyszane słowo osiadało mu ciężarem na plecach, szczerzy się w uśmiechu i zaczyna zbierać swoje rzeczy. Nie ma tego za wiele. Starczy mu torba. Krzyczę, że jeśli pójdzie, może już nie wracać. W odpowiedzi Mikrus przerzuca dorobek swojego życia przez ramię i kieruje się do wyjścia. „Czy ty wiesz, co robisz?” pytam. Mikrus odwraca się w progu. Nawet w oczy nie spojrzy, zerka tylko po przedpokoju. „No chyba”, odpowiada, poprawia torbę i zamyka za sobą drzwi. Przez okno widzę jak maszeruje do mostu. Tam czeka jedna z dziewczyn. Dzielą się ciężarem i odchodzą.

33. Dziesiąty palec

Piękna znika w szarym domu na Legnickiej. Po drugiej stronie ulicy znajduje się drugi, szary dom. Strych zatrzaśnięto, rdzawa drabinka prowadzi na spadzisty dach. Kucam za kominem, jest mi niewygodnie. W gnieździe obok skrzeczą pisklęta. Zaniepokojona matka drobi kółka na niebie, przeszkadzam, boi się sfrunąć.

Legnicka nie jest szeroka. Na niższych piętrach mieszka czteroosobowa rodzina, para staruszków i samotny czterdziestolatek, na którym skupia się moje podejrzenie. Wygląda dość lichy. Leży w barłogu i chyba ogląda telewizję. Poddasze jest ciemne. Czekam na Piękną. Chłodno rzezi kapuśniaczek.

Piękna zjawia się tuż przed zmrokiem, na moment przed tym jak ręka o czterech palcach przyrośnie mi do cegłówki w kominie. Piękna maszeruje, jakby całe Rykusmyku było jej prywatną własnością, dałbym sobie głowę uciąć, że uśmiecha się pod nosem, choć tego nie mogę przecież dostrzec. Poprawia włosy i otwiera bramę. Wypatruję jakiegoś poruszenia, czteroosobowa rodzina dalej jest czteroosobowa, stary rozwiązuje krzyżówkę, stara szydełkuje, domniemany gach przysnął z brodą na piersi. Za to na poddaszu zapala się światło. W małym okienku miga mi noga pięknej i but ciśnięty w kąt. Ktoś jeszcze? Nie wiem. Wychylam się, uczepiony na koniuszkach palców, próbuję oprzeć nogę gdzieś niżej, dalej gówny widzę, zmieniam pozycję, zastanawiam się jakby tu przeskoczyć między kominami. Z kim ty tam brykasz, skarbie mój?

Noga jedzie po śliskiej dachówce, pięcioma palcami utrzymałbym uchwyt, ale mam tylko cztery i pędzę prosto na spotkanie z chodnikiem trzy piętra niżej. Krzyczę i nie odrywam wzroku od okna na poddaszu. Próbuję czegoś się chwycić, pierzasty kształt nade mną kreśli tryumfalne znaki, dach nagle się kończy, migają samochody, przechodnie, drzewa, w tym wiatraku dostrzegam też Piękną, jak staje przed sztalugą i sięga po pędzel.

34. Ostatnią prostą biegnie się najwolniej

Lekarz mówi, że noga się zrośnie, lecz nigdy nie osiągnie pełnej sprawności. W przyszłości będę musiał pomyśleć o lasce, teraz myślę o tym, że żadnej przyszłości nie ma, moje życie się skończyło.

Piękna spędza ze mną jeszcze kilka miesięcy, moje serce łudzi się, że ożywimy trupa. O drugiej dostaję pierwszy posiłek. Piękna przynosi mi książki, których nie chcę przeczytać, przełącza dwójkę na jedynekę i jedynekę na dwójkę w telewizorze, a gdy pomaga dojść do łazienki, delikatnie ujmuję jej ręce, głaszczę paznokcie z plamkami farby przy skórcie. „Nie”, odpowiada Piękna bez śladu złości. Zamyka za mną drzwi. Czeka, aż zawołam.

Wychodzimy na pierwsze spacerunki po upadku. Kula pod jedną, Piękna pod drugą pachą. Opowiadam, jak to kiedyś sobie chodziliśmy, zachodząc w głowę, cóż to przyniesie nam dobry los. Piękna śmieje się przez grzeczność, prowadzi do Ratuszowej, znika na godzinę, bo musi załatwić swoje sprawy. Koledzy pytają się jak tam u mnie, czy sobie radzę. Jak na faceta, który zleciał z dachu na durny łeb, radzę sobie doskonale.

W Rykusmyku pojawiają się kolorowe szyldy i nowe gazety, wzdłuż rynku, niczym płotek nadziei, rozciągają się stragany. „Wiesz, co porabia nasz Mikrus?” zagaduje Piękna; „kupił skodę i dzień w dzień kursuje do Lipska. Zapytałam co robi, to mnie wyczałował i wepchał mi dwieście marek w kieszeń!”. Stoimy przed wypożyczalnią kaset video. Odpowiadam, że to się dla niego źle skończy i sam przyznaję się do błędu. „Wszystko co robiłem, robiłem z miłości. Spadłem, bo cię kocham. Spróbujmy jeszcze raz.” Piękna wolałaby tego nie usłyszeć. Mówi, że już za wiele się zmieniło. Pierwszy dzień bez laski, to pierwszy dzień bez Pięknej w domu.

35. Wyłapywanie sygnałów

Na dachach Ryusmyku mnożą się anteny satelitarne; ci, co mieli garść marek otwierają kantory, ilość słodyczy w sklepie spożywczym — gdzie dawno temu pracowała moja mama — wprawia w oszołomienie. Mogę kupić wszystkie, zamknięto mnie w domu z rentą za wypadek przy pracy. W małym świecie nietrudno o znajomości. Dowiaduję się, że Mikrus prowadzi przedsiębiorstwo we Wrocławiu i zatrudnia wielu pracowników.

Ryk brzdąców ustępuje muzyce, daleko bardziej potwornej. Barbarzyńskie melodie nakładają się na plemienne rytmy i lecą zewsząd — straganów, okien, samochodów i telewizorów. Te właśnie dźwięki, chyba jednej nocy przemieniły wszystkie dziewczyny w kurwy, chłopaków uczynili alfonsami. Mali chłopcy żują gumę na poboczach i strzykają śliną, zbrązowiałą od cameli. Samochodów, wyklepanych jak żona pijaka, jest więcej niż ludzi w naszym mieście.

Z filmów, nadawanych do późnej nocy dowiaduję się o co chodzi w życiu. O zemstę, szaleńcze zakochanie, o przyjaźń po grób i wielkie pieniądze, co wydaje mi się fałszywym sygnałem z wrogiej nam planety. Ci, którzy wczoraj stracili dorobek życia rozpijają kwasa w parkowych alejkach albo na powrót obrastają w złoto. Zakłady Kuziennicze zwalniają połowę załogi. Wstał robotnikiem, zasnął pijakiem. Rano pakuje tobołek i rusza za Odrę. Pani Swędziudo mówi mi, że Mikrus siedzi w puszcze, a tak narozrabiał, że prędko go nie wypuszczą. Myślę nad tym chwilę. Muszę do niego napisać.

36. Najdroższy synku

„Piszę do ciebie, gdyż, pomimo tych przykrości, które zaszły pomiędzy nami, wciąż jestem Twoim ojcem, a Ty jesteś moim synem. Chciałbym, żebyś wiedział, że nie jesteś sam. Przypuszczałem, że życie obróci się przeciw tobie i zrobiłem wszystko, żeby temu zapobiec. Na szczęście jesteś młody i wciąż chcę Ci pomóc w wyciągnięciu wniosków z tego, co cię spotkało.

Napisz czego potrzebujesz. Postaram się wysłać wszystko, co będę mógł uzyskać. Zastanów się też, w jaki inny sposób mógłbym wyciągnąć do ciebie pomocną dłoń. Niezależnie od tego, warto, żebyś pomyślał nad rzeczami, które doprowadziły cię do miejsca w którym się znajdujesz. Nigdy nie byłeś złym człowiekiem i nie wierzę, że jesteś nim teraz. Życie po prostu jest trudne, a Ty za szybko do niego się wyrwałeś.

Twój pokój na ciebie czeka. Postaram się załatwić Ci jakąś pracę, gdy przyjdzie na to jakiś czas. Kto wie, może ktoś jeszcze się ze mną liczy? Zachowaj ten list i czytaj w każdej trudnej chwili. Pamiętaj, że jestem przy Tobie. Tak jak byłem zawsze. Nawet kiedy tego nie chciałeś.

Twój kochający ojciec”

37. Taki młody

Pan Siwy stroi się przed lustrem. Czarne, natarte brylantyną włosy zaczesuje do tyłu. Poprawia krawat, nakłada marynarkę. Zmienia krawat. Zmienia marynarkę. Naciera szyję wodą kolońską. Poślinionym palcem poprawia młodzieńczy wąs. Robi krok wstecz i przygląda się sobie. Buty mu lśnią, ale i tak je przetrze. Wypija setkę. Przepłukuje usta, spluwa w umywalkę. Porywa bukiet kwiatów i pędzi przez przedpokój, śmiejąc się do własnych myśli. Kuśtykam za nim tylko po to, aby zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

38. Minister i pies

W piątym roku mojej samotności Piękna opuszcza Rykuzmyku, znikając na zawsze z mojego widnokregu. Podobno z kariery malarskiej nic nie wyszło, gdyż Piękna jest już za stara i nikogo nie zna. Pracuje w sklepie z rękodziełem na Świdnickiej, we Wrocławiu. Nie wiem, czy kogoś ma. Mikrus wychodzi z więzienia i pracuje w przedsiębiorstwie zajmującym się doradztwem strategicznym.

Z panią Swędziudo widuję się raz w tygodniu. Idziemy na krótki spacer do parku w Rykusmyku, siadamy na ławce i milczymy przez kilka godzin. Lubimy wizyty w kawiarni. Pani Swędziudo krzywi się zawsze, gdy zamawiam koniak. Ma tlenione, falujące włosy zaczesane za uszy, kolczyki z białego złota i lubi kolorowe bluzki. Jej mężowi prasa zmiażdżyła obie dłonie. Umarł krótko potem. Pani Swędziudo lubi zwierzęta. Ma dwa koty, akwarium i kilka chomików wyniesionych ze szkoły, żeby dzieci ich nie zabiły. Niekiedy towarzyszy jej poważny wilczur z bielmem na oku.

Znajomość trwa niecały rok. Pani Swędziudo opowiada mi o swoich dzieciach, które pozakładały rodziny daleko stąd. Zapewnia, że bardzo się kochają i widywaliby się częściej, gdyby nie praca i odległości. Pani Swędziudo nie pracuje. Odwdzięczam się plotkami o kolegach, żalę się na Piękną i Mikrusa, ostrożnie wspominam rodziców i Pana Siwego. Jego śmierć zachowuję dla siebie. Pani Swędziudo słucha z uwagą i chyba mi współczuje. Dobrze czuję się w jej towarzystwie, czego nie mogę powiedzieć o psie. Wilczur ujada, liże mnie po rękach. Siada i wbija we mnie mleczne oko. To spojrzenie jest nie do zniesienia.

Pani Swędziudo przychodzi do mnie w towarzystwie tego paskudnego zwierzęcia. Psiak biega po mieszkaniu, drapie meble, wreszcie sika na wykładzinę, w kucki, zupełnie jak suka. Pani Swędziudo rzuca się na kolana, zaczyna sprzątać, pomagam jej i mówię, najdelikatniej, jak potrafię, że bardzo cieszę się z jej wizyt, ale niech już nie przyprawdza psa. Pani Swędziudo kiwa głową na znak, że rozumie. Zjawia się coraz rzadziej, aż w końcu przestaje przychodzić. Widuję ją czasem, jak idzie przez Rykusmyku, ciągnięta nie przez jednego, ale trzy

kundle. Niech i tak będzie, myślę. Telewizja pokazuje Mikrusa ściskającego się z ministrem infrastruktury.

39. Ten mały, on się doczekał

Mam siedemdziesiąt cztery lata i śpiam na słońcu.

Łóżko mogłoby pomieścić nas wszystkich i niekiedy, w chwili przebudzenia roi mi się, że rzeczywiście tak jest. Zmarli bliscy tulą się do siebie i szarpiają pościel. Łóżko jest duże i twarde, z drewnianym oparciem. W zasięgu ręki mam butelkę wody, szklanę, pudełko z lekarstwami, okulary i książkę. Wstaję przed świtem.

Łazienka jak Merkury, niewielka i niegościnna, źle nastawiony bojler tryska gorącą wodą i nie potrafię go naprawić. W sklepie na dole Wenus o zmęczonym biuście pomaga wybrać mi ser, miękki chleb, codziennie proponuje ciastko inne od tego, które zamawiałem wczoraj. Ławka przy Brzance zielona jak Ziemia, za rzeką daleką jest Jowisz apteki i przychodnia odtoczona pierścieniem chorujących. Wyprawa na Rynek, do Ratuszowej, to wysiłek zdobywcy; raz na tydzień, w „Neptunie” kupuję pół litra likieru orzechowego, sączę po dwa kieliszki na dobry sen, obwodnica wykreśla granicę układu słonecznego, daleko tam zawisł Wrocław, gdzie żyją potwory.

Budzę się zawsze w środku nocy i nie mogę zasnąć, co dziwi mnie, gdyż nie mam po co wstawać, a nieliczne wspomnienia, które posiadam już dawno przestały mieć znaczenie. Zmiana świata, jego pęd, pokazał mi otwarte drzwi. Współtworzyłem ten świat, więc nie czuję się ani odrzucony, ani niepotrzebny. Siadam na łóżku i oglądam telewizję, której nie rozumiem. Na śniadanie jem ciastko, znalezione w kredensie. Z daleka dochodzi łoskot Rykusmyku budzącego się do życia. Robotnicy piją pierwsze śniadanie. Matki wloką wrzeszczące potomstwo do przedszkola na Chopina. Poranny bus do Wrocławia wchodzi w ostry zakręt. Róż świtu wchodzi mi pod zamknięte powieki. Otwieram je już w pełnym słońcu.

Pukanie. Kto? Siostra Ostra nie puka. Narzucam na siebie sweter, drobię ku drzwiom. Tam czeka na przestraszone pachole lat pięć, bosa i w szortach, o przejętym spojrzeniu. Zadziera głowę. Układa usta do jakiegoś nieśmiałego słowa, nim je wypowie, już jestem na kolanach, próbuję go objąć, lecz chłopiec rozplywa się w powietrzu.

40. Człowiek w sile wieku

Stałem się Panem Siwym? Zawsze nim byłem? Wymyśliłem sobie to wszystko? Jest jeden sposób, abym się dowiedział. Pan Reno ma włochaty tors, uśmiech domokrażcy i dłonie niby sine liście, wyrastające z włochatych gałęzi. Gratuluje mi odwagi, dodaje, że coraz więcej ludzi w sile wieku zabiera się za nurkowanie. Milczę, nie jestem w sile wieku, lecz stoję nad grobem. Pan Reno pokazuje mi co i jak, pyta, czy umiem pływać. Zapisuję się, płacę, przysypiam na wykładach, znajdując pocieszenie w twarzach współkursantów. Są jak drapieżne dzieci, upośledzone zwierzęta, wiercą się w oczekiwaniu na przygodę i dałbym sobie rękę uciąć, że co drugi wyobraża sobie, jak to pływa z kuszą przy rafie koralowej. Niewiele mnie to obchodzi. Zanurkuję tylko raz.

Na basenie pan Reno mówi, że ważne są duże dłonie, pokazuję swoją, bez palca, pytam czy się nada i wszyscy wybuchają śmiechem. Zakładam skafander, kamizelkę, przytraczam butlę do pleców, montuję pajacyka i bawię się manometrem. Kontrola gazu sprawia kłopot, wynurzam się choć nie chcę, by zaraz pójść na dno; nogi są bezradne, pan Reno steruje mną delikatnie, mija godzina i wszystko gra, przynajmniej do czasu, gdy mam opróżnić kamizelkę. Powietrze ani myśli ujść, morduję się z tym, oszałamia mnie ławica bąbelków, mylę górę z dołem i chcę wyjść na brzeg. Biorę dodatkowe lekcje, opanowuję kierunek ruchu, nie wypruwam już ku powierzchni, lecz unoszę się powoli, jakby ktoś uwiązał mnie na linie i powoli ją uwalniał. Nade mną wyrasta zadowolona boja — pan Reno gratuluje i pomaga wyjść z basenu.

Pan Reno utrzymuje, że jestem prawdziwym Europejczykiem. Z Polski do niego trafiają młodzi, czasem zdarzy się starszy Niemiec lub Holender, bo taniej i jakby przyjemniej. „Większość starszych osób za łatwo poddaje się, moim zdaniem, po prostu siadają i czekają co będzie. Co będzie? Nic nie będzie, jeśli sami się nie postaramy”. Wydaje się wierzyć we własne słowa. Zastanawiam się, czy mówił o własnym ojcu. Przypomina, że część trzecia kursu, na otwartych wodach, zaczyna się w przyszłą sobotę. Obiecuję, że przyjdę. Kłamię.

41. Oni ciągle wracają

Ostatniej nocy długo nie mogę zasnąć. Zerkam na torbę ze sprzętem ułożoną w rogu, podobną do śpiącego zwierza o metalowych pazurach, wyobrażam sobie, jak nagle ożywa i daje susa w ścianę, będącą przecież korytarzem ku rzeczom, które już nie istnieją. Wstaję, przytulam się do niej, ucho przykładam — to kieliszki dźwięczą, czy deszcz o parapet dzwoni? Śmieją się te panny, czy wiatr pogwizduje? Całe życie pragnąłem tylko tego, żeby tam wrócić, do knajpy gdzie gra muzyka, gdzie naga dziewczyna.

Zawstydzony sobą, wlokę się do łóżka. Nagle jutrzejszy dzień wydaje się bezsensowny. Nic nie odnajdę, wrócę do domu bez żadnej nadziei. W płytkim śnie, na piersi siada mi kolejno Pan Siwy, ojciec, Piękna, Mikrus, jego dziwki. Chcą mnie udusić.

42. Nurkowanie

Tropię ojca i matkę; musieli zrobić to razem. Podjechali na kamieniołom, parkując w krzakach możliwie najbliższej ścieżki. Krzaków dawno już nie ma. Ścieżka ocalała. Wspinam się i docieram do rozwidlenia. W prawo droga potrwa dłużej i doprowadzi do łagodnego zejścia, w lewo — kamienista żmijka wspina się krótką prostą na sam szczyt. Spieszyli się. Mój dziadek spadł z wysoka. Ciągnę za sobą torbę jak bezwładne ciało. Skarpa ma z dziesięć metrów, brakuje mi odwagi. Dostrzegam strome zejście ku wapiennej półce, nad samą wodą. Tam łapię oddech. Zaczynam nakładać skafander.

Daleko, niedobry chłopiec składa dłonie wysoko nad głową i wpada w wodę, roztaczając rozświetlone kręgi. Nim się wynurzy, idę w jego ślady. Na moment zapada ciemność, jakby okrył mnie czarny kaptur, który natychmiast poderwano. Słońce zostaje wysoko. Opadam swobodnie, zapalam latarkę, płynę powoli do dna. Krew pulsuje w uszach, moje serce się dusi.

Mijam gałęzie porośnięte brązowymi glonami i brunatne korzenie, zdające się cofać przed promieniem światła. W rozpadlinie wapiennych ust krążą niespokojne ryby o postrzępionych płetwach, zerkam za siebie, płynę na skos, za skałę i staję oko w oko z poważnym sumem, wyraźnie niezadowolonym z tego, że ktoś naruszył jego spokój. Ma szeroki uśmiech cynicznego bankiera, za to wąsy przypominają sznurowadła. Trwamy chwilę oko w oko, sum łagodnie skręca, jakby chciał pokazać mi blizny ciągnące się przez całą długość siąła. Leniwie wachluje ogromnym ogonem i znika w głębinie.

Latarka słabnie? Czy to jednak oczy? Woda miażdży mi kark, płuca z trudnością łapią oddech. Coś, co mam za czerwoną blaszkę, prześwitującą przez splecione badyle, z bliska okazuje się ładą przechyloną maską ku przodowi. Drzwi kierowcy są otwarte. Sprawdzam siedzenia i pod siedzeniami, zamiast kości znajduję butelkę po wódce i plastikowe okładki atlasu samochodowego. Barwne stadko drobinek wodnych pryska na wszystkie strony i zaraz się jednoczy, już za snopem światła.

Sunę przy dnie, chwytając się płaskich kamieni i krawędzi ociosanych bloków. Natrafiam na rampę ze sztolni, sterczącą dziwacznie niczym maszt zatopionego statku. Nieco niżej jest ramię koparki, rower bez koła i koło bez roweru. Światło latarki, już ciemnopomarańczowe, prześlizguje się po puszkach, butelkach, deskach z ławek i pniach drzew aż do całej huštawki ogrodowej, ustawionej na płask, tak, że mógłbym się pobujać. Nadzieję rozpala marynarski wór, który zmieściłby cały pluton. Łaknę kości, wydobywam łeb Lenina, wielki jak u krowy i cały zagłoniony. Grzebię głębiej — tam marmur ku chwale Armii Czerwonej, tabliczki z nazwami ulic i popiersie nagrobne wąsatego starca. Odpływam. Czeka kolejny uskok i podróż na dno.

Przysięgam: twarz mi płonie, zerwałbym maskę, żeby zgasić pożar, odpuszczam i ogarnia mnie spokój, tylko ten ciężar drażni, tylko żebra zaraz przebiją serce. Moje ciało jeży się od środka. Opływam łódkę stojącą na sztorc. Dno okazuje się lejkiem o pracowicie żłobionych brzegach, wiedzie ku źrenicy w samym środku, nogi odmawiają posłuszeństwa, zawisam bez ruchu, opadam, podciągam się na kamieniu. Latarka zgasła? Zgubiłem latarkę? Ruszam za światełkiem. Światełko umyka w podskokach — ciemniejące, złośliwe stworzonko. I nagle jest. Już je mam. Zaciskam uchwyt na worku. Chcę rozplątać, ale nie potrafię, próbuje wymacać, cóż skrywa moje znalezisko. Twarde drobiazgi: piszczel, chyba krąg. Patrzę ku górze. Tak ciemno. Worek z jękiem odrywa się od dna. Przekręcam manometr. Pruję wysoko, huk w uszach narasta wraz ze zbliżaniem się ku słońcu, słońce znika, a huk trwa.

43. Koniec układu słonecznego. Nareszcie

Najpierw kości, potem ja. Leżymy we dwóch, bije jedno serce. Maski, butla, płetwy i kamizelka dołączają do kolegów w głębinach. Pozdrówcie pana sumy. A jednak to zrobiłem.

Leżę na plecach, oddech wymyka mi się z rąk. Zapada noc. Czy to możliwe, że spędziłem cały dzień pod wodą? Przyciągam wór do siebie. Zaraz będę wiedział. To już. Morduję się z supłem, zanurzam rękę po łokieć. Dzień dobry Panie Siwy. Witaj mój dziadziusiu. Wreszcie znów się widzimy. Poczekaj chwilę. Muszę odpocząć. Chciałbym cię zobaczyć, ale nic już nie widzę. Niewidzialna ręka rozprostowuje ostre palce w mojej piersi. Sięgam do worka, grzebię wśród drobnych kości. Znajduję. Ściskam czaszkę w obu dłoniach. Witam, Panie Siwy, dzień dobry dziadku. Szepczę „to są cygaaaara”, ten szept zamiera — czaszka należy do dziecka.

Ktoś utopił tu chłopca, tak właśnie mogło być. Brzdąc, zabity przypadkiem, ukryty na dnie. A może... to nazbyt nieprawdopodobne. Muszę się upewnić. Zaraz sięgnę jeszcze raz, poszukam kości prawej ręki. Sprawdzę na dotyk, bo już nic nie widzę. Szkoda straszna, ociemnieć w takiej chwili. Muszę wiedzieć. Pięć palców, czy cztery? Czyje kości trzymam przy sobie. Zaraz sprawdzę. Tylko chwilę. Nie proszę o wiele. Jedną chwilę dłużej, nic więcej, to drobiazg, prawda? Sięgam do worka. Co to? Są. Raz, dwa. Gdzie trzeci? Jeszcze nie teraz. Jeszcze chwila, dobrze?

Koniec

Kopenhaga, 2012

Głowa węża

Kamienie posiadają pewną właściwość, która wymyka się rozumowi: starzeją się inaczej gdy służą cierpliwie ludziom, a inaczej gdy omija je z daleka strumień życia.

Opuszczone przez ludzi zdają się schnąć i pękać jak skorupa ziemską nietknięta od lat kroplą wody. Odwiedzane przez ludzi, gęstnieją i twardnieją jak kora wiecznie żywego drzewa. I dzieje się tak, choćby obecność człowieka oznaczała tylko obecność jego pamięci a nie troskliwej ręki.

Gustaw Herling — Grudziński, Wieża

*pluń w oczy Bestii,
tylko pluń w oczy Bestii i chodź.*

Robert Lor, Ostatni tabor

1.

Musiał wybić okno, żeby wyjść na dach. Kluczem usunął resztki szkła z framugi. Przeciskając się, pokaleczył sobie plecy. Bolał go brzuch. Splunął krwią. Patrzył.

Po lewej płonęło elektryczne ognisko Warszawy, Puszcza Kampinoska była tylko ciemnym plackiem. Zasrane chmurami niebo. Pieprzone domy i ich jasne światła. Robert zwymiotował.

W tej chwili wydawało mu się, że nie dojdzie do skraju.

Na trawie przed Belladonną rozlewały się prostokąty świateł. Mało kto mieszkał tutaj. Nie spali.

Robert nie znalazł w sobie ani jednej jasnej myśli. Próbował i nie potrafił. targał nim wiatr. Jakoś dotarł na brzeg dachu.

Cztery piętra to niewiele, ale serce Roberta pękło w locie i spadł martwy.

2.

Autobus wyrzucił Maksa na wiejskim ryneczku, obok masywnego sklepu Społem, remizy i knajpki z plastikowymi stolikami na zewnątrz. Maks dowiedział się, że ma jeszcze godzinę drogi piechotą. Zrzucił plecak na ramię i poszedł.

Pródnik kończył się mniej więcej tam, gdzie zaczynała Belladonna; między dwoma świątami ciągnął się zielony pas ziemi niczyjej. Droga prowadziła przez dziką łąkę pełną białych kwiatów, przez zamkniętą w kleszcze lasu. Maks usiadł w cieniu drzew i zrobił zdjęcie.

Popatrzył. Starczyłoby miejsca dla samochodu, jednak koleiny zarosły wysoką trawą. Z tego co wiedział, do Belladonny można było dotrzeć od południa, tylko że tam nie dochodziły autobusy, należało skrócić w nieoznakowanym miejscu. Panowała cisza.

Za lasem wreszcie ją zobaczył. Wyglądała mniej więcej tak, jak sobie ją wyobrażał.

Sprawdził, czy zdołałby przejść przez płot otaczający budynek. But nie chciał się wcisnąć pomiędzy grube pręty, nie dały nawet się chwycić — ostre na brzegach. Cofnął się, zdał sobie sprawę, że wpadł w oko kamery. Przy wejściu znalazł rząd numerów bez nazwisk, czerwony guzik oznaczony „RECEPCJA” i naklejkę powyżej. „STREFA WOLNA OD DZIECI”, pisało. Obok znajdował się malec w znaku zakazu. Ciotka otworzyła natychmiast, jakby tkwiła z palcem na domofonie.

Od Belladonny dzielił go park z gładką, intensywnie zieloną trawą i regularnie rozmieszczonymi drzewami. Słońce odbijało się w sztucznym jeziorcu. Drzwi domku kempingowego stały otworem, na ostrym pomoście ktoś zostawił ręcznik. Maks pożałował, że wciąż jest zbyt chłodno, by pływać i omal nie zderzył się ze szczupłym facetem i jego białym pudlem. Facet nosił spodnie uszyte ze wielokolorowych skrawków, kapelusz i siatkowaną koszulkę bez rękawów. Na drobnych kościach ramion tkwiły paciorki bicepsów. Facet popatrzył na Maksa, pies się rozszczękał. Maks przesłał ukłon i poszedł.

Okna Belladonny były ciemne nawet w słońcu. Zwykle ludzie trzymają na balkonach pranie albo rowery. Tu Maks nie wypatrzył

niczego takiego, tylko na pierwszym piętrze stał dwudziestoparolatek w przepoconych szortach. Trzymał drinka, palił, z głębi mieszkania dochodziły kobiece śmiechy.

— Maks! Maks! — wołał. — Wpadnij do mnie, jak już załatwisz to stare pudło!

Maks uniósł kciuk.

W drzwi prowadzące do Belladonny można było walić łbem aż do dnia Sądu. Domofon okazał się równie nieskuteczny. Przez przyciemnianą szybę Maks widział niewiele, światło wpadające przez okno pozwalało dostrzec zarys płytek podłogowych i rozrastający się cień.

To był portier Janek, o którym opowiadała ciotka. Okazał się ogromnym facetem po sześćdziesiątce, o pociągłej twarzy i kudłatych przedramionach.

— Ja pod dwójkę — rzekł Maks.

— Poproszę dokument.

Maks wytrzeszczył oczy. Janek rozłożył dłonie i niespodziewanie się uśmiechnął.

— Panie Maksymilianie, no, by mnie ładnie prześwietili, gdybym wpuszczał tak o, to nie jest zwykły dom — otarł usta — to Belladonna.

Ledwo zerknął na dowód, odsunął się, wycofał. Hall Belladonny był czarno-biały, niby stary film, przybysz dostrzegł, niczym w starym kadrze, ciemne płytki na podłodze i oślepiająco jasne ściany, pełne obrazów w wąskich ramach. Sztuka nowoczesna. Maks jej nie rozumiał: geometrycznych form rozsypujących się jak ziarna, rozmazanych sylwetek ludzkich, poziomych maźnięć, głębokiego, jednolitego tła. Windę znalazł na lewo od portierni.

— Panie Maksymilianie?

Odwrócił się. Janek stał sztywno i grzebał sobie w uchu.

— Dobrze, że pan przyjechał. Pani Zofia niezbyt nadaje się do Belladonny — mówił o niej jak o rzeczy, o śrubce która nie pasuje — to, panie Maksymilianie, miejsce dla młodych.

— Aha.

Drzwi windy się otworzyły. Janek nagle znalazł się przy nim. Mrugnął. Niby do kumpla.

— Niech pan uważa na Krystiana. Widziałem was. Pan uważa. On

jest ten... no.

*

Maks rzeczywiście nie rozumiał, czemu ciotka zdecydowała się na to miejsce. Stała na progu, w szeroko otwartych drzwiach. Nieumalowana, surowa w swej starości. Włosy farbowane. Złoto na zmiętej szyi. Bransolety. Pomalowane paznokcie u stóp.

— Jesteś.

Uściskała go już w mieszkaniu. Zdjął plecak, postawił, zaraz go chwyciła.

— Boże, jaki ciężki — odłożyła ostrożnie.

— Wcale nie.

— Chodź, chodź!

Belladonnę oddano do użytku jesienią zeszłego roku. Ciotka zdążyła zmienić apartament w muzeum lub skansen, zdaniem Maksa brakowało tylko togi sędziowskiej zawieszanej na ścianie. Wszędzie książki. Tak po sufit. Czarno-białe zdjęcia. Przeszklona ściana wychodząca na werandę. Maks usiadł w skórzanym fotelu. Ciotka dała herbaty.

— Widziałem Alka, jak szedłem — powiedział.

— Och, słońce, daj spokój.

— Wciąż się nie dogadujecie?

Usiadła naprzeciw Maksa, tak blisko, że mogła położyć mu rękę na kolanie. Chyba miała na to ochotę.

— Żeby się dogadywać, trzeba rozmawiać. Niewiele do mnie mówi. Fuka. Fu! Jak na psa! No, mów, mów, jak u ciebie.

Rozmawiali trzy kwadranse. Maks opowiedział o pracy i stwierdził, że przeskoczenie z etatu w buty wolnego strzelca było najlepszym pomysłem jego życia.

— Gdzie piszesz? Gdzie piszesz?

— Tu i tam. Przecież, ciociu, nie znasz angielskiego.

— Okropny jesteś — roześmiała się — i jak ja się mam tobą nie martwić? Nie masz ubezpieczenia i jesteś samotny.

— Nie jest tak źle.

— Ja swoje wiem.

Nachyliła się ku niemu, dotknęła jego ręki. Dłoń miała jak z papieru, ciepłe spojrzenie. Ile ona ma lat? Po dziewięćdziesiątce. Sędzia stalinowska. Kat. Kobieta, która musiała umknąć do Belladonny.

— Dobra herbata, ciociu.

Błysnęło jej w oku.

— Nie jestem głupia. Pytaj, pytaj, sam mówiłeś, po co tu będziesz.

3.

Belladonna. Dosłownie „piękna kobieta”. Wilcza jagoda. Schronienie.

Maks garbił nad planami i zdjęciami. Było ciepło, więc zabrał od ciotki plastikowy stół, krzesło i usadowił się na trawniku, w gardle budynku. Mury Belladonny otaczały go z czterech stron, słońce odbijało się w ekranie laptopa. Zamknął komputer. Czytał. Z kubka parowało.

Belladonnę wzniesiono dokładnie siedem miesięcy temu, w lesie za wsią. Budynek zaprojektował Robert. Robert skoczył. To wiedział. Wykupiono tereny w promieniu trzech kilometrów, ogrodzono, w lesie ponoć znajdowali się ochroniarze, których Maks nie dostrzegł. Budynek ma cztery kondygnacje, dwanaście mieszkań plus apartament na poddaszu. Własność Roberta.

Na trawniku pojawiła się ciotka. Tym razem przyniosła ciastka. Talerz ozdobiony był esem floresem, sama ciotka wskoczyła w bluzę i sukienkę w kratę, światło obnażyło plamistą brzydotę tej kobiety: guzy na szyi, sterczący nos, przebarwienia na dłoniach i policzkach.

— Porozmawiają z tobą — oświadczyła. — Pytałam i wszyscy się zgodzili. Basia i Szczepan nie, ale wiadomo, jak to z nimi. Mówiłam ci o nich? Straszne nieszczęście.

Za Belladonną jest kryty basen, kort tenisowy, pusta siłownia, garaże na wielkie samochody, osobliwy rodzaj sklepu, skąd po prostu towary się bierze, niczym z lodówek hotelowych: chleb kosztuje dwadzieścia złotych, butelka piwa ponad pięć. Papierosy normalnie. W Belladonnie obowiązuje zakaz palenia.

Mieszka tu siedem osób, jeśli nie liczyć dziwek Karola.

Maks przypomniał sobie o Robercie. Zaznaczył. Sześć głów plus dziwki.

— Co właściwie z tym Robertem, ciociu?

Pomógł rozłożyć jej leżak.

— Wiedziałam, że tak będzie. Zalażł tu ludziom za skórę, nie ma co. Nie mówię tylko o Karolu, który nikogo nie lubi. Albo o Szczepanie z żoną, którzy, wiadomo, mają swoje trudności. Tłukł się. Wrzeszczał po nocy. Ale nie miał gości. Basię to chciał stąd wyciągnąć. Od Szczepana.

Mało Szczepan go nie zabił. To dobrze. Nie miał. Myślę, że gdyby... Wybudował ten dom i dom go rozczarował. — ciotka zamilkła.

Znalazł wyciąg z regulaminem, sięgnął po czerwony marker.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wszedł na dach i skoczył. W gruncie rzeczy uderzył tutaj, metr od miejsca, gdzie siedzisz.

Na Maksie ta wiadomość nie zrobiła wrażenia. Czytał.

„Nikt nie może zamieszkać w Belladonnie bez zgody wszystkich mieszkańców”.

— Długo tu mieszkasz, ciociu?

— Pół roku. Prawie co do dnia.

— A dlaczego się tu przenieśliście?

— To już wywiad?

— Powiedzmy.

„Każdy mieszkaniec może zostać usunięty z Belladonny jednomyślną decyzją pozostałych”.

„Z tego powodu, mieszkań nie można kupić. Ludzie wynajmują”.

— Belladonna daje spokój — odparła po chwili — tu nikt nie wrzeszczy przed twoim domem, listonosz nie patrzy dziwnie, nie dzwoni telefon, nikt w nim nie gada. Czasem słyszałam takie rzeczy, że wstyd powtarzać. Jest cicho. Mamy ogród i mogę posiedzieć nad wodą.

— To czemu nie dom? Na działce pod Warszawą.

Ciotce łza zawirowała w oku.

— Nikogo nie mam, kochanie. Przyjechałeś, pojedziesz, masz swoje życie. Daj Boże jak najlepsze. Nie chcę być sama.

— Karol?

„W Belladonnie nie mogą przebywać dzieci, jeśli kobieta zajdzie w ciążę, musi opuścić budynek. Od tego zakazu nie ma wyjątków”.

— Martwię się nim. Pójdiesz, dowiesz się czemu. Myśli, że mnie pognębi. Myśli, że mnie to boli, że jest, że żyje, że mi za coś odpłaca. Ma rację. Tylko nie wiem co.

„Nikt nie może podawać adresu Belladonny do publicznej wiadomości, nie wolno odbierać korespondencji, podawać adresu kurierom czy zamawiać pizzy”.

— Ile kosztuje miesiąc w Belladonnie?

— Nie wiem jak inni. Ja płacę cztery i pół.

— Skąd Karol na to ma?

— Przecież wydaje trzy raz więcej.

— Żeby to! Jak ciocia myśli?

-Dostał po Kaziku. Pół ja, pół on. Zabawne, prawda? Oj, kochanie, kończy ci się ciocia.

„Można przyjmować nie więcej niż dwóch gości naraz”.

„Ciekawe, co na to Karol”, pomyślał Maks. Odłożył wyciąg, przerzucił resztę papierów.

— Powinieneś porozmawiać z Jankiem.

Przerzucał plany, z których nic nie rozumiał, obrócił w dłoniach kolorowy rysunek — wymarzoną Belladonnę.

— Pracuje tutaj sam?

— Są jeszcze strażnicy na zewnątrz.

— Ochroniarze, ciociu.

— Tak, tak. Wiem, z Jankiem to dziwne. Ma pokój za portiernią, tam śpi, ale sam twierdzi, że nie potrzebuje więcej niż trzech godzin snu na dobę. Nie pamiętam, by do czegoś nam się przydał.

Maks zawiesił wzrok na szybach okiennych, w odróżnieniu od tych na zewnątrz, nie odbijały światła. Widział palmy, obrazy na ścianach, wielką rzeźbę kota.

— Janek dużo wie. Rozmowny, miły. A jeszcze raz, kochanie, co to będzie?

— Reportaż. O ludziach, którzy się schowali.

— Bez nazwisk, takich tam?

— Bez.

— To dobrze, ludzie są stęsknieni rozmów.

— Tak — zgodził się Maks i chciał dodać coś jeszcze. Zamilkł jednak, bo w oknie na drugim piętrze pojawiła się twarz kobiety. Kiedyś bardzo piękna. Teraz szła przez nią głęboka blizna, o czarnych brzegach, straszna.

*

Maks zaczął od Kewina. Planował z każdym rozmawiać trzy razy.

Aktor zmienił mieszkanie we własne muzeum i brakowało tylko, żeby oblał się woskiem i zastygł nieruchomo. Zaproponował drinka. Maks odmówił.

— Jestem tutaj, bo chcę zamknąć za sobą drzwi — powiedział. Przymknął powieki. Ruszał gałkami ocznymi, jakby coś obserwował.

Nagle spojrział wprost na Maksa.

— Jak myślisz, czemu ludzie chcą kręcić filmy?

— Kobiety, sława...

— A może miłość do sztuki? Chęć dyrygowania ludźmi? Odegrania się na kimś? — znów zamknął oczy, na jeszcze dłużej. — Powiem ci, jak to naprawdę wygląda. Zdajesz do szkoły. Nie raz, nie dwa, w końcu jesteś i zaraz, pomalutku, łamią cię tak w rejonach trzeciego roku, gruchoczą straszliwie, żebyś nie fiknął na planie, broń Boże w teatrze. Wtedy zaczynasz pić. A jeśli nawet nie, zaczniesz, gdy pierwszy raz komuś obciągniesz.

Maks podziwiał powiększone fotografie na ścianach: Kewin z Lindą, Kondratiukiem, Żuławskim, Wajdą, Henem, Pasikowskim; filmowe fotosy z Seniuk, Żebrowskim, Damięckim. Obok dyplomy. Specjalna półeczka na Złotą Kaczkę dla najpopularniejszego aktora 2002. Przeciwległą ścianę zajmowała rozciągnięta roleta, trzy na dwa. Uśmiechał się z niej wielki Harrison Ford.

— Człowiek chleje na zabój — Kewin gadał z zamkniętymi oczyma — a żeby zarobić cokolwiek, jeździ po szkołach albo gra w małych teatrach, aż wreszcie jest, jest! — napił się, przez krótką chwilę spoglądał na Maksa. — Jak trafisz na plan, to reżyser może na tobie łamać stołki, nawet nie miaukniesz, bo przecież to szansa, więc zasilasz, kurwa, kolejnego gniota o aborcjach i bitych babach tylko po to, żeby w tym czasie jakiś chuj z cipą kosili ciężki szmal w kichach dla telewizji, tylko dlatego, że są, kurwa, śliczni, choć kupa gnoju lepiej zna się na graniu.

Pociągnął nosem, napił się. Miękkim ruchem zmienił pozycję, rozciągnął się na sofie, docisnął powieki kciukiem i palcem wskazującym. Zmarszczył siwiejące brwi.

— Śpię do południa, budzę się i piję mocną kawę. Siadam na tarasie z książką, tak do obiadu. Czasem piszę. Chciałbym opisać to, co wiem. A wieczorami mam czas na filmy.

Kewin wstał, przeczłapał i zrolował Harrisona Forda, odsłaniając półkę w ścianie i rzędy filmów DVD.

— Trochę tego jest, co?

Usiadł. Złączył dłonie pod brodą.

— Pytasz, czemu tu jestem i nie robię już filmów. Belladonna to spokój. — rzekł — A polska sztuka kojarzy mi się już tylko z chujem w

moich ustach.

*

Jeśli Janek popijał, nie dał po sobie poznać. Zderzyli się w windzie.

— O panu Raczkiewiczu to niejedno słyszałem — Janek miał na myśli Kewina. — Zamykał oczy, co?

Maks przytaknął.

— Wiesz pan czemu? Bo mu się pomieszało we łbie od tego filmowania i widzi, czy tam myśli, że widzi, jakiś inny świat, zawsze gdy zamyka oczy. Ten sam. Fantasy takie. Jak w telewizji. Nie mówił panu tego? Toż każdemu gada i jeszcze powie, że w tym drugim świecie lepiej.

Ciotka miała rację — długo dzwonił do Barbary i Szczepana. Ktokolwiek był w środku, nie otworzył, tylko szurał, jęczał i tłukł szkło.

*

Krystian chciał się przejść.

— W końcu poznaliśmy się wcześniej, w parku, prawda?

Maks skinął głową. Chciał poczekać na zewnątrz, ale gospodarz usadził go na pufie i zniknął w łazience. Przez uchylone drzwi Maks widział, jak Krystian wciera sobie krem pod oczy, smaruje dłonie, przedramiona, tors, rzuca sobie krytyczne spojrzenie i przymierza kolejne koszule. Minął kwadrans, nim wyszli.

Lniane spodnie Krystiana wyglądały, jakby pierwszy podmuch wiatru miał rozerwać je na strzępy. Stylista dołożył do tego białą koszulę z kołnierzem wielkim niby żagiel i rzemyk paciorków pod szyją. Szedł boso.

— Nie boję się, tu nie ma szkła.

Pudel gnał przed nimi, obiegał ich, ujadał, a gdy co jakiś czas przepadał w zaroślach, Krystian nawoływał go głosem pełnym niepokoju:

— Freddie! Freddie!

Zapalił cienkiego papierosa z lufki. Maks włączył dyktafon.

— Przyjechałem do Belladonny, bo jestem tym, kim jestem.

Krystian projektował ubrania i stroił gwiazdy, miał na myśli co innego.

— Dyskryminacja?

— A skąd! Odwrotnie! — roześmiał się, rozejrzał po raz kolejny. Rozdarł się: — Freddie!

Pinczer przyleciał, zrobił kółko rundkę wokół Krystiana i zniknął.

— To co pan tutaj robi?

— Mam spokój — odparł Krystian — mam już czterdzieści trzy lata, nie wyglądam, prawda? Ludzie mi mówią: „no co ty, stary, trzydzieści pięć, trzydzieści siedem maks”! A ja się śmieję! Mówię to panu, bo pamiętam stare czasy. Człowiek się krył! Szukał! Pieprzyliśmy się w bramach i na dworcach! Wyciągało się gnojków z technikum! A potem na studiach! Rozumiesz mnie, Maks! Lubisz te sprawy?

— Trochę inaczej.

Krystian wybuchnął śmiechem.

I klepnął Maksa w środek pleców.

— Pewnie, że wiem! Taki jak ty! Och, uwierz, że chciałbym! Nie patrz się tak, przecież nic ci nie zrobię!

Maks przesłał mu niepewny uśmiech.

— Kiedyś wyrwanie luja to było coś. Ekscytacja! Ekscytacja! Teraz ludzie łązą za mną. Chcą się przyjaźnić, jakby to był jakiś pieprzony obowiązek, mieć jedną ciotę na grupę. Głupie, nie?

Przystanął, oparł się o drzewo. Zmrużył oczy.

— Dawali mnie do programów w telewizji. Udzielałem wywiadów do portali i pism, a tu patrzę, moje zdjęcie wydrukowane, a obok, na tej samej wysokości, męski, włochaty tyłek wpina się na mnie. Tyłek, chłopcze, to skarb. Tyłek to jest coś. Masz na imię Maks, nie?

— Maks.

— To sam widzisz. Jestem kimś innym. Rozumiesz mnie? Musiałem tu uciec, by znów to poczuć.

Freddie dopadł do jego nóg, jakby się stęsknił. Merdał ogonem, szczekał i się ślinił. Krystian głaskał go chwilę, wciął na rękę, pies miał dość. Zeskoczył i umknął.

Krystian przygładził włosy pofarbowane na głęboką czerń, uśmiech ukazał wyżłobienia w twarzy; zęby miał sztuczne.

— Nie wyglądam na swoje lata, co nie?

*

Janka nie było na portierni. Maks zadzwonił, poczekał i dostrzegł, że drzwi do kanciapy są uchylone. Janek siedział przy biurku, przed sobą miał cztery rozłożone zeszyty i zapełniał czwarty.

— Notuję wszystko — powiedział — nauczyłem się. W moim wieku

tak trzeba. — Podniósł głowę. — Tak mi się głupio zrobiło, wie pan, panie Maksie, że tak panu powiedziałem o Krystianie. To w porządku gość. Naprawdę. Mało który z normalnych jest tak porządny co on — gadał, a Maks się chwiał — swoich nie rusza. Mi raz powiedział: „panie Janku, jakbym się upił i pana za dupę chwycił, niech pan śmiało mi w mordę da”. Ale przyjeźdnemu nie daruje. A jak za Robertem łąził! Popłakał się, bo dostał kosza. Nie ma nawet mowy. No, ale mało kto tu przyjeżdża, rozumie pan.

*

Mieszkanie Karola przypominało wąski loch, ściany błyszcząły jak pokryte śluzem. Maks szedł sam, prowadzony przez głos gospodarza, przekraczał rozmemłane kupy ubrań, trącał butelki.

Karol czekał w salonie, ubrany w japoński szlafrok, przewalał się przez fotek. Maks usiadł naprzeciwko. Na stoliku między nimi stała flaszka Jamesona, upalcowane szklanki, folia z resztkami jedzenia i woreczek foliowy z żółtym proszkiem. Meta, rozpoznał Maks. Myślał, że ludzi w typie Karola stać na lepsze rzeczy. Koks, crack.

Karol miał cienie pod oczyma i spierzchnięte usta, ale wyglądał nienajgorzej. Brzuszek był całkiem pokaźny. Za pół roku twarz mu się osunie, oczy wytrzeszczą, wyobrażał sobie Maks, a za jakiś rok, półtora, żółta skóra opnie się na kościach jak u trupa.

— Po co ci to? — zapytał Karol.

— Piszę. Reportaż.

— Weź nie pierdol.

Maks nie zdążył odpowiedzieć — Karol parsknął nerwowym śmiechem, włożył mu butelkę w dłoń. Można się napić. Po takim dniu.

— Nie zarobisz. Będziesz siedział tu tydzień, dwa nim wszystko złożysz, popisziesz, ktoś weźmie, dostaniesz cztery stówki i won, spierdalaj. A jeszcze ten skurwiel, Szczepcio, poda cię do sądu, jest takim chujem, że zrobi to, choćby miał przegrać.

— Nie jestem takim reporterem — zapewnił Maks.

Karol przyglądał mu się badawczo.

— Chcesz posłuchać o Belladonnii? Proszę cię bardzo — zabrał się za metę — Szczepcio i Basia. Ktoś chlusnął Basi prosto w ryj! O! Kwasem! Albo kretem! A była wcześniej taka piękna, że pała zęby wybija. Widziałem zdjęcia! To zrobiła sobie cucky. Żeby Szczepcio nie poszedł

wpizdu! A Szczepcio wie, co robi! — wciągnął, załzawiło mu oczy — nie raz, nie dwa, panienki ode mnie, tup, tup do nich, dwa w jednym, dwa razy zarobią. Rznął je przy Basi. Albo i z Basią! Kumpli sprowadza. Morde ma dziewczyna jak gównno, ale cycki, ten brzuszek! Chcesz, chcesz dalej?

Maks kiwnął głową.

— Krystuś to menda farbowana, dopierdala z tym swoim kundlem i do każdego się uśmiechnie, ale, kurwa, mówię ci, on nienawidzi nas wszystkich jak psów. Mnie, ciebie. Całego świata. Za to, kim jest. — Teraz druga dziurka, napił się, zapalił. Cały się trząsł. — Kewinek nasz jest po prostu tak tępny, że to przekracza wyobrażenie, co nie jest może do końca jego winą, zwłaszcza że nikt nawet na niego się nie odeszcza. Ale są lepsi. Ta stara pizda. Janek.

Wbił wzrok w dyktafon.

Podniósł, wrzasnął wprost w mikrofon:

-Staaaara pizda!

Klasnął w dłonie.

— No! Ale najpierw o Janku, skąd on się wziął, wziął się przez ciotkę, bo był jej ochroniarzem w latach osiemdziesiątych. Skurwiel, oderwany wprost od pałki i tarczy, tępny, cięty na szmal tłuk, musiała suka go za sobą przytargać. — Karol opadł pięściami na stół, wygiął kark, przewrócił oczyma. — Idę o zakład, że liże zdjęcia małych dzieci. Coś pisze tam sobie. Zbiera, klaruje przyszłość w swoim małym mózgu, bo co będzie, jak stara kurwa zdechnie, daj Boże jej długie zdychanie, w ropniach dziwce konać, zapisze mu? — syknął — Maaaaaks! Jak myślisz? Zapisze, nie zapisze, a jak nie jemu, to komu? Myślisz sobie o tym czasem, prawda? Jest sobie domek, w domku stara baba. I jest sobie szmal.

Wywalił język. Wybił się w powietrze, opadł na fotel, nogi miał wyżej od głowy. Nucił:

— No, kto weźmie szmal? No, kto weźmie szmal? Może ty, może ty, może jednak ja!

Usiadł, wciągnął znowu, napił się. Oczy miał jak mokre jamy.

— Myślę że Robert sam chciał skoczyć na kasę, bo chodził do niej nieustannie, jakby masło mu futrowała, gównno jednak dostał i skoczył na łeb. Jak na mnie, wszyscyśmy mu dojebali po równo, tylko pizda trzy razy tyle.

— Co się stało?

Roześmiał się.

— Po mojemu powinienes zbajerować zomowca, żeby pokazał ci jego chatę — powiedział i zmienił temat: — Więc stara pizda zjechała tutaj, żeby jej nie dopadli. Dzieci, wnuki tych, co ich zamordowała, tak, zamordowała inaczej tego nie nazwiesz i ja sam, gdybym przed nią stanął, zostałbym zamordowany, tu brak wątpliwości. Przecież ja zebrałem, pełzłem niby robał, żeby ją skazano! A teraz suka się chowa. Nie przed pudłem, kto by pudło w pudło wsadzał, Maks, zdrówko, ona się boi. Łapiesz? Śmiertelnie się boi.

Teraz Karol siedział sztywno, ze szklanką i papierosem.

Maksowi już szumiało w głowie.

— Boi się cegły ciśniętej przez szybę. Kogoś, kto napluje w ten skurwiały pysk. Uderzy. Skopie na śmierć. Nasra pod drzwiami albo zwyczajnie będzie za nią lazał i wrzeszczał. O cieście znasz?

Maks pokręcił głową.

— Każde próchno lubi jeść, wiadomo — radował się Karol — zamówiła ciasto w cukierni. Ktoś nasypał tam szkła. Pełno małych okruszków. Język jej pocięło.

— A ty? — Maks miał dosyć.

— Co ja?

— Co ona ci zrobiła?

— Nie chcę jej. Pizda, co? Pizda bez duszy, która osłabła. Może być coś bardziej żalostnego?

Milczeli chwilę.

-Mogę o coś spytać?

Karol kiwnął głową.

— Czemu tak się dręczysz?

— Och, innego życia nie znam i nie potrzebuję. — Był śmiertelnie poważny. — Chcesz mnie spytać, czemu tu jestem. Otóż, dlatego że pizda mnie kocha.

Nalał jeszcze. W butelce zaświeciło dno.

— Jeśli kogokolwiek, kiedykolwiek mogła pokochać, padło na mnie, nie wiem, kurwa, czym na taką radość zasłużyłem. Trudno. Ona niczego nie żałuje. Jest zadowolona z siebie suką. Niech widzi to wszystko — wskazał na stolik — niech patrzy, co ze sobą robię. Niech przez to nie śpi i ryczy. Nie pozwolę, żeby zdechła spokojnie.

*

— O, widzę, że się popiło — Janek poderwał głowę znad monitora — z panem Karolem, coś mi się zdaje?

Maks myślał niejasno o sędziach i zomowcach.

— Wie pan, czego najbardziej się boję, panie Maksymilianie? — Janek wstał. — Że ja go znajdę. Otóż to. Nie wyjdzie przez dwa, trzy dni, zapukam i znajdę go, z twarzą w gównie. Widziałem takich, co umarli od wódki, zbierałem z bram martwych narkomanów. Potem będę musiał pójść do pani Zofii i powiedzieć, że jej wnuk właśnie umarł.

Minął Maksa, chciał zapalić na zewnątrz. Obrócił się, spojrzał poważnie.

— Ma pan zdrowie, swoją drogą.

*

Maks zbudził się w środku nocy, wóda nim trzęsła. Ciotka mruczała przez sen. Wstał. Nie mógł się pozbierać.

W kuchni znalazł mleko, pociekło mu po brodzie, aż na podłogę.

Belladonna była cicha, niewzruszona. Stanął przy oknie i patrzył na wysokie ściany i ciemne, milczące okna. A potem zerknął niżej, na coś, co wydało mu się szmatą, a okazało się człowiekiem. Leżał twarzą w trawie z rozkrzyżowanymi dłońmi.

4.

Najpierw uważał, że to Karol. Zmienił zdanie pod drzwiami Szczepana i Barbary. Na wycieraczkę padało zimne światło. Brzmiały kobiece jęki, sapnięcia kilku mężczyzn, ktoś charczał, brzęknęło szkło.

Niech się bawią. Któryś przesadził i skoczył. Za dużo dziś gadano o trupach i to stąd.

Dopiero na dole Maks zrozumiał, że nie wie właściwie, co się stało ani z czym ma do czynienia. Owszem, kształt na trawie był ludzki, martwy i zimny. Maks bał się dotknąć. Palce były sztywne, nadgarstek twardy. Nie bez wysiłku przewrócił to coś na plecy, szkliste oczy spojrzały w niebo.

To lalka, pomyślał. Na pewno. Lalka. Coś w tym rodzaju.

Przyświecił komórką. To, że ma do czynienia z kukłą mężczyzny ocenił raczej po sylwetce, niż kształcie twarzy. Ta jakaś nedorobiona była. Zaklejone dziurki w nosie, usta w które ręki nie włożysz, żadnych zmarszczek, brak brwi, szczotka włosów.

Maks poszedł po kamerę. Wracając, dobijał się chwilę do Janka, bez skutku.

Kukła znów leżała twarzą do dołu.

*

Ktokolwiek odpowiadał za konstrukcję Belladonny pokpił sprawę. Widziany w pełnym świetle dnia budynek nie sprawiał już tak korzystnego wrażenia. Ściany, które wieczorem wyglądały na białe, okazały się szare, sufitem szła rysa, a i sam sufit wcale nie był tak odległy jak się wydawało. Zdziwiony Maks wyszedł na zewnątrz.

Słońce obnażało brzydotę budynku, jego przedwczesną starość. Nowoczesna linia wyraźnie zgrzebla, zbiła się w niemal gierkowskie kształty, jakby projektant nigdy nie opuścił Ursynowa. Maks gapił się chwilę.

— Mam prośbę do pana, panie Janku — powiedział przy portierni — mógłbym zobaczyć mieszkanie Roberta?

Janek podrapał się po głowie.

— A po co ci to?

— Do książki.

Znów się drapał. Jakby chciał oderwać sobie płat skóry.

— No dobra! Jak do książki, to idę tam z panem.

Robert mieszkał na ostatnim piętrze. Janek bez trudu znalazł właściwy klucz, puścił Maksa przodem i został w przedpokoju. Tylko zerkał. Na prawo, na lewo. Maks szybko poddał się rozczarowaniu; inaczej wyobrażał sobie mieszkanie należące do trupa. Nie było książek, sekretnych zapisków, papierzysek czy testamentów. Kilka książek. Szafa z ubraniami. Brudne naczynia smutnego kawalera. I obrazy, szkice, rzeźby. Całe ich dziesiątki na ścianach.

Większość wyobrażała Belladonnę, na tle drzew i różnych słońc. Budynek złożono z grubych kresek, ciemnych jaskiń okien, ostrych anten, więziennego muru. Im dalej, tym mocniej, zarazem, bardziej pospiesznie, jakby Robert wykluwał z siebie te płótna, rozwijał je, zwijając własne życie. Byle szybciej.

Maks wydobyl kamerę, zerknął za siebie, na nieodgadnioną twarz Janka. Nakręcił całe mieszkanie, robiąc detal na brudnych garach, przełączył na aparat, ustawił ostrość, zaczął robić zdjęcia obrazom. Mało go nie zemdlilo. Coś w nich siedziało, jak robak pod skórą.

Robert malował w drugim pokoju, tam stała sztaluga i stół pocięty nożem do żywego drewna, farby, płachty papieru, węgielki. Obrazy rzędem, jeden ledwo wysechł.

Kompozycja, drzewa, jak w tych z Belladonną.

Być może Robertowi znudziło się malowanie tego samego budynku, może gdzieś pojechał albo trzaskał ze zdjęcia. Maks ustawił aparat. Pstryk. Samotny blok gierkowski, stojący wśród pól. Pstryk. Kamienica czynszowa, też sama. Pstryk. Dom chłopski, strzechą kryty. Pstryk, pstryk. Jama rozdzierająca zielone zbocze. Pstryk.

Maks westchnął.

Napisy mażnięte na świeżej ścianie, bezładne smugi złożone w nibylitery: „OGRÓD”. Nieco niżej: „ZAWSZE MOŻNA WRÓCIĆ (WSZYSTKO WRACA)”.

Drobne litery, przepisany trzykrotnie wywód: „Jeśli czas jest nieskończony, a suma wydarzeń owszem, wszystko musi przebiec jeszcze raz”.

Tak Robert napisał trzy razy.

Na ścianie nad łóżkiem Robert napisał: „ZMIAŹDŹ GŁOWĘ WĘŻA. ZMIAŹDŹ GŁOWĘ WĘŻA”...

Ostatni obraz stał na sztaludze. Jeśli to był obraz. Białe, niezagruntowane płótno ochlapano farbą, farbę tę, matowoczną, rozmazano w nerwowych ruchach, pozostała po tym wszystkim nieregularna plama o ostrych brzegach, brzegi te ciążyły ku granicom obrazu, chciały je przekroczyć.

„ZMIAŹDŹ GŁOWĘ WĘŻA”. Pstryk.

*

-Jak go tylko zobaczyłem, to wiedziałem, że dobrze nie będzie — Janek opierał się o ścianę korytarza — chłop miał, panie Maksie istnego szmerla na punkcie tego domu. Zaprojektował, włożył własne pieniądze, nie na wszystko, bo skąd taki by miał, kazał sobie zbudować tę norę coś pan był. A potem, uuuu, to się porobiło. Jakby chciał wszystkich stąd wypieprzyć. Wył. Ludzie go nie znosili, tylko co ja miałem, co miałem mu zrobić, debilowi biednemu, skoro on mnie zatrudnił?

-Słyszałem że ciotka.

-Pani Zofia poleciła, a Robert nieboszczyk zatrudnił. Tak to panie Maksymilianie świat się kręci.

*

Widziana od tyłu pani Barbara była piękna. Maks się zatrzymał.

Patrzył na nierzeczywiście wąską talię, na szczupłe, proste nogi o wyrobionych łydkach i nagie ramiona, na rąbek ogromnego biustu, widoczny pod pachą. Odwróciła się, sztuczne piersi ledwo mieściły się w bluzce. Nad nimi błąkał się uśmiech, przepraszający i przepołowiony.

Blizna zaczynała się już na brodzie, gdzie czerwone dołeczki zlewały się w głęboki korytarz zasuszonej rany. Blizna biegła przez wargi, policzek, łuk brwiowy aż po czoło, tam się rozdwajała. Pod Maksem ugięły się nogi. Jakoś nie upadł, jakoś się przywitał.

— Słyszałam, że rozmawiasz z ludźmi. Mój mąż nie chce cię widzieć. Ja chętnie opowiem.

— Gdzie jest teraz? — Maks poszukał oparcia w ścianie. Szorstki tynk uwierał go w plecy.

— Pojechał, jak zwykle. Pracuje przy lekach. Bardzo dobrze zarabia. Nie chcę go stracić, wiesz? Mogę ci mówić na ty? Mogę?

— Maks.

— Baśka! — znów się uśmiechnęła. — Chyba nie muszę ci mówić, czemu tu jestem? Czemu się chowam?

Pokręcił głową.

— Przykro mi.

— Każdemu jest cholernie przykro. Pociął mnie, wiesz? Chlusnął mi w twarz kretem, a potem pojechał brzytwą. I czekał przy mnie, żeby się nie zrosło. Mój mąż, wiesz? Ale spotykałam się już ze Szczepanem.

Maks mógł tylko kiwnąć głową.

— Lekarz mi powiedział: „Niech pani się cieszy, że pani widzi”. Sukinsyn, nie?

— Przepraszam, że pytam. Ale czy...

— Można coś z tym zrobić? — zbliżyła się do niego na dotknięcie biustu, poprawiła włosy, długi kosmyk zasłonił jej połowę twarzy. — Pewnie, można. Czas, po prostu czas. Wyglądało to trzy razy gorzej. O operacjach mogłabym książkę pisać. Cycki gratis! Tak Szczepan się śmieje. Tyle to kosztowało. Za miesiąc znów idę. Mówią, że na koniec zostanie biała kreska, ledwo widoczna, że jak nie będę się opalać to ludzie się nie domyślą. Za rok. Już za rok.

— Co z nim. Z pani mężem?

— Przecież jestem Basia. Siedzi, skurwieli. Prędko nie wyjdzie. Mam się cieszyć? — przysunęła się jeszcze bliżej, czuł perfumy, widział teraz przebarwienia skóry na policzkach. — Oboje siedzimy w więzieniu. Dziwnie mi, wiesz? Dziwnie tu być. Czasem myślę, że Szczepan się cieszy.

— Z czego?

Próbował nie patrzeć, przeniósł wzrok na zażółcony, popękany sufit.

— Nie mów, że nie słyszałeś.

Nie powiedział.

-Chciałabym, żeby na mnie normalnie patrzył. Żeby ktoś, ktokolwiek, normalnie... — Uroniła łzę. — Nie mamy czasu, prawda? Ja...

Włożyła nogę między jego kolana, otarła się tak, że sutek został uwolniony, poczuł jej oddech, dostrzegł każdy czerwony szczegół blizny, odsunął się odruchowo i było już za późno. Zmalęła w jednej chwili, stała, jakby poprzetrącano jej stawy w barkach.

— Nawet ty — powiedziała — nawet ty.

*

— Nie wyobrażam sobie tego, no co ty, z nią? — gadał Janek — ale

są tacy, co umieją. Mieliśmy kiedyś w Zabrze kurwę bez nogi. Prawdziwego, regularnego kurwiszona, taką tłustą osobkę. Waliła się jak złoto, tylko tej nogi nie miała. Pod kolanem, nie tak źle. I była sławna jak ta cholerna Madonna, ludzie się zjeżdżali, bo bez nogi, bo bez nogi.

*

Wieczorem Maks poczuł przemożną potrzebę zapalenia; była tak silna, że aż skręciło go w środku. Nie wiedział skąd wziąć papierosa, poprosił Janka, Janek wygrzebał mentola z przedniej kieszeni dżinsowej kurtki.

Maks przypomniał sobie o kukle na podwórku. Pomyślał nawet, że powinien zagadnąć o nią Janka, że teraz jest miejsce i czas po temu — czy ją zabrano, a jeśli tak to gdzie. Milczał, poszedł sprawdzić.

Bardzo długo obracał papierosa w dłoniach, gniótł tytoń, a gdy wreszcie odważył się podnieść go do ust, upuścił zapalniczkę. Zanurzył dłoń w mokrej trawie. Ziemia weszła mu pod paznokiec. Zapalił.

Ciało, kukła, cokolwiek to było, unosiło się metr nad ziemią. Ręce były sztywne, język sterczał jak świec.

Maks wypalił, gapiąc się na wytrzeszczone oczy, na zmarszczki wokół nich i szkliste zęby. Takie to wszystko zrobiło się nieruchome. Przeturlał się pod ciałem, już nie kukłą, by sprawdzić, czy nie ma podpórki. Nic. Wrócił, poszukał drąga, ale znalazł laskę ciotki. Machnął raz i drugi, nie natrafił na żyłki, sznurki, na cokolwiek.

— Dobry Boże, to przecież Robert!

Krystian stał u drzwi, patrzył i nie wierzył w to, co widzi. Maks przesłał mu uśmiech, zostawił i wrócił z kamerą. Zaczął kręcić.

5.

Rano planował uciec. Gapił się w niski sufit, na nieszczelne okna, tanią lampę, meblościankę, wreszcie na ciotkę sunącą przez dywan z dymiącą herbatą. Po prostu wstał. Kamera wyglądała na przywleczoną z innego świata. Tak jak kolorowy t-shirt, dżinsy, sportowe buty.

Pobiegł bosy. Nie oglądał się za siebie, aż stracił oddech, wpadł na siatkę, która nie była taka jak wcześniej. Grubą i brudną, rdzewiejącą. Nie szukał wyjścia, przeskoczył, na Belladonnę spojrzął dopiero z cienia drzew.

Był to blok podobny do tych, które stawiano za Gomułki, tyle że mniejszy. Cztery piętra kwadratowych okien i cztery okna w każdym rzędzie. Wąska klatka schodowa. Zieleń odgradzona betonowym pasem, żeby nie podeszła pod ściany. Maks mógł się uszczypnąć. Podłubać w nosie tak głęboko, żeby palec wbił się w mózg.

W zamian włączył kamerę, zrobił długie, statyczne ujęcie bloku, obszedł go dookoła, cały czas kręcąc. Mokrymi dłońmi wyjął dyktafon, spróbował trafić we właściwy przycisk. No, wreszcie. Powiedział:

— Jestem przed budynkiem Belladonna, który nie jest już tym samym budynkiem co wczoraj. Uległa zmianie jego forma, podejrzewam, że architektura wnętrza również. Czy za tym idzie zmiana materiału budowlanego? — Złapał oddech. — Tego niestety nie wiem i muszę to sprawdzić.

Schował kamerę i dyktafon. Wrócił do budynku, tym razem przez bramkę w siatce.

Belladonna cuchnęła śmieciem, prochem, brudem. Drzwi były niemal kwadratowe, w czarnej futrynie ciemniło się porysowane szkło, za szkłem były schody, na schodach Janek z papierosem w gębie. Drzwi obok, w miejscu, gdzie, tak mniej więcej, znajdowała się jego kanciapa, stały otworem, odsłaniając lichy, drewniany parkiet, gumofilce i płaszcz ortalionowy na kołku.

— Co tam, panie Maksie, tak pan się włóczy? Gonił pana kto? — zagadnął Janek.

— Czemu miał gonić?

— Boś pan mokry i cuchniesz, jakbyś się pan posrał! Czekał, kolego, ja tu coś mam dla takich jak pan.

Zniknął u siebie. Powrócił z butelką bez naklejki i dwoma srebrnymi, pociemniałymi kieliszkami. Rozlał. Maks był tak zbaraniały, że wypił.

Sufit wisiał nisko, tkwiła w nim lampa pod kanciastym kloszem; ściany były żółte, pełne jaśniejszych śladów po pociągnięciach palca. Do piwnicy biegły schody jakby wykute w kamieniu i to byle jak. Z dołu bił rzygliwy blask gołej żarówki.

— Co tu się stało? — zapytał Maks.

— No co? Na drugą nóżkę!

— Panie Janku, czy pan, kurwa, ośleplł?

Janek, który właśnie szykował się do rozlewania kolejki, zesztyniał i spochmurniał. Odstawił kieliszek.

— A ty kto, gnojku, jesteś?

— Czy pan nie widzi...

— Tyś się, kurwa spił. Albo coś wączasz. Albo durnia grasz przede mną.

Maks milczał chwilę.

— No co? — warknął Janek. — Wypierdalaj do siebie.

— Przecież tu wszystko jest inne...

— Będzie inne, jak kogoś wam dokwaterują. Moja w tym głowa, jak będziesz pyskował — tak powiedział i się napił, ubił papierosa bez filtra. Dym pachniał, jakby paliło się zasuszone gówno, Maks nie chciał tego wąchać. Nie posłuchał rady Janka, nie wypierdolił do siebie. Bał się. Na półpiętrze zastał kaloryfer, ale niepodpięty, za oknem — parapet z cienkiej blachy.

Znów zaczął kręcić. Zrobił ujęcie klatki, gołego kabla w suficie i zaraz, bardzo powoli, tak by nikt nie doszukał się montażu skierował obiektyw za okno, na Warszawę, zarys Pałacu Kultury i wieżowców klasy S w centrum.

— Boże!

Za nim stał Kewin.

Obcisły golf nadawał jego ciału wrażenie niezwyklej chudości. Zapaścił brodę jak u diabła. Trząśł się, szłochał, Maks wziął w ramiona ten wielki dygot, przycisnął. Zrobiło mu się lżej.

— Zniknęło! — wyznał Kewin. Wybałuszył zażawione oczy.

— Zmieniło się, fakt.

Kewin uspokoił się na tyle, by zapalić. Wsadził w lufkę krótkiego papierosa.

-Co pan tam wie.

-Przecież widzę! — Maks odzyskał rezon. — Nie ma Belladonny. Nic nie ma, tylko ten syf.

— O czym pan gadasz?

Po doświadczeniach z Jankiem, Maks był ostrożniejszy.

— Nie sądzi pan, że jest u nas inaczej niż wcześniej?

Kewin machnął ręką.

— Syf jaki był! Co mnie to obchodzi. Ja nie widzę! Gdy zamykam oczy, nie widzę nic a nic!

— Bywa.

Kewin wybałuszył oczy na Maksa. Przekrwione, ogromne.

— Musieli panu mówić! Każdy mówi, śmieją się ze mnie, wiem, co mam nie wiedzieć — wołał — ale ja naprawdę wdziałem. Przeważnie morze. Albo wielki, spokojny dom! Ludzie tam byli, mówili do mnie. Czytałem z ich ust. Obudziłem się i przepadli. Nic. Tylko maż. Gównno!

— Śniłeś o nich?

— Gównno! — powtórzył Kewin. — Mówię ci, to nie był sen.

Rozpłakał się znowu, zupełnie bezradny. Maks zostawił go na półpiętrze.

Na piętrze znalazł się w kropce; układ mieszkań uległ zmianie, miejsce załomów Belladonny zajął prosty korytarz. W nim szereg drzwi. Maks otworzył pierwsze lepsze bez pukania. Kręcił.

Śmierdziało. Korytarz był pusty, bez buta ani butelki, pokój za to — zrujnowany. Szmaty zamiast mebli, materac w miejscu łóżka, ślady rzygów na ścianach, gazety umazane w gównie. Za łazienkę starczał brodzik przesłonięty szmatą, coś w nim gniło. Maks filmował. Z kuchni doszedł łomot.

Schował kamerę.

W kuchni, na taborecie siedział Karol. Chudy, w brudnej kwiciastej koszuli i potarganych spodniach. Strąki miał jak robaki, w garnku mieszał heroinę.

— Czasem myślę że wszyscy tutaj powariujemy — powiedziała ciotka.

Maks ledwo umiał ją słuchać.

— Pomógłbyś mi napisać skargę?

— Na co, ciociu?

— Na nich wszystkich, a co?

Jej mieszkanie stało się wielkim zbiorem przypadków, stłoczonych pod ciemnym sufitem: sekretarzyk z przedwojnia, stół wielki i czarny na jednej nodze, krzyż kościelny, ten sam, co był, a obok białe szafki, podobne do tych, które w dzieciństwie Maks widywał w szpitalach.

Ciotka naszykowała herbatę w wysokiej szklance, szklankę umieściła w metalowym koszyczku. Wcisnęła cytrynę.

— Na tych z góry, małżeństwo takie. Nic tylko się żrą. A jak przestają się żreć, to wiesz, tylko ich nie ruszysz, Szczepan pod kimś wisi. Jak myślisz, można by go..

— Nie wiem, ciociu.

Całe sterty gazet leżały pod oknem.

— Pewno można. Sama nie jestem. Jest ten chłopaczek na trzecim piętrze. Krystian. Miły. Nie idź do niego. Proszę. Powie ci, żebyś przyszedł na wódkę albo zobaczyć telewizję. Nie idź choćby nie wiem co.

Maks tylko pokiwał głową, pozwolił jej mówić.

— Najpierw mieszkał z takim rzeźbiarzem, starszym, mówił, że rzeźbiarz to wujek. Akurat! Potem wujek się powiesił, Janek znalazł go, jeśli musisz wiedzieć, po wujku był student! Dobre sobie! — zaśmiała się. Na jej szklance pozostał ślad szminki. — Wywalił niedawno studenta i teraz nocują u niego inni. Młodzi, starzy, raz na czas.

— Głośny jest?

— No nie jest. Jakbyś go zobaczył, dusza nie chłopak. Dlatego proszę, uważaj, spije cię..

— Nie pójdę.

— Dobrze! Dobrze! Cichy jest i niech sobie żyje, czasem myślę, najporządniejszy ze wszystkich, ale na razie tu nie ma dzieci! A jak będą, to co? Sam powiedz! Będzie trzeba Krystiana usunąć.

Maks utkwiał wzrok w pleciance nad tapczanem.

— A dokąd?

— Niechby i do więzienia! Ja wiem, jak rozumiem, ale dzieci, Maksiu,

dzieci są najważniejsze!

— Masz rację. A jak twój wnuk?

Ciotka przyłożyła rękę do ust. Nie próbowała opanować płaczu.

— Przecież widziałeś! Dlaczego on mi to robi?

Nie odpowiedział.

— Żebym taką starość miała. Czasem znowu myślę, żeby napisać, zadzwonić. Niech go zamkną! Tak! Niech go zamkną! W więzieniu przecież nie będzie brał!

*

Zniknął także ogródek wewnątrz budynku, żadne wnętrze nie istniało, Maks zrobił sobie krótki spacer. Zamiast pomieszczeń gospodarczych, ze sklepem i magazynem zastał bury rząd garaży, siłownię zastąpił trzepak, obok trzepaka znajdowała się huśtawka z opony. Nie wiadomo ona dla kogo, nie było tu przecież żadnych dzieci.

Wiedział, że nie zaśnie, ale gdy tylko zwałił się w pościel (twardą i przykrą) ogarnęła go senność. Leżał tak jak filmowi kochankowie, na plecach, z obnażonym torsem. Gapił się w sufit, słuchał zgrzytów przemiany Belladonny.

Czy ona przeobraża się na moich oczach, czy tylko kiedy je zamknę, pytał siebie, jeśli wraz z domem zmieniają się ludzie, to czemu ja się nie przeobrażam? A może tak się dzieje, tylko nie umiem tego zobaczyć. Oni tego nie widzą. Ciotka i inni.

Przymknął oczy. Otworzył.

Sufit jest inny niż przed momentem? A nie?

Belladonna jęczała i przesuwiała się w sobie. Szuranie betonowych płaszczyzn. Jęk drewna, syk topiącego się szkła. Trzask kości. Łomot. I oddech, coś na kształt. Pompowanie powietrza z piwnicy.

Maks usiadł na łóżku. Warszawa drżała za szybą, pełna kolorów, wielkich świetlików przybitych ludziom do domów. Na Okęciu musiał trwać remont, coś w tym stylu — kilkanaście samolotów kołowało nad miastem.

Naprzeciw twarzy Maksa znalazła się inna twarz, ostra, ścięta. Martwy człowiek z napuchłym karkiem unosił się na wysokości pierwszego piętra. Nieruchomy. Ręce miał rozłożone.

6.

— Wstałeś! Już miałam cię budzić.

Maks bardziej chwiał się, niż stał.

Sufit kuchenny pojechał w górę, pod blachą kuchni wesoło trzaskał ogień, drewno leżało w wiklinowym koszu.

Sztuńce na stole były srebrne, zdobione w kwiaty. Na dnie talerzy kotłowały się kolorowe zwierzęta. Ciotka siedziała na drewnianym krześle z wysokim oparciem, suknię miała ciemną i prostą, siwe włosy spięte. Herbata parowała z drobnych filiżanek. Dłoń Karola także była drobna.

— Która godzina? — wykrztusił Maks.

Karol wydobył zegarek, jaki mógłby nosić Sherlock Holmes, na łańcuszku.

— Dziesiąta.

— No, to pospałem — Maks usiadł. Ciotka dała mu herbaty. Krążyła. Po kuchni rozszedł się nieprzyjemny zapach.

Karol miał białą koszulę, kamizelkę z rozpiętym kołnierzykiem, rękawy podwinął do jedzenia. Maks w życiu nie widział tak równo wyprasowanych spodni, tak prosto ściętych wąsów, gładkiego podbródka. Tylko oczy zdradzały kim jest naprawdę, przekrwione szparki otoczone brązowymi płatkami skóry.

Przed Maksem wylądował talerz zupy mlecznej. W oczach ciotki, Maks dostrzegł, że musi ją zjeść. Więc zjadł. Nawet nie było tak źle. Nikt się nie odzywał, aż nie skończył.

— To kiedy przyjadą twoi przyjaciele? — ciotka mówiła bardzo wolno, patrząc na Karola, jakby chciała podmyć mu grunt tymi słowami.

— Obawiam się, że nie przyjadą. Ciocia wie, jak teraz trudno porzucić interesy.

— Twoje jak przebiegają?

— Nie tak źle, żebym nie mógł ręk babci ucałować.

Rzeczywiście, tak uczynił.

Maks wyjął kamerę, skierował na nich szklane oko. Zastygli, zamrugali. Karol nie puścił dłoni cioci Zosi, zdumiał się tylko.

— A to skąd? — zapytał.

— Szkiełko — odrzekł Maks.

— Szkiełko z Warszawy? — chciała wiedzieć ciotka.

— Z Warszawy.

— Ale tu mruga drugie — wysilił się Karol.

— O, to się kręci — palec ciotki zbliżył się do obiektywu.

— Zaraz przestanie — odparł Maks, zrobił zbliżenie i wyłączył kamerę. — Niedługo wszyscy będą takie mieli.

Nie zdążył schować. Ciotka dotknęła opływowego, plastikowego kształtu, przejechała samym czubkiem palca, maska spadła, twarz stężała jej z wysiłku. Tak można patrzeć na człowieka, myśląc: znam go czy nie znam?

Zabrał kamerę. Uśmiechnął się do zbaranianego Karola. Wyszedł na korytarz, omal nie wpadł na Szczepana z Barbarą. Prowadził ją, ona trzymała go pod rękę. Miała woalkę zasłaniając bliznę. Rękawiczki. Zniknął ogromny biust. Barbara, wolną dłonią unosiła ciężką sukienkę, odsłaniając łydkę. Tak, by Maks widział.

Szczepan gapił się przed siebie, tłuk wycięty z jednej bryły. Monokl tkwił w wodnistym oku.

Maks zszedł w ciemność, po schodach. Ku szerokim drzwiom.

Po kanciapie Janka nie pozostał ślad. Korytarz był jak kościelna nawa, wysoki ginął w mroku, tam, pod samym sufitem mogły czaić się nietoperze i pradawne potwory, węzowe ogony biły o sklepienie.

Słońce oślepiło Maksa, wszedł w grubą, wysoką trawę, gładził nabrzmiałe kłosa, opuścił żwirowy trakt i przespacerował się po miękkiej ziemi. Niebo było jasne i czyste, drzewa wysokie, bezładnie rozsądzone. Siatka, mur, cokolwiek, co ogradzało Belladonnę zniknęło.

Tylko chaszczce.

Odwrócił się, spojrział pod słońce.

Kamienica jak klin albo dziób statku wyrastała z wysokiej trawy.

Zrobiona z ciemnej czerwonej cegły, o białych, tłustych framugach, z kwiatami na ciężkich parapetach, płaskim dachem bez jednej anteny. Kołek wbity w ziemię. Rozkraczony. Wrócił, dotknął muru. Dół pobielono.

Obszedł dookoła Belladonnę, zaglądał ludziom w okna: ogromne łóżka i szafy, w których można by zamieszkać, to nawet nie była

kamienica jakie widywało się kiedyś, lecz kamienica wyobrażona, mógłbym śnić o takich, poskładać z niedbałych rekwizytów, nawet ci ludzie, z monoklami, z herbatkami i z zupą mleczną przywlekli się z celuloidowych, dziecięcych snów.

Maks nabrał ochoty, by cisnąć kamieniem w szybę, albo choć odeszczać się do kwiatów. Nawet fiuta nie wyjął. Z przerobionej psiarni wypełził Janek.

Psiarnia wyrastała z Belladonny, a raczej Belladonna z psiarni, ogromne dziecko wyrwane z maleńkiej mamuśki. Cegła ciemniejsza, pokruszona. Małe okna, tylko dwa. Dziury w spadzistym dachu, pozatykane byle czym, przejechane smołą.

Janek miał podkolanówki, rozwalone buty, krótkie spodnie i koszulę. Podwinięte rękawy odsłaniały włochate ramiona. Janek stężał. Nie spojrzął na Maksa, ale Maks poczuł niepokój na sam widok zwalistej sylwetki. Chciał odejść.

— Może pomogę? — zapytał Janek.

Maks nie wiedział, w czym Janek mógłby być mu pomocny, niczym się nie zajmował, niczego nie dźwigał, mógł co najwyżej poprosić te wielkie łapy, by chwyciły go i cisnęły z powrotem do Warszawy. Zrozumiał, że Janek chce pomóc tak po prostu. Pragnie tego. Musi.

— Zostawiłem papierosy.

— Mogę iść panu po nie.

— Nie, wystarczy, że dasz swojego.

Janek uśmiechnął się przepraszająco.

— Panu moje nie będą smakowały.

— Daj.

Nie smakowały, tak jak nie smakuje pierwszy papieros w życiu, drapanie, kaszel, mdłości, flegma w gębie. Zgasił. Janek klepnął go w plecy. Śmiał się. Papieros poleciał w trawę.

— Wiesz co, mógłbyś wejść do siebie i wyjść?

Janek zrobił głupią minę.

— No, dalej — powiedział Maks i Janek zamknął za sobą drzwi. Zapytał, ile ma czekać. Maks włączył kamerę, powiedział, że już.

Janek miał twarz człowieka, który umie zdusić myśli i to tak, nie zostawiły by śladu.

— Możesz popatrzeć na mnie — mówił Maks. — O tak. Jeszcze raz.

Przejdź w moją stronę, ale przy murze, no, no, a teraz do kamienicy, świetnie. Podnieś głowę. Spójrz na mnie, Janku. Spójrz. I powiedz cokolwiek.

Ciało unosiło się na wysokości drugiego piętra, a może to kamienica osunęła się trochę. Maks poszedł na piknik.

*

Ciotka Zośka nie mogła znaleźć sobie miejsca, raz siadała, raz się kładła. Jadła, jak to starzy ludzie jedzą, drapieźnie napychając sobie usta. Oczy jej się rozszerzały, gdy gryzła.

Kewin paplał i paplał, Maks rozumiał połowę z tego.

Szczepan i Barbara usadowili się po przeciwnych stronach obrusu. Ona wyglądała przedziwnie, w białej sukni, butach też białych i czarnej woalce. Śmiała się nieustannie, oddech wybijał materiał, wtedy migała blada blizna otoczona gromadką czerwonych dołków. Szczepan niemal zrósł się z garniturem.

— ... wtedy odmówiłem przyjęcia tej partii. Powiedziałem mu wprost: „jeśli kupię to od pana, mogę od razu zwinąć interes”. A on zrobił głupią minę. Powiedział: „umówiliśmy się”. Ja na to: „pokaż mi papier, wówczas wezmę bez gadania. Pokaż mi papier”. Tak powiedziałem.

— Dobrze pan zrobił, panie Szczepanie — przyznał Kewin. Zamknął oczy. Zaraz otworzył.

— Jak to załatwię, pojedziemy do Francji. Ja i Barbara.

— Byłam tam — przypomniała sobie ciotka Zosia — ale jeszcze przed wojną. Nie wyobrażam sobie, jak tam teraz może być.

Zjawił się Janek. Doniósł wina, bułeczki.

Garnitur miał ciemny, gładki, jakby zaraz miał wskoczyć do trumny.

— To piękne miasto — Maks włączył się do rozmowy — pamiętam jak stałem pod łukiem tryumfalnym. Wielki rząd świateł, po horyzont.

— To musi być piękne — zgodził się Kewin.

Od strony drzew pojawił się Krystian. Na smyczy ciągnął psa. Potem pies pociągnął jego.

— Co pan właściwie robi, panie Szczepanie? — chciał wiedzieć Maks.

— Mówiłem. Handluję tekstyliami. Bardzo możliwe, że wszystko, co ma na sobie pan Kewin jest zrobione z moich materiałów.

— Dziwne — zauważył Maks — wydawało mi się, że jest pan

farmaceutą.

Ciotka Zosia dostrzegła Krystiana, przyłożyła rękę do ust.

— Ja? — roześmiał się Szczepan. — Farmaceutą?

Janek zawrócił. Zacisnął pięści. Krystian skręcił w ich stronę.

— Byłem prawie pewien, że pracuje pan przy lekach.

— To takie dziwne — rzekł Szczepan po chwili — wydaje mi się teraz, że kiedyś byłem farmaceutą, ale tak dawno, że nie pamiętam.

— Pan stąd idzie — zawołał Kewin.

Krystian stanął w miejscu.

— No co? Ogłuchł pan? — wrzasnął Szczepan.

Ciotka wstała, za nią inni. Trwali tak przez kilka sekund, oni wściekli, Krystian skołowany. Zrobił krok do przodu. Szczepan wysunął się przed resztę. Był niższy od Krystiana, ale lepiej zbudowany.

— Precz.

Moment wahania, Krystian skoczył. Impet uderzenia obalił Szczepana wprost na koszyk z chlebem, koszyk chrupnął, a może to chrupnęło coś w Szczepanie. Oczy farmaceuty, handlarza zrobiły się wielkie, próbował kopać, bić po plecach. Krystian chwycił go za szyję, trząśł głową. Barbara zaczęła wrzeszczeć, ciotka zalała się łzami. Nad walczącymi stał niezdecydowany Kewin.

Maks ani myślał się wtrącać. Przeraziła go twarz Krystiana, najbardziej usta, zaciśnięte tak, jakby chciał sobie wargi odgryźć. Wydymał nozdrza przy każdym oddechu.

Dwie wielkie łapy chwyciły go za fraki. Janek szarpnął i Krystian potoczył się po trawie. Wstał, zachwiał się, znowu leżał, a Janek kopał go po nerkach i brzuchu. Dał odetchnąć. Krystian nie mógł już wstać, czołgał się tylko w stronę Belladonny.

Janek roztrzaskał mu butelkę na głowie. Stanął w rozkroku, drżący korpus Krystiana miał między nogami. Szarpnął za włosy, odsłonił kark i przejechał po gardle kawałkiem szkła.

Wyprostował się, miał krew na rękach. Nikt się nie odezwał. Rozeszli się dopiero, gdy Janek zabił psa i zaczął kopać dół.

*

Dlaczego skoczyłeś?

Maks siedział w trawie, gapiąc się na zachodzące słońce, na Belladonnę, czyli drewniany dom o dwóch piętrach z kamienną

podmurówką. Okna były małe i ciemne, łypało w nim światło lamp, snuły się cienie, rozmazane między blaskiem a mrokiem. Dym kręcił się nad kominem.

Wokół rosły grube drzewa, których Maks nie pamiętał, ich kora była intensywnie brązowa, jakby wycisnąć świeżą farbę z tubki, wśród grubych liści trzepotały ptaki, nad łąką śmigaly bąki i roje pszczoł.

Gdzieś dalej przechadzał się Janek, na głowie miał blaszaną koronę, w ręku kij, przerzucony przez plecy płaszcz.

Jak ogromny ptak zastygły w ruchu, jak wielki latawiec — Robert unosił się wysoko nad Belladonną.

Maks przymknął oczy. Dlaczego skoczyłeś? Najpierw namalowałeś to wszystko, jakbyś wiedział, co się wydarzy, a potem spadłeś na łeb. Wiedziałeś, co robisz? O czym myślałeś, co ci w głowie błysnęło przed samym uderzeniem? Skąd się wzięła twoja wściekłość? Co ci ludzie ci zrobili?

Kształt człowieka milczał i tylko ptak przysiadł na nieruchomej głowie. Czyścił pióra pod skrzydłem, przekrzywił łeppek i pomknął. Maks jęknął, osunął się na trawę. Skulony, patrzył na Roberta, na Belladonnę, na krzyż wbity w grób Krystiana. Chyba zasnął na moment, wstał przytomny, ostry, przerażony.

Las zgęstniał nad Belladonną i w pewnym momencie, akurat gdy Maks sięgał po kamerę, z chaszczki wysunął się rogaty łeb; tur żuł źdźbło, zrobił leniwy krok i znalazł się w blasku Warszawy. Zmrużył oczy i już go nie było. Dlaczego skoczyłeś?

Maks wolno zbliżył się do ściany lasu, z drugiej strony niż ta, z której wyszedł tur. Biegła tam wąska ścieżka, ta, którą tutaj dotarł. Miał nadzieję, że tam, po drugiej stronie drzew znajdzie wieś, asfaltową drogę i autobus do domu. Przecież, gdy tylko zerknął w lewo, widział migoczące, stubarwne miasto i światła odbijające się w taflach wieżowców.

Ledwo wszedł w las, zawrócił. Nie chodziło nawet o tura czy ciemność, coś tam pełzło, szeleściło, od ziemi wiał trupi chłód. Musi zaryzykować, taką drogę przebędzie tylko raz. „Jeśli teraz pójde — myślał — już nie wrócę, tego nie wolno mi zrobić”. Włączył kamerę, w jej prostokątnym oku mrok ustąpił. Drzewa skręcały się z sobą. Trawa rosła wysoko, chaszczki miały kolce, między nimi mignął trójkątny pysk i

zaropiałe oko.

*

Wewnątrz zastał labirynt izb.

Wyróżnił drewniane schody wiodące do piwnicy, jamy właściwie, pachnącej ziemią. Ludzie spali w małych pokojach, na siennikach, niskich łózkach, światła były pogaszone. Podłoga skrzypiała przy każdym kroku.

Minął Szczepana i Barbarę, ciotka leżała w osobnej izbie, najmniejszej, Maksowi skojarzyła się z kurnikiem. Delikatny blask miasta spadał jej na twarz, może dlatego ruszała głową, a może o czymś śniła.

Gdzieś z głębi Belladonny dochodził płacz. To Kewin lamentował nad światami, które utracił.

— Ciociu. Ciociu...

Chwyciła go za nadgarstek.

— Musimy iść, teraz — położył palec na jej wargach. Ciotka uniosła się na łokciach.

— Iść? Gdzie?

— Nie widzisz, co tu się dzieje? — szeptał.

— Przecież jest noc.

Przełknął ślinę.

— Nie bój się. Przeprowadzę cię przez las.

— Przez las? Zwariowałaś? Czemu mówisz do mnie w ten sposób?

— Krystian...

— Jaki znów Krystian? Pozwól mi spać!

Odepchnęła go. Maks zdziwił się, że jest taka silna. Podniósł się, omiótł wzrokiem pomieszczenie. Wyglądało na gotowe do umierania, brakowało mebli, tylko mały stolik, żeby gromnicę postawić. A co tam, pomyślał Maks, niech Zośka tu zostanie, jeśli ma ochotę.

W progu zmienił zdanie. Z kuchni zabrał nóż, sznur, szmatkę. Nóż zaraz przyłożył ciotce do szyi. Patrzyła na niego w milczeniu.

— Idziemy — powiedział.

Kazał jej zawiązać sobie knebel i skrępował ręce z tyłu. Płakała, trzęsła się. Narzucił jej na ramiona swoją kurtkę, nigdzie nie mógł znaleźć butów dla ciotki. Obwiązał jej stopy szmatami. Tak wyszli. Ciotka przodem.

— Nie zrobię cioci krzywdy — tak mówił — niech ciocia się nie boi. Przejdziemy przez las. Potem do szpitala. Na policję. Wszędzie, gdzie

chcesz.

Próbowała coś powiedzieć. Maks się zezłościł, wskazał na krzyż.

— To widzisz? To pamiętasz? — syczał.

Robert wisiał wysoko nad strzechą Belladonny.

Byli już przy ścianie lasu, jeszcze ciemniejszej niż wcześniej, najeżonej gołymi gałęziami. Milczała, by ich zassać. Maks wziął głęboki oddech. Włączył kamerę i znalazł ścieżkę.

— Teraz ja pójdę przodem.

Westchnął. Wziął twarz ciotki w dłoń.

— Naprawdę nie zrobię cioci krzywdy. Ratuję życie cioci. Ciocia chce zostać, z Jankiem, z nimi. No, chodź.

Rozchylił gałęzie. Wszedł. Ciotka za nim.

— Ciocia staje tam gdzie ja.

Ekran kamery pozwalał dotrzeć pnie i chaszczę, wąż zwisał z gałęzi, ścieżka szła w dół, przecinały ją grube korzenie. Maks szedł powoli, zerkał na ciotkę, co chwilę chwycił rąbek kurtki. Na niebie rozlała się słaba łuna Warszawy, przed nimi robiło się coraz gęściej, liście były wielkie, przemknął dziki kot. Las pachniał, jakby ktoś rozlał perfumy, coś też gniło, tam w głębi.

— Już niedaleko — powiedział Maks.

Obejrzał się, ciotki za nim nie było. Gnała niezgrabnie z powrotem, ku Belladonnie, jak znajdowała drogę w tym mroku — Maks nie wiedział. Oddalała się błyskawicznie, biały duch. Rzucił się za nią, wciąż świecąc kamerą, upadł, przetoczył się, uderzył plecami o korzeń, dalej, pełznął, czołgał się, niemal chwycił ją za nogę. Już prawie otwarta przestrzeń, już gałęzie rozchyłały się przed ciotką. Chwycił ją w pasie, kopnęła niecelnie, machnęła głową — Maks oberwał, usłyszał, jak chrupnął mu nos.

— Co mi zrobiłaś?

A ciotka, której knebel zsunął się podczas szamotaniny, rzuciła się do przodu, upadła dłońmi na trawę, ryknęła jak zwierzę w stronę Belladonny. Maks, który akurat przyciskał dłoń do krwawiącego nosa, zapomniał o bólu. Krzyk wybrzmiał, ciotka popęzła w kierunku milczącego budynku. Maks ani myślał ją gonić. Patrzył po trawie. Gdzie kamera? Nóż wypadł mu z kieszeni.

Ogień zamrugał w oknach, podniosły się głosy. Ciotka zdążyła się podnieść, gnała, pochylona, z rękami skrzyżowanymi na plecach. Upadła.

Spowił ją blask pochodni. Czterech. Nie widział, kto biegnie. Nie musiał. Skoczył w las.

— Ucieka! Ucieka! — darła się ciotka.

I zaraz:

— Nie zabijajcie go!

O tak, lepiej nie, pomyślał Maks. Popędził. Oglądał się za siebie, kucał, pełzał, torował sobie drogę przez chaszczę, przecież nie pójdzie ścieżką, przecież... Boże! Są coraz bliżej. Już głosy rozpoznawał. Szczepan został z tyłu, brzuch mu musiał przeszkadzać. Karol wyrwał się do przodu, wreszcie Kewin, krążył, kłął między nimi.

-E! E! — wołali.

Światła skierowały się w stronę Maksa zrozumiał dlaczego. Cholerna kamera, jasny punkt w mroku. Zatrzasnął klapkę. Opadł na kolana, popełził. Kolce rozrywały mu spodnie i skórę. Co chwilę przylegał do ziemi. Ziemia cuchnęła psującym się zarcim. Tony jajek, kukurydzy, ryb. Góra kompostu. „Kurwa”, powiedział do siebie Maks i popełził w stronę smrodu.

Zgubili go. Karol przeszedł niespełna dziesięć metrów obok, przystanął, pomachał pochodnią. Był nagi, trzymał kij. Maks przywarł do ziemi, przeczekał.

Ocenił odległość, wydało mu się, że widzi żółty rąbek dalekiego okna. Tylko przez moment. Tamci byli daleko. Janek ryczał jakby go rozrywali koźmi, dobrze, niech wrzeszczy — Maks zerwał się i pobiegł. Usłyszeli go, cztery pomarańczowe świetliki skierowały się w jedną stronę. Ma szansę, zdąży. Tylko jak tu cuchnie. Może to ja, przeleciało mu przez głowę, może wytarzałem się w gównie? Pędził.

— Nie zabijajcie go! — wrzeszczała ciotka.

Utrzymywał odległość. Warszawska łuna dawała słabe światło, omijał pnie, wybijał się wysoko, żeby się nie potknąć, ścigały go wściekłe głosy, poleciał jakiś kamień, rzucił spojrzenie za siebie, tak dobrze, są daleko, a jego noga nie znalazła oparcia, Maks runął, przekoziółkował, zjechał na plecach, lecz upadł na twarz w coś miękkiego.

Wysoko nad nim mignęła pochodnia, złączyła się z pozostałymi, znów się rozpełzły. Przywarł twarzą do ziemi. Kaszlnął. Gówno. Gwałtownie otarł policzki, omal nie zwymiotował. Kucnął. Nie widział własnych palców.

Musiał znajdować się w wąwozie lub szerokiej jamie, tu nie docierało najśłabsze nawet światło, nawet daleki blask pochodni. Cuchnęło ponad wytrzymanie, było ciepło, jakby Maks leżał naprzeciw otwartego pieca, strumień gorącego powietrza szedł mu prosto w twarz. Coś sapało w ciemności. Węszyło. Rozległ się pisk, jak u małpy.

Maks machnął ręką. Idź precz.

Oddech stał się jeszcze gorętszy. Maks wymacał kamerę, skierował przed siebie. Znalazł włącznik, otworzył ekranik.

Jakiś metr od niego siedział diablík leśny, spoglądając na gościa z zaciekawieniem. Miał jakieś półtora metra wzrostu, włochaty brzuch, muskularne łapy i chwytne palce u nóg. Żyłasty członek ciągnął się po ziemi. Twarz diablika była płaska, o sowich oczach i potężnych zębach. Marszczył nos. Oblizwał się. Z włochatego czoła sterczały krótkie różki.

Na około leżały kupki gówna i kości zwierząt, obgryzione albo nie. Diablík chciał polizać kamerę. Maks cisnął mu ją prosto w pysk i zaczął wspinać się po zboczu, osuwał się, i znowu wspinał, za sobą, w mroku, słyszał szuranie, chrapanie, zabrzmiał trzask niszczonego sprzętu. Kamera prasnęła o drzewo, diablík skoczył, ale Maks był już na górze, i pędził na oślep, między pochodnie.

Nie zabili go, jak prosiła ciotka. Obili go we czterech, kijami, na zmianę, skopali brzuch, plecy i głowę, potem Janek chwycił Maksa za kudły i zawlókł z powrotem do Belladonny.

*

Janek kazał Szczepanowi przytrzymać Maksa; ten go przyduślił, kiwnął na Karola i Kewina — chwycili za ramiona. Oczy Maksa zwężyły się na widok siekiery. Gdzieś tam stała sobie ciotka, smutna plama na tle drzew. Maks zaczął wrzeszczeć.

Szczepan zsunął się z niego, chciał chwycić za stopę, oberwał piętą w szczękę, splunął krwią. Drugi cios nie wyszedł już Maksowi, Szczepan chwycił za kostkę; oczy Maksa wyszły z orbit, szarpnął się, zawył, zamilkł, trząsł się.

Jako dziecko dygotał tak u dentysty, na sam widok wolnoobrotowego wiertła, rodzice musieli go trzymać; przywoływał teraz ich imiona. Ciotka odwróciła wzrok.

Janek stał w rozkroku, z miną człowieka, który musi dopełnić jakiejś przykrej powinności. Uniósł siekiere, przymierzył, Maks już tylko płakał,

bił głową o ziemię, żeby chociaż stracić przytomność, język, zęby, o Boże, moja noga, Janek uniósł siekierę nad głowę. Błysnął uśmiech. Już w ruchu przekręcił trzonek, ostrzem do siebie.

Ale wymierzył precyzyjnie, obuchem, w kolano.

7.

Sznur okazał się na tyle długi, że Maks mógł zobaczyć co dzieje się na zewnątrz. Działo się jednak niewiele, dzikie zwierzęta podchodziły nocą pod Belladonnę, poszukując resztek jedzenia; Janek z Karolem, odziani w strzepy ubrań zastawiali sidła w lesie. Znosili króliki, obdzierali ze skóry i piekli nad ogniem.

Gdy wystawiał głowę przez okno — najpierw osłonięte szybą, potem tylko bezkształtny otwór w przeobrażającej się ścianie — widział ich, kucających wokół wielkiego ogniska. Janek nosił białą suknię, na którą narzucił pozszywane skóry dzikich zwierząt, zarósł, wydawał się większy, poskręcany z mięśni. Zawsze brał pierwszy z gara, tłuszcz ciekł mu po włochatym ramieniu. Gryzł, szarpał głową, wrywając w ten sposób kawały mięsa. Czasem odrzucał innym nieobjedzoną kość.

Barbara nie zakrywała już twarzy. Tylko tłuste włosy niekiedy spadały na bliznę, by zaraz ją odsłonić, barwy płonącej stali w świetle ogniska. Jej strój był prosty, jej nogi brudne, paznokcie długie i połamane, jadła innym z ręki. Raz czy dwa odsłoniła piersi matki wielokrotnej, ogromne, wysuszone, o czarnych sutkach.

Karol siedział w kucki, czujny, prawie się nie odzywał. Za to Szczepan gadał nieustannie, całym sobą — machał rękami, pochylał się, żuł i mówił jednocześnie.

Ciotka nie pojawiała się, ale słyszał jej wołania z głębi Belladonny, czasem pohukiwanie słów, czasem charknięcia i zawodzenia. Ktoś, najczęściej Karol, zanosił jej papkę z mięsem, reszta jadła lepiej.

Maks dostawał kości do obgryzienia. Ciskali mu przez okno, na podłogę. Najpierw wzdrygał się. Było na nich niewiele mięsa, ktoś gryzł je wcześniej. Zgłodniał i zjadł.

Pomieszczenie, w którym go zamknięto, miało mniej więcej dwa na trzy metry. Kiedy tu trafił, nie miał problemów, by się podnieść, opierając się o ścianę, lecz po kilku dniach okazało się to niemożliwe. Garbił się, bolały go plecy, chciał leżeć, najlepiej twarzą do ziemi. Ręce grzęzły mu w ziemi, która z każdą kolejną nocą robiła się coraz miększa, a Maks już nie pamiętał, czy wrzucony tutaj uderzył o deski, o klepisko, czy jeszcze coś

innego.

Kewin przyniósł mu zupę i wodę. Maks leżał w kącie, usiadł na dźwięk kroków, uniósł głowę i wypiął klatkę piersiową. Prędko odsunął się jak najdalej od dziury, w którą szczał i srał, wcześniej wygrzebał ją gołymi dłońmi (czyli raczej nigdy nie było tu klepiska), próbował nawet zasypywać, ale odpuścił. Gapił się na strome schody i na zgarbioną sylwetkę. Ręce ułożył spokojnie na kolanach, lecz Kewin się obawiał go mimo tego.

Trwali przez moment naprzeciw siebie, wychudzony chłopak z sznurem na szyi, tak mocno zaciśniętym, że nie sposób rozplątać i miękki, bosi mężczyzna o przekrwionych oczach.

— Cześć, Kewin, co tam dzisiaj dobrego? — Maks miał wiele godzin, by zebrać siły do wypowiedzenia tych paru słów. — Jak twoje filmy? Jak ci się żyje w Belladonnii?

— Uch — odpowiedział Kewin.

— Kiedyś znałeś więcej słów.

Kewin mrugnął.

— Am.

Na ziemi postawił miskę zupy, czegoś, co zupą być mogło, zielonkawej lury pełnej niedogotowanych kluch. I kubek wody. Maks nie drgnął. Oceniał odległość. Nie sięgnie.

— Bliżej, Kewin. Nie sięgnę. Nie bój się, do cholery. Nie zrobię ci krzywdy.

Jednak, Kewin się bał.

— Patrz. Odsuwam się — ciągnął Maks i rzeczywiście się odsunął w kąt — pchnij. Kurwa, pchnij to, idioto.

Pchnął. Szczęśliwie dla kubka, niefartownie dla zupy, ta pociekła z wywróconej miski aż do dziury z gównem. Maks wrzasnął, skoczył, Kewin wymknął mu się z rąk. Stał, przyparty do ściany i przejęty. Pokazywał na rozlaną zupę, potrząsał głową.

— Co zrobiłeś? — Maks machnął ręką, prawie sięgnął Kewina. — Kim ty jesteś? Człowieku, co z wami się porobiło, Jezu!? Co wyście zrobili! Kewin! Obudź się!

Kewin sunął przy ścianie w kierunku schodów. Wytrzeszczał oczy, nawet nie mrugnął.

— Przypomnij sobie! Filmy! Wódka! Rauty! Reżyserzy to sukinsyny!

Pamiętasz? Same gnojki! Chuje jebane! Nienawidzisz ich! Chuj w ustach! Tak powiedziałaś! Sztuka polska jest jak chuj w ustach.

Na widok Kewina wchodzącego na schody Maks jęknął żałośnie, cisnął miskę w jego stronę.

— Przynieś mi zupy! Zupy, skurwysynu.

Miska brzęknęła u stóp Kewina. Kewin podniósł ją machinalnie, nie mając chyba pojęcia, co z nią zrobić. Przyjrzał się niej, przymknął oczy i nagle twarz mu stężała, jakby owiało ją lodowate powietrze. Zamachał wolą ręką, brudny paluch wymierzył w ścianę, w coś, co widział przed sobą. Wrzasnął:

— Y! Y!

Zniknął. Maks zachlapał zupę błotem, żeby go nie kusiło. Wodę wypił na raz. Powłókł się w kąt.

Obudził się w środku nocy, z bólu i zmęczenia, miał wrażenie, że drobinki kości wżynają się coraz głębiej w mięso, mają zęby i ruchliwe ogonki. Opuchlizna przypominała wrzód, podeszła kremową ropą, wydawało się, że pęknie przy zgięciu, no ale Maks nie umiał zgiąć kolana.

Podniósł się przy ścianie i wystawił głowę przez dziurę, trawa musnęła go w kark. Często tak robił, uciekał przed smrodem.

Nad nim unosił się Robert, wysoko, niby latawiec o ludzkich kształtach. Ognisko wciąż się nie dopaliło, płomienie zaczerwieniły twarz i Maks mógł przysiąc, że Robert się uśmiecha.

*

Którejś nocy Janek zabił Szczepana.

Maks akurat podpełzł do niskiego okna (nie zdołałby wstać, nawet gdyby noga ozdrowiała), skalisty sufit wisiał jakiś metr nad ziemią. Maks z trudem przepchał głowę. Owiało go zimne powietrze.

Siedzieli przy wielkim ognisku.

Janek owinięty w skóry, futra, z pałką pełną znaków, nabitych kamieni. Półnaga Barbara, bardzo biała. Milczący Kewin, jak tępe dziecko, ufurmaniony, z pancerzykiem śliny zaschniętym na czarnej brodzie. Gniewny Szczepan: włochate plecy, szerokie barki, niskie czoło, niepodobny do samego siebie, wciśnięty w nową dziką postać.

Jedli, pchali do gęby kawałki mięsa, plując resztkami. Barbara wstała, odsunęła się o metr. Rozkraczyła nogi, zaczęła sikać. Wróciła. Miała zdartą skórę z dłoni.

Kolejna porcja mięsa wisiała nisko nad ogniem, było tam udo, korpus, Maks nie umiał stwierdzić, co to za zwierzę, wszystko jedno — zjadłby. Może rzucą mu kawałek? Janek wypluje. Da mu przezuty, z gęby. Jak pisklęciu. Robił tak.

Szczepan sięgnął po mięso. Janek odtrącił jego rękę gniewnym ruchem ramienia. Aż Szczepan przysiadł. Wybałuszył oczy. Nachylił się znowu, machnął, niżej, szybciej, porwał, napchał sobie usta. Janek obserwował to, przekrzywiając głowę.

Skoczył, chybił, Szczepan już stał, kopał w miękkim brzuchu. I zaraz runął. Na plecy, beładnie, on padał, a Janek się podnosił, jakby ziemia go od siebie odpychała. Szczepan miał już żagiew z ogniska. Trafił w splot. Iskry poszły i wtedy znieruchomiał, tak jak Janek przyśpieszył, osmolony, z czerwonymi wężykami biegnącymi po torsie, runął, obalił Szczepana twarzą do ziemi, szarpnął za ręce, pewno chciał je wyrwać — nie zdołał. Szczepan kopał, bił z ziemią w ustach. Dłoń Janka znalazła zagłębienie na grubym karku. Pchnęła na kamień przy palenisku. Trzy, cztery. Szczepan zalał się krwią. Janek cofnął się za pierścień światła. Jego szerokie plecy przypominały Maksowi żagle.

Szczepan szedł na czworakach, warczał, oślepiony krwią. Gryzł. Zamachnął się i stracił równowagę. Janek pociągnął go w stronę ognia, postawił, tak by wszyscy widzieli tę upiorną postać z nosem rozsmarowanym na policzkach, potłuczone zęby, skrzep powiek — pchnął prosto w płomienie.

Podniósł dopalającą się, długą żagiew, bił. Szczepan, z twarzą w ogniu zeszywniał, może na sekundę, próbował skoczyć, wycofać się, ale jego dłonie natrafiały tylko na kule żaru i gorące kamienie.

*

W Maksie zrodziło się przekonanie, że tutaj umrze. A przynajmniej straci nogę. Dziwne, nie myślał o tym wcześniej. Belladonna, ze swoją zmianą (ze szkła w skałę) wydawała się brutalnym snem.

Zbudził się o świcie, zdjęty chłodem i przerażeniem.

Udo wyglądało, jakby napompowano skórę, wrzód na kolanie jeszcze nabrzmiął i pobieleł, Maks nie mógł dostrzec własnej stopy. Wydawało mu się, że jej nie ma. Rosa błyszczała na stalaktytach.

Spróbował pomyśleć o czymkolwiek miłym. O nadziei. Nie mógł.

Albo go zabiją, albo zapomną przynieść jedzenie. Jeśli czar pryśnie

albo on, Maks („dlaczego ja się nie zmieniłem?”, pytał. I zaraz: „czemu tu tak zimno?”) zdoła jakoś wypełznąć, przeczołgać się przez las, do pierwszej elektrycznej lampki, tam się nim zajmą zabiorą do szpitala, tyle że noga nie nada się do niczego, nie po kilometrowej pełzaninie. Utną. Wyobraził sobie kikuta o obłym zakończeniu. Jak wielki ślepy robal.

Nie, wyjdę stąd.

Dlaczego skoczyłeś?

Próbował odegnać biel kikuta, myśląc o Robercie. Nie umiał. Za to zjawiał się Kewin, cisnął zimną kość i poszedł. Maks odprowadził go wrzaskiem i zaczął jeść.

Świeże słońce wpadło do jaskini. Otwór był akurat na promyk, nie głowę. Było tu jak we wnętrzu wielkiej muszli. Na dnie zbierała się woda. Maks w pośpiechu zabrał torbę. Przemokła. Kurwa, no. Pogrzebał. Skóra zatrzymała trochę wilgoci. Omiótł wzrokiem pomieszczenie.

Pozostałem sobą, bo klątwa mnie nie dotyczy, przybyłem do Belladonny już po skoku — tak myślał, jednak wcale nie poczuł się lepiej.

Wpadł na inny pomysł. Kewin tu był. Dwa światy. W jego głowie i poza nią, oczy otwarte, oczy zamknięte, podobnie jak z kolorami Warszawy oplatające jamę, pozostała po Belladonnie. Maks zabrał się za kolejny pierścień, najmniejszy ze wszystkich. Nie zapomni. Przejechał dłonią po skalnej półce, pół metra nad ziemią. Nada się. Przetrzęsnał kieszenie, wyłożył klucze, stłuczony telefon komórkowy, portfel, z którego wyjął dowód, prawko, wszystkie karty i następnie ułożył w rządek. Patrzył na nie tak długo, aż się rozpłakał.

Teraz torba. Dyktafon i notes. Na nie jeszcze starczyło miejsce. Zapomniał (na krótko) o bólu. Patrzył. Były jeszcze kartki, gruby plik: notatki, wydruki maili, plan Belladonny, który tak go rozbawił. Co z tym? Jak schować, żeby nie zamokło? Jeszcze pogrzebał. Natrafił na koszulki foliowe. Gdyby tak wsadzić papiery w koszulkę, koszulkę w kolejną i schować jak najwyżej? Jeśli sięgnie. A jaki pożytek z papierów, których nie można przeczytać? Są jak powieść w szufladzie.

Boże, chyba nie utną mi nogi, co?

Czytał. Chował w folię, ostrożnie, jak opłatek.

Zatrzymał wzrok na wyciągu z regulaminu Belladonny: Goście, owszem, ale nie więcej niż dwóch. Żadnych dzieci. Mieszkania nie wykupisz. Każdy mieszkaniec może zostać usunięty w wyniku

jednomyślnego głosowania pozostałych.

Schował kartkę i wyjął na nowo. Już wiedział. Aż w oczach pociemniało.

Dlatego skoczyłeś.

Podciągnął się pod okno, wygiął głowę, dostrzegł tylko dłoń o rozczapierzonych palcach, wysoko na niebie.

Robert wymyślił Belladonnę, uczestniczył w pracach nad projektem i przy samej budowie. Kochał ją tak bardzo, jak był popieprzony. Łaził po nocy, wrzeszczał, tulił się do ścian.

Aż się zebrali. Szczepan zagłosował przeciw niemu, bo Robert usiłował wyciągnąć Barbarę z małżeńskiego piekiełka i zmusił Barbarę by to poparła. Karol zaniedbał. Nie przyszedł, leżał przećpany, dlatego czuł wstyd. Krystian — domyślał się Maks — łąził za Robertem i nie zniósł odrzucenia. Ciotka, jak każda stara jędza, pragnęła spokoju nawet po trupach. Więc zdarzył się trup. Co z Kewinem? Ten facet z baśniami pod powieką bał się własnego cienia, chciał dobrze żyć z ludźmi, języczek u wagi, co zawsze gnie się we właściwym kierunku. Maks aż syknął.

No i zebrali się, podnieśli brudne łapy i wywalili ojca założyciela na zieloną trawkę, fundator rajy poszedł się jebać i święto, lecz każdy myślał, że popłacze się, weźmie graty i pójdzie. Założy sprawę, droga wolna. Nikt nie przewidział skoku. Trupa bujającego się nad domem na niewidzialnym sznurku.

Maks przejął się swoim odkryciem i nawet nie dostrzegł, że w jego jamie zbiera się coraz więcej wody.

*

Lało bez przerwy. Ciotka wyszła w deszcz.

Prowadził ją Karol. Ledwo szła. Janek natarł jej czoło. Jeśli nawet coś powiedziała, a nie tylko próbowała powiedzieć, Maks nie słyszał, nie mógł oderwać wzroku od nóg, które wyglądały jak obgryzione kości. Marzył. Woda się podnosiła.

W rzęsiстых strugach, w mroku, Robert pozostawał niewidoczny, Maks był pewny, że nieziemskie oko wisi właśnie nad ciotką; ta łkała trochę, a trochę próbowała być dzielna, brała się do całowania, każdego w policzek, Janek odszedł, wdepnął w zatopione palenisko.

Na wszystkich wisiały resztki ubrań, na Basi wisiął tylko jej brzuch.

Karol ujął ciotkę pod rękę, zawisła na nim, objęła wolną dłoń.

Dostosował się do jej tempa, grzązł razem z nią w mokrej ziemi i chyba ledwo co widział, bo szedł, niemal się zataczając. Na kilkanaście kroków przed lasem ciotka osunęła się na kolana i popęzła z powrotem ku Belladonne. Karol ukłęknał przed nią. Coś do niej chrząkał. Chwycił za ramiona. Postawił brutalnie i pchał przed sobą. Szła już potulnie. Przed samym lasem odwróciła się jeszcze i Maks mógł przysiąc, że spogląda wprost na niego.

Jeszcze machnęła ręką. Spuściła głowę i znalazła drogę między gałęziami. Weszli we dwoje, ale wrócił tylko Karol.

*

Sznur na szyi namókł i zrobił się ciężki, Maks opadał w płytkie, mokre sny. W tych snach unosił się na wodzie, dokładnie tak samo zimnej jak ta zalewająca jego więzienie, z tą różnicą, że nie bolała go noga, a ręce miał rozkrzyżowane. W tym śnie paliło słońce i pluskały się ryby, w głębi śmigały foki o włochatych brzuchach. Maks przymykał oczy i doświadczał dziwnego uczucia opuszczenia: z jego skóry wydobywała się czarna ciecz, tworząc wokół trujące rozlewisko. W tej mazi spływał Rafael z El Greco, Szekspir z Tomaszem Mannem, Biblia z resztą świętych ksiąg, święci sami, rozpuszczeni i ślepi, a także Madonna, Borat i Christina Aguilera. Odsączały się książki i wideoklipy, aż Maks został pod słońcem i nie wiedział, co to takiego.

Obudził się, słońce przepadło, za to woda została. Wlewała się przez dziurę w ścianie i strome wyjście z jamy. Maks szarpnął sznurem. Zaczął wrzeszczeć.

Spróbował wstać, odpuścił, podciągnął się na rękach do skalnego luftu. Nie widział nic przez deszcz, mięśnie nie wytrzymały, runął na dno, woda przykryła go zupełnie. Przez moment miał wrażenie, że skała rozsuwa się, odsłaniając głębię. Poderwał głowę. Cofnął się pod ścianę.

Woda zmyła rzeczy, które poustawiał na skalnej półeczce. Unosiła papiery i fotografie. Maksowi wydało się, że gdzieś mignęła mdła płetwa. Do jamy wpełzł Kewin, nagi i włochaty. Ścisnął surową rybę. Ugryzł i podsunął w stronę Maksa.

— Kewin — jęknął Maks.

Głowa Kewina zwisała spomiędzy barków. Przewracał oczami. Ułożył wargi w ryjek, tak śmiesznie. Milczał jednak, minę miał, jakby właśnie coś zgubił. Potrząsnął rybą. Żyła i biła ogonem.

— Nie — powiedział Maks. Kewin nie rozumiał. Pacnął rybą o skałę. Podsunał Maksowi pod sam nos. Maks wziął. Zawahał się, gdy ryba była tuż przy ustach.

— Kewin — powtórzył.

Kewin się otrząsnął i zaraz zamknął oczy. Coś zmieniło się w jego twarzy. Rysy się rozmyły.

— O Boże — szepnął Maks. Kewina otrzepało. Wpatrywał się w niego.

— Zamknij oczy — poprosił Maks.

Kewin nie rozumiał. Przeszł się z nogi na nogę. Maks nachylił się ku niemu, bardzo ostrożnie położył mu palce na powiekach. Przytrzymał.

— Powiedz, co widzisz? — zapytał.

— Nie wiem.

— No co?

— Ściany. Są białe i gładkie.

— Co jeszcze?

— Nie wiem.

— No popatrz.

— Nie umiem.

— Tylko nie otwieraj oczu. Mów do mnie, Kewin.

Kewin oklapnął w wodzie. Zaciskał powieki.

— To coś jak... nie wiem co... ładne.

— Acha. Teraz otworzysz oczy. Puszczę palce. I zaraz zamkniesz je znowu.

Otworzył, popatrzył nieprzytomnie. Warknął. Maks przyłożył palce.

— Teraz widzisz. Widzisz Belladonnę.

Kewin kiwnął głową. Uśmiechał się.

— Zabierz mnie stąd — rzekł Maks.

Brak odpowiedzi.

— Uwolnij mnie i stąd pójdziemy. Pamiętasz przecież. Widzisz ją. Jesteśmy w piwnicy, ma gładkie ściany i małe kwadratowe okna — przypominał sobie Maks — pamiętasz? Jak wyjdziemy będzie hall z biurkiem stróża. Potem szklane drzwi.

— Drzwi — uśmiechnął się Kewin.

— Za drzwiami trawa, siatka i brama w tej siatce. Droga przez las. Poniesiesz mnie. Dobrze? Ale najpierw mnie uwolnij.

Maks zdjął mokrą koszulę. Zadrżał. Ramiona miał chude i bardzo białe. Koszulę złożył w szeroki pas i zawiązał go na oczach Kewina.

-Idź.

Przygięta, włochata sylwetka zniknęła w niskim korytarzu. Maks opadł w wodę. Czekał, stanowczo za długo, przejęty tym, że Kewin zagubi się w Belladonna, zachwyci się Belladonna, Belladonna go połknie, albo zabije go Janek. Kewin mógł zdjąć opaskę. Przestać widzieć. Mógł zrobić cokolwiek, ale wrócił trzymając zbrązowiałe ostrze bez trzonka, które było — Maks miał pewność — w jego oczach nożem kuchennym albo czymś podobnym. Ruszał się sprawnie, tylko barkiem trącał ściany.

— Tnij — poprosił Maks.

Kewin uciął przy samej ścianie. Mokry sznur walnął Maksa w plecy.

— Weź mnie.

Kewin nie drgnął.

— Weź. Przecież, kurwa, się sam nie ruszę.

Wielkie, niezdarne dłonie nie bardzo umiały chwycić Maksa, wreszcie wzięły pod pachy, szarpnęły, noga obita się o kamienie. Pociągnął Maksem, rozpędzając wodne węże i małe ryby, powłókł ku wyjściu, które okazało się zbyt niskie. Ostrożnie położył Maksa i pozwolił pełznąć.

Najpierw nie było źle. Tylko oczy zalewało. Ale zaraz krew nasyciła nogę, zaraz strup uderzył o kamień, zaróżowiając wodę, Maks wrzasnął i się zakrztusił. Niewiele widział, tylko refleksy świetlne drżące w kryształach. Potem, gdy sufit pomknął ku górze, Maks mógł podnieść się na rękach, mógł chorą nogę oszczędzić i znaleźć schronienie w ramionach Kewina. Zawisł na jego ramieniu.

Niebo wisiało nisko, smagał wiatr, za to Robert pozostawał nieruchomy. Włosy wisiały mu w strąkach.

Belladonna była skalnym kopcem, porośniętym gnijącą trawą, z lichym krzakiem na szczycie. Do wnętrza prowadziły trzy zarośnięte jamy, z językami ziemnych ścieżek. Przebijały kamienie, widniały ślady rąk i stóp.

Las wokoło był dziki i gęsty, mgła spowiła Warszawę, rozmywając czerwone światła. Maks wyróżnił kropkę samolotu i Pałac Kultury.

— Weź mnie — powtórzył.

Kewin zarzucił go sobie na plecy i podreptał przygięty. Woda sięgała mu do kolan, chwiał się, ku przerażeniu Maksa. Coś trzepotało się w tej wodzie, migały tłuste ogony, rzędy grubych łusek i owalne pyski.

— Jest piękna pogoda — szeptał Maks — zaraz będziemy przy bramce. Musisz tylko ją wypatrzeć. Jesteś pewien, że idziemy w dobrą stronę? Bramka jest tylko jedna. Widzisz ją? Widzisz?

Kewin coś tam mruknął. Maks musiał mu ciążyć.

W pewnej chwili stanął, odwrócił się i patrzył na Belladonnę z zawiązanymi oczyma. Maks wbił mu kolano pod żebro i poszli. Kewin przyspieszył, skręcił, znów mruknął, dotykał czegoś, co widział tylko on.

Mierzył palcem, jak w oczka siatki.

Ruszał nadgarstkiem, jakby cisnął na klamkę. Coś naciskał. Czymś szarpnął. Zmełł przekleństwo, kaszlnął i powiedział „kurwa”, bez śladu barbarzyństwa, z całą wściekłością dwudziestego pierwszego wieku, było to „kurwa” krystalicznie czyste i piękne jak katedra; Maks pozwolił mu wybrzmieć w ciszy.

Niewidzialna klamka ustąpiła i pewno by poszli w las, gdyby nie Janek. Skąd przypełzł? Jak podbiegł, że go nie słyszeli, runął na nich obu, spuścił pięść na twarz Kewina, posłał na ziemię.

Maks runął na plecy, woda przykryła go całego. Oczy miał otwarte, w wodzie wirowały kijanki, żywe drobinki, dwie pary nóg sobą nacierały na siebie. zdołał wynurzyć głowę.

Walczący splekli się i szarpali, Kewin był wyższy, Janek — szerszy w barach. Uwolnił rękę, wbił pod brodę przeciwnika. Tamten kopnął. W krocze. Nie pomogło. Kewin machnął głową, dłoń ześliznęła się na gardło, przydusiła, pięść Kewina szukała drogi do Janka, zawsze za daleko, zawsze niedokładnie. Odsłonił się. Źle przesunął nogę. Runął a Janek na niego.

Maks uniósł się na łokciach.

Z pod wody, raz za razem próbował wydostać się Kewin, co chwilę jego głowa wyrywała się na powierzchnię, łapał powietrze, natychmiast obrywał, lewa pięść biła, prawa zacisnęła się na gardle. Nogi Kewina wyglądały jak płetwy.

Maks nie widział zbyt dobrze, woda zalała mu oczy. Wydało mu się jednak, był pewien, że przez środek włochatych pleców Janka biegnie grzebień twardych guzów, że szyja rozlewa się w kolczasty kołnierz,

ramiona są stanowczo zbyt długie (dlatego Jankowi tak dobrze szło z biciem), nogi zbyt masywne, no i sama głowa — płaski nos, głęboko osadzone oczy, wysunięta szczeka, z której sterczały kły.

Kewin zniknął pod wodą.

Tylko nogi drżały naprężone.

Janek docisnął go obiema dłońmi, zgarbił się, niemal nos zatopił w tafli.

Maks szarpnął się do przodu, na ile pozwoliły nogi. Chora ciężyła, zdrowa wybiła do przodu, wylądował na plecach Janka, nisko, przy krzyżu, nim Janek pojął, już miał sznur na gardle. Maks zacisnął. Wpełzł na plecy.

Dłonie Janka puściły Kewina, próbując najpierw poluzować namokły sznur, a potem zrzucić przeciwnika. Kołysał się, nie mógł złapać równowagi. Guzy na plecach wbijały się w Maksa. Rozrastały się na głowie, spadały na szeroki kark.

Maks nie puścił. Szarpał. Wlazłby na barki Janka gdyby tylko mógł.

Długie ramiona próbowały sięgnąć Maksa. Palce, powykrzywiane w stawach, z pazurami zamiast paznokci wirowały przy jego twarzy, bezradne i ślepe. Maks przyciągnął jeszcze sznur. Chciał, by ta chwila nie skończyła się nigdy. Jednak Janek wyprężył się i runął nieruchomy w wodę.

Maks długo czekał, podejrzewając podstęp.

Rozejrzał się, widział już tylko wodę. Belladonna, drzewa, zniknęły. Nawet Robert zmienił się w cień.

Włochaty Janek był tylko wyspą, ogryzkiem lądu na wielkich wodach.

Maks spróbował wyszarpnąć sznur, nie potrafił.

Złożył głowę na bok, obserwował krople. Oczy zamknęły się same. Chłód przepadł i Maks zasnął na trupach.

8.

Zalewało go słońce, woda opadła, lecz ziemia wciąż była mokra.

Kewina pogrzebało błoto. Maks zsunął się z Janka. Nie umiał wstać. Udo miał wielkie i czarne. Popęzł kilka metrów i ponowił próbę. Nie mógł nawet usiąść.

Mokrą ziemię porastała tłusta trawa. Po Belladonnie nie została nawet jama w ziemi. Choć nie. To drzewo, rozłożyste i piękne, rosło

chyba w jej miejscu. Maks już nie wiedział.

Otaczał go rzadki las pełen kwiatów. Chmury przepadły, roztrzaskane przez słońce. A Warszawa rysowała się jak na dłoni, Maks chciał po nią sięgnąć.

Widział Barbarę i Karola, jedyne ocalałych, dwie kreski z różowej skóry, splecione ze sobą.

Nad nimi łopotał Robert — jego cień rozpełzał się po ziemi. Pełznął także Maks. Odgryzłby sobie tę ogromną nogę, gdyby tylko mógł.

Powoli i miarowo ogród nasyczał się zielenią, stubarwne kwiaty pęczniały na świeżych drzewach, żdźbła traw wyginały się ku słońcu. Karol i Barbara stali w pewnym oddaleniu, ogromni z perspektywy Maksa, on lśniący od źródlanej wody, ona z włosami oplatającymi tyłek; z blizną, taką piękną.

O nie, pomyślał Maks, rozumiejąc jak bardzo się pomylił.

Robert nie chował w sobie złości i nikogo nie przeklął, dał tylko to, czego pragnęli ludzie, ciążący ku Belladonie. Nowy początek. Kryjówkę. Raj. Maks obrócił się na plecy, uniósł pięść, wygrażając temu szczęśliwemu kształtowi na niebie.

Zakrztusił się. Popęzł dalej, ciągnąc nogę.

Co chwilę opadał twarzą w mokrą ziemię. Zgrzytała mu w ustach.

Jeszcze nie wszystko stracone, myślał, jeszcze mogę to odkręcić, wystarczy parę słów, jeśli tylko tych dwoje jeszcze umie słuchać. Podciągnął się na rękach. Zamknął oczy. Zebrał myśli i wziął głęboki oddech.

Dopełźnie i powie o wszystkim. O ciotce zawleczonej do lasu. O spalonym Szczepanie. Obłąkanym Janku i Krystianie, zatłuczonym za nic, o wszystkich zmarłych, na których sklecono ten kawałek ziemi. A potem — obiecał sobie Maks — pokażę moje dłonie, które stały się dłońmi mordercy. Pokażę też nogę i powiem, że lekarz mi ją obetnie.

Spróbował wstać, ale zrezygnował.

Karol poszedł między drzewa. Została Barbara. Może to i lepiej.

Popęzł w jej kierunku. Już blisko. Przyglądała się mu z rosnącym zdumieniem.

Pluł ziemią, szorował brzuchem i układał zdania o trupach, gdy o trupach opowie, wskaże to, co utracili. Poprosi Barbarę (jaka ona piękna!) by patrzyła na niebo tak długo, aż przemknie po nim anioł samolotu,

potem, choćby przemocą, zwróci jej głowę ku światłom Warszawy. Opowie o szerokich drogach. Restauracjach. Centrach handlowych i wielkich domach. Kolacjach we dwoje i łózkach wodnych.

Stała tuż nad nim, przyglądała się z uwagą.

Teraz powie. Powoli. A potem zabierze ją stąd. Z Karolem albo bez. Otworzył usta. Oczy Barbary zwęziły się odrobinę.

Spuściła nogę prosto na jego kark.

Kopnęła w policzek. Przed Maksem wybuchła konstelacja plam i zaraz zniknęła.

Barbara kopała dalej, bez złości czy zmęczenia; zmiażdżyła głowę węża nim ten wyrzekł słowo.

Koniec

Noc sobowtórów

Jest późno i dobrze, wypijam szybkiego drinka i ląduję z laptopem przy wolnym stoliku, wyświatlam cokolwiek i tylko wodzę myszką po obojętnym ekranie. Wokoło kłębi się młodzież, wesoła i dzika, spętana tylko przez modne ubrania; w czarnym swetrze wyglądam na przybysza z innego świata.

Ruda szczapa. Wracając z baru ląduje na kanapie koło mnie. Ma torebkę ze Snoopym.

Pozwalam jej mówić i przeświatlam ją na wylot. Nagle dziewczyna milknie i chce, żebym opowiedział o sobie.

— Co, jeśli wolę poopowiadać o tobie?

Wybuchła śmiechem i nachyla się do mnie, pozwalam jej zostać i spełniam życzenie: przyjechałaś z małego miasta, twoi rodzice, jeśli jeszcze są razem, dopiero niedawno dorobili się pieniędzy, jeśli nie, to wiedzie się tylko jednemu. Coś tam się stało, u ciebie w domu, bo przyjechałaś tutaj, założę się, że bliżej było miasto z dobrą uczelnią. Masz rodzeństwo. Jesteś najstarsza i przepychałaś drogę młodszym. Teraz jest twoja chwila, chwytasz życia ile możesz, tak jak na ciebie patrzę, ani trochę nie rozczarowałaś się Warszawą.

Lala robi wielkie oczy, mówi: „niezły jesteś”, a ja wiem, że średnio rozgarnięty chłop wyczytałby więcej z samej torebki ze Snoopym.

Ludzie są jak ryby o rozprutych brzuchach: można wróżyć.

Zamawiam jej kolejnego drinka, nie powinienem, upicie nie wchodzi w sztukę uwodzenia, to tania sztuczka, wódka z kapelusza. Ale lala ssie słomkę, obraca ku mnie oczy z masła, przyciskam ją do siebie, osuwam się, jej głowa pochyla się nade mną: ciut rozczochrane włosy, ostry nos, zwierzątko. Mówi po zwierzęcemu: misiu, kocie.

Przyciskam ją mocniej, perfumy mieszają mi się z wonią szluga, jeśli tak wygląda Babilon, to pora dać na mszę. Póki co wykonuję skomplikowany manewr, lewa dłoń pcha się w majtki, prawa gmera pod bluzką, jej oddech przyspiesza, całuje mnie, próbuje odepchnąć, ale rezygnuje, z odpychania, a nie z całowania.

Ten pocałunek ma mnie ukoić, dać czas. Zwalniam odrobinę.

Szepczemy sobie parę miłych słów. Mój rudzielec cały się rozczochrał. Pocałuję jej plecy i jest w tym coś absolutnie cudownego: moja ręka na mokrej skórze. Jeszcze jeden pocałunek, odsuwa się, nie, to ja ją uwalniam. Patrzy spode łba. Spode główki. Bierze mnie za nadgarstek i przyciska do tego biednego cycka. Przez materiał bluzki czuję orzeszek sutka.

— Zaraz wrócę — słyszę.

Podnosi się i cokolwiek chwiejnie wędruje w stronę łazienki, znika, ostatnim co widzę, to ładne nogi w starciu ze stopniami na piętro.

Patrzymy na siebie krótką chwilę.

Ja i Snoopy.

Ruchem, który znam aż za dobrze, wybebeszam torebkę. Narysowane psie ślepią zdają się zdradzać jakąś skargę. A w środku: szminka, puder, podkład, kredka do oczu, tampon, komórka, empetrójka, chusteczki — co dziwne, takie jakie kupuje się niemowlętom, płaski aparat fotograficzny, korektor. Mam tylko moment, przerzucam przedmioty, czekam, idiota, aż któryś mnie kopnie elektronem, prędeż rudzielec wróci: kredka ląduje w mojej kieszeni. Zapinam torebkę i wychodzę z knajpy.

Umykam, to lepsze słowo.

Nie chcę zdradzać Misi. Nie jestem aż takim sukinsynem.

Jestem coś wart, na razie, tak sobie myślę, z tymi dziewczynami jest jak z taksówką, mógłbym zamówić, ale wracam do domu na piechotę, tak właśnie chcę, obracam kredkę w kieszeni, zakładam obręczkę i śmieję się z zawstydzenia.

*

Kredka grzeje mnie w ręce, panuje błogosławiona cisza. Ptaki posnęły, pijaki i psy milczą, gdzieś daleko migają światła osiedla, na wpół widoczne odblaski straży miejskiej. Niebezpiecznie tu, o trzeciej rano. Wiele słyszałem.

Idę tędy, bo szybko i cicho.

Stawiam kołnierz, próbuję zakryć uszy, napięcie powoli słabnie. Nagle coś mi ćmi w głowie, nogi miękną, żałuję, że taksówki nie jeżdżą alejkami. Tylko przyspieszyć i znowu jest: blask spomiędzy drzew. Jakies pięć metrów nad ziemią. Nie wiem co to takiego, ale przejmuje mnie grozą.

*

Żyję w świecie smoków. Luiza uwielbia te skrzydlate stworzy, pokój ma przemieniony w zielone królestwo. Figurki i rysunki, nawet smocza pościel. Wielki gad oplata lampkę nocną.

Siedzimy na ziemi przed tablicą do rysowania. Na dłoniach mam pacynki.

-Nie boisz się tu spać?

Potrzęsa głową, no w życiu.

Moja córka jest jak ze snu. Aniołek o białych włosach, które niedługo zaczną ciemnieć.

— Co robią smoki?

— Roooooar!!! — wrzeszczy uszczęśliwiona.

— Nie tylko — tłumaczę — bo zioną ogniem! A jak taki jeden zionie, o tak — pokazuję dokładnie w jaki sposób, przy ustach układam paszczę z dłoni — to pokój stanie w płomieniach!

Luiza rozważa moje słowa, trapi się, ale tylko na moment.

— Za tablicę! — tak odpowiada.

Nie mam wyjścia, muszę posłuchać. Tablica służy do rysowania, wszędzie walają się kawałki kredy. Przemieniliśmy ją w teatr. Nakładam pacynki na dłonie, misia i osiołka, kucam, wystawiam: gadają te moje zwierzątka. A mówią, że:

— Wiatr zawiał, dąb stary zrobił bum i trach. Drogi w lesie robią się szersze, szerokie jak morze, niebo wlewa się w nie na styku z horyzontem, powiadam ci osiołku, zamieszkamy na wyspach. W chatce Sowy Przemądrzałej mieszka teraz Batman.

A Luiza czai się z czymś zielonym w rękach, to zielone zwie się Stefan i jest najprawdziwszym smokiem zaczarowanym z tyranozaura. Nie widzę jej, ale wiem, że ma gorące oczy, czeka, krztusi się ze śmiechu, wreszcie skacze z łóżka, Stefan pruje na misia i osiołka w całej swojej złośliwości. Miś i osiołek wrzeszczą na dwa piskliwe głosy, chcą zwiewać, nie bardzo im to idzie, potykają się o siebie i lecą, na łeb na szyję, ze sceny.

Luiza śmieje się i wydaje komendę:

— Za tablicę.

Ale ja jestem za tablicą.

Wychodzę, czemu towarzyszy protest z tupnięciem i chlupnięciem.

Biorę córcię w ramiona. Może bajkę. Bajka to jest to.

Luiza urodziła się w maju. Miałem czerwony nos i tyle spraw na głowie, że ledwo czasu starczało, by zerknąć na to wrzeszczące stworzenie. Potem myślałem: przyjdzie z czasem. Już trzy lata nie może przyjść.

Odnoszę się do niej z chłodną życzliwością i od dawna nie czekam na żadne drgnienie serca. Jak kiedyś, gdy liczyłem że spacer, zabawa coś otworzą. Sam wpuściłem w siebie złość. Bo co to za ojciec, który nie kocha.

*

Zasuwam przez park Skaryszewski w stronę huśtawek. Niosę dwa białe lody Magnum i jedno śmietankowe, dla Luizy.

Łapię się na myśli: jaka ona piękna. W koszuli bez rękawów. I obcisłych spodniach. Trzydzieści lat. Dziecko. Masz wielkie szczęście, chłopie. Z tą myślą zmierzam w ich stronę. Luzia wyrywa się do swoich lodów, my jemy powoli. Mała ma już całą buzię w bieli. Ocieram ją cierpliwie.

— Myślę, czy nie wyjechać na wieś — Misia przysuwa się do mnie. Wietrzę w tym nikłą perspektywę porozumienia, na które przecież nie mam ochoty.

— Mogę się tym zająć. Wynajmiemy coś. Wolałbym w sierpniu. W lipcu ludzie jeszcze robią sobie zęby.

— Chciałabym na stałe.

Wgryzam się w loda. Wyobrażam sobie stado kur, chłopstwo i śmierdzący las. Misia uprzedza moje wątpliwości.

-Nie mówię — daleko. Mógłbyś dojeżdżać. Albo otworzyć gabinet na wsi. Mówiłeś, że Zawada jeździ pod Warszawę i bardzo sobie chwali.

Tak. Grzebać w gębach hołoty.

— A co ty będziesz robić?

Przytula się mocno, jest naprawdę gorąca, jakby kamień, który nosi w brzuchu, gwałtownie się rozpałał.

— To co zawsze. Myślę o drugim dziecku.

— Naprawdę chcesz, żeby Luiza chodziła do wiejskiej szkoły?

Misia spuszcza głowę.

— Sądzę, że to mogłoby nam pomóc, Alek.

Nie odpowiadam, mam nadzieję, że ta idea wybrzmi jak wiele

innych. Stoimy mocno przytuleni i pewno wyglądamy na szczęśliwych, patrzymy na swoją córkę rozbieganą od drzewa do drzewa, zawirowaną w swoich światach, w smokach i dzielnych księżniczkach. Wciąż szukam. Za nią, między drzewami widzę coś, co umknęło mi wcześniej, starą kamieniczkę wypchniętą przed fasady bloków. Ma trzy piętra i wysokie poddasze. Kolorowe firanki za szybami. Ale budynek cały się sypie, wystaje czerwona cegła. Okna na ostatnim piętrze są zabite. Dziwne, że w ogóle ocalał, dziwne to, że jest.

*

Wieczorami urządzamy sobie potężne uczyty, dziękując sobie za dobre życie, które mamy.

Siadam w fotelu, wywalam bose nogi, smętnie przełączam kanały. Misia przychodzi, gdy napełniam szklanekę po raz trzeci, zaraz się wtula i oglądamy film z blu ray, to widowisko historyczne nakręcone w Chinach, ludzie fruwać pod samym niebem, Misia się śmieje, okręca wokół mnie i roześmiana zasypia.

*

Dziewczyna ma na imię Natalia, powtarza to nieustannie, prosi tylko żeby nie zdrabniać.

Siedzimy w ogródku na Francuskiej, to jedno z tych dziwnych miejsc Saskiej Kępy, gdzie jednocześnie jest głośno i cicho. Mam widok na metalową Osiecką po drugiej stronie. Częściowy, bo między mną a poetką usadowił się ochroniarz, szczupły chłopak o budowie zawodowego judoki.

Natalia nie może przestać mówić o sobie, jakby w zawodzie tłumaczki było cokolwiek interesującego. Dowiaduję się o skrótach i przeinaczeniach; czasem z książek, ze względu na pośpiech, wylatują całe akapity. Najlepiej zarabia się na grach. Tłumaczenie dialogów i tajnych właściwości magicznego miecza. Ale dopiero tłumacz przysięgły to jest to, Natalia próbuje, ale niezbyt jej idzie.

Ma ze sobą ciemną, skórzaną torebkę z błyszczącym zamkiem.

Wdzięczy się do mnie w leniwy sposób. Jakby się przeciągała, wytracona z ciepłego snu, jej ręka zawsze mija moją.

— Często tak ci się zdarza? — pyta, a ja robię głupią minę.

— Zależy — odpowiadam — lubię wyjść wieczorem. Niewiele mamy ciepłych dni.

Natalia mruży oczy i wpija się we mnie, cała okręcona, pakuje sobie między uda moje kolano.

— Mam hotel niedaleko — słyszę.

Trochę przeszarżowała. Uśmiecham się, wracamy do pocałunków. Niespodziewanie Natalia twardnieje, odpycha mnie i zaczyna ryczeć.

— Co ja robię? — chlipie — mam męża. Mieliśmy pierwszą rocznicę w czwartek i jeszcze... Mam córeczkę, wiesz? Pierwszy raz wyjechałam — opuszcza dłonie i patrzy tak, że serce topnieje — co ja tu robię?

Waham się, czy ją przytulić, odpuszczam, mówię, że nic jeszcze się nie podziało, trochę popiliśmy i to wszystko, nic, jeszcze raz, absolutnie nic się nie wydarzyło, jak chcesz, to zaraz pójdziemy. Wezwę ci taksówkę, żebyś nie szła tak po nocy.

Wzrok Natalii zmienia się gwałtownie. Dziewczyna wybucha śmiechem, aż ludzie głowy odwracają, zarzuca mi ręce na szyję. Taka wesoła. Dałem się nabrać.

— Porządny z ciebie facet — mówi między pocałunkami. Chwyta za biodra.

Wstaje i zostawia torebkę na krześle. W drzwiach jeszcze śle buziaka.

Wezmę byle co i znikam. Rozpinam zamek i wkładam rękę. Miękką portfel. Książka. Telefon. Plik kartek złożony na czworo oraz zbindowana, wydrukowana książka. Mam ochotę właśnie na nią, nigdy jeszcze książki nie wziętem, wyjmuję, torebka zapięta, niemal równocześnie wydruk łąduje w mojej teczce, a na bark spada mi ciężka łapa.

Ochroniarz jest wściekły i szczęśliwy. Podrywa mnie i popycha, stoję zbyt zbaraniały, żeby powiedzieć słowo. Za to ochroniarzowi idzie świetnie, pcha mnie między stolikami, zagradza sobą drogę ucieczki.

— Łapki cię swędzą, mam straż miejską wezwać?

Rozglądam się bezradnie, próbuję coś powiedzieć, że to taka zabawa, że znamy się przecież świetnie z tamtą panią, chciałem po prostu poczytać, ale Natalia już wraca, wesoła w proggu i chmurna tuż przy nas. Ochroniarz wyrywa mi wydruk, podaje, Natalia odbiera, chowa, dyga delikatnie i chlusta mi piwem w twarz.

Odprowadzam ją wzrokiem. Idzie sztywno, gnie się na rogu, próbuje zapalić papierosa.

Ochroniarz ciągnie mnie poza obręb ogródka, pcha, myślę, że da już spokój, skąd, sprzedaje mi liścia otwartą dłonią. Czuję się, jakby mnie opluto, nie mam odwagi wstać, więc pełzną ulicą, w przeciwną niż Natalia stronę, chodnik jest wilgotny, gruz, szkiełka wbijają mi się w dłonie, zbieram swoje niewidzialne, rozsypane tajemnice.

*

W parku Skaryszewskim nie ma nikogo, rozpadało się. Kręcę się wściekły i chcę wrzeszczeć na drzewa. Także dlatego, że nie zabrałem ognia. Miętoszę zimnego peta.

Wiem, że gdy wrócę, to nie zasnę. Coś mi zabrano. Dałem sobie odebrać. Jakie to ma znaczenie?

Myślę o swojej kolekcji: mam skrytkę w gabinecie, skarby w tej skrytce. Teraz to złoto głupców, nie zajrzę, wyrzucę.

Misia na pewno śpi. Raz w miesiącu wracam po nocy (teraz już mi to odjęto), nigdy nie wstała, umyję się, schowam brudne spodnie, walnę dwie setki na sen i może jakoś będzie. Chyba że jakoś by nie było, przecież nie wziąłem teczki. Co w niej miałem?

Światło mruga spomiędzy drzew. To samo trupie oczko.

Próbuję je ominąć, cokolwiek tam żeruje, chcę zostawić je z dala od siebie. Szukam jakiejś ścieżki, w zamian znajduję kępę krzaków, zagajnik, zza którymi wznosi się czarna kamienica. Bloki są bliżej niż myślałem, może bym się i roześmiał. Lubię domki wrzucone między osiedla. Światło krąży ze sto metrów ode mnie, coś buszuje w chaszczach, dosyć to miałem pół godziny temu, co teraz mam — nie wiem. Z krzaków wyskakuje rozbawiony wilczur i łasi mi się do nóg.

Światło błyska między drzewami, długi promień pada na trawę koło mnie i już wiem co to takiego. Latarka halogenowa. Wołanie:

— Marks! Marks!

Marks nadstawia uszu, biegnie w stronę światła, nim zdążę odetchnąć, już jest przy mnie.

— Jest tam ktoś?

Głos należy do starszego mężczyzny. Odpowiadam, tak, jestem.

— Mógłby pan przyprowadzić mi psa?

Też mi coś. Ignoruję faceta, za to Marks ani myśli odpuścić, wędruje koło mojej nogi, światło zostawiamy za sobą. Mężczyzna idzie wzdłuż drzew, nie przekracza linii.

— Niechże pan zrozumie! — woła.

Ciągle trzymam papierosa.

— Masz pan ognia?

Ma. Marks ociera mi się głową o udo. Skręcam w stronę światła, wypatruję jakiejś ścieżki między drzewami. Niewiele widzę, facet usłużnie świeci mi pod stopy. Marks wypuszcza się przodem i już obskakuje swojego pana. Ten opuszcza latarkę, wyciąga rękę, witamy się. Daje ognia. Palimy.

Pies ujada, uszczęśliwiony.

— Czemu nazywa się Marks?

Staruszek chwyta smycz.

— Był jeszcze Engels, ale zdechł w zeszłym roku. Zdechła. Bo to była suka.

Facet ma koło sześćdziesiątki, zadbaną brodę i płaszcz narzucony na sweter.

— I po co się pan włóczy tak po nocy? — pyta.

Wzruszam ramionami. Od kamieniczki dzieli nas może pięćdziesiąt metrów.

— Kto cię tak urządził?

— Złe miejsce, zły czas — odpowiadam głupio i już chcę się zbierać. Szlug wchodzi na raz, odpalam kolejnego, jeszcze rzut oka na kamienicę: zniszczona to mało powiedziane.

— Może pan zajrzy. Teresa się temu przyglądnie. Rozumiem, że niektórzy unikają pogotowia.

Żegnam się i idę przez krzaki.

Wariat, ale miły. Świeci mi pod nogi, żebym się nie potknął, zerkam: dalej nie śmie przekroczyć słupka. Morda już tak nie piecze. Zaraz skręcę na alejkę, do domu mam parę kroków. Przelazłem cały park. A tu spomiędzy drzew wychodzi młody gość. Prosto na mnie. Pociągła gęba, bluza z kapturem, nic przyjemnego. Marks ujada gdzieś z tyłu.

Boję się, że drugi raz dostanę w mordę, ale chłopak wymija mnie szerokim łukiem. Trzyma coś, co wygląda mi jak spray. Tylko mniejsze. Graficiarz cholerny.

*

Przyglądam się sobie w windzie: policzek trochę czerwony, przejęte oczy. Koszulka przepocona pod pachami i na piersiach. Mam błoto na

butach i otarty łokieć.

Myślę sobie, że ten Graficiarz nie jest miłym człowiekiem. Pewno wnuk starego.

Przekręcam klucz tak cicho, jak umiem. Pcham drzwi prosto na Misię. Stoi w zielonym szlafroku. Nie wie — popłakać się czy wrzasnąć — więc robi jedno z drugim na raz.

— Gdzie byłeś?

Odsuwam ją delikatnie i mówię, że wszystko w porządku. Cofa się jak przed bandytą, takie skojarzenie wpada mi do głowy i wiem już, co Graficiarz trzymał w łapie.

— Co ty wyprawiasz? — pyta Misia.

Żaden to Graficiarz, żaden spray. Gaz pieprzowy. Pyknie w oczy i po psiaku.

Chwytam Misię w ramiona, całuję mocno w zaczerwienione oczy.

— Przepraszam — mówię i biegnę do windy.

*

Marks leży między drzewem a chaszczami i podkurcza łapy. Wywalił język, ledwo dyszy, kucam przy nim i zaraz pędzę dalej. Głos Misi dudni mi w głowie: „Skurwysyn! Jak i ojciec!”. Ostatni raz biłem się w ogólniaku, stłuc mnie to nie problem, jak dzisiejszy dzień pokazał.

Zwalniam trochę i dzwonię na policję, sapię, że awantura w parku Skaryszewskim, młody bije starego. Jak, gdzie. Pod tą kamieniczką. Jaką kamieniczką? No kurwa tą. Tą, co tam się dzieje? Biją. Nie wiem. Pan nie wie. No dobra.

Próbuję wyrwać jeden z tych słupków okalających kamienicę, łajdak siedzi mocno, tak jak mocno oberwał staruszek. Kuli się na trawie. Daję mu znak ręką, że będzie dobrze i pędzę. Niedaleko.

Jakby nagle wepchać do płuc rozgrzane powietrze, jakby nogi podciąć. Ciemnieje mi w oczach, coś ciśnie na czaszkę, znajduję siebie obok starca, wije się i trzymam za brzuch. Przechodzi w gwizdzie, nie zostawia śladu, spoglądam za siebie, myślę — co to było? Ziemia jest mokra. Idę do budynku.

Szerokie wejście, posępna klatka schodowa. Drewniane schody. Graficiarz dotarł już na pierwsze piętro i tam się szamocze.

Drzwi na parterze uchylają się na palec, miga przerażone oko. Znika nim otworzę głowę.

Wrzask Graficiarza miesza się z kobiecym lamentem i męskim głosem. Ktoś tu pragnie być rzeczowy. Wspinam się po schodach najciszej jak potrafię, co daje hałas na miarę roztrzaskiwania mebli, schody skrzypią i nici z efektu zaskoczenia. Przyspieszam, tyle mogę. Na piętrze para wysokich drzwi, obie pootwierane. Graficiarz trzyma gaz na wysokości oczu trzydziestoletniego mężczyzny, ten nie bardzo wie co się dzieje, unosi ręce i próbuje ustać. Kobieta trzyma się na odległość skoku. Coś tam klaruje, powtarza Romuś, Romuś, w ten sposób poznaję imię Graficiarza.

Trzydziestoletni pijak próbuje zagrozić drogę na poddasze, Romek macha gazem przed nosem. Baba dostrzega mnie jako pierwsza, cofa się, a mojej uwadze nie umyka, że ma kusą bluzkę, czerwone majtki i podwiązki na długich nogach. Myśli, że jestem kumplem Romka. Ten natychmiast wyprowadza ją z błędu.

— Czego się za mną wleciesz? — drze się — chcesz forsy? Tam jest jej dosyć!

Wskazuje na drzwi za kobietą.

Biorę spokojny oddech. Noc pomyłek. Cios w mordę. Pies. Misia. A teraz ten chłopak. Ma może osiemnaście lat i robi w gacie. Przyszedł straszyć ludzi gazem pieprzowym, który ledwo trzyma. Bierzymy go w kleszcze z trzydziestolatkiem, a on nie może patrzeć w dwie strony równocześnie.

— Kim jesteś? — pyta jakoś tak dziwnie — kim jesteś tutaj?

To jest jak sen. Ledwo pamiętam swoje imię, Alek, tak mi się ćmi, a Romek psika mi gazem w twarz. Trzydziestoletni pijak rzuca się na niego i obala, szkoda, że nie na ziemię lecz na mnie, turlamy się po schodach. Piecze. Nie mogę oddychać, zwłaszcza jak zwałamy się na półpiętro i Romek łąduje mi na brzuchu. Kaszlę, płaczę. Walę go po głowie, współ ze sponiewieranym, trzydziestoletnim pijakiem zbieramy się w kupę, chcemy zrzucić go ze schodów. Na dole pojawia się staruszek, wrzeszczy, żeby jednak nie.

Romek rozkleił się, beczy. Podnoszę gaz i mimo protestów tryskam mu w gębę. Zostawia pomarańczowy ślad. Wlokę gówniarza przez klatkę schodową i wyrzucam na zewnątrz, chcę jeszcze zasadzić kopa. Powstrzymuje mnie stary.

— Zostaw. On już nie wróci.

*

Dom to Ewa. Wędruję powoli przez zakamarki i pochwy jej ceglanego ciała.

Schody są wąskie i pokręcone, za mną Jaworski ledwo wspina się po wysokich stopniach, parska a nie oddycha. Słyszę, że lepiej nie trzymać się barierki, bo ta już się nie trzyma, jeden taki cwany zleciał stąd na łeb.

Gałęzie szurają o kolorowe szkiełka na półpiętrze, a Jaworski dobiega siedemdziesiątki i ma psa Marksa, wykładał filozofię na jakiejś ekonomicznej uczelni, a teraz, latka lecą, pisze dzieło życia, syntezę rozmyślań oraz patrzy, jak mu się żona starzeje.

Zajmują pierwsze piętro, Teresa wolno odkleja się od ciemnego przedpokoju, wysupłuje się z tego mroku, wyzwala swoje włosy, a lat ma teraz z milion, a nie czterdzieści parę. Marks przypada do niej, stary a szczeniak, ujada, wskakuje, bije w jej brzuch przednimi łapami.

W pokoju herbata, koniak, ciasteczka. Teresa nie przestaje trajkotać: o tym, jak nudno i smutno kiedyś było, jak żyła życiem cudzym, pożyczonym, kupionym za grosze. A teraz pasmanteria. Guziki, sznurówki, swetry. Mało co już schodzi, to nieważne, Alku kochany, ile można się męczyć, Ewunia pomoże, Ewunia zrobi, dobrze, żeś tego okropnego Romka przegonił. Jaworski marszczy się nad kieliszkiem.

— Przestań wreszcie trajkotać, idiotko! — tak się złości. Teresa nawet się nie obejrzy.

— A gadaj zdrów!

Salon wypełniają książki: paskudne tomy z lat siedemdziesiątych, niektóre ciut młodsze, za to wszystkie rzucone na kupę bez planu. Drzwi po przeciwległej stronie są uchylone, ukazują kawałek biurka, papierzyska, zeszyty. Jaworski — słyszę — knoci to swoje dzieło.

— Powiem ci, czemu tak długo to trwa — Teresa próbuje szeptać i to tak, że ściany się trzęsą — gdyby tylko zamknąć barek, książka byłaby gotowa raz dwa.

Piję szybciej niż wypada. Powinno tutaj śmierdzieć starością i zwierzęciem, ale nie. Jeszcze mi nalewają, przypominam sobie, ile już wypilem, co stało się wcześniej. Ochroniarz na Francuskiej. Awantura z Misią.

Jaka Francuska, jaka Misia, tylko w głowie szumi, założę się nawet, że nie mam obitej mordy. Idziemy dalej.

Drugie piętro zajmują Jacek i Wit.

Jacek bawi się w mnicha, z wielkiego mieszkania wykroił sobie pokój, resztę oddając koledze. Zastaję go pogrążonego w modlitwie, chcę podejść, ale Jaworski prosi, żebym dał sobie spokój: Jacek się zgrywa. Zawsze, gdy idą goście, pada na kolana i klepie te swoje paciorki. Przyglądam się jego celi. W oknie kraty, na ścianach tylko krzyż i jakiś święty, proste łóżko, ubrania wiszą na gwoździach, ale właśnie tutaj znajduję pierwsze ślady współczesności. Na biurku stoi komputer z wypukłym, dwukolorowym monitorem, jakich od dawna się nie robi, obok kupka gazet, jamnik z odtwarzaczem CD i kilka kompaktów.

Niby życzliwie zagaduję, jakim jest mnichem, kiedy zmnisiał i czemu, choć widzę, że z niego taki zakonnik, jak ze mnie bóg grecki. O dziwo, zgadza się ze mną. Poszukuje spokoju.

— A jak znajdziesz, to co? — pytam. Trzęsą mu się ręce.

— Wtedy będę spokojny — odpowiada. Na Jackowej celi zyskał Wit. Połączył dwa mieszkania w jedno. Wit to roześmiany pijaczyna, który pomógł mi z Romkiem. Zastaję go jak udaje podróżnika i nie umiem powstrzymać śmiechu. Oto facet w lnianych spodniach, rozpięta koszula odsłania kogucią klatę, ciemne okulary, czapeczka daszkiem do tyłu. Na szyi dynda mu polaroid. Chodzi tak po pokojach, których ma chyba z dziesięć, i liczy kroki. Pootwierane albumy. Zdjęcia powiększone na pół ściany. Miniaturka krzywej wieży w Pizie i portrety cesarów, gipsowy akropol i muszle z morza Śródziemnego. Skorupa z rozgwiazdy. Sklejony statek. Na stolikach, półkach, parapetach pootwierane butelki wina i kieliszki. Wit liczy kroki. Zaprasza do wędrowania, ale nie zamierzam brać udziału w tej paranoi.

— Jeszcze dwa dni i dojdę na sam obcas — informuje. Prosi, żebym pottrzymał mu kieliszek, reflektuje się, przeprosza i mam już dwa kieliszki. Wytrawne, aż mi mordkę wykrzywia, tymczasem Wit podnosi aparat do oka. Staje przed fototapetą z nadmorskim krajobrazem: białe domy, para zakochanych Włochów mknie ku wydmom na skuterku. Wit ustawia kadr i cyka. Z aparatu wysuwa się kwadratowa, błyszcząca kartka. Przylepia fotografię do ściany i wędrujemy razem po pokojach.

Wcześniej ten pokój był Afryką.

Jeszcze wcześniej Nowym Jorkiem.

Meksyk, Szpicbergen, Kalifornia. Zmienia oprawę, przemalowuje,

dodaje figurek i fotografii. Pytam go, czy nie można prościej, czemu nie pojedzie w te miejsca, koszt takiego udawania wynosi tyle co last minute. Teraz mamy cyfrowe aparaty.

— Skąd, skąd — przeczy gwałtownie — tylko tutaj mogę być sobą.

*

Kilkanaście lampek wkręconych w podwieszany sufit. Konstelacje: Orion, Niedźwiedzica za Wozem. Klosz żarówki przy łóżku przypomina księżyc.

Wszystko w rzeźbionym drewnie. Szafa zdobiona, biurko, półeczki z książkami. Nawet szafka na buty. W podłodze szpary, że palce można wsadzać. Trzeszczy jakby łamać kości. Powinno już świtać, ale nic o tym nie wiem, bo okna zabito szczelnie. Ciężkie kotary i lustro przy toalecie, szkło rżnięte, poniżej — flakony.

Ewa siedzi na łóżku i nie ma w tym nic niestosownego, przepełnia mnie niewinność i prawda. Ubrana na chłopaka: koszulka Hard Rock Cafe z Budapesztu plus workowate spodnie. Pije wodę z wysokiej szklanki, podnosi nos znad książki i zaraz go marszczy, pewno spodziewała się czegoś cudniejszego. Pytam, co czyta, więc pokazuje mi okładkę. Powieść od Jaworskiego.

— To były wielkie nakłady — mówię, strapiony — ludzie wyrywali okładki, a środek do śmieci.

Patrzy, jakby nie załapała.

— Rozumiesz. Płótno było cenniejsze niż papier.

Nalewa mi wody.

Ewa ma dwadzieścia dziewięć lat. Adoptowana przez Teresę i Jaworskiego, jak i skąd nie wiem, nie pytałem, niewiele mnie to kręci przy tym zwierzęciu. Przybrany ojciec zbiega po schodach, przecież nic nie zrobię, jestem tu nowy, zresztą, myślę sobie, Ewa taka debilna. Nic nie mówi. Ciągnie mnie ku sobie, rozchyła usta, a mi robi się słabo, niedobrze, pierwszy raz od jakiegoś pijaństwa jestem gotów przysiąc, że zaraz umrę. Wiem już skąd cisza.

Dziaśła Ewy są czerwone i wielkie, jakby napuchły, krzyżują się na nich ciemne żyły. Niżej — kły białe, gęste i długie na pół palca. Dziewczyna ledwo może rozchylić szczękę. Gapię się na nie, porównuję z zadbanymi dłońmi. A Ewa czerwieni się i zaczyna płakać. Tkwią durny pośrodku pokoju. Ewa ciska książką i spuszcza głowę, daje znak ręką,

żebym poszedł. Dłoń jej trzepocze. Żeby tylko Jaworski nie usłyszał tego skuczenia. Krew by to. Idę do niej. Boję się tylko, że mnie dziabnie. Albo jeszcze raz zerknę w tę szczękę i zrobi mi się niedobrze, myślę o zgniłych kawałkach mięsa zaczepionych między zębami.

Biorę Ewę za rękę. Sztywna.

— Jestem idiotą.

Kiwa głową. Mógłbym powiedzieć, że to nie moja wina, że powinna jakoś gościa ostrzec, bo nikt, kurwa, nie oczekuje świńskich zębów w takiej buzi. Ale gadam tak.

— Przysłali mnie tutaj, bo jestem właśnie najgłupszym człowiekiem świata. Cały pokój mam w medalach i dlatego twój tato mnie do ciebie ściągnął. Córa nie widziała jeszcze prawdziwego durnia. Tak mi rzekł.

— Kiedyś myślałem, że katafalk to rodzaj ceraty, a zoo odwiedzałem w poszukiwaniu dinozaurów, sądziłem że słońce składa się ze słoneczników, chciałem jeść gumno, bo to smaczna nazwa i wierzyłem, że „Zbrodnię i karę” napisał Paulo Cohelo.

Ewa nie może się śmiać. Wygina wargi, ale zęby przeszkadzają. Dobywa z siebie dziwny dźwięk, rzenie przemieszane z klaskaniem.

Zastanawiam się teraz, czemu nikt jej nie pomógł, nie zaciągnął do ortodonty, takie zęby można by szlifierką ścierać. Ewa siada na brzegu łóżka i śmieje się zasłaniając usta, nie bardzo wiem, co mogę o sobie powiedzieć, wszystko nagle zniknęło, nie znam imion i brak mi wspomnień, jestem rozsmarowany tu i teraz, nabiegłe krwią masło z oczami, rozlewam się i tonę, grzebię paluchem w swojej własnej mazi. Brak mi wieku i wzrostu. Skóra nie ma koloru bo i skóry na sobie nie znajdę, aż w tym ciepłym mroku, w rozkosznym wyrku ciemności znajduję co trzeba, trzeba mi prawdy i mówię.

— Z kobietami zawsze chciałem, żeby było jak na początku, przecież na początku jest najfajniej, motyle w brzuchu i te rzeczy, myślałem sobie, myślę, że gdybyśmy mieli być ze sobą dłużej, na lata, to zostałyby jakaś świeżość, a nie przyzwyczajenie. Nienawidzę się przyzwyczajać, znużenie czyni mnie znużonym i może dlatego nigdy się nie ożeniłem. Raz byłem blisko. Taka Misia. Ale uciekłem, spieprzyłem można tak powiedzieć, ale też uratowałem nas oboje. Tak jest lepiej. Chciałem mieć dzieci. Z Misią, tak. Ale myślę sobie, że za bardzo kocham dzieci, żebym skazał je, skazał swoje dziecko na siebie. Na nerwowe życie. Ciągle mnie nosi, wiesz? To

nie jest dobre, gdy masz dzieci. Mieszkałem w całej Europie. Po miesiąc, dwa. I roczne stypendiów w Stanach. Cholera, w sumie profesorów też zawiodłem, dwa kierunki i żaden nie skończony. Dziesięć lat babrania się w książkach i po co? Po coś to na pewno. Wiesz, że formy przemysłowe rzuciłem tuż przed dyplomem? A byłem mistrzem krzesel, uwierzysz? Moje krzesło, głupi stołek dostało ileś tam nagród, wystawiali w Berlinie, w Kopenhadze i gdzieś tam jeszcze, Sztokholm, strasznie zabawne, bo nikt mi w życiu nie powiedział, jak się na nim siedzi. Nawet ten gruby Duńczyk, co mi nagrodę wręczał. Duńczyk, powinno być Dańczyk, nie sądzisz? A teraz robię pismo. Śmieszna sprawa. Kolorowe, w każdym kiosku, Empiku, niby wielka sprawa. O muzyce, filmie, modzie. Nakładu mamy z pięćdziesiąt tysięcy, a schodzi kilkaset sztuk, reszta sru na przemiał, szkopuł w tym, że reklamodawcy nic o tym nie wiedzą, nasz prestiż jakby klata generała, tyle orderów, to ślą nam pieniądze. Każdy tak działa. Kto by czytał gównno? Dalej jeżdżę po miastach. Myślisz, że imprezuję? Nie, po prostu mam czas. Mogę spać do późna. Jak na studiach. Tylko spokój, bo nikt mnie nie sprawdzi. Ciągłe jeżdżę po miastach. Widziałaś kiedyś? Europa jest taka piękna. Wino. Lubisz wino, Ewa? Przyniosę, to się napijemy. Myślałem, że mogę mieć inne życie, życie lepsze z sensem o jakim ludzie mówią. Łatwiej. Bez urazy, bez złośliwości, normalnie jest łatwiej. Lepiej się zmagać ze sobą niż z życiem.

Milknę, przerażony tym co powiedziałem. Bo wiem, że coś jest nie w porządku, coś pominąłem. Ale widzę.

Zadowolony z siebie, jasny Duńczyk-Dańczyk wręcza mi dyplom i atrapę czeku, wielkości wycieraczki.

Kłótnia z Misią, ta ostatnia. Pamiętam, nie jak film, opowieść, jak swoje. Wynajęta garsoniera. Koty. Książki, komputer, rzędy płyt. Misia wyje na podłozie: „czemu mnie opuszczasz?”.

Ja sam przed budynkiem uczelni, sentyment dorosłego nastolatka. Palę papierosa i myślę sobie, jak to źle i dobrze zarazem, że nigdy już tam nie wejść.

Nasza redakcja przy jednej z wylotowych arterii Warszawy, naprzeciwko Tesco jak góra. Przejście do nas przez bramkę, kolorowy biurowiec, a tam trzy pokoje na piętrze, dziewczyny, graficy, na moje biurko długopisu nie wciśniesz. Grzebię palcem w tej codzienności,

przecież byłem tam wczoraj. Widzę.

Widzę Ewę.

Jej usta Ewy smakują zgniłym mięsem, nie mogę się powstrzymać.

*

Nie umiem tak spać. Dopiero dziesiąta. Wyślizguję się z objęć Ewy, ubieram się i z wolna przypominam sobie co się działo i co powinienem zrobić. Numer w drukarni, lekki luz, w ostatniej chwili wyleciał materiał o Olivierze Stone; przypominajka, lunch z Grzesiem, ważna sprawa. Pchamy naszych do telewizji.

Ewa ma lustro. Wiedziony niezrozumiałym niepokojem sprawdzam, czy nie wyrósł mi drugi garnitur zębów. Dziewczyna śpi twarzą do ściany, co trochę mnie śmieszy.

Jeśli się sprężę, zdążę wykąpać się u siebie.

Przed domem spotykam Jaworskiego z Marksem. Staruszek trzyma filiżankę kawy. Pyta, czy jeszcze chcę. Ja na to, że muszę zmykać.

— Bardzo dobrze. Niech pan już tu nie przychodzi.

Znalazł się strażnik.

— To chyba nie pana sprawa — odpowiadam tak serdecznie jak umiem.

— Święte słowa — stary wykręca głowę, żeby tylko na mnie nie spojrzeć — tylko tak gadam, nic nie mogę.

Ściska mi rękę.

— Bliscy się o pana martwią.

— Mieszkam sam — mówię i wyrywam się z uścisku. Marks podskakuje przy mnie. Jaworski unosi dwa palce w żołnierskim pozdrowieniu i mruga jak mężczyzna do mężczyzny. Ta jego Teresa, niczego sobie. Ale myślę o Ewie.

— Zastanawiam się, czemu pan nie robi czegoś z... — łapię oddech i całą niestosowność tego, o co chciałem spytać, niestosowność kłów w pięknej twarzy Ewy. Skręcam rozpaczliwie — tak ciemno tam na górze.

Jaworski natychmiast markotnieje.

— Słyszał pan o pokrzywce świetlnej? — cmoka. Pewno tłumaczył to zbyt wiele razy — gorsze niż franca. Nie może wychodzić, ani przebywać w jasnych pomieszczeniach. Zauważyłeś, jakie słabe ma żarówki w suficie — słyszę, a w głowie dokazuje mi nieznośna myśl, że Ewa jest wampirem.

— Ale chyba wieczorem może uciąć sobie spacer — rzucam. Jaworski jest wyraźnie zbity z tropu:

— Mówisz, jakbyś jej nie widział — słyszę i nie zostaje mi nic, jak tylko się pożegnać.

*

Myślę o pracy i ciele Ewy. Zaskakująca dziewczyna. Tylko taki pech. Gdyby ktoś mądry się o nią zatroszczył, nie tkwiłaby w ten dziupli nad starym wariatem, gdyby ktoś... — tak myślę i zaraz mi weselej.

Łapię się na porównaniu Ewy z Hanią, ostatnią dziewczyną, rozstaliśmy się w lecie, jak to wszystkie szczęśliwe pary na pierwszych wspólnych wakacjach, hałaśliwie, ale i bez większego żalu. Hania była taka na pół. Drobna i wielki tyłek. Zasadnicza, ze starą głową, jak zużyta bibliotekarka, bez poczucia humoru i fantazji. Za to w łóżku demon obdarzony piekielnym instynktem. Zawsze wiedziała, czego facet chce. Ciekawe, co teraz robi. A Ewa cała taka dzika.

Jaworski wlepia we mnie wzrok, Marks znów mnie dopada, merda ogonem. Jedną rękę opieram o słupek, drugą głaszczę psa po durnym łbie, mój łeb nie mądrzejszy i dałbym go sobie urwać, że moment temu myślałem o czymś istotnym. No, leć już, wracaj do pana.

Patrzę za nim jak biegnie, przeskakując słoneczne plamy na mokrej trawie. Budynek ładny, ale dziwny. Czemu zabito okna na ostatnim piętrze?

Ruszam przez park, budynek niknie za drzewami i nagle rozumiem, jak strasznie zawałem. Misia, Luiza, a tu po dziesiątej rano. Po co, idiota, poszedłem w noc?

Obszukuję się gwałtownie. Klucze i portfel na miejscu. Gdzie teczka? Tamten ochroniarz, kurwa mać. Biegnę, w głowie jakieś dziwne obrazy, stare mieszkanie, pokój na piętrze. Dziewczyna. Ale zawałem. Aż staję od tego wstydu.

Nigdy nie myślałem, że przekroczę tę granicę, zawsze chciałem, brakowało odwagi i rozsądku, Misia jest jaka jest, ale chyba nie zasłużyła. Za późno, pomyślałem chujem, trzeba teraz pomyśleć czymś odmiennym, jeśli kogoś skrzywdziłeś, nie zapomnij obrazić.

Sprawdzam komórkę, kilkanaście nieodebranych połączeń. Tak, to chyba ja powinienem rano iść z Luizą.

Za granicą parku przeglądam się w lusterku samochodowym. Morda

jest sina, a pod okiem czarno. Spuchnięty łuk brwiowy. W Żabce kupuję półlitrową colę, siadam na murku i już wiem, co robić.

*

Zastaję Misię w pokoju, tam gdzie oglądamy telewizję, Luiza wyrywa się do mnie, matka jej nie puszcza, mała widzi moją obitą mordę, więc w płacz. Odwraca głowę.

Misia przygląda mi się, ona jest w ogóle taka „mi-się”. Słyszę: ty gnoju, gdzieś ty się szlajał, dzwonięcie, szukanie. Nie zmrużyłam oka.

— Proszę, nie mów tak przy dziecku — odpowiadam tak łagodnie jak umiem, choć wściekam się chyba bardziej niż ona. Przydałoby się współczucie, proste pytanie, co było.

Córeczka pędzi przez pokój, ale przy mnie zwalnia, patrzy poważnym wzrokiem i już wiem, że ten tresowany przez złośliwą matkę bachor zaraz wypowie jakąś wyklepaną, wrytą jej w głowę formułkę. Jednak milczy. Próbuję ją objąć. Znika w swoim pokoju. Misia idzie do kuchni, będzie palić. Wślizguję się za nią. I leci. Jak mogłem to zrobić, przyjść, zaraz wyjść, jeszcze zrozumie, gdybym przytargał się nad ranem.

— Jak dla córki nie jesteś trzeźwy, to dla nikogo nie będziesz.

Przecieram włosy. Mam tam grudki ziemi.

— Jesteś po prostu okrutna — odpowiadam. Zabieram westa ice z jej paczki i zaczynam bredzić.

A bredzę, że jak wracałem do domu, podpity i owszem, spotkałem starszego faceta z psem, może go kojarzysz. Już szedłem do bramy, jak tam, od strony spożywczaka wyrosło trzech takich gnojków i zaraz na niego. Z mordą o pieniądze. Uciekłem. Schowałem się w naszej klatce i zaraz wsiadłem do windy, ale ten stary bity nie dawał mi spokoju. Na piętrze słyszałem jego krzyki. I nie wytrzymałem. To był impuls silniejszy niż ja. Właśnie wtedy, gdy otwierałaś mi drzwi.

Misia bierze powietrze w usta, zatrzymuje, zupełnie zapomniała o papierosie, który tli się biednie, rośnie sobie popiół.

Opowiadam dalej. Zbiegłem, bili go po brzuchu. Podszedłem i powiedziałem: hej panowie, przecież ten dziad ledwo dycha sam z siebie. Macie tu na dobrą flaszkę i zapomnijmy o sprawie. Wyciągnąłem stówkę. Jeden ją wziął, a drugi mi przydzwonił. Potem zawlekli mnie do samochodu. Myślałem o was. O tobie, Misia, i o Luizie, że to już koniec i nic nie zdołam już odkręcić, nic naprawić. To było straszne. Próbowałem

prosić, żeby mnie zostawili, przysięgam, chciałem wydobyć portfel żeby pokazać zdjęcie małej, to jeszcze dostałem w gębę. Przypomniałem sobie te wszystkie opowieści o ludziach wywożonych do lasu, wiesz, samemu kopiesz sobie grób. A oni zwyczajnie wywieźli mnie za granice Piaseczna, cisnęli w rów i zostawili.

Jeszcze woda. Rozrywam zębami mozarellę, woda ciurka do zlewu. Wgryzam się w ser.

Chcę nawet rozpiąć koszulę, niech Misia sprawdzi, czy nie mam sińców na plecach. Odpuszczam, mogę mieć ślady po zabawie z Ewą.

Misia zgniata swojego papierosa, bierze gryza z mojej mozarelli i otacza mnie ramieniem. Nie lubię takich leniwych ruchów. Syczę, że niby zaboląło. Misia marszczy pieszczotliwie wyskubane w połowie brwi:

— Może to cię czegoś nauczy.

Zostawia mnie tak.

Odwraca się jeszcze.

— Zrób z sobą porządek. Luiza się ciebie boi.

Co za suka, myślę, wredna, starzejąca się baba, która myśli tylko o sobie.

*

Park Skaryszewski. Pierwszy spacer z Luizą od nocnej afery. Niedawna śliwka pod okiem ma teraz kolor mandarynki.

Misia przygląda się nam z alejki, łapię Luizę w ramiona, a ona wali mnie w nos i myśli, że to śmieszne. Przytulam ją mocniej, to próbuje odpychać, gonimy się znowu aż do grupki gołębi, te śmigają w powietrze przed małymi dłońmi. Luiza zastyga i nie wie co robić, szczęściem dostrzega strumień, pędzi tam, zrywając trawy i liście, Misia rusza niemrawo w jej stronę, za to ja pędzę nim mała skoczy. Luzia zatrzymuje się przy brzegu i ciska zielsko w nurt, wrzeszcząc radośnie. Ciągnę ją na niewielki mostek. Chwyta barierkę. Kaczki, kaczki! Dochodzi do nas Misia, więc misie-patysie muszą koniecznie się zdarzyć. Naznosiłem gałązek.

Tłumaczę Luizie, że powinna ciskać je po kolei, ona swoje, wyrzuca całą garść i zaraz pędzi na drugą stronę mostku. Czeka, patrzy, markotnieje — żaden nie wypłynął.

Odruchowo przytulam Misie. Całujemy się chwilę, kątem oka widzę, że Luiza daje sobie spokój z mostem i pędzi w głąb parku.

Ruszamy za nią powoli, tu nie ma niebezpieczeństw, dzieli nas kilkanaście kroków. Jeszcze chwilę trzymamy się za ręce, Misia zwalnia, puszczam, z krzaków wypada wielki, wesoły psiak. Wydaje mi się, że gdzieś go widziałem.

Luiza jest zachwycona, dopada, tarmosi za łeb i próbuje szarpać za uszy. Wilczur, bo to wilczur, chyba merda ogonem, choć chce się wyzwolić. Ktoś go woła przez krzaki. Zawraca, moja córka za nim. Misia się drze. Przecież nie dzieje się nic takiego. I tak, gnam co sił. Luiza niknie w chaszczach, nim ją zdołam chwycić. Miga mi między zielenią.

Rozgarniam gałęzie. Mój niepokój jest większy niż powinien, jakbym tu był, jakbym znał złe miejsce.

Zamiast tego kamieniczka przedwojenna, no jasne, to tu. Tu chyba widziałem Ewę. To było dawno. Nie pamiętam kiedy.

Okna zabite na ostatnim piętrze.

Trzydziestoletni gość siedzi na schodach i czyta. Staruszek z filiżanką w dłoni woła swojego kundla, kundel leci do niego i nie ogląda się na nic. Za nim zasuwa Luiza. Staruszek upuszcza filiżankę, daje znaki rękoma, żeby nie podchodziła, widzi mnie, najwyraźniej rozpoznaje, bo wrzeszczy:

— Ani mi się waż!

Zwalniam i odkrzykuję, że nie wiem co jest grane. Na plecy wpada mi Misia. Razem wołamy Luizę, ta nawet nie spojrzy, tylko sady susy w wysokiej trawie, trąca dłonią taki kretyński słupek i zaraz za nim staje jakby uderzyła w niewidzialną ścianę.

Wyje, jakby brzuch jej rozcięło. Wrzask ma swój wiek. Tak wrzeszczą tylko starcy. Biegnę.

Luiza wbija sobie palce w policzki i drapie, kreśli czerwone bruzdy od oczu w dół. Jestem niedaleko. Ledwo widzę. Ona rozszarpuje sobie skórę. Wyje. Nie nabiera powietrza. Pada na kolana. Paznokcie w przedramiona. Jezu Przenajświętszy!

Chwytam wrzeszczące dziecko w pasie, Luiza kopie i wyrywa sobie całe kępy włosów, w oczach tylko bielma. Ciskam ją brutalnie, mała leci, nie mam jak złapać, rzucam się jednak całym ciałem do przodu i ratuję ją przed upadkiem.

*

Szwy. Bandaże i lekarze. Psycholog.

Luiza leży w swoim łóżku, otulona przez zabawki, jak anioły prawie mają ją chronić przed złem. Pal sześć ramię. Pal rękę. Ta twarz. Świeże strupki pod bandażem.

Nie chcę, żeby moja córka była oszpecona. Wolałbym urwać sobie głowę. Doktor twierdzi, że zniknie bez śladu, młoda skóra.

Oglądam swoje ciało, szukając śladów po skaleczeniach z dzieciństwa. Mała blizna na dłoni. Druga na kolanie. Misia płacze. Mówię jej, że nie powinna tak przy dziecku.

— Co, jak to się powtórzy?

Chwytam ją za dłonie, szepczę.

— Będziemy przy niej cały czas. Żadnego przedszkola, tylko opiekunki. Każda dostanie telefon. Kurde, dwa telefony...

— Alek, co ty w ogóle mówisz?

Luiza patrzy to na nią, to na mnie. Zaraz, córuś. Wypycham Misię z pokoju.

— Musimy mieć lekarza. Psychologa. Psychiatrę. A ty masz iść do tych ludzi. Do tego domu.

Nie wiem po jaką cholere, ale zgadzam się natychmiast, chcę wracać do córki. Myślę, ile nowych kłopotów na nas spadnie.

— Ktoś może pomyśleć, że my jej to zrobiliśmy — mówię ostrożnie.

— Po prostu tam idź — Misia ma minę, jakby chciała tupnąć nogą — a teraz posiedź choć chwilę ze swoją córką.

A w oczach ma „to wszystko przez ciebie”.

Jak Boga kocham, przypieprzyłbym jej za takie słowa.

Wracam do Luizy i próbuję zapewnić jej pozór normalności. Czytam, a ona wytrąca mi książkę. Urządzam pluszowy teatrzyk — ciska czym może w niedźwiadka i osiołka. Robię śmieszne miny — obrywam i ja. Tulę więc córę i mówię, że wszystko będzie dobrze, ale coraz bardziej płacze.

-Tatusiu... Ja umarłam. Ja... mnie nie było.

*

Nie spodziewałem się kwiatów i harcerek. Stary stoi przy słupku i trzyma drąga.

— Walnę cię, jak zrobisz tylko krok.

Porozumiewawczo rozkładam dłonie: hej, chcę tylko pogadać.

Przypominam, co było z Luizą, mówię, że jakby co będę zwyczajnie

potrzebował pomocy, teraz odbierają rodzicom dzieci za mnie. Pomoc dostaniesz, słyszę, a teraz spierdalaj.

Jakoś Misia z Luizą przestają być ważne, chcę iść naprzód, nie mogę wybić sobie tego z głowy. Robię krok, stary macha kijem i już wiem, że jest niegroźny, ten stary dom mnie woła, aż ssie w żołądku. To idę. Bardzo spokojnie, unosząc dłonie na znak, że ani w głowie mi kogoś skrzywdzić. Dziad jest łagodny, macha, chwytam za kijek, wyciągam mu go z dłoni, jeszcze do przodu, łąduje we mnie fala oczywistości: mnisi pokój, człowiek zwiedzający świat w swoim mieszkaniu, Ewa, jej ciało, jej miłość za zabitymi oknami.

Podejrzanie: oni ją dręczą z nieznanego powodu.

Wychodzą: Teresa, Jacek, Wit. Jaworski zabiera kij, mógłby głowę zdjąć mi z ramion, taki jestem skołowany, tylko Marks przyjazny jak zawsze. Merda. Nie możesz tu zostać, mówią mi na przemian. Więc mało a na kolana padnę, jestem gotów rozdrapać sobie skórę, wyrwać serce jak wielką prośbę. Nie odpychajcie mnie. Ani kroku w tył.

— Nie możesz zostać — mówi Jaworski. — masz żonę i dziecko.

Widzę go całego, jak przez mętne szkło.

— Też miałeś.

Rzucam się, chcę przebiec przez nich, obalają zaraz, Marks wyje, a gdzieś z góry dobiega łupnięcie.

To Ewa napięprza co sił w ściany swojego ciemnego więzienia. Gną się deski w zabitych oknach. Łomot. Dostaję kopa.

— Dobrze — marszczy się cały od ciężaru decyzji — będziesz bywał, ale nie zamieszkasz.

*

Układam Luizę do snu, sadzam na łóżeczku, blizny na twarzy ją pieką, mimo to proszę, żeby się uśmiechnęła. Mówi, że uśmiech boli. Robię jej kilka zdjęć, taką jaką jest: poważna dziewczynka z ulizaną fryzurą, w długiej koszulce ze Scooby Doo. Zsunęła kołdrę z tłuściutkich nóżek. Taka jest, taką zabiorę ze sobą na kliszy do tego domu, choć nie wiem czemu przed chwilą tak mi na tym zależało.

Opowiadam bajkę o smokach, okrywam, całuję w czoło. Pocałuj mnie jeszcze, tato, prosi Luiza, kładę się przy niej, obejmuję, czekam aż zaśnie i wyślizguję się do gabinetu.

Drukuję zdjęcia na atramentówce i chowam do koszulki foliowej.

Zabieram dyplom ze studiów, świadectwo zdania LEP-u, zastanawiam się, co jeszcze, powinienem tatuować sobie wspomnienia z tamtego miejsca, a mam tylko karteczkę od starca: WSZYSTKO CO DLA CIEBIE WAŻNE.

To zawsze mam mieć przy sobie.

Obrączka i zdjęcie z wakacji, zrobione na dwa lata przed ślubem, razem z Misią śmiejemy się nad kanałem w Wenecji.

Wracam do Luizy, wsłuchuję się w jej spokojny oddech, otwieram butelkę wina. Włączam dyktafon w telefonie i zaczynam: „nazywam się Aleksander Siemczyk. Mam trzydzieści cztery lata. Jestem żonaty z Marzeną, panięskie nazwisko Nowak, rzekłbym pospolicie. Mamy córkę Luizę. Urodziłem się w Stalowej Woli. Moi rodzice...”

Wychodzi, że godzina na opowiedzenie całego życia to aż nadto.

W gabinecie pod biurkiem trzymam stosy gazet, których nie chcę wyrzucić. Między nimi stoi skrzynka na narzędzia. Nigdy jej nie używałem, Misia tam nie zagląda i przypuszczam, że nie wie o jej istnieniu. Kładę ją sobie na drżących kolanach.

Każda porządna skrzynka ma warstwy.

Odwalam młotki, śrubokręty, obcęgi i dłuta: pod nimi, zakryte kawałem blachy drzemią moje skarby. Szminki. Tanie dezodoranty w sztyfcie. Pozłacany łańcuszek. Majtki, które jakaś lala nosiła w torebce. Portmonetka z pięciozłotówką. Błyszczczyk. Dużo, dużo więcej.

*

Jaworski otwiera drzwi do Ewy i staje między nami. Dziewczyna posłusznie kuca w rogu łóżka, a Jaworski, cały w skórze surowego starca oblepia ściany zdjęciami: ta Wenecja, ta Misia, po cholere mi tutaj, jednak — szarpie za serce. Wolałbym tak się nie poczuć. Książka na stół. Nawet ta figurka od niewiadomo kogo. Jaworski ma puszkę czarnej farby i pisze na ścianie, mimo pisków Ewy: MUSISZ DO NICH WRACAĆ.

Zostawia mnie z miną faceta który zrobił coś bardzo złego, a my już pieprzymy się w poprzek łóżka.

*

Po co kochamy? Miłość sumuje to co najlepsze i pozwala odkryć świat na nowo. Przypominamy sobie drobiazgi, które jeszcze niedawno były nieistotne. Przynosimy je, żeby przeżyć ponownie. Bo wszystko przecież jest już znane, życie to mordęga przez znużenie, tępy miecz, nim

można zatłuc, niczego nie uciąć. A miłość pcha gorącą krew w dawno wypalone łożyska, z mułu wygrzebują się wtedy tłuste ryby, płetwy przecinają czerwoną taflę, na brzegu gną się rozbudzone drzewa. Słowa zyskują znaczenie. Gest i myśl jest jak nadawanie imion roślinom i zwierzętom.

U Ewy gubię dzień z nocą, jest jasno i ciemno, lampki skrzą jak sztuczne ognie, naprawdę, tu jest Nowy Rok. Myślę, czy nie zadzwonić do firmy, że muszę parę dni wolnego mieć, pół numeru zrzucę na Grzesia, Grześ to dźwignie. A ja pokazuję, odkrywam Ewie cały świat.

Ma książki do lat sześćdziesiątych, więc mówię co i kiedy się ukazało, o czym było: o Williamie Whartonie i Cormacu McCarthym, reportażach Stasiuka, Kapuścińskiego. Ewa owinęła się w mokrą pościel, słucha z otwartymi oczyma i jestem prawie pewien, że widzi ich twarze.

Córka, której nie pamiętam, spogląda na mnie ze ściany.

W kuchni na dole są dwa stoły, do ucztowania i przyrządzania potraw, na dolnej półce stoją garnki. W rogu maszyna do szycia przykryta zakurzoną szmatką. Moździerz, lśniaca maszynka do mielenia mięsa, kilka wałków do ciasta, prymus, który już na nic się nie przyda. Lodówka ruska, bez światła w środku. Ramka a na niej fartuszek.

Nie mam pojęcia skąd Jaworski ma żarcie i kto za nie płaci.

Przyrządzam sos z octu, miodu i musztardy, cienkim nożem kroję pulchne truskawki, podgrzewam pokrojone bułki i patrzę, jak roztopia się twarde masło. Truskawki mieszam z rukolą, rzucam plastry łososa, ciężki młynek drży mi w dłoni, sypię ten czarny ostry śnieg na dwa pachnące talerze, porywam zimne białe wino i idę na górę.

*

Misia jest zadbana i upudrowana, zastaję ją w kuchni, niemal filmowo: pochyla się nad gazetą i zakreśla ogłoszenia.

— Teraz też ratowałeś staruszką?

Ślad wokół oka jest bladożółty, umyłem się i ogoliłem przed wyjściem. Misia się krzywi. Próbuję cmoknąć w policzek. Odpycha. Nastawiam wodę na kawę.

— A może przeprowadzałeś babinę przez jezdnię?

No, może.

Misia ciska gazetę z taką siłą, jakby to był kamień.

— Cztery dni, skurwysynu! — wrzeszczy, jestem tak zaskoczony, że

nie wiem, co z tym zrobić, jakie cztery dni, co, kiedy, a ona dalej: co miała powiedzieć Luizie. Ludzie dzwonili. Pacjenci. Sekretarka. Nawet matka mnie szuka. Weź kurwa zadzwoń.

Opadam na krzesło jak kukielka, rozkładam dłonie.

— Misia. Słuchaj. Ja to ogarnę, ja... — chcę się do niej zbliżyć. Misia, zamiast objąć, chwytła mnie za przegub i ciągnie przez mieszkanie. Próbuję wymyślić jakiegokolwiek kłamstwo, tyle, że sam nie wierzę w te cztery dni. Dzień, może. Nie dłużej.

Aż tyle to trwało, ale co trwało? Psia krew, ma rację z tą Luizą.

Przyznać się, tylko do czego. Boże, co ze mną się dzieje?

Nie mogę uwolnić się od tęsknoty, nawet teraz, kiedy Misia ciągnie mnie do gabinetu. Na środku biurka stoi skrzynka z narzędziami, Misia wywraca ją denkiem do góry. Moje skarby mieszają się na podłodze z narzędziami. Czuję się nagi i wstrętny.

*

Warszawa oślepia mnie jak słońce. Idę Nowym Światem z otwartą skrzynką pod pachą. Do mijanych śmietników wyrzucam rzecz po rzeczy.

*

Kiedy Jaworski umrze (jeśli umiera się w tym miejscu gdzie mieszkamy) powinien mieć taki oto pomnik: sztywny jak struna chłop z mosiądzu, z herbatą i psem.

Wylicza mi czas. Pilnuje, żebym wychodził przynajmniej raz w tygodniu. Nie ma dnia, żeby mi nie pokazał zdjęcia Luizy, które nosi w portfelu. Tak nazywa się moja córka. Jaworski nieustannie mi o tym przypomina.

Mam wiele pytań, które zadaję nie bez wahania.

Na przykład, czym jest to miejsce.

Jaworski wygląda na zdziwionego, że tak długo zwlekałem z tym pytaniem. Kuca. Kładzie filiżankę na schodach i rozkłada dłonie.

— Nie wiem. Trafiłem tutaj dokładnie tak jak ty. Popatrz. To najcenniejsza rzecz jaką mam — z portfela, zamiast zdjęcia Luizy wydobywa kartkę zapisaną eleganckim pismem.

Czytam o Marku Jaworskim, profesorze filozofii przed siedemdziesiątką. Robił na sześciu różnych uczelniach i oddawał żonie wszystkie pieniądze. Na piwo zapraszali go studenci. Żona miała na imię Anna, miłość jeszcze szkolna, która przez pół wieku zmieniła się w

potwora. Ten Jaworski nie pisał, tylko wykladał i orał, z międzywiersza wynika, że nie decydował o niczym, nawet jaką koszulę założyć. Dość ckliwie to napisane, ale wiem mniej więcej o co chodzi.

— A inni?

Jaworski wzdycha i mruży oczy. Wyjmuje kolejną kartkę.

— Jacek był królem sznurówkowym — mówi z ociąganiem.

— Był strasznie umęczony kiedy trafił do nas. Myślę, że go to przerosło. Zdolny student, który nagle dochodzi do wielkich pieniędzy. Narkotyki, układy, kobiety. Pieprzył wszystkim, siedzi, modli się i pisze kryminały.

— Proszę?

— No nie mów, że nie wiedziałeś — śmieje się Jaworski, zmienia kartkę i gada już niepytany — Teresa miała dużo ciężiej. W poprzednim życiu, w życiu poza domem, mąż puścił ją dla dziwki z sieci. Zdarza się. Po to wymyślili ten Internet. Żeby ludzie się puszczała. Ale ten sukinsyn musiał albo klęczeć, albo kopać w dupę. Najpierw zabrał jej mieszkanie. Potem dziecko. Została z niczym, kiedy ją spotkałem. Bezduszny drań, chciał ją tylko ranić. Pewno myślał, że jak ją zadręczy, to przestanie go gryźć sumienie. Tak jej ręce się trzęsły. Popieprzona kobieta. Widziałeś ją teraz? Jaka jest szczęśliwa.

Myślę chwilę, dociskam.

— Też mam dziecko.

— Jej Piotrek jest już dorosły. Piotrek sam poszedł. Piotrek, czy jak mu tam, bardziej potrzebuje ojca i pewno jest teraz takim samym fiutem jak on.

Przypominam Wita, podróżnika we własnych czterech ścianach. Jaworski naszykował już świstek z notatkami, chowa z powrotem, ucina.

— Już by nie żył.

— Czym jest to miejsce?

Jaworski wzrusza ramionami, akurat Marks dopada jego nóg. Zastanawiam się, czy magiczna moc domu rozciąga się też na zwierzęta. Był jamnikiem. Suką o imieniu Engels. Lecz przecież gania jak głupi po parku Skaryszewskim i nic mu się nie dzieje.

— Nie wiem — odpowiada Jaworski — kamienica ocalała z wojny. W odróżnieniu od innych. Może Niemcy nie umieli jej zniszczyć. A może... widzisz, naprawdę nie mam pojęcia, za do wiem, że każdy tutaj ma życie

dla siebie najlepsze. Nie jesteśmy w raju. Chorujemy, umieramy. Mamy troski. Ale jest lepiej. Lepiej niż gdzie indziej.

— Niż gdzie indziej — to brzmi jak młot o kowadło. Jaworski otacza mnie serdecznym uściskiem.

— A teraz spieprzaj do swojej córki.

*

Świat zrobił się ciut większy i jakby obcy, bloki na Ursynowie poodsuwały się od siebie, Aleje Ujazdowskie są wyraźnie szersze, a gdy idę między Świętokrzyską a Chmielną wydaje mi się, że maszeruję przez niekończącą się dżunglę. Ludzie jak drzewa, żywopłoty jak ludzie. Tacy ogromni.

Luzia trzyma się świetnie, choć jakby spoważniała, Misia ma na to wyjaśnienie: mała boi się pokazywać swoje uczucia, rozkleja się przed babcią i panią w przedszkolu. A mnie o nic nie pyta.

Siadamy sobie na lodach w centrum, jej puchar aż pęcznieje od łakoci.

Ciągnie mnie przez miasto nad Wisłę. Marzy jej się wodny tramwaj. Próbuję to odkręcić, jazda Wisłą jest śmiertelnie nudna. Luiza wie swoje i zaraz się poryczy. Próbuję dać jej wszystko, co mogę.

Domaga się, bym wziął ją na rękę. Inaczej nie pójdzie, nie będziemy na statku, musimy być na statku. Teraz obserwuje świat znad mojej głowy. Ściskam ją za nadgarstki. Odwdzięcza się rytmicznymi uderzeniami brodą o czubek mojej czaszki. Aż w oczach ciemnieje. Kwiatku, lisiczko, nie rób tak. Śmiech. Boję się, że upadniemy, Luiza przeciwnie, wio tatuś, wio.

Statek to bardziej barka, zwalisty kloc z rzędami krzeseł, kupuję sobie bilet, a mały kapitan wchodzi gratis. Natychmiast na górny pokład, rozsiada się w fotelu, kręci głową, pospiesza: płynmy, płynmy. Świeci słońce. Ludzi raptem kilkunastu. Ze dwie rodziny, paru zakochanych, jakiś starszy gość w płaszczu nie na tę pogodę, paru młodych w kapturach i czapkach. Jak znam życie, ujarali się i wymyślili, że jazda statkiem to fajna sprawa.

Cierpliwość Luizy nagle dobiega końca. Domaga się, by zejść w poszukiwaniu innego okrętu. Tłumaczę, że właśnie cierpliwość jest cnotą, gdyby Kolumb miał owsiki jak ty, kochana, to zaraz zlazłby z Santa Marii i dostalibyśmy wielkiego wała zamiast Nowego Jorku. Luiza ma za

nic całą Amerykę, dalej protestuję, ogarnia mnie zniecierpliwienie, szczęściem mozolnie odbijamy od nadbrzeża. Luiza natychmiast dopada atrapy koła sterowego i udaje prawdziwego bosmana. Obiecuję, że jeśli wytrzyma grzecznie cały rejs, to kupię dyplom za całe dziesięć złotych. Pokaże go wszystkim, którym zechce.

— Mamie nie pokażę! — woła i biega po pokładzie.

A czemu, pytam. Czemu mamie nie?

— Bo się zezłości.

Wystarczy rzut oka by stwierdzić, że małej nic nie stanie się na statku. Gania chwilę i siada na wolnym krześle, obok jednego z tych ujaranych młodzieńców. Facet zwiesza głowę, a Luiza ją unosi, zakłada nogę na nogę i jest prawdziwą hrabiną. Śmieję się do niej.

Suniemy środkiem rzeki. W przesłach mostu tkwią grube bale, przywleczone przez podniesioną wodę. Na ich widok oczy Luizy robią się jak spodki, zaraz chce skakać, cała rozbawiona, za to mi nie jest do śmiechu na widok córki, która zaraz przefrunie przez pokład, gość koło niej wykazuje się refleksem, chwyta za ramię, przytrzymuje. Luiza usiłuje strącić ciężką rękę. Tatusiu, tatusiu. Facet trzyma ją odrobinę za długo. Poznają go. Porywam swoją córkę.

Graficiarz, Romek.

— Zrobili cię w konia — mówi i przysiada się do mnie. Luiza obdarza go nieufnym spojrzeniem, ale co tam, są kaczkki i koła na wodzie, łabądek, spacerowicze. Trzymam ją za rękę.

— Czego chcesz? — pytam.

*

Luiza odprowadzona do panzermamuśki, Romek zaszył się w kebabowni koło Metra Świętokrzyska, wygląda jakby szykował się do zjedzenia własnej dłoni. Za nim, za ladą uwija się chyba trzystu Arabów, podają dania, numerki, przyjmują zamówienia. Nie jestem głodny, tylko zmęczony żeglowaniem i ciekawością, biorę colę w puszcze.

— Strasznie łatwo stwierdzić, gdzie się podziewasz — mówi markotnie Romek. Siadam i czekam. Romek niesłychanie powoli podwija rękaw bluzy, ma chyba pół Biblii wytatuowane na ręce. Drobnutkie literki. Jak facet z takiego dziwnego filmu.

— Co ci powiedzieli?

Wzruszam ramionami.

— Nie jest mi źle.

Romek czyta sobie z nadgarstka.

— To nie dom, ale Ewa — wypala. Zastanawiam się nad sensem jego słów i dochodzę do wniosku, że to całkiem możliwe. Na pewno jest jakaś Ewa i jakiś dom. Ewę pamiętam lepiej.

— No i co z tego?

Pociąga piwa.

— Oni ją dręczą.

— Bez przesady.

— Jaworski nagadał ci o chorobie skóry. Bujda na tuningu. Dziewczyna nic nie ma, a te chuże nawet nie zoperowały jej zgryzu. Wiesz, czemu tam jesteś? — strzela z palców — bo mała musi być wypieprzona, a oni się brzydzą. Musi, żeby to działało. Dobre życie, nie? Nic nie może mącić jej spokoju. Brzydzą się — powtarza. Ważę jego słowa nad puszką.

— Mów.

— Dziewczyna ma dobre życie, oni mają dobre życie. Wity, Jacki, sukinsyny. A co zrobić, żeby miała? No pokazać, że nic nie ma, władować w pokój bez okien, bez telewizora, parę starych książek, a potem wyjaśnić, że tak jest najlepiej. To więzień w celi od zawsze. Dziecko urodzone w mamrze. Jednego nie przewidzieli. Ciebie. — wywraca oczyma. Przyglądam się, tatuaże pną mu się po szyi jak czarne mrówki. — musisz ją stamtąd zabrać — dopowiada.

Mało, a się roześmieję.

— Mam dość własnych kłopotów.

— Wiem — mruży oczy i w paru zdaniach przypomina ostatnie tygodnie — żona cię z domu wyrzuciła — kończy i pewno myśli, że mnie przyszpilił.

— Mam nowy dom.

Romek już mnie nie słucha, tylko leci z numerkiem w łapie po kebaba. Rozkłada jedzenie przed sobą, napycha usta, zaraz zęby mu trzasną.

— Czemu jesteś tutaj?

— Bo ty zawracasz gitarę.

Krztusi się jedzeniem. Połyka szybko, prawie nie gryzie.

— Wiem jak jest, mój ojciec miał podobnie. Weekendy ze mną,

mieszkał gdzieś kątem i ganiał za forszą. To nie musi tak być. Możesz mieć wszystko co chcesz. Twoja córka dostanie najlepsze życie z możliwych, jeśli — nabija na widelec dymiący płatek mięsa — wyprowadzisz Ewę.

Ma to ręce i nogi, ale tego mu nie powiem.

— Mogłaby normalnie mówić — przypomina Romek.

— Co ty będziesz z tego miał? — pytam, a ten zaczyna się trząść. Widelec łąduje na talerzu, przyglądam mu się jeszcze, ten facet to skóra i kości oblepione za dużym ubraniem. Jeszcze trochę, a z twarzy zostaną oczy i zęby.

— Nic — wybucha śmiechem — pozwolisz mi was odwiedzać. Może zamieszkać za ścianą?

— Trochę dużo jak za informację.

Mógłbym wstać, wyjść i zrobić swoje.

— Sam nie poradzisz sobie z całą czwórką — przypomina — ja nie dałem rady.

Boś pierdoła, myślę i popijam. Dzikie oko Romka mruga porozumiewawczo:

— Czy mówiłem, że jak wszystko dobrze pójdzie, twoja była przepadnie na amen?

*

Ewa zaraz dostrzega, że moja torba jest podejrzenie ciężka. Ciało Ewy wije się do moich słów.

Czy wiesz czym jest słońce? Byłaś kiedyś na spacerze? A tłum, wiesz co to takiego? Potrzęsa głową, rozumiem, że czytała i coś tam chwytła, więc cisnę. Chciałabyś? Rozkłada ramiona.

Siadam na brzegu łóżka.

Czasem musisz przejechać i godzinę w zatłoczonym tramwaju. Teraz zrobili buspasy i jest trochę lepiej, ale niech to ci oczu nie zamydli. Byłaś kiedyś w kolejce do sklepu? Takiego małego, pieprzonego sklepu osiedlowego, który chcą ocalić przeciwnicy supermarketów, tylko dlatego, żeby świat był gorszy? No nie byłaś. Więc stoisz w gorącu, stare baby śmierzdzą, a taka pyta czy bułki i serki są dobre, potrafi zawracać głowę przez dwadzieścia minut i więcej, jakie mają być, nieświeże? Co ma odpowiedzieć ten biedny sprzedawca? A potem takie stare pudło wygrzebuje portfel-podkówkę, wyraźnie zaskoczone tym, że jednak musi zapłacić, wytrzepuje bilon na dłoń chłopiny z drugiej strony lady, mówię

ci, sypie się jak z trędowatego płaty skóry a ty stoisz i cię skręca. To codzienność kochanie. Codzienność tam.

Jedzenie jest drogie, za jedzenie trzeba płacić, przeboje u lekarza przy tym to małe piwo.

Centrum miasta śmierdzi, za to na wsi są chłopi.

Ewa śmieje się i klaszcze w dłonie, ciągnie mnie ku sobie. Dwie chwile później leżymy na plecach, pośrodku łóżka.

Wyjmuję łom z torby. Przyglądam się zabitemu oknu, znajduję miejsce żeby podważyć, spanikowana Ewa kuli się w rogu pokoju. Trochę zejdzie nim ją uspokoję: jeśli coś nie zagra, natychmiast założę deskę z powrotem. Niechętnie wypuszczam jej twarz i wracam do pracy. Idzie powoli, nie chcę, żeby mnie słyszano. Podważam ostrożnie z każdej strony, deska zaczyna chodzić, odrywam gołymi dłońmi, jęknę gwóźdź i drewno. Dopiero teraz czuję, jaki zaduch tu był.

Ewa kuca, patrzy wielkimi oczyma. Boi się podejść.

Park pachnie mocną wiosną, wiatr telepie drzewa, błyszczą sobie światła bloków, dochodzi do nas daleki szum samochodów. Poza tym cisza. Miga mi łysy łeb Jaworskiego. Nie zadarł głowy. Ewa się spina, bierze powietrze w płuca. Długo trzyma. Jak ona się śmieje. Obejmuję ją mocniej i razem patrzymy na miasto.

*

Romek czeka przy rondzie Waszyngtona, wszystko, co muszę, to zaciągnąć tam swoją zębatą dziewczynę. Dom śpi, żadnego światła spod drzwi, z góry słyszę tylko Jacka wędrującego do Pernambuko. Ewa ma nogi nienawykłe do chodzenia i nie bardzo wie co to schody, piszczy na ich widok, zawisa na moim ramieniu. Pokazuję jak zrobić pierwszy krok. Skuczy. Zsuwa nogę na niższy stopień, nie wie trzymać się mnie, czy barierki. Powinno iść szybciej, a nie idzie. Na półpiętrze dopada okna i próbuje wyjść. Odciągam ją delikatnie, biorę na rękę, gryzie mnie w kark, wcale nie tak delikatnie, jakbym chciał.

Wpija się jeszcze mocniej. Mijamy mieszkanie Jacka, jego kroki są jak walenie łbem o ścianę. Dobrze, bo zagłusza moje, za to z upadkiem zupełnie sobie nie poradzi, jeden fałszywy ruch, czy tam deska fałszywa, noga mi się obsuwa, Ewa przeciąża — wszystko co mogę to przeważać i upaść na plecy, walę jakimś kręgiem że gwiazdy, konstelacje, sunę bezradnie z popiskującą, przejętą Ewą w ramionach, wprost pod drzwi

Jaworskiego. Ewa się śmieje. Nie puszcza. Próbuję ją strząsnąć, wstać i uciec. Trzyma jeszcze mocniej. Oplotła mnie nogami. Jaworski wyskakuje ze swojej dziupli jak diabeł z pudełka, naszykowany odpowiednio do sytuacji — pogrzebach buja mi się nad głową.

Wzrok ma dobrotliwy, ale mówi:

— Ja wiedziałem, że tak będzie.

— Puść ją albo rozwalę ci głowę.

Muszę zyskać na czasie, coś wyczarować.

— Nic nie stracisz — tłumaczę — dom się nie zmieni. Będziesz miał Teresę. Swoje książki. To się utrwała, nie? Ona chyba też ma do czegoś prawo?

No nie. Machnął pogrzebaczem. Zza jego pleców wystaje zatroskana twarz Teresy. Troszczy się o męża, mnie by rozgniotła. Ewa inaczej, wskakuje na mnie, oplata ramionami głowę — mój ci on. Próbuję wstać. Cofnij się, mówię.

— Cofnij się — mówi Romek. Stoi pół piętra niżej, a to co trzyma z pewnością nie jest gazem pieprzowym. Cały drży. Kolana mu klekoczą. Wpływ Ewy ogarnia go z wolna.

— Nim strzelisz, rozwalę mu głowę — odpowiada Jaworski.

— A rozwal sobie — rzecze Romek i macha pistoletem. Trudno, żebym poweselał — chętnie postrzelam.

— Masz tu wszystko — przypominam — nie potrzebujesz Ewy.

Jaworski powoli unosi pogrzebach. Wydaje mi się, że słyszę trzask ognia w kominku.

— Ją też mogę trafić. Nawet na pewno — przypomina Romek. Jaworski mięknie. Nie wstanę sam, daję znak, nie mam ochoty wstawać. Zsuwamy się z Ewą po stopniach, Romek podaje mi rękę. Podnosimy się. Jaworski u szczytu schodów przypomina złane deszczem, nieszczęsne stworzenie.

W bramie natykam się na Marksa. Nos ma rozkwaszony, zdechł. Ewa patrzy w park.

— Ale z ciebie skurwiel — informuję Romka. W odpowiedzi, podtyka mi ramkę lucky strike pod nos. Wybieram jednego. Naciska spust. Płomyczek tańczy u wylotu lufy.

*

Tu nasz plan się kończy. Może Grzesiu by pomógł? Myślę sobie, że

najlepiej byłoby wrócić do siebie, do dwupokojowego mieszkania na Mokotowie, przyszykowałbym Ewie łóżko i obłożył wszystkim, co dobre. Chińskie jedzenie i coca cola, wino po osiemdziesiąt złotych za butelkę i wielki telewizor otwarty na wszystkie okna świata. Ona prze przez miasto, strząsa z siebie niewidzialny pył, wsparta na moim ramieniu. Proszę, żeby spuściła głowę, a jeśli nie spuści, to niech przynajmniej trzyma zamknięte usta.

Wędrujemy Marszałkowską w stronę emdeemu, liczę że tam zdołamy przycupnąć i coś wyczarować. Już błyskają ciężkie latarnie, toczą się ostatnie autobusy, mija nas prawdziwy tłum tych, co nie załapali się na udany wieczór. Zakrywam Ewie usta, nie tylko po to, by poczuć jej szorstki język. Niepotrzebny wstyd. Nikt nie zwraca uwagi.

Nadciąga grupa imprezowiczów, ledwo się wloką, targają półlitrowe, plastikowe kubki po coli, jakieś dziesięć kroków od nas wstępuje w nich życie. Śmieją się i biegną, jeden całuje Ewę w policzek i rusza dalej. Wiem, zdąży posmutnieć przed pierwszym skrzyżowaniem.

Romek ciągle zostaje w tyle. Pociąga nosem, woła i leci za nami. Tak coraz częściej.

Para trzydziestolatków, on z grubym karkiem, łapami napompowanymi jakimś kulturystycznym heroizmem, ona utyta ale ciągle ładna, z pasemkami w blond czuprynie. Idą objęci i nagle patrzą po sobie, jedno odpycha drugie bez żadnego żalu i odbiegają od siebie. Ona zawraca, on pruje przez środek marszałkowskiej, między gwałtownie zwalniające samochody. Zatrzymują się jednocześnie i patrzą, nie wiadomo, na siebie, czy gdzieś dalej. Ford zatrzymuje się na zaparkowanej skodzie. Para w środku zdziera z siebie ubrania.

Policjant zrzuca mundur, zostaje w samych butach i spodniach, po czapkę natychmiast schyla się babina okutana w płaszcz przeciwdeszczowy. Żebrak porzuca pudło z drobniakami i zaczyna tańczyć. Przez szybę na drugim piętrze przy Placu Konstytucji przelatuje człowiek. Jak nie praśnie o bruk. Rozbiegają się kwiaciarki. Czterdziestoparolatek w przyciasnym garniturze jeden z tych, co zamarudzili w pracy i nie mają na takse chwyta kosz na śmieci. Ciska w szybę jubilera. Kto inny daje mi sto złotych, próbuje iść za nami, odpędzam. Jej głowa kręci się jak u sowy. Jest bardzo ciepła. Romek znów się zawieruszył: stoi kilkadziesiąt metrów za nami ze zwieszoną głową,

już myślę, że padnie na pysk. Przypomina sobie i rusza. Trzyma się trochę za nami. Sztuczną spluwę wetknął w kieszeń albo zgubił. Ewa jest bardzo zimna.

Kraksa. W oknach zapalają się światła. Ktoś zaczepia kogoś, tłumaczy, podskakuje, tego nie przewidziałem — musimy iść z dala od ludzi. Skręcam w Waryńskiego. Ludzie w Szwejku ciskają talerzami, mija nas tłum uciekających kelnerów i kelnerek. Na Nowowiejskiej z piskiem opon hamuje autobus nocny. Kierowca porzuca pasażerów. Ewuś, musimy pobiec. Jakiś straszny rwetes dochodzi z podziemi metra przy Politechnice. Nieco dalej, na czwartym piętrze biurowca dostrzegam mężczyznę w białej koszuli, jak próbuje rozwalić szybę krzesłem. Wchodzimy na czerwonym świetle. Samochody hamują łagodnie. Tylko Ewa się ociąga. Chce patrzeć. Tyle światła.

*

Siadamy na ławce w parku. Nikogo. Blask wieżowców wyłuskuje spomiędzy traw i krzaków dziwaczne cienie. Ewa otworzyłaby usta gdyby tylko mogła. Neony ślizgają się po odsłoniętych zębach. Tańczy. Próbuję ją pochwycić, szarpie się bez wrogości. Wygląda to, jakby wszystko wokół — daleki Pałac Kultury, szklane domy na dziesięć pięter, pomarańczowy warkocz samochodów — zmieniło się stado ptaków, spadało na Ewę z nieba. Chwyta je, odtrąca. Coraz bardziej zachwycona, a też wiruje coraz szybciej. Nie widzę jej twarzy. Ramiona zmieniają się w smugi.

— Dobra, chłopie — trącam Romka — musimy coś wykombinować.

Głowa mu zwisa. Można pomyśleć, że urznął się w pestkę. Facet, mówię, tyś to wymyślił, oprzytomnij. Potrząsam nim. Jak stóg siana. Wałę w policzek i kompletnie już skołowany gapię się na gęstą ślinę, rozsmarowaną jak masło wewnątrz mojej dłoni. Podnoszę mu głowę za włosy. Beknięcie. W świetle latarni obraca się ku mnie twarz debila, szczęśliwego jakby ktoś mu w kieszeń nasrał. Rechocze i pluje sobie na brodę, piana idzie kącikiem ust, bąble śliny pękają między wargami. Łzawi okropnie. Cały czerwony. Trzymam go ciągle za włosy, a on dźga mnie palcem w bok, próbuje łaskotać. Puszczam. Łeb kołysze mu się teraz jak boja na wodzie. Opada. Nieporadnie klaszcze.

Człowiek o sylwetce podobnej do Romka stoi na skraju parku. Przez jego chude ciało przebija światło samochodów. Mam dosyć. Już nie chcę.

Musimy iść. Ewuś, zbieramy się. Jeszcze chwila. Nie mogę przestać myśleć o Romku, zaślinionym w życiu najlepszym z możliwych.

Ewa tańczy i się śmieje. Ruszam w jej kierunku. Półprzeźroczysty facet wyraźnie się waha. Podejść czy nie. Ewa nagle się zatrzymuje, jakby walnęła w ścianę. Nawet w tym słabym świetle widzę, że krew odeszła jej z głowy. Tylko jedna żyła, gruba na palec przecina jej twarz, od brody po włosy. Ewa skacze na metr. Chwyta w palce niewidzialne rzeczy, biega za nimi, motyle jak ciemność, łagodne, czarne ptaki. Syczą. Ona się śmieje. Mogę przysiąc, że światło wieżowców tężeje. Jest białe, świetlówkowe. Chwytam ją delikatnie pod bok, odruchowo cofam ręce. Ewa jest gorąca. Wywraca białkami oczu, spluwa krwią, upada.

*

Klęczę nad Ewą i nie wiem, co robić. Moje kochanie nie może odkasznąć, pewno dlatego, że wciąż się śmieje, jak przez sen. Próbuje chwytać niewidzialne, latające stwory. Białka oczu zachodzą różową, z wolna tężejącą mgiełką. Boję się, że wszystko w środku niej się pootwierало. Za dużo wrażeń.

Panikuję, przeczę, Romek uznaje to za kolejny powód do śmiechu, foliowy człowiek drży, niezdecydowany. A Ewa szuka mojej twarzy. Znajduje. Przyciąga do siebie, próbuje pocałować, ale tylko przebija mi wargę.

Spluwam, nie czuję bólu, owładnięty czymś innym. Ciało Ewy, przed chwilą rozpalone, zrobiło się chłodne jak u trupa. Biję serce. Gorąc idzie od stóp. Za nim postępuje fala zimna. Przyciska mi dłonie do policzków. Raz grzeją, raz mrozą.

Ktoś wynurza się z głębi parku, barczysty chłop w czapce z daszkiem. Wrzeszczę, żeby spierdalał, zaraz tego żałuję, proszę o pomoc. Nic sobie z tego nie robi. Skręca na trawę, w ciemność. Brzmią miękkie kroki. Przeźroczysty gość także zniknął. Przeraza mnie myśl, że krążą wokół nas, niczym złe duchy albo wilki, obawiające się wejść w krąg światła. Ewa kaszle. Tłusty skrzep opada mi na koszulę, dziewczyna mrozi i wrze na przemian. Dasz radę iść? Nie słyszy. Szukam sposobu, jak ją ponieść. Tylko nie wiem co dalej. Uświadamiam sobie ogrom własnej pomyłki. Wezmę Ewę do lekarza, a ten natychmiast stwierdzi, że powinien zostać alfonsiem i popędzi bałamucić kurwy w tym przeklętym mieście. Muszę ją ocalić.

Wstajemy. Ruszam truchtem. Przerażony, mam wrażenie, że zdołabym dotrzeć sprintem do Parku Skaryszewskiego. Rozum podpowiada — padniesz chłopie. Miarowy trucht. Fale temperatur, przypływ, odpływ w Ewie zgrywa się z rytmem moich kroków. Dziewczyna śmieje mi się w szyję. Zerkam jeszcze na ławeczkę. Romek się trzęsie i traci kolor. Światło przechodzi na wylot jego ciało. To musi być złudzenie.

Stawiam Ewę na krawężniku przy Armii Ludowej. Próbuje chwycić reflektory. Natychmiast kilka samochodów zbacza z kursu, wpada na siebie. Koło nas z piskiem hamuje czerwone audi. Ze środka, jak diabeł z pudełka, wypada tłusty facet. Wyjmuję mu elektroniczny klucz z kieszeni marynarki. Ewę układam na tylnym siedzeniu. Gaz, ile fabryka dała. Mogę przysiąc, że każdy przechodzień ma moją twarz.

*

Rozkwaśnięte trochę przód samochodu, deska rozdzielcza sterczy dziwnie i zaraz wypadnie mi na kolana. Wyciągam Ewę. Ma sine dłonie. Na całym jej ciele otwierają się płytkie rany. Żyły oplatają jej szyję na podobieństwo sznura. Oczy są całkiem czerwone. Już się nie śmieje. Z trudem trzyma głowę w górze. Nie może iść.

Przyzwyczajenie drugą naturą człowieka. Jaworski tkwi jakiś metr od słupka, tylko już bez psa i herbaty. Drobniejszy niż wcześniej, zgarbiony. Wyrosła mu broda w stylu starego Hemingwaya, dynda skóra na policzkach. We wnętrzu dłoni chowa papierosa. Zaciąga się ukradkiem. Lecę w jego stronę z Ewą na rękach. Dostrzega nas, ale nie poznaje. Zaintrygowany, zasysa chyba pół papierosa na raz, ciska niedopałek. Dopadam go. Ewa rozchyła wargi.

— Boże — wykrzykuje Jaworski — co jej się stało?

Błyskawicznie prostuje się, jakby dostał kijem w plecy. Przypomina człowieka gwałtownie wybudzonego ze snu. Dotyka siebie. Chce sprawdzić. Głowa, oczy, wszystko na miejscu.

— Boże — powtarza — na górę! Oni zaraz tu będą.

Niesiemy Ewę we dwóch, za ręce i nogi, tak szybciej. Kopniakiem otwiera drzwi wejściowe. Zostawia Ewę w moich ramionach, przekręca klucz w zamku. Trzask zasuw. Przygląda się oknom i kręci głową. Chwyta Ewę za nogi. Jej kochana głowa zwisa bezwładnie, kołysząc się

przy każdym kroku. W życiu bym nie przypuszczał, że stary tak szybko umie iść po schodach.

Teresa rusza przodem, żeby otworzyć nam drzwi. Jacek przejeżdża paluchem po swoim gardle, oj, pogadamy sobie, jak sprawa się skończy. Nie czuję lęku, tylko wstyd. Jeśli Ewa przeżyje, może mi uciąć głowę i zakopać w ogródku. Klucz w zamku, ładujemy Ewę na łóżku, ledwo dyszy, przewraca oczyma. Ma fioletowe dłonie, czarne wargi. Jaworski martwieje, zaciska pięści i rzuca się w moją stronę, jakby chciał mnie walnąć, odpuszcza, tylko pokazuje na powyrywane deski. Teresa zjawia się z wodą. Poduszka pod głowę. Obmywa policzki Ewy, mam wrażenie, że zaraz para pójdzie z rozgrzanego, mokrego czoła.

Jacek zbiera deski z podłogi, w palcach obraca wyrwany gwóźdź, gna po nowe do siebie. Otaczamy Ewę we troje. Teresa stoi u wezgłowania, ociera jej czoło, daje pić. Kły przypominają rozgrzane kamienie. Siedzimy z Jaworskim naprzeciw siebie, między nami ona — próbuje się podnieść.

— Powinniśmy znaleźć lekarza, który jest szczęśliwy — mówię. Nieoczekiwanie Jaworski wybucha śmiechem.

— Próbuję się na ciebie nie złościć — zaskakuje mnie wyznaniem — w twoim wieku zrobiłbym podobnie. Tyle że już chyba jest za późno. Zobaczyła świat.

Zerka w stronę okna. Ewa rzuca się na łóżku.

Z dołu łomot. To Jacek pędzi z narzędziami. Ewa jęczy, szuka mojej dłoni. Coś wykręca mi żołądek. Jaworski wstaje i nagle rozumiem, jaki on jest stary, w oka mgnieniu wychudł, garb spada na plecy. Kiwa na mnie i wlecze się do okna. Są, mówi, jego głos jest jak syk powietrza, przyszli, czekają. Okno zaraz zostanie zabite. Nie puszczam ręki Ewy, wyglądam, co widzę.

Jest ich pięcioro. Ustawieni w półkole. Na granicy światła. Jaworski z pomarańczową głową, w wytartym swetrze i workowatych sztruksach. Wit przybrał ze trzydzieści kilo, jego garnitur wart jest tyle co moja roczna pensja, wytrzeszcza złe, puste oczy. Żałobnie zwisa skóra na policzkach. Teresa ma chyba sześćdziesiątkę, jest chuda, jakby lateks naciągnąć na kościotrupa. Jacek gnije. W trumiennym wdzianku. Robaki pod skórą, w oczodołach. Jakim cudem nie padnie? Ja też jestem. Mam lekarski fartuch, brzuszek, zarost, zapitą twarz, podnoszę, on podnosi wzrok, patrzymy na siebie przez krótki moment, umykam na ziemię,

toczę się do Ewy.

Jaworski z Jackiem przybijają deski. Łupanie młotkiem, głośny oddech Ewy. Turlam się w nogach łóżka. Słyszę głos Teresy.

— Już raz tutaj byli. Jesteśmy bezpieczni, jeśli tylko dziewczyna przeżyje.

Z każda kolejną deską robi się coraz ciemniej. Kilka świeczek. Cienie splatają się na twarzy Ewy. Próbuję jakoś się podnieść. Klęczę przy łóżku. Nawet dłonie mam splecione. Tylko nie wiem, o co prosić.

— Przeżyje czy nie, trzeba zabić okna na dole — mówi Jaworski i podaje mi młotek.

*

— Ewa umarła w Warszawie, na parę dni przed wyzwoleniem miasta przez Rosjan. Podczas Powstania straciła rodzinę. Matka zginęła pod gruzami, ojciec w walce, brat nawet nie wiadomo. Najpierw dziewczynką opiekowali się powstańcy, potem, cud prawdziwy, znalazła opiekę u Niemców. Każdy uciekał jak mógł, dziewczynkę porzucono. Sama w zrujnowanym mieście. Nie umiem wyobrazić sobie, co wtedy czuła. Jaworski opowiadał mi o tym.

Jacek gada, na mnie ani myśli spojrzeć. Ma usta pełne długich gwoździ. Mamy jeden młotek. Przykładam deski, on uderza. Trzy, cztery dechy wyrwane z podłogi na każde okno. Mało. Tamci, cała piątka wlecze się na nasze skrzydło, zwabiona hałasem.

-Tu, w tej kamienicy schroniła się grupa niedobitków z RONA. Nie wiem po co, zapewne liczyli, że przy dobrych wiatrach jakoś przeciągną w spalonym mieście, może było im wszystko jedno, bo pili tu na umór, mieli jakieś dziwki, właściwie to nie chcę o tym myśleć ani mówić. Zatrzymali dziewczynkę. Wlali w nią wodę, nauczyli palić, zgwałcili i wyrwali wszystkie zęby, żeby wiesz, rozumiesz. Nie ugryzła — zawiesił głos. Zrobiło mi się zimno. — Żyła tak kilka dni. A potem przyszli Rosjanie i rozwalili wszystkich w piwnicy. Z tego co wiem, cisnęli granaty. Zginęli Niemcy. I Ewa. Tam jest jej grób. Małe ciało. Głównie niewiele większa od pięści. Jaworski ją znalazł. Taką i taką. Dorosłą kobietę, szpetną i piękną. Potem odkrył, jak ona nas zmienia. Każdego, kto przy niej się znajdzie. Nie ociągaj się. Nie mamy czasu.

Podaję kolejną deskę. Dziury po sękach na palec. Cała piątka stoi przed domem. Tylko się gapią. Martwy Jacek i żywy koło mnie.

— Czym jest duch? — zagaduje — Myślałeś kiedyś o tym? Żadne upiory, żadni tam wściekli zmarli. Ewa jest łagodna. Jest widmem tego, co nigdy się nie zdarzyło, a co mogło się zdarzyć. Dziewczynka staje się kobietą. Ciota mężczyzną. Głupiec mądrzeje. Tego nie powiedziałbym o tobie. — wali młotkiem w gwóźdź, próbuje nie patrzeć na siebie za oknem. — Dziewczyna powinna przeżyć, żadne dziecko nie zasługuje na taką śmierć. My powinniśmy żyć inaczej. Całe miasto, kurwa, cały świat jest pełen ludzi, którzy żałują straconych możliwości. Myślą o starych kochankach. Przeklinają pracę, studia, rodzinę, brak rodziny. Jaworski twierdzi, że sprawa jest prostsza. Ewa to dobre widmo. Ale mi się zdaje, że przywołało ją to nieszczęśliwe miasto. Jest jak oko cyklonu. Jak, kurde bele, kościół w mieście, w którym rządzi diabeł. A teraz umiera.

Pchnięty niewidzialną siłą, Jacek zza okna przywiera twarz do szyby. Zostawia ślad niczym ślimak. Odpycham mojego Jacka, przybijam kolejną deskę, dokładnie na wysokości gnijącej twarzy.

— Właściwie powinienem się cieszyć. Dostałem parę lat. Próbuję przestać myśleć o tym, co mnie powaliło. Pewno bym się powiesił. Czy tam serce. Stawiam na sznurek — śmieje się, a ja stawiam go na nogi — ta kamienica to zasługa Ewy, podniosła się z zaoranych fundamentów. Ona też zniknie, kiedy Ewa umrze. Najpierw przyjdą oni, jakby na to nie patrzeć, chyba wleżą tak czy siak. Raz już prawie byli. Romek próbował ją wynieść, tyle że ten dureń połamałby sobie palce na własnej dupie. Dotarli prawie do słupków. Chorowała dwa tygodnie a oni, cóż, oni kryli się w drzewach. Jak ludożercy, kurwa mać — zapala papierosa. — teraz jest inaczej. Powłokłeś ją przez całe miasto — spluwa. Idziemy do drugiego skrzydła — Będiesz miał za swoje, szkoda, że na mojej dupie. Zobaczyła świat. Pomyśl tylko. Całe życie widziała tylko swój pokój. Może parę drzew. Gdzie byliście? Kino? Knajpa? Wesolutko. Wcale mnie nie dziwi, że kona z żalu.

Za oknem, na trawie, pełzną pająkowate cienie. Jacek jest bardzo zmęczony. Chcę iść na górę. Zobaczyć co z nią. Próbuję powiedzieć, że żal to trochę mało, aby umrzeć.

— Jaworski jest zdania, że umieramy głównie z tego powodu — Jacek unosi głowę — twierdzi też, że możemy wykaraskać się z tej kabały. Nie wolno nam tylko zwątpić.

Patrzy na mnie, zapewne chcąc odwrócić wzrok od siebie, maskary

za oknem.

— Jesteś durny. Nie wątp przynajmniej w to, co dała ci Ewa.

*

Ewa jest niemal czarna, kurczy się pomału. Poskręcany cień na brzegu łóżka unosi się lekko, gdy zamykam za sobą drzwi. Poznaje moje kroki. Jaworski odsuwa się natychmiast, ląduje przy świeżo zabitym oknie i próbuje coś wypatrzeć przez szpary między deskami. Siadam. Oczy Ewy są ciemnofioletowe, źrenice bardzo szerokie. Zgniółłbym jej dłoń, gdybym mocniej ścisnął. Papierowe kości. Rogowata skóra. Ewuś.

Nie ma siły unosić głowy, daję rękę pod kark. Wodzę wargami po powiekach, czole, ustach zasuszonych jak mięso na długą drogę. Powiedziałbym, że wszystko będzie dobrze, ale to nieprawda, zsuwam się z łóżka i klękam. Chcę ją widzieć. Jaworski daje mi świeczkę, Ewa ją chwyta, wpatruje się w ogień i zaczyna krzyczeć. Jak szept. Jęk z głębi ziemi. Gaszę, chowam głowę na jej ramieniu. Zamiast bicia serca słyszę trzask ognia w piwnicy. Obejmuje mój kark, kawałek palca ułamuje się i niknie, nim opadnie na podłogę.

-Nic nie będzie dobrze, Ewuś — mówię bardzo powoli — ale nie musisz się bać. Pójdę i zobaczę za ciebie, a potem zaniosę tutaj, na dół do piwnicy. Wszystko co chcesz. Szerokie autostrady Ameryki. Czapę lodowa z serca gór Afryki. Spojrzenie świętego z Himalajów. Smród Chin i hałas na Woodstock. Tarnów. Białystok. Bukareszt. Tak, zaniosę ci. Ja cię, Ewa, znowu przywołam, tak jak czarodziej umie zwrócić wiosnę. Jaworski umiał. Wrócisz do mnie. Naznoszę. Świat przetnę. Bez wojen i śmierci. One zostaną za progiem. Wiesz, Ewuś? Byłem kiedyś na sylwestra, na dachu hotelu, gdzie Grześ pracował. I widziałem całą Warszawę jak pruća w niebo sztucznym ogniem. Ognie mam dla ciebie.

Ostatnim wysiłkiem Ewa chwyta mnie za ucho i przyciąga do siebie. Jej pierś zdaje się ustępować pod moim naciskiem, Ewa się szarpie, odpycha, siada na łóżku, straszliwy krzyk — wyciągnięta ręka. Jakby coś widziała przed sobą. Ktoś wszedł i stanął w nogach łóżka. Powietrze drży, unosi się zapach prochu i wędzonego ciała, chwytam Ewę, próbuję osłonić, jest o wiele za późno, dziewczyna poznaje, dziewczyna wie. Woła, wybuch w tym wołaniu. Jej ciało jeszcze maleje i bije parzącym chłodem. Puszczam. Nie chcę puścić. Stara, mała głowa toczy się już po podłodze, łapię co mogę, ale reszta jej ciała jakby przelatowała przez

palce. Płaska. Złożona na łóżku. Znajduję siebie, jak stoję, między Teresą i Jaworskim, nad trupem dziecka zwęglonym do czerni, na dole odpada pierwsza deska.

*

Bronimy okien. Są cztery, po dwa na ścianie. Szyby już rozbite. Teresa z Jaworskim i Witem bronią drugiej flanki, zostałem z Jackiem i mam drąga. Piorę ile sił, bo wiem o co walczę. Dla siebie i innych. Nigdy nie wrócę do tego, co zostawiłem. Żadnych złych snów. Wiem, że dom można ocalić i Ewa wróci, już raz to zrobiła. Jest ciemno i zimno. Nasze własne duchy walą o ściany jak wściekłe. Najgorszy ten Jackowy. Bo martwy. Rozumiem, że chłop się boi. Powinien wygrać. Co to za wybór. I Jacek jakoś trzyma — się i siekierę.

— Myśl! — drze się w moją stronę — tu są same dobre rzeczy! — drze się, wdech, wydech — Te gnoje to wszystko, co pozostało po tym, czym byliśmy kiedyś!

Miga mi mój własny pysk, bezbrzeźnie smutny.

— Nie chcę być królem sznurówkowym! — drze się Wit.

— Chcę być podróżnikiem! — przekrzykuje go Jacek.

Jaworski wali w głowę siebie samego, po drugiej stronie.

— Jest dobrze! — śmieje się przez łyzy.

To i ja coś wrzasnę. Kocham Ewę, dziewczynkę z Powstania Warszawskiego. Niech wiedzą.

— Nie chcę być królem sznurówkowym — powtarza Wit, mało mu struny nie pękną. Nie tak, szarpie go Jaworski, ale jest już za późno. Wylatują deski, okropny człowiek, Wit bis gramoli się do przedpokoju. Jest wielki, łapie Wita w niezdarne dłonie. Wit drze się pod niebo, chwytą go za barki, mociują się, facet z facetem, tacy sami, a inni. Jacek już leci w jego stronę, zostaję sam przy oknie, nie mogę znieść własnych, pustych oczu, napieram więc plecami, wołam:

— Gazu, Witek! Kim chcesz być, kurwa!

Jaworski gapi się na mnie tak, że już wolę wzrok tamtego mnie, zza okna. Jacek próbuje pomóc, ale korytarz jest wąski, chwytą za szczotkę, bije w łeb króla sznurówkowego, ten ma to w czterech literach, szarpie. Rzuć mi drąga, woła Jacek, to rzucam, koło kłowy przelatuje mi kamień. Wit odwraca się, jego napuchła twarz ma coś z wyrazu nieszczęśliwego dziecka, pada na podłogę i znika. Król sznurówkowy stoi nad nim,

zdumiony efektami własnego czynu. Jacek wali go w głowę, kij rezonuje i wypada mu z ręki, co na królu sznurówkowym nie robi żadnego wrażenia. Blokuje dojście do okna, przez które gramolą się następni.

— Schody! — woła Jaworski. Na schodach pułapki.

Odpadam od desek, te natychmiast pękają. Gnam po stopniach jako ostatni, blisko ściany, środkiem niebezpiecznie, tamten Alek ląduje miękko w korytarzu i podąża za mną.

*

Korytarz przed mieszkaniem Jaworskiego wygląda jak przed przeprowadzką. Barykada ze stołów, szafek i regałów pełnych książek. Kucam za nimi. Jaworski poczerwieniał.

— O co chodzi z tym wątpieniem?

Cienie gramolą cię ku nam.

— Przeżyjesz, jeśli nie zwątpisz, w życie, które masz tutaj.

Chce mi się palić.

— To po co ten cały szajs? — pokazuję na chwiejną przecież barykadę. Jaworski chwyta za stołek, odłamuje dwie nogi, dla siebie i dla mnie:

— Z tym wątpieniem to różnie bywa.

— Nie mam już siły — Teresa podnosi się z kolan. Strwożona, zerka w dół, na inną Teresę. To tłuste monstrum o roztańczonych dłoniach. Wszyscy tacy. Ruchy maszyny i nic ludzkiego. Żadnego smrodu, blizn, pieprzyków. Tylko drugi Jaworski ma łysinę, za to broda jak u Mojżesza. Chłód idzie od góry. Jestem tu, między zimnem a sobowtórem. Leżą. Jacek powtarza pod nosem: skurwysyny, skurwysyny.

Jaworski podtrzymuje Teresę za łokcie, coś klaruje.

Jej sobowtór wysuwa się na prowadzenie, lezie jak krowa łąką, środkiem, prosto w gówno. Oni, obok mnie, powtarzają, jedno przez drugie: kochamy się. Nie chcemy nic więcej. Jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Teresa bis ma oczy zamglone, stopnie zapadają się pod nią i pizda leci na pysk, w ciemność. Skurwysyny! Wyje Jacek, walę nogą od stołka w poręcz, tak się kurwa cieszę, walnęła zdrowo o ziemię.

— Teraz — wrzeszczę, bo nikt inni nie pomyślał, Jaworski tuli żonę, patrzą na siebie: kocham cię. Jacek się zreflektował. Spychamy całe dziadostwo Teresie bis na łeb, stolik nocny, obciążony przez srebra niknie w dziurze, łomot jak cholera — przysięgam, słyszę, jak pęka jej

czaszka. Inni są na półpiętrze, nic chyba nie zrobi na nich wrażenia. Spychamy dalej. Regały ślizgają się na książkach. Skarbie mój, mówi Jaworski. Szafa trzydrzwiowa przywala w martwego Jacka, aż chce mi się uszami klaskać. Najdroższy mój królewiczu, odpowiada Teresa. Spierdalamy wersalkę. Nigdy cię nie opuszczę, powtarza Jaworski któryś raz z rzędu. Lecą jeszcze dwa krzesła, szafka na buty i biedermajerowska biblioteczka za szkłem. Kocham cię. To Jaworski znowu.

Kurz w powietrzu jak burza piaskowa. Schody zawalone. Biblioteczka zatkała dziurę w schodach. Na dole sterta mebli. Nie widać sobowtórów. Padamy sobie z Jackiem w ramiona. Jak ten chłop się śmieje. Wybrzmiewa, zapada cisza. Jaworski szepcze o miłości. Podpieram się pod bok, mam ochotę otwierać szampana, tak przepełnia mnie moc tryumfu, trącam Jaworskiego, by też trochę się poradował. Jaworski obejmuje sobowtóra.

*

Teresa bis jest ogromna. Smutek okala ją jak żałobna szata. Jaworski wrósł w ziemię. Skaczemy w jego stronę, obalamy, zaraz podnosimy i wlecziemy na górę. Nie może oderwać wzroku od żony, która żoną już nie jest. A kimś tak obcym, jak obcy może być człowiek. Ciągnę staruszka po stopniach, wbrew niemu, do pokoju Ewy. Już niedaleko. Jacek idzie za nami, osłania odwrót. W miejscu, gdzie staliśmy przed chwilą, gromadzą się cienie.

Poddasze spowija ciemność, nie znalazłbym drzwi, gdyby nie Jacek, który włączył latarkę. Wygrzebuję klucze z kieszeni Jaworskiego. Nie wiem, który pasuje. Próbuję. Skrzypią już schody. Jaworski chce się wyrwać. Chwytam go za policzki i gadam: wszystko będzie dobrze, wszystko jest do odzyskania. Pcham drzwi, wchodzimy. Wołam na Jacka.

Jacek stoi pośrodku poddasza, unosi latarkę. W światło z wolna chodzi jego sobowtór. Jest martwy, zgniły, przez co mniej przerażający niż tamci. Uciekinier z taniego kina. Nic nie robi, tak tylko tkwi, wołam na Jacka, żeby się pospieszył. Trzeba barykadować drzwi. Zrezygnowany Jaworski kuli się na łóżku Ewy. Drę się ponownie: chodź, chłopie! Sam mówiłeś! Ale Jacek chyba mnie nie słyszy. Ryzykuję. Chwytam go za rękaw. Odwraca głowę i przesyła jedno, żałosne spojrzenie. Nie mam czasu. Tamci już są. Ostatnia próba, próbuje go odciągnąć. Opuuszczam. Wskakuję do pokoju Ewy, ostatnim co widzę na korytarzu jest Jacek,

padający w ramiona swego własnego trupa.

*

Drzwi otwierają się do środka, zatraskują zamki, zasuwę, podpieram klamkę krzesłem, a Jaworski z wolna dochodzi do siebie. Takim go znałem. Krąży po pokoju. Nalewa zimnej herbaty do filiżanki, nabija fajeczkę resztką tytoniu. Tej samej zapałki używa do rozpalenia kilku świec i lampy naftowej. Luiza uśmiecha się do mnie ze zdjęcia na ścianie. ten widok przepęlnia mnie spokojem.

-Doczekamy tu świtu — mówię. Jaworski kiwa poważną głową.

Siadam obok niego. Gapimy się na drzwi. Trzeszczą. Wytrzymają.

— Myślę, że pierdoły zaciemniają nam myślenie — nieoczekiwanie, Jaworski uderza w ton filozoficzny — Klniesz na świat, tylko dlatego, że cię przyszcz w dupie uwiera. Dlatego cenię takie sytuacje i mówię, że są potrzebne. Tęsknię już za Teresą.

— Będzie dobrze.

Jaworski przygryza fajkę.

— Jasne, wszystko będzie dobrze. Nie myśl, że sobie kpię. Będziemy siedzieć tutaj do świtu, a oni nie będą mieli dostępu, jeśli nie zapomnimy o tym, co dostaliśmy od Ewy. Ewa żyje w nas.

— Myślisz, że umiałbyś ją przywołać?

Mruży oczy. Fajka dopiero się rozpałiła, a on wyrzuca z niej tytoń i dusi pod butem dopija herbatę. Prostuje się na łóżku. W białej koszuli.

— Zdołałbyś? — cisnę.

Uśmiecha się smutno:

— To by było na tyle — wstaje i sprężystym krokiem idzie w ciemność. Znika mi z oczu. Tylko kroki cichną. Wciąż. Powinna zatrzymać go ściana. Nie. Kroki wyciszają się gdzieś w oddali, podobne szuraniu baraszkującego kota, wołam, żeby mnie nie zostawiał. Nic. Tylko powiew chłodu i echo mojego wołania huczy zwielokrotnione pod wysokim, skalnym sufitem. Kroki milkną wreszcie. Porywam lampę naftową. Robię krok i odwaga ucieka. Wieje lodowatą wodą. Brzmi trzask karku i miękki odgłos padającego ciała.

*

Mam kilkanaście w świec pod ręką, krążę po pokoju i zmieniam, gdy stare się dopalają. Czarna plama po Ewie na środku łóżka. Momentami zdaje mi się ją słyszeć. Na dole. Trzylatka w piwnicznej ciemności.

Szuranie pod drzwiami. Nie odpuszcza.

Czy ze świtem odpuści? Moje życie ma sens.

Szkoda, że Jaworski odpuścił. Bo siedzenie w tej kulce światełka jest niemal nie do zniesienia, trudno powiedzieć, która godzina, nie mam do kogo otworzyć gęby. Ryp w drzwi. Mógłby je rozwalić, wtedy miałbym co robić. Przecież się nie boję. Nic mi nie robi, gdzie mi do tamtych. Tylko to siedzenie. Nuda, napięcie. Wspominam dobre chwile z Ewą. Nasze jedzenie, wymyślanie potraw. Filmy. O czym jej mówiłem. Nawet spacer przez Warszawę jest teraz cudowny, niech mnie. Ona i te światła. Zastanawiam się, co możemy jeszcze zrobić, jak przekształcić dom, żeby nie stała jej się krzywda. Jeśli ma być jak wcześniej i zostaniemy na zawsze, w tym pokoju, niech będzie. Zrobię jak Jacek. Ewa nie może wyjść na świat. Ja jej świat przyniosę.

Wydaje mi się, że tamten — nie umiem myśleć o nim jak o sobie — zmienia taktykę i wolno napiera na drzwi. Muszę coś zrobić. Nie poddam się i jestem tu bezpieczny, nie tak jak oni, przepycham łóżko pod drzwi i siadam, po Ewie pozostał cień, wypalona kołdra. Coś łomocze o okno. Rozpalam świece, żeby poczuć się raźniej i myślę o wszystkim, co warto ocalić i co w życiu jest ważne, miejsca, do których pojedę, ludzie, z którymi porozmawiam, kumple, wódeczka i miłość. Na ścianie wciąż wisi zdjęcie Luizy, pozostawione przez Jaworskiego. Starca zjadł własny trup, nie warto przejmować się jego zdaniem. Boże, ale tamten się tłucze. Dobrze, że nie jest cichy. To byłoby straszne. Noc niedługo się skończy, nie zobaczę światła, tylko usłyszę świt. Ptaki. Ujadanie. Wtedy nastanie koniec. Będę wolny i zrobię to co chcę. Nie tak jak głupia Misia. Ta to zadręczy siebie i innych. Żeby tylko Luizie dała spokój. Życie z matką wariatką, żaden cymes. Targam szafkę. Niech podeprze. Nie mogę myśleć o wszystkim. Każdy ma prawo być szczęśliwy. Takiego, nie rozszarpiecie. Cokolwiek tam jest, zostanie w mroku. Nie boję się ludzi ani siebie. Pójdę stąd rano, słońce cię przegna, skurwysynu, ty skurwysynu, my skurwysynu. Trzeba walczyć o swoje. Wydrapać, wyżreć, tak, teraz podobam się sobie, z pałką oblepioną włosom, czuję jak moc mnie przepęlnia, mam ochotę wrzeszczeć, taka siła spływa ze zdjęcia tej małej dziewczynki, Boże, ale on napierdala w to drewno, wyszedłbym mu naprzeciw, precz z łóżkiem i innym, niech wszyscy się pierdola, zdechną pod płotem. Szczam w brudne łona waszych matek i pluję na wasze

groby. Można być sobą. Sprowadzę Ewę. Chciałbym, aby z nami została moja córka. Pójść na spacer. Popłynąć statkiem. Łup że ja pierdzielę, trzęsie się rama łóżka, nagle mięknę. Wszystko, co zmieniłem, o co walczyłem. Trach. Cień i płomień pod drzwiami, coraz zimniej, coraz bardziej złowrogo, moje myśli nie należą do mnie, cudze drobiazgi w kieszeni złodzieja, trzęsę się, kij przeważa, bo wiecie, Boże jedyny, ja, schylam się i zastygam, pałka taka obca, jeszcze raz zdjęcie, kij i córeczka, nie umiem zrobić kroku, a tamten idzie, szarpie za kłamkę, jęk zawiasu, Luiza, co zrobić, nie wiem i nie rozumiem, wszystko mogłem ocalić i wszystko tracię, bo ja, nie wiem jak się zebrać, jak powiedzieć, a ja wbrew rozsądkowi i własnym wyborom, tu pomiędzy życiem i życiem, ja, Chrystusie wybaczn i wybaczn mi Ewo, ja w ą t p i ę.

Koniec

Wszystko o moich matkach

1. Pignus

Boję się wejść.

Nie wiem dlaczego: w Pokoju Matek znajdę tylko trupy. Smród ciał mógłbym rozgniatać w palcach. Będzie tylko gorzej, w gruncie rzeczy nie mam pojęcia co powinienem zrobić i wściekam się na ojcowską beztroskę. Tańczył wokół nich niczym lachon na mokrych kolanach, nie pomyślał tylko, że kiedyś zgaszą światło, muzyka umilknie i trzeba będzie sprzątać. Matki umrą. Dzięki, tatusiu. Cholernie, kurwa, ci dziękuję.

Przypominam teraz frajera na progu nawiedzonego domu.

Tylko wiecie, duchów nie ma.

Ani diabłów. Nawet, szanowni państwo, wampiry nie istnieją, piekło to hotel do wynajęcia, wszystkie sukuby wywędrowały do Internetu, sens życia mógłbym wypisać na ramce fajek, fajkę też zapalam i myślę o dziewięciu cholernych trupach. Osuwam się przy ścianie, wlepiam wzrok we framugę, cisza zwiastuje kolejne zmartwienie. HuhuMama ucichła, wbrew własnemu imieniu, wyobrażam sobie jej ciało gdzieś na Świdnickiej, może w Parku Pokoju, ktoś znajdzie to zamilkłe truchło i nieszczęście gotowe. Przyjdą. Jak się wytłumaczę? Co tu do tłumaczenia?

Tak mi się poukładało, ot co. Gadaj ze ślepym o kolorach.

Papieros raczej nie rozjaśni smutków, pozwala skupić myśli, płuca rozdrażnia mi spokój.

Niech będzie, myślę sobie, jakoś to dźwignę, w Pokoju Matek byłem raz i to dawno, ostatnie dni patrzyłem przez szparę i przeklinałem tatuśka, podrywam się smagnięty otwartym nerwem, szarpię za klamkę, tak nagle — jak facet, który przyciska dziewczynę do siebie po raz pierwszy, umordowany nieznośnym patrzeniem w oczy i ćwierkoleniem, drzwi ustępują nazbyt ochoczo. No, mało, a bym upadł. I jestem w ciemnym pokoju.

Matki rozsypały się po sofach, fotelach i parapetach, opadły niczym

osad na dnie czegoś, czego nie umiem wytłumaczyć. PituMama przy MamieBach opleciona, TylkoMama na boku, z głową przy stopach SmarkoMamy, która padła na wznak, można by cumę okręcić o nos nabrzmiały, leżą, powiedziałem sobie, lecz to nie do końca prawda, leżenie ma coś oznaczać, nie jest leżeniem samym. Co ja plotę? HejtMama skonała jak żyła, twardsza od krzesła na którym wystygła. W zaciśniętej pięści szlug, oczy wybałuszone. Idę przez pokój. Szafa skrywa potężne ciało HerodMatki, cud, że zdołało się tam zmieścić: szeroka szpara w drzwiach odsłania muskularne ręce w modlitewnym splocie. Gdzie patrzysz, mamusiu? To sufit, cholerny trupie, nie królestwo niebieskie.

Tak mi się powiedziało, padam na kolana i szlocham błagam siebie o litość.

Chciałbym powiedzieć, że wreszcie pojąłem co się stało. Matki umarły, podążyły za tatuśkiem. Gównno, nic nie rozumiem, nic do mnie nie dociera, ani ślad żalu, nienawidzę siebie za tę wyrwę w sercu, za brak litości dla nich i dla siebie, toż powinienem myśleć o wszystkich, całej dziewiątce i dziesiątej, HuhuMamuśce, tylko nie potrafię, równie dobrze mógłbym uczyć się fruwać. Myślę tylko o jednym.

Tak, matki podążyły za starym w zaświaty.

Mogłyby wyświadczyć mi grzeczność i ruszyć w tę nieprzyjemną podróż we własnych ciałach. Zasrały mi życie nawet po śmierci.

Mam w domu dziewięć trupów i nie wiem co z nimi zrobić.

*

Czasem myślę, że byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział jak to się zaczęło. Żebym miał jasne wspomnienie: tego a tego dnia, w tym a nie tamtym roku pojąłem, że moja rodzina jest cokolwiek dysfunkcyjna.

Jeden przebłysk jakby: nad moim łóżeczkiem, niby sploty plastikowych gwiazd, rybek, słoników, czy co tam jeszcze ludzie wieszają nad niewyskrobkiem, gromadzą się mamine głowy, sześć albo i więcej, brzmiał łoskot mowy wielokrotnej, ten sam głos odbijający się od siebie samego, ćwierkający z czerwonych dziobów; zaraz się rozpierzchły.

Pierwsze lata spędziliśmy na wsi i wieś dobrze pamiętam.

Zasiedlaliśmy poniemiecki dom w zakolu piaszczystego podwórza. Wielka stodoła naprzeciwko latem pachniała mokrym sianem, na które mogłem skakać. Widziana z zewnątrz była ogromna jak pałac, wewnątrz

wydawała się jeszcze większa. A tam rzeczy minione: narzędzia poszarpane rdzą i ciężkie żarna, sieczkarnia niby szkielet stalowego smoka, młyny. Przez szpary w ścianach wpadało mokre słońce. Tak sobie wtedy o słońcu myślałem: zmoczone promienie obracały się ku tarczy na niebie, żeby wyschnąć.

Na ławce obok siadywał ojciec w znoszonych spodniach i szarym podkoszulku: kozikiem czyścił grzyby, ryby patroszył, a jak nie miał niczego do czyszczenia i patroszenia, wodził czerwonym spojrzeniem za zielononózką, liliputem i kotem. Mieliśmy wielką ruinę przy płocie, czworak z brzuchem okopconym od ognia, tam na stalowych hakach wisiały skórzane pasy i czarne łańcuchy. Co jeszcze zawisło? Był też drugi dom, tak stary, że nikt w nim nie zamieszkał: oblepiony gliną, maźnięty białym wapnem, z lodowatą ciemnością nad wyboistym klepiskiem, pełen widmowych mebli. Po drugiej stronie, nieco niżej biegł strumień, za płotem ciągnęła się łąka i posiwiałe wzgórze pełne niskich drzew. W ziemi znajdowałem gniazda krzemieni, doskonałe na groty strzał. Droga szeroka i kręta wiodła między budynkami podobnymi do naszego, były jak facet bez spodni, jak kurwa ciśnięta w rynsztok, bez żadnej nadziei.

Wchodziło się do nas korytarzem szerokim jak w szkole, z wylewką, drewniane schody prowadziły do Czesaków, a my siedzieliśmy po lewej. Tato kłął na ten parter, że tylko trzy pokoje, dzienny, dla mnie i dla matek, a przecież ludzie w mieście gnietli się na tuziny w tych starych murach. Czterech chłopca na kanapie i babsko w podomce nad nimi. Naprawdę, tak to wyglądało. A my, jaśnie hrabiostwo ziem odzyskanych, po kuchni mogłem śmigać rowerem na trzech kółkach, za to bez hamulca.

Wyobrażałem sobie rower z większą ilością kółek. Siedem. Dwanaście. Sto. Jak u smoka. I milion hamulców, po tysiąc na każde koło.

Tato, możemy mieć taki rower? Tato, czemu Mirek Kłopotek ma kąć pod schodami, a jak ma, to dlaczego nie może do nas przyjść? Tato-tato gdzie ten gar niesiesz, po co taki gar nam?

-Nie zawracaj mi głowy Kłopotkiem — rzekł ojciec, targając kocioł na wyprostowanych ramionach. — szukaj lepszych od siebie. Tych, którzy mają większe domy.

Stary Czesak był jak kula brudnego śniegu w kamień ubita. Zimny,

mokry. Mijał mnie z ustami w dziubek, jakby coś w nim chciało splunąć, a coś nie chciało. Biedny taki z tą walką wewnętrzną. A jego stara, naprawdę stara, z czaszką spłaszczoną na boku od wojny raz padła na kolana i zrobiła mi krzyżyk na czole. Palec miała jak gwóźdź, nic tylko ciąć głęboko w skórę. Ale tato ją pogonił na górę, oj, Czesaki to nas nie lubiły, bez dwóch zdań.

Pewno myślicie, że złoścuję się na swoje dzieciństwo. Nieprawda, wściekam się teraz, gdy patrzę na trupy. Naprawdę, chciałbym wrócić do brodzenia w strumyku, lodowatym a jednak nabitym na słońce, mógłbym wspinać się po żłobieniach w ruinie za domem i bujać się potem na hakach, waliłbym z procy do kuropatw na wzgórzu i budował szałas w powalonych drzewach. Ujeżdżałbym młode prosię i drążył tunele w zbożu. Pobiegłbym w lecie na drogę, golusienki i szorował tyłkiem o rozgrzany piach. Sprałbym Kłopotka. Oberwał od Niecnotka, czy jak mu tam. Przecież nazwisk nie pamiętam. Przyglądałbym się ojcu zwożącemu z jednostki kotły kaszy i kaszanki, jego ręce były śladem i krwią kur, które nieustannie ścinał na podwórku. Z naręczem jaj też go pamiętam. Szedł chmurny, z dachu stodoły tryskały stada gołębi.

Potem mama — konkretnie ŻurMama — pitrasiała całe to wonne dziadostwo, przewalała drewnianą chochlą gęstą breję w której, na podobieństwo wyłupanych oczu, kapały się połówki jajek. Zabierała kocioł i niknęła w pokoju, do którego nie miałem wstępu. W tym czasie ojciec siedział na ciemnozielonej kanapie i wodził po ścianach wzrokiem człowieka nieprzyjemnie zaskoczonego. Zza drzwi zaczynały dobiegać mlaski wielu głodnych gardzieli, tak może pluton grochówkę wpieprzać, tak wpieprza, wiem — jednostkę żeśmy pod bokiem mieli.

Nie byliśmy ze wsi, myśmy się tylko wsi zdarzyli, ale ŻurMama lubiła upiec chleb prawdziwy, ukrajała mi pajdę, dawała ogryzek masła i gorące mleko. Zdarzał się kogut, królik, kawałek świni kupiony od sąsiada, zapewne przez sąsiada przeklęty, żebyśmy wszyscy zdechli. I prawdziwa drożdżówka.

W półmroku zaczynały kursować wylizane talerze i szklanki z półksiężycami po tłustych ustach. tato gromadził je w zlewie, podwijał rękawy, odsłaniając muskularne przedramiona i gdy już miał zanurzyć je po łokcie, obok materializowała się TylkoMama, odciągała go delikatnie i stanowczo, jej głos był smutny, lecz pełen siły:

-Daj, ja to zrobię, a ty odpoczywaj.

Nim ojciec zabrał się za odpoczywanie, niewątpliwie umordowany struganiem grzyba i gapieniem się na kury (zgoda, ścinanie łbów ptactwu było bardziej wyczerpujące), kiwał na mnie, bym podszedł i dał się objąć. Chciał mnie wcisnąć we własne włochate ciało, tarmosił mi kudły, mówił zawsze to samo:

— Zmykaj do wyra, brzdącu. I żebyś mi się nie pętał po nocy.

Leżałem potem z rękami na kołdrze, pętanie nawet przez myśl mi nie przeszło, pamięć o ciężarze dłoni tatuśka pozostawała boleśnie żywa (tatko w dalekiej przyszłości miał wykorzystać i inne swoje ciężary), poza tym za drzwiami rozgrywał się milczący teatr cieni, na wąskiej, długiej scenie między pokojem matek a łazienką.

Przez szybę mleczną widziałem podobne sobie postacie, sunące tam i z powrotem w parominutowych odstępach. Zgarbione lub proste. Jedna milczy, druga chlipie, wydawało mi się chyba, że to jedna matka chodzi po wielokroć (jak to ojciec powiadał, pęcherz ją przymusza), teraz znam prawdę i mogę nawet wyliczyć: PituMama, MamaBach, TataMama, TylkoMama, SmarkoMama (ta pojawiała się rzadziej, przywalona milionem chorób, związana z kaszlem i pierzyną), BawiMama jeśli akurat jej nie wymiotło, ZłaMama, mamrocząc coś pod odrapanym nosem i ŻurMama, umordowana noszeniem garów.

Daje to siedem matek, trochę mało, co nie?

Teraz pewno myślicie, że kłamię.

Jedna pozostawała w zamknięciu, druga darła się na dworze. Trochę musiałem się przemęczyć, nim poznałem prawdę o dwóch pozostałych, zresztą nawet teraz, między umarłymi, nie bardzo mogę się doliczyć, wiem, że lata temu odpływałem spoglądając na cienie matczyne, zasłuchany w szum strumienia, kumkanie żab, ptasie świsty w brzezynie, terkotanie wieczorne koguta, kołysał mnie zapach orzecha, agrestu, bzu.

Zaskakujące, ile drobiazgów zalega w pamięci tylko po to, by wrócić w chwili takiej jak ta. Siadam na brzegu łóżka z kolejnym szlugiem, ciała matek są jak westalki z Księżycy. Pamiętam tęgie szafy ubrań, sterty pościeli, długi dwuszereg kapci, choć butów mieliśmy tyle co w każdym normalnym domu, własne zdziwienie, że ciotki, dziadków i wujów znam jedynie ze słyszenia, lub, co częstsze, nie słyszałem o nich wcale, pamiętam wreszcie — to jedno z wyraźniejszych wspomnień — kopce

zakrwawionych podpasek zalegające w śmietniku.

*

Zaczęło się od tego, że tatko nakrył starego Czesaka, jak kukał pod oknem pokoju matek. Mieliśmy zasłony, lecz Czesak widocznie wynalazł jakąś szparkę i tylko nie wiem; przeczuwał naszą tajemnicę, czy chciał zwyczajnie zobaczyć gołą babę. Tatko zaszedł go od tyłu, chwycił za wszarz i walnął jego czerwoną mordą o ścianę, raz i drugi, aż morda poczerwieniała jeszcze bardziej. Potem, niespodziewanie, puścił. Czesak rozłożył szeroko dłonie, mrugnął białym okiem, a tatko przyrznął mu w krtań i poniósł na kopach pod sam dom. Czesak nawet się nie osłaniał, kwilił tylko, aż połknęła go sień. Z łoskotem wspiął się po schodach, wpadł w ramiona starej, strzeliła ślina, ojciec machnął ręką i wrócił na ławkę. Pomyślałem, że wygląda jakby stali się najadł, taki twardy. bałem się, każdy by się bał. No to mnie zawołał, posadził na kolanie, rozhuśtał i powiedział, że powinienem bronić domu. Choćby nie wiem co, niech ludzie mówią różne rzeczy, ale dla kogoś, kto domu nie obronił, zabraknie miejsca nie tylko na tym świecie. Niebo dla takiego zamknięte, piekło wypluje go w lodowaty kosmos. Tak ojca zostawiłem.

Nad strumieniem mieliśmy skarpe, a w niej gruby pas czerwonawej gliny. Nakładłem jej do garnka i poszukałem dobrze nasłonecznionego miejsca, żeby wypalać cegielki. Na podwórku jeszcze tatko by mi je podeptał. Usadowiłem się nad wodą, w nasłonecznionej plamie. Najpierw nakładłem gliny do pudełek po zapałkach. Każde ugniatałem mocno. Potem przychodził czas na ocenę cegiełek, jednej po drugiej, okiem dziecięcym, najsurowszym z możliwych. Nierówne wracały do gara, reszta lądowała na piasku, powoli wypalana słońcem. Budowałem z nich małe domy, na wzór mojego, być może pełne matek nie większych od żuka. Wtedy ją usłyszałem. Wołanie pełne skargi, lament nad świeżym okaleczeniem niosło się od pól.

Przebiegłem przez strumień, wspiąłem się po skarpie i zobaczyłem matkę bosą i w czerni, z włosami przyklepionymi do posiniałej twarzy. Oczy przypominały spalone grudki cukru, czego przecież nie mogłem widzieć, bo HuhuMama stała za daleko, w ściernisku i ścisnęła się za mokry brzuch. Przyglądałem się jej chwilę. Oderwała od siebie chudą rękę, palec kiwnął. Pobiegłem. Zaniosta się szlochem na mój widok, przygięło ją do ziemi. Już dwa kościste ramiona wysuwały się ku mnie.

Myślałem, co się stało, czemu mama wyszła z domu, dlaczego tak wrzeszczy i tak dalej, aż ojciec chwycił mnie w pól i uniósł wysoko. Wierzgnąłem. Mogłem i gryźć. Trzymał mocno.

-Wynoś się — warknął tatko. HuhuMama zaniósła się płaczem. Padła na bok. Chwytała ostre trawy i zgarniała ziemię pod siebie. — wyj, suko — zawołał ojciec. — jak ci mało tego wszystkiego, to wyj.

Cofał się, nie odrywając od niej wzroku, HuhuMama trzęsa się przede mną, zaczęła pełznąć, wbijając palce głęboko w grunt, z dalekich drzew poderwała się chmara ptaków, zdziwiony bociek mierzył dziobem naszą trójkę. Chciałem poprosić tatę, żeby puścił, bo połamie mi żebra — przerażał mnie jego oddech. Tatko wymachiwał wolną ręką, jakby szpadę trzymał, zrobił krok bezmyślny i poleciliśmy obaj, ze skarpy, w strumień. Ojciec mnie puścił, woda zalała nas zupełnie, nurt przewlókł po kamieniach. Złapałem za sterczący korzeń, podciągnąłem się, oddech nie chciał wrócić, nim zdecydowałem co dalej, tatko spadł na mnie, przygwoździł do dna za nadgarstki, tak że ledwo nos mi sterczał. Zalewało oczy, to i oczków tatusia nie bardzo mogłem dostrzec, zdawały się spływać mu z twarzy, za to zapaszek i owszem, mocny, jakby szarym mydłem natrzeć prze pocone ciało.

-Połamię ci te łapki, gówniarzu jeden — wrzeszczał tatko i szarpał za nadgarstki. — kocham cię, ale jak Bóg miły, połamię, jak jeszcze raz zrobisz coś takiego.

I uniósł mnie w jednej ręce, ociekającego wodą i zapłakanego, depcząc rozłożone cegłówekczki. Nim dotarliśmy do domu, przemarzłem na kość. Tatko cisnął mnie na kuchenną podłogę, do stóp mamusi, natychmiast zamknąłem gębę bo jak to: ona tam, ona tu? Jezus Maria, uklęknęła przede mną, sprawdziła ręce i już, usadziła na stołku, zdjęła ubranie, zaczęła nacierać ręcznikiem. Brzuch miałem siny, z czarnym pępkiem.

— Ty mu to zrobiłeś? — zapytała ojca miękko, bez złości. — powiedz mi, że nie ty.

-Moja rzecz. — odrzekł tato. Mama otuliła mnie ręcznikiem, zniknęła w łazience, słyszałem jak sapie, wbijając korek w blaszaną wannę. Chlupnęła woda. Tatko zbierał się akurat, żeby powiedzieć mi jakąś mądrość, już usta otwierał, a matka wyrznęła go w pysk tak, że zleciał ze stołka. Porwała mnie w ramiona i wyniosła z kuchni. Wtedy nie umiałem

sobie tego poukładać, teraz wiem, że MamaBach zawsze tak podchodziła do sprawy. Wieczorem zastałem ojca na schodach, z butelką wódki między kolanami.

*

Nic mnie tak nie wkurwia, jak tępe gnoje wyklinające po latach swoich starych, jakby zapomnieli że holowanie gówniarza ku dorosłości to nie spacer z domu do knajpy i z powrotem. Czasem myślę, że tato się nie zapączkował tylko dlatego, że nie miał z czego. Jedna rola, jedna funkcja, kozik, grzybek i łeb w piach gdy tylko coś zawisa w powietrzu. Ale był dobrym ojcem, jeśli tylko nie musiał się wychylić, nigdy nie złamał mi ręki ani więcej nie uderzył, choć raz jeszcze niewiele brakowało.

Jak mówiłem, mieliśmy też piwnicę. Zgoda, chyba o piwnicy nie zdążyłem wspomnieć, ale była taka, z wejściem pod schodami, zamknięta na kłódkę, do której Czesak nie miał klucza. Każde nieszczęście bierze się z marzeń, to też, bo każdy gówniarz marzy, aby kimś zostać. Teraz to nie wiem, chyba pragną od razu być adwokatami i specjalistami od wizerunku, Kłopotek marzył o losie tramwajarza, Niecnotek przymierzał żołnierski but, a ja, proszę państwa, jak sam skurwysyn chciałem być kasiarzem i sejfy pruć. Nie wiem, przez Machulskiego czy innych powodów, dość rzec, że idąc do szkoły w miarę klarownie widziałem swoją przyszłość. Kasiarz, poważna sprawa, należało zacząć od rzeczy mniejszych.

Najpierw włamałem się do starego domu pobielanego wapnem, tego obok nas. Wystarczyło unieść rygiel okładką zeszytu, wśliznąłem się w chłód i ciemność, parzyły mnie uszy i palce, aż chciałem ogniki złodziejskie strącać, elfy, stygmaty. Błądziłem wśród rzeczy minionych, tak jak teraz wędruję w koło między ciałami matek. Pamiętam kunę umykającą z bieliźniarki i chleb, porzucony na stole, lata temu, podobny do spalonej muszli. Przez brudne okna wieś była taka nieodgadniona. Uszedłem, ogarnięty lękiem, że ktoś, powiedzmy, stary dziad spod podłogi przypełźnie po bochenek porzucony dawno temu, a krwawa broda będzie oblepiać mu kościste ciało.

Teraz wiem, że duchów nie ma. Ani Boga. Diabła jakoś bym zdzierzył, tylko na co mi diabeł? Ani mu służyć, ani go zakręcić.

Są tylko matki.

Poprawka. Były. Umknęły w bezpieczną nicość, pozostawiając mnie z utrapieniem ciał, ech, szukam teraz boskiego truchła na siwym niebie (trup ten rozciągałby się na całą szerokość horyzontu), aby zapytać o to i owo. Czemu znalazłem się w tej sytuacji?

Tymczasem lista włamań puchła. Po lekcjach władowałem się do pokoju nauczycielskiego, siedmioletni gnojek, co w zielonej ławce nie wytrzyma. Wpełźłem tam przez okno. Przeglądałem chwilę dzienniki, chciałem nawet coś zmienić, wpisać piątki tym, których lubię, tym co nie lubię pały, nie chodziło o pomoc lub zemstę, lecz oszczanie kątów. Tu byłem! Jak byłem, to i uciekłem, a w bezsennym łóżku przywoływałem półeczkę z dziennikami. Czy równo ułożyłem? Widziałem brunatne ślady odcisniętych palców, tropy wiodące do mnie, śmigwały po nich powidoki ognia, dywanik u dyrektorka, szlus.

Włamałem się do Czesaka (przysięgam, miał kubek do srania i tłuste świerszczyki pełne niemieckich babonów) i sąsiadów, z kiosku ukradłem batonik.

Piwnica w naszym domu niewiele mnie obchodziła, za to kłódka owszem: zielona, maźnięta smarem, z daleka podobna do tarczy z czarnym okiem. W dziurkę mogłem wsadzić palec. Taka kłódka to prawdziwe wyzwanie, jak smok dla rycerza, raz, że wielka, dwa, tatko nieustannie kręcił się i smrodził. Zacząłem ją obchodzić, niby przypadkiem trącać, naprawdę — szukając dróg dojścia. Daję słowo, na żadną lalę żem tyle czasu nie zmarnował. Lale przyszły potem, nim jeszcze matki pomarły, wśród matek brodząc, biegnę ku sobie lat osiem, jak odkręcałem śruby przy skoblu.

Prosta rzecz, nie kijem go, to smyraniem po jajcach, kłódka nie puszcza, obejdziemy i kłódkę.

Odłożyłem ją ostrożnie, jak święte puzderko z prochami jakiego mnicha. Przykryłem czym było, zszedłem po schodach, zupełnie bezgłośnie, owiał mnie chłód i smród. Tak mogła ziać puszka z niewyjedzonym, tanim żarciem, żeby zgniło.

Dla odmiany, na dole tak ciemno, że gdyby nie szczęście, wybiłbym sobie wszystkie zęby, po prostu, poleciałem na durny pysk, chwyciłem byle czego, tym czymś był sznur od lampy przy ścianie.

Pierwszym, co zobaczyłem, był brązowy język pyłu, mlaskający o mnie, o ściany. Na wyciągnięcie ręki miałem biały stołek.

Dalej, graciarnia nieodgadniona, długie szczapy z łebkami rdzawych gwoździ, reflektory od stara, korba, żmijka stalowa, płachty brezentu. To wszystko ktoś zrzucił na hałdę, robiąc miejsce dla blaszanej wanny, jednej z tych, jakie widuje się czasem w domach, do których rur nie podciągnięto. Na dnie gniła woda. Wanna wyglądała na strasznie starą, starszą niż tatko i dom pobielany wapnem, a do jej brzegów przyspawano klamry, w nie z kolei wchodziły skórzane pasy, tak czarne, że nie od razu rozpoznałem, co to takiego.

Znów dopisało mi szczęście: gdybym nie zerknął pod nogi, poleciałbym do dołu głębokiego gdzieś na metr, długiego dwa razy tyle, zapaskudzonego trawą, wyłożonego ubraniami. Przysiągłbym, że widzę glisty jak trąba u słonia, czy nawet większe, pisałem ze strachu (tak mi się widzi, że to pisk był), odwróciłem się tylko po to, żeby stanąć przed czymś jeszcze straszliwszym: do piwnicy wgramolił się tatuś.

Byłem pewien, że połamie mi ręce, jak obiecał, w głowie piwnica złączyła się z HuhuMamą wrzeszczącą na ściernisku, jakby HuhuMama była Huhu właśnie z powodu piwnicy, nie żadnego innego. Rzeczywiście, walił prosto w moją stronę, raptem wyhamował i klapnął tyłkiem w stołek. Oparł o mnie umordowane oczy.

— Po co tu przyszedłeś? — zagadnął. — teraz będziesz się zastanawiał, co to takiego. Do czego to służyło — wskazał na wannę. — jeśli do czegoś dojdiesz, to do niczego miłego. Wiesz, czemu nie lubię tego miejsca? Czemu ono jest zamknięte? Siedzisz tutaj i lęgną ci się w głowie dziwne pytania. Chciałbyś odpowiedzi. A ich nie ma. Powiem ci więcej, nie ma nawet pytań.

Rozzochrał mi włosy i poszliśmy na górę. ŻurMama zrobiła budyń. Następnego dnia piwnicy strzegła nowa kłódka, zawieszona na śrubach wielkich jak talerze.

*

Późną wiosną dom ożywiał, rozkwitały pozory rajy. W pierwszy ciepły dzień SmarkoMama opuszczała pokój by zasiąść na ojcowskiej ławeczce przed domem, owinięta w koc, z grubymi skarpetami naciągniętymi prawie pod kolana, nos miała czerwony, zaś dłonie drżące. Tatko na tę okoliczność dostawał istnego kociokwiku, tańcował z zupką i kompotem, przyklękiwał, masował sine palce i przeglądał się w jej oczach. Radość nie trwała zbyt długo i SmarkoMama zaczynała

marudzenie. Że dach runie pod śniegiem — tatko na to, że dopiero co śnieg stopniał. Że kury zabiedzone — a tatko, „no, jakie mają być”. Że kot bez oka — tatko z trudem zdążył wspomnieć, że drugie zostało, całkiem, całkiem sprawne. „Może je też wydłubię, wtedy będzie dobrze? ” A SmarkMamuśka wpadała w drgawki słowne, nie słońce, to deszcz ją rozdrażnił, wiatr dął z bieguna, albo i powietrze rozgrzało się nieznośnie, duszno, można nożem ciąć. Podwijała koc, wsuwała stopy w skórzane pantofle i znikwała w domu.

Wiosną BawiMama ruszała w długą. Póki mieszkaliśmy na wsi, wyglądało to w ten sam sposób. Zaczynało się od winka obalonego gdzieś na łące, na podwórku mnożyły się niedopałki, wreszcie BawiMama przypominała sobie o „Cyraneczce”, gdzie chłepiała bełty, waliła wodę, byleby tylko jakoś dotrzeć do soboty. Wtedy — dyskoteka. Wracała przed świtem, bosy, z pieśnią na ustach i z kozaczkami naciągniętymi na przedramiona. Czasem tatuś prał ją za to jeszcze na drodze, czasem miłosiernie ciągnął za tapir we włosach, niekiedy pozwalał jej wrócić i tylko kłął za ścianą. Raz widziałem, jak BawiMama, urznięta w pestkę, cwałuje na czworakach, z tymi kozaczkami aż po łokcie, ku naszemu podwórku.

W czerwcu rozpoczynały się wyprawy BawiMamowe. Najpierw zapuszczała się zaledwie do Legnicy, gdzie tańcowała na stołach. W brzuchach ceglanych kamienic oddawała się innym przyjemnościom. Wracała przez wieś cała potargana, a zła niby upiór. Baby odwracały głowy. Gdyby na Legnicy się skończyło, tatko jakoś by to zdzierzył, lecz słońce rozpałało pomysły w jej głowie, pędziła na rynek wrocławski, pod ramię szwabskie, angielskie, zasuwała równo, czasem i do poniedziałku, „taka to pół miasta nogami obejmie, gównem z tego jej przyjdzie, a nam tylko przykrości”, powiadał tatko, lecz jak lał ją po gębie, to łzy mu leciały. Parę razy musiał jechać po nią dalej. Zawieruszyła się na dancingach warszawskich, w Krakowie nadziała się na róg barani, piwniczny, wirowała na Jana i w Krzysztoforach.

Pamiętam ją, jak zaśmiewała się na podwórku, jeszcze pijana, z podbitym okiem.

-Kocham cię, bo wracam. — powtarzała ojcu. A potem przeklinała go strasznie, bo miastowy był, a na wieś zjechał.

Teraz widzę ją, kredka wokół oczu upodabnia jej twarz do czaszki.

Palce szkieletu, najstarsza z nich wszystkich. Nikomu nie jest do śmiechu.

Wiosną TylkoMama brała dom w obroty i z każdego okna zwisały grube jęczory upranej bielizny. Na kuchence burczały barszcze przez ŻurMamę pozostawione, ŻurMama nieobecna, ŻurMama skryta. Ubrania wyfruwały z szaf niczym przepłoszone ptaki, TylkoMama przysięgała, że tym razem choć część wyrzuci, co nigdy nie nastąpiło. Wszystko jest cenne wobec niebezpieczeństw przyszłości. Cerowała, narzekając na swój niewdzięczny los, przeganiała mnie z domu, a mole z każdego kąta, aż wreszcie tatko, umordowany od samego patrzenia, zrywał się ze swojej ławki, wpychał TylkoMamę do pokoju, porywał TataMamę, walił seteczkę dla kurażu i szczyptnięciami gnał swoją ślubną w jakiś kąt. Musiałem zostać na dworze. Ich miłosne piski szły w noc.

Leżą wszystkie. TylkoMama bokiem na łóżku, ŻurMama sztywna pod parapetem, jakby próbowała schować się po raz ostatni. TataMama złożyła twarz przed lustrem.

Tatko lubił czasem pogadać, lecz odnośnie naszej, niecodziennej sytuacji, tych wszystkich tajemnic, skrytego życia bez rodzin, sąsiadów, bez kumpli milczał, a ja nie śmiałem pytać. Teraz też bym nie mógł, nawet gdyby wrócił.

Jeszcze by tego brakowało, żeby się tutaj przypętał. Raz tylko coś powiedział, uwikłany między matkami. BawiMama świeżo przywleczona, TylkoMama w żywiole, HuhuMama drze się dalej na ściernisku i tak dalej. Wziął mnie na kolana i rzekł.

— Szkoda, że żadna nie dyma do roboty, co synek?

I popatrzył tak smutno, spode łba, rozczochrał mi włosy brudną łapą i smutek mu zaraz minął, jak wszystko co mija w życiu.

Niewiele mnie to obchodziło. Większość dzieci szuka miłości, mnie bycie kochanym raczej zawstydzalo i robiłem co mogłem, żeby umknąć PituMamie. Rozpoznawałem ją natychmiast przez dziwną miękkość kolan. Tak gięła się ku mnie, porywała i cześć, czasem było fajnie. Czemu kłamać? Zabierała mnie do miasta na lody i ciastka, kupowała co chciałem: komiksy Kaczor Gigant, gameboya i pierwsze playstation, kasety, wystarała się o magnetofon z kompaktem, zamontowała u mnie komputer z drukarką, który odegrał ważną rolę w sporze z księdzem Fradzem i gitara by grała, gdyby nie ściski i terror troskliwy.

Świat PituMamy był inny niż mój: piaszczystą drogą gnały

samochody łapczywe na moje życie, gałęzie drzewa gwałtownie schły mi pod stopą, w stodole, na strychach, w ruinach załęgły się stalowe jeże, polami włóczyli się gwałciciele. Zimą PituMama klękała przede mną, szczypała w udo, sprawdzała, czy noszę gacie. Latem poprawiała mi czapkę z daszkiem i lamentowała nad obitymi kolanami. Brała w ramiona i miała fantastyczne poczucie humoru, ona i ono gasły pospołu, wraz ze zmrokiem.

Leży na podłodze, twarzą w dół. Cieszę się, że widzę je wszystkie. W tej chwili, właśnie tak.

Czasem myślałem, że oszalałem we wczesnej maleńkości, lecz trupy matczyne mówią prawdę.

*

Gdyby zapytać tatuśka, powiedziałałby, że wszystkiemu winny Czesak z Czesakową, ja stawiam na pierwszą komunię świętą, czyli konsumpcję samego Najwyższego, do której nastrajał mnie ksiądz Frądz.

Ksiądz Frądz był ogromnym mężczyzną trawionym rakiem kości. Potem zresztą wylizał się i żyje do dziś, ale wówczas, na pierwszokomunijnych rekolekcjach, nie mogłem oderwać wzroku od jego szerokiej klatki piersiowej. Wyobrażałem sobie raka, właściwie nowotworowe żyjątko nieco podobne do czerwonych mrówek, jak zżerają go od środka, aż zostaje sama skóra, cienka i sztywna niczym wysuszony papier. Ośmioletnia wyobraźnia kontynuowała zabawę, podsuwając mi mój własny palec: pukałem nim między sutki księdza Frądza i raptem ręka zapadała się aż po łokieć.

Czasem obserwowałem ciemne plamy wody na suficie. Dach przeciekał przy każdej ulewie.

Ksiądz Frądz dudnił o apostołach i świętych, a ja próbowałem zrozumieć o co chodzi z tą całą pierwszą komunią, bo, skoro ta jest pierwsza, to zdarzą się też następne, będę więc do późnej starości, co niedzielę zasiadał w salce katechetycznej zasłuchany w błogosławiony łoskot, uszyją mi strój, a potem dostanę prezenty. Przez ten interes traciłem poranne bajki. Co to znaczy? Nie wiem. Próbuję powiedzieć, że ksiądz Frądz był moim Jaruzelskim.

Co mam zrobić z tymi ciałami, powiedzcie mi.

Nie powiecie. Jesteście wszystkie martwe.

Gdybym mógł wybrać jedną matkę, żeby przeżyła, to dopiero byłby

numer. Takich kart nie dawali nawet w obozach koncentracyjnych.

Heca zaczęła się od strojów. Ksiądz Frądz, spoglądający, jakże fałszywie, w oczy wieczności uroił sobie, że powleczeni się pod ołtarz w jednakowych wdziankach, niczym armia świętych kanibali szykująca się na spałaszowanie swojego generała. Sprawa przeszłaby gładko, gdyby nie aspekt biznesowy całego przedsięwzięcia, otóż stroje miały wyjść spod szydeł zakonnic, dzielących czas między modły i trwanie w biznesowej komitywie z naszym przejściowo konającym duszpasterzem. Siostrzyczki krzyknęły sobie zdrowo, lud ciemny krzyknął też, że zgrozy, lecz jakoś przełknąłby tę cenę, gdyby nie najświatlejszy jego przedstawiciel, czyli mój tatko.

Ledwo to usłyszał i już zameldował się u Frądza powiedzieć mu, że to zdzierstwo i on się tutaj, w tym miejscu, wyłamuje.

— Wówczas inni mi także się wyłamią — powiedział łagodnie ksiądz Frądz (tak to sobie mniej więcej wyobrażam).

— A niech się wyłamują, krzyż na drogę, na zdrowie! — odwrzasnął mu tatko. W moim wyobrażeniu, ksiądz Frądz uniósł wzrok, jakby przez sufit zakrystii mógł dostrzec zastępy anielskie, trapiące się nad zaistniałą sytuacją, zaczerpnął powietrza w kruszejące płuca i orzekł, że dobrze, w takim razie inne dzieci dostąpią komunii, ja natomiast nie. Bo tatko i mama (mama, dobre sobie) nie mają kościelnego, a tak w ogóle to są dziwni, podejrzani, on, ksiądz Frądz od dawna ma nas na oku, wie co ludzie gadają, więc zdanie sobie wyrobił, a tak w ogóle, to wypierdalać.

Tatko, prawdziwy mężczyzna naszych czasów, na księdza nawrzeszczał, podkulił ogon i powiedział mi, że komunię przyjmę w Legnicy, toż jeden Bóg jak Polska długa i szeroka. Zasmuciłem się, nie wiedząc co powiedzieć Kłopotkowi, Niecnotkowi i innym kolegom, poza tym Legnica oznaczała dojazdy i cały cyrk rozkręcany od początku. Zacząłem płakać i tupać, tłumaczyłem, że w takiej sytuacji o żadnej komunii nie ma mowy, tatko zaś myślał i tężał od rozruchu zwojów.

— Nie. — rzekł. — tak nie będzie.

I poszedł uruchomić HerodMamę.

W najwcześniejszym wspomnieniu kołacze mi jej cień, jak duch ducha, czarny szron szponiasty: mogłem przysiąc, że była złudzeniem jeno i matek mam osiem. Tatko zgarbił się przekręcając klucz do pokoju. Zniknął w matczynej ciemności i tam coś strzeliło, coś pękło, zabrzmiał

przykry jęk.

Wyszła, podobna innym i zarazem nie podobna: szczeka stworzona do żucia stali, plecy sztywno, ramiona zgięte i wysunięte, jakby niosła coś przed sobą. W jej cieniu pełził tatko, tłumacząc w czym rzecz. Straciła jego słowa jednym machnięciem dłoni.

HerodMama przysiadła, krzesło jęknęło przed jej surowym ciężarem. Wybrała trzy papierosy z paczki tatusia, każdy ugniotła starannie w palcach nie odrywając ode mnie wzroku. Rozpaliła ogień pod kuchenką. Trzy czerwone marlboro wylądowały na gorącej blasze. HerodMama rozczochrała mi włosy:

-Tatuś tylko umiał cię zrobić, a reszta na mojej głowie.

Poszła w wieś. Tatko milczał, zagoniony w kąt, doglądał tylko, czy papierosy dobrze schną, pozwalał ogniu wygasnąć i rozpalał go na nowo. Inne matki tłoczyły się pod drzwiami. Widziałem nerwowe cienie. Ale tatko sam zrobił mi obiad, dusząc w sobie gorycz klęski, gorszej, bo tylko przede mną. HerodMatka wróciła o zmroku. Nie poświęciła mu ani spojrzenia, chwyciła papierosa suchego jak piach i paliła długo, śledząc ptaki za oknem.

— Masz komputer? — zapytała nagle.

Odpowiedziałem, że mam. I gameboya, i pierwsze playstation.

-To mnie nie interesuje. O komputer pytam.

Pokazałem jej gdzie. HerodMama pobębniła chwilę w klawiaturę, upomniała się o drukarkę, której nie mieliśmy, znów machnęła ręką. Surowy nos przecinał jej twarz na dwie połowy o ostrych brzegach.

— Jutro pojedziemy w tej sprawie do miasta.

Tatko nie miał śmiałości zapytać o cel tej wyprawy. Wycofał się na swoją ławkę, tam zastygł z butelczyną, a ja bałem się, że zaraz, urżnięty, przywlecze się do mnie szukając pocieszenia. Przypominał cyrkowca prześladowanego przez zwierzę, które sam wypuścił z klatki i nie umie poskromić. HerodMama została w moim pokoju, badała każdą książkę, zabawkę, koszulkę, ważąc potencjalne winy drzemiące w każdym z przedmiotów. Wyszła i kazała mi pójść spać. Nigdy bym jej się nie sprzeciwił, nie takiej, nie sztywnej kobiecie z diabelskim piętnem, pięknem, zastygłej z papierosem wysuszonym na wiór.

*

Jak łatwo przewidzieć, pojechali do miasta beze mnie, a gdy

wróciłem ze szkoły, sprawa była zamknięta i miesiąc później pędziłem w bieli po Chrystusa do serca. HerodMama zniknęła w pokoju bez pożegnania, doskonale świadoma do czego tatko jej używa. Ojciec również milczał, wydobywałem z niego prawdę przez lata, właściwie, wypłukiwałem ją na kieliszki. Wielu rzeczy domyśliłem się sam, dalej się domyślałam, HerodMamusia leży otulona w cieniu u moich stóp. Co się stało, mamó?

A wtedy było mniej więcej tak.

HerodMama, wystrojona w odpustowe suknie zameldowała się na zakrystii. Ksiądz Frądz toczył wewnętrzne zmagania z Bogiem, pieniądzem i słabnącym ciałem, od razu ją rozpoznał, zwięził mu się wzrok.

— Słyszałam, że ksiądz chce, aby mój syn żył w grzechu.

Frądz ledwo usta otworzył. A ona:

— Słyszałam, że ksiądz chce, by ciemność zjadła mi syna.

Trudno mi wyobrazić sobie słowa księdza Frądza, cokolwiek odpowiedział, trafiło w próżnię. Bo HerodMama swoje:

— Słyszałam, że ksiądz chce, by po mojego syna upomniał się diabeł.

Ksiądz Frądz znów zaczął coś klarować, dociśnięty w róg przez święte słowa, szukał słów świeckich na swoją obronę, tymczasem HerodMatka cisnęła mu pod nos wachlarz wizytówek.

Czego tam nie było: Urban i Michnik wydrukowani na tłusto, z numerami telefonów. Trzech ludzi z Gościa Niedzielnego. Naczelną Frondy. Olejnik. Durczok, Ibisz plus Żakowski, ta od Najsztuba była poplamiona. W drugim rzucie, przed zdumionym obliczem Frądza wyrosły wizytówki lokalnych poroborków z „Gazety Legnickiej” i „Słowa Polskiego”, jakichś sierot z radia i nieszczęśników unurzanych w piekiełku ziem odzyskanych.

Gdyby Frądz dostał chwilę, chwycił którąkolwiek, tusz pobrudziłby mu palce. Wszystko, parę godzin wcześniej, wypłuła drukarka w jakimś biurze.

Ale wzrok księdza Frądza stał się szklisty, zawieszony jak sznur na wielkim telefonie komórkowym HerodMamy.

-Dokąd mam najpierw zadzwonić?

Ksiądz Frądz opadł na fotel. Domyślałam się, że jakiś pstryczek w jego głowie, przecież nie do końca głupiej sugerował błagę, ale wiecie sami,

jakie były czasy: ksiądz odmawiający chrztu, komunii, ślubu oglądał siebie w gazecie.

A że Frądz nie był całkiem głupi, wyskoczył ze starą gadką, że owszem, że wszystko będzie dobrze, tylko siostry już szyją, nie mogą szyć na próżno, my się wyłamujemy, wyłamią się następni.

— Nikt się nie wyłamuje. — HerodMama zawinęła wizytówki, jakby już było po sprawie. — ubranko weźmiemy od sióstr, tyle, że za darmo.

Mina księdza Frądza sugerowała, że nie zna tego słowa, wyparł je, zamknął w skale, zasłonił kamieniem. HerodMama nie pozwoliła mu nawet otworzyć gęby:

— To i tak opłaci się księdzu. Nasza rodzina wróci w szereg, nikt nie piśnie ani słowa, ksiądz weźmie zamówienie od wszystkich z klas drugich, wszyscy też zapłacą, nie licząc nas, o czym nie powiemy. Czy to nie jest dobry interes, niech się ksiądz dobrze zastanowi, statystycznie ksiądz wyjdzie na swoje, a nawet lepiej.

— No nie wiem — bąknął ksiądz Frądz, wreszcie dopuszczony do głosu, zastraszony i skorumpowany w jednej chwili.

HerodMama wyszczerzyła kły. Z całej dziewiątki jej uśmiech był najpiękniejszy.

— Mam jeszcze jedną sprawę. W salce katechetycznej sufit przecieka. Sufit przecieka — powtórzyła. — a tam są dzieci. Będzie i grzyb.

— Pani chyba jest z innej planety. — ksiądz Frądz znalazł w sobie okrucieństwo odwagi. — to biedna parafia. Mogłaby pani to wiedzieć, ale nie widywałem pani w kościele.

— Święte słowa, w kościele nie bywam, a i dach wam cieknie. Podeślę męża do księdza, to złota rączka i człowiek też złoty. On naprawi wam ten dach.

Skłoniła się i wyszła, by zniknąć na lata w Pokoju Matek, cicha, zamknięta i niesłysząca. Czasem zastanawiam się, o czym myślała, idąc przez wieś do domu. Czy przyglądała się ptakom? Przeklinała błoto? Czy matki przeklinały cokolwiek? Co właściwie działo się w ich głowach?

Następnego dnia poszedłem na katechezę razem ze wszystkimi. Ksiądz Frądz nauczał nas cierpliwie, klarował o szczegółach stroju i obrzędu, a z góry grzmiały gromy, ciskane przez tatuśka, pracującego na dachu.

Tatko w te dni zjawiał się w domu po zmierzchu, siadał na samym krańcu ławki, jakby w obawie, że poderwie go jakieś nagłe, złowrogie wydarzenie i patrzył przed siebie.

*

Mdli mnie od szługów i trupów. Spoglądam po pokoju, zrywam zasłony i wpuszczam powietrze przez otwarte okno, ktokolwiek tu zerknie zobaczy tylko mnie wśród ceni bez znaczenia. Na wszelki wypadek: strącam zastygłe dłonie, twarze matek obracam nosami do ściany, siadam na parapecie. Cyk.

Nigdy tu nie byłem, tatko zamontował gerdę, klucz zawiesił na szyi, i porzucił dopiero wczoraj, gdy wszystko się spieprzyło. Tyle dobrze, bo nie musiałem zdzierać go z szyi ojcowskiej.

Cholerne dzięki, tato.

Tego lata, kiedy zmuszono nas do wyjazdu, zaglądnąłem do pokoju matek, wbrew wszelkim zakazom. Był to inny pokój, zakaz ten sam i odtąd wiem, że rodzice, choć głupi, źli, tchórzliwi, najczęściej mają rację, gdy zatrzaskują nam drzwi przed nosem.

Wtedy nie mieliśmy gerdy, lecz skobel i kłódkę. Pamiętacie, w te klocki byłem nienajgorszy i stąd chwytałem w lot ogrom kłopotu, w czasach piwnicznych włamów już dłubałbym przy wkrętach. Mogłem błyskawicznie rozgrzebać zamek, lecz istniała konieczność złożenia go z powrotem. Tatko gotów był zjawić się w każdej sekundzie, coś, cokolwiek mogło mnie przegnać z matczynego pokoju (tak właśnie się podziało). Uchodząc zostawiłbym dowody winy.

Zacząłem się na klucz.

Tatko nosił go na szyi, niczym pieprznięty strażnik czarownego skarbu. Czasem bawił się nim, wsadzając w oczko czerwony paluch, a gdy zasypiał, biały sznur na piersi nasuwał skojarzenia ze starą blizną po wycięciu serca. Przynajmniej tak wtedy myślałem.

Wystarałem się o drugi klucz, podobny do tamtego, przynajmniej w moim dziecięcym mniemaniu. Uciąłem dwa łokcie sznurka i czekałem, aż tatko runie, przygnieciony nadmiarem szczęścia z butelczyny.

Całość trwała tak szybko, że nie pamiętam. W jednej chwili widziałem tatuśka skulonego na ławce niczym embrion wytargany z wyjątkowo zawszonego łona, w drugiej uchodziłem z prawdziwym kluczem, ojcu podłożywszy podrobiony. Noc była lipcowym żarem,

koszula paliła w plecy, ryk HuhuMamy szedł od ruiny, uwiesiłem się na kłamce matczynego pokoju i wpadłem do środka. Nie pamiętam chrzęstu zamka, oporu stali. Nic.

Pokój był większy niż ten, w którym teraz stoję. Niewiele widziałem przez zasłony: ciężką szafę, krzesła ustawione jedno na drugim, jak w szkole, długi stół, bielizniarkę i lustro. Większość miejsca zajmowały łóżka i matki na nich, nierozróżnialne i ciche. Niektóre na boku, inne na wznak. Zrobiłem krok. Nad stołem błysnęła zapalniczka, rozżarzył się papierosowy świetlik. Na blat opadła chuda dłoń. Wyżej, wykrojona z cieni i światełek bujała się twarz znajoma i obca jednocześnie, o wielkich oczach i ustach niczym zmarszczki. Chude ciało sprawiało wrażenie wycieńczonego tylko dźwiganiem tego łba nienawistnego.

— Czego tu chcesz? — zapytała HejtMama. — po co tu przyszedłeś? Skurwysyn cię przysłał. — łypnęła ślepiem na znak, że wie kim jestem, że mnie rozpoznaje. A potem powiedziała coś, co dźwięczy we mnie do teraz, choć nie powinno. Słowa przeżute przez lata, wżarte w ciało jak smoła od papierosów, powtarzane tysiąc razy w ciemności:

-Wynoś się. Ja cię znam. Wszystko, co złe, przychodzi od ciebie. Rozprułeś mnie aż po brzuch. Jestem jedną wielką blizną, niezagojoną i chorą. Wynoś się. Wszystko spieprzyło się, odkąd jesteś. Moje ciało się spieprzyło. Ja się spieprzyłam. Sam pij swoją truciznę, diable jeden. Nie jesteś mój. Precz.

Uniosła się na białych, kościstych rękach, papieros kreślił półkola w powietrzu, czego już nie widziałem, co sobie tylko domyślam. Biegłem daleko, za dom, przez strumień i drogę, tam gdzie, noc w noc, bez wody i wytchnienia wyła HuhuMama, wydały mi się tak podobne, tamta i ta, więc popędziłem dalej i wyrywałem się ojcu, który szukał mnie ze światłem pośród nocy, ojciec zrozumiał, nie skarcił i już chyba wiecie, czemu nie wchodziłem tam więcej.

*

Wyprowadziliśmy się jeszcze tego lata. Ksiądz Frądz zamilkł, Czesak się rozszcekał. Na tyle, na ile umiem stwierdzić szukał okazji do zemsty: przemykał korytarzem, albo przez podwórko, wściekły, że nie może schować się w słońcu i słał mi nienawistne spojrzenia. Lubił czaić się w krzakach, łamał gałęzie i strugał kijki do białego drewna, obijał się o domy, ruiny, aż stara nie zawołała go, by poszedł spać.

Miał dość rozumu by wiedzieć, że tatko przetrąci mu gnaty w bezpośrednim starciu, umyślił więc sobie intrygowanie. Trudno stwierdzić, sprytny był, czy myśmy się podłożyli, zapewne wszystko po trochu. Rodzinka, owrzaskiwana przez matkę na ściernisku, musi rzucać się w oczy.

Być może Czesak usłyszał o wizytówkach zostawionych u Frądza, być może domyślił się prawdy. Najpierw łąził od domu do domu, klarując wszystkim, że tatko urządził sobie harem pośrodku wsi pobożnej i obraca tuzin ślubnych na oczach przerażonego brzdąca, czyli mnie. Ludzie spuścili go po brzytwie, a potem zaczęli myśleć swoje. Składali do kupy, że jemy za dużo, że wciąż wywożą od nas śmieci, że okna w domu pozastłaniane, no i zwariowana baba wyje ile wlezie, trzeba coś z tym zrobić.

Cały czas ktoś kręcił się przy domu, skurwysyny przyłaziły z dobrym słowem, wódką i prośbą o radę. Tatko gonił bezlitośnie, potem padał na ławkę i tylko ciskał kamieniami w pijanym otumanieniu, PituMama umykała trwożnie, a mi wydawało się, że ciemność z pokoju matek zżera nasze podwórko po kawałku.

Koniec końców, tatko walnął Czesaka w pysk, przyjechała policja i cudem żeśmy się wywinęli. Wystarczyło zerknąć na Czesaka by stwierdzić, jaka to menda, gliny patrzyły rozumnie i cześć.

Ledwo radiowóz pojechał, zameldowali się dziennikarze, przyciągnięci rewelacją o wiejskim haremie na ziemiach odzyskanych.

— Wyrzucisz takiego drzwiami, wlezie oknem — powiedział tatko, i miał rację. Zamknął nas w domu, zabronił wychodzić, zdobył się na trud odstawienia butelczyny i cały dzień włóczył się po obejściu, markując prace gospodarskie z miną carewicza na wygnaniu. Nie znajdziesz większego gnoja niż pismak, rozpełzli się po wsi i pytali skąd jesteśmy, co robimy, jak to naprawdę z nami jest. Cykali fotki wokół domu, próbowali zerkać przez zasłony, słabnący tatko najpierw orzekł, że kupi wściekłego psa, a zaraz potem, że się wyprowadzamy. Siedział na ławce, wodził po namiotach dziennikarskich załzawionym spojrzeniem i w pewnym momencie powiedział:

-Aby iść dalej, trzeba coś zostawić. Chodźmy, synku.

I tyle. Myślałby kto, że tatko rzuci się w wir przeprowadzkowy, ale zawisł na telefonie, pozostawiając TylkoMamie cały niewdzięczny trud.

Chodziłem po domach, zbierając kartony. Na twarzach sąsiadów błysk tryumfu bełtał się z poczuciem winy. Wiem, dzieci lepiej widują takie rzeczy niż ja teraz.

Zabawki, nieliczne książki, nieprzebrane talerze i sztucce poszły w kartony, łachy trafiły do czarnych worków. Przyglądałem się temu z parapetu przekonany, że gdy wylądujemy w nowym, tajemniczym jeszcze miejscu, z tych samych worków i pudeł wyłonią się rzeczy mi nieznane, w jakiś sposób nowe i stare jednocześnie. PituMama zalewała się łzami, ryk HuhuMamci szedł zza strumienia.

Niektórzy dziennikarze zagadywać HuhuMamę, ta wyła jak złoto. Wezwali karetkę. Wróciła po trzech dniach, kiedy już byliśmy gotowi.

Tatko wytrzasnął zielona tetrójkę, czyli zdychającego busa oblepionego naklejkami. Załadował dobytek na pakę i pomknął w nieznane, zostawiając mnie na progu, obok SmarkoMamy, która najwyraźniej nie pojmowała co się w około dzieje. Za to Czesak wiedział świetnie, wylazł na podwórko i mrużył oczy niby szczur przetrzymywany w kanałach i raptem wypchnięty pod słońce. Coś próbował mnie zagadywać, a jego stara trwała na piętrze, z twarzą przyklejoną do zasmarkanej szyby. Zbyłem sukinsyna, sukinsyn poszedł i wrócił dopiero pod wieczór, równo z tatką, za to w towarzystwie połowy wsi i pismaków. Było ich wszystkich z pół setki, przysięgam. Wzięli podwórko w trójkąt i czekali co to będzie, uzbrojeni w aparaty fotograficzne i dyktafony.

Tatko zaparkował tetrójkę pod samą bramą, nawet nie spojrzął na zgromadzonych, zniknął w domu, by wrócić z siekierą. Zamarłem w oczekiwaniu, tłum zafalował, od tatki emanowała siła, jakiej nie widziałem u niego wcześniej, chciałem ją chwycić, rozbując się na niej pod ciemniejące niebo. Najbardziej przerażony był sam Czesak, zerkał za siebie, na ogłupiałych gapiów i idę o zakład, że gdyby tylko tatko ruszył ku niemu, daliby go porąbać dla świętego spokoju i zdjęcia jeszcze świętszego. Oto źródło potęgi prasy, myślę sobie. Ale tatko nawet na niego nie spojrzął, tylko posiekał ławkę na której siadywał, a potem cisnął siekierę w piach. Wypalił papierosa i zaczął wyprowadzać matki do samochodu.

Wychodziły po kolei, każda z ręcznikiem zasłaniającym całą twarz. Podekscytowany, próbowałem poznać, która jest która: HerodMamę

trafiłem po szerokich barach, MamaBach szła prosto, jak na rozstrzelanie, ŻurMama zanosila się płaczem. I tak dalej. Nikt nie śmiał ojcu przeszkadzać w tej czynności, nawet Czesak nie drgnął, aż ostatnia z matek zniknęła w busiku. Tatko jebnął drzwiami, usadził mnie na przednim siedzeniu i pojechaliśmy, odprowadzani przez flesze. Ledwo dojechaliśmy na drogę, a brać dziennikarska, sumienia i barometry moralności pomknęły do domu buszować wśród resztek. Ludzie ze wsi się rozeszli, na podwórku został sam Czesak. Nigdy więcej go nie zobaczyłem. Dużo później dowiedziałem się, że tamtego wieczora zmarła jego stara. Znaleźli ją tak jak żyła, ze stygnącym nosem przyklejonym do szyby.

*

Całą tę skomplikowaną, przyznacie, operację, tatko zmajstrował tylko po to, by przerzucić naszą ferajnę do Rykusmyku, dwadzieścia kilometrów dalej. Nazwa bierze się z tego półświatka, co Kłopotek, Niecnotek i ksiądz Frądz. Bachory darły się tam jak koty w marcu.

Nie masz co robić w małym mieście, dupcysz się i mnożysz.

Pamiętam rynecek z kruszącą się kostką i całe tabuny matek przysiadające przy klombach, chłęczące w „Ratuszowej” kawę zalewającą z niegazowaną. Teraz też tam siedzą, ale mają latte i espresso. Odkąd zrobili strefę ekonomiczną, jest u nas całkiem nieźle, ale wtedy, patrząc na ratusz i kamieniczki obok można by sądzić, że wojna skończyła się wczoraj. Blizny ulic zalepiono plastrami kolorowych szyldów: Lombard, spożywczy, szmateks, salon z automatami, lombard znowu, monopolowy i tak w kółko. Na słupach mnożyły się oferty chwilówek.

Mieliśmy też poniemiecki zamek piastowski, z którego tynk odpadał jak wyschnięte strupy, zamknięty na głucho, ale młodzi mieli swoje sposoby. Wspinali się, włączili przez wybite okna, lansowali jabcoki, potem, urznięci w pestkę spadali na durne łby. Sam zleciałem, a co.

Nocą zamek wygrywał fugę miłosnych jęków, sam, jeszcze niedawno przywlekałem niunie w średniowieczną ciemność, na wojenny gruz, cycki puchły mi w ustach, po wszystkim każda kolejna przewracała się na mnie, bo tak było wygodniej. Leżałem, przygnieciony. Patrycja była najlżejsza i tylko przy niej znikał czas.

Ale nie sprzedajmy biegu rzeczy.

Tatko tyrał w strzegomskim kamieniołomie i przez konszachty kamieniarskie wyzebrał cztery pokoje przy Piastowskiej po jakiejś śmiesznej cenie. Wprowadziliśmy się nocą, w oknach natychmiast zaległy kotary, matki zaległy tam, gdzie każda normalna rodzina powinna mieć salon. Znow to samo: drzwi na klucz, klucz na szyję tatuśka.

Z okna mieliśmy ładny widok na dębową aleję. Osiedle zbudowano w kwadrat, jakby architekt chciał odwieść mieszkańców od opuszczania tego miejsca. Były dwa sklepy spożywcze, fryzjer, drogeria, knajpka. Miałem osiem lat, ale wiedziałem swoje i tylko tchórzostwo wrodzone powstrzymało mnie przed zadaniem ojcu paru kłopotliwych pytań.

Skończyły się jaja, kury, kapusta. Co z wyżywieniem nas wszystkich?
Ile zapłacimy za wodę?

Co zrobisz, tatusiu, gdy zatka się kibel, a uwierz mi, w ciągu tygodnia tak właśnie się stanie.

Co powie pani w sklepie, gdy będziesz miesiąc w miesiąc kupował podpaski dla całej damskiej dywizji?

Byłem więc dociekliwym durniem, nikim więcej. Tatko odkrył hurtownie i świat zaczął się kręcić.

2. Iuvenis

*

Nienawidziłem dorastania. Dzieciństwo jest jeszcze w porządku, bo nie czuć ograniczeń, zwłaszcza przy matkach pomnożonych. Jedna zabroniła, druga pozwoliła i dało się trwać w beztrioskiej miękkości, miękkość to dobre słowo, gdy jesteś dzieckiem nawet kolce są z pluszu. Dojrzewanie to inna sprawa, chuj w dupę frajerom wspominającym je po latach z rozrzewnieniem.

Miałem, idioci, wszystkie te radości za którymi wam tęskno, a które powaliłyby migreną każdą z moich matek; wyglądałyby właśnie jak w tej chwili. Pierwszy papieros, butelka, jej cyc i więcej nic, aż wreszcie poszedłem na całość po wielokroć, w bramie jabcokiem i szczyną. Po szkole włóczyłem się między zniszczonymi domami, składałem do piwa, a przede wszystkim usiłowałem zrozumieć, czemu jedne rzeczy przebiegają tak, a drugie inaczej. Czego nie wiem do dziś. Wszystko teraz poginęło w jakiejś magmie, poza matkami, jakże boleśnie obecnymi w swojej zimnej już cielesności, może poza Patrycją i pytaniem, kiedy tak naprawdę tatko zaczął obracać się w stronę sznura. Może już wtedy, w mojej nastoletniości? Wówczas brak wolności doprowadzał mnie do szału.

Chodząc do technikum niespodziewanie zyskałem wszelkie obowiązki człowieka dorosłego wraz z najsurowszymi konsekwencjami, za to dorosłe przyjemności musiałem wyrywać jak drzazg.

To jest nastoletniość i tylko to.

Orientuję się, właśnie w tej chwili, że łatwiej mówić o matkach niż o Patrycji, choć Patrycja nie była nawet młodzieńczą miłością, nawet ekstraszprychą, wspomnienie jej trójkątnej twarzy zamazuje się z wolna, jakby zanurzało się coraz głębiej w wodę. Nie powiem wam jak się spotkaliśmy, bo to jest nieważne, w naszym poznawaniu się nie znajdziecie niczego ponad nastoletniość. Ona sama z zewnątrz, znów nic niezwykłego: sztruksy na nogach nazbyt przysadzistych, bluzka na ramiączkach, koraliki, uśmiech.

Nocami chodziliśmy na cmentarz, żeby parzyć się wśród grobów; w

dzień zaduszny lałem wosk na jej rozgrzany brzuch, aż wywróżyłem drzenie. Siedzieliśmy u niej na poddaszu gdzie w każdej chwili mógł wpaść jej uczony ojciec, przerzucaliśmy filmy na płytkach, zagapieni w ekran i w siebie. Wybieraliśmy się do Legnicy i Wrocławia na koncerty, była Armia i KSU, a czasem Pati umiała opleść mnie całego chwytając od tyłu, jedna noga przy nodze, druga na brzuch, ręce na karku i sercu. Próbuję powiedzieć, że przynosiła spokój, ten spokój pamiętam.

Bardzo długo nie uważałem jej za kogoś wyjątkowego, ale teraz chciałbym, żeby była tu ze mną. W pewnym wieku trudno uważać dziewczyny za wyjątkowe. Przychodziły, odchodziły i tyle o nich widziałem i jeśli nawet Pati patrzyła na mnie jak cielę na stodołę, to musiała czuć, że spotykam się z innymi panienkami. Pływałem od wydarzenia do innego ciała, zupełnie nie myśląc, jak mi jest z takim skakaniem, aż siadłem, pomyślałem i zaczęło mnie ciągnąć do Patrycji.

Była o rok młodsza, więc szkoły skończyliśmy równo, tylko po to by śmignąć na wakacje życia. Dorabiałem już przy remontach, floty starczyło akurat na polskie morze i kawałek Litwy. Wróciłem nieco siebie nie poznając i od razu wpadliśmy w kłopoty. Pati szła na studia, ja do pracy, co właściwie nie powinno nas rozdzielić, myślę nawet, że wybrała Legnicę, żebyśmy zostali razem. Jej rodzice oczekiwali czegoś dokładnie przeciwnego.

Nawet ich rozumiem, nie mam złości, bo zięć mojego sortu to żaden cymes. Zrozumienie kogoś wynika z postawienia się w jego sytuacji, co znów umiem rozegrać na dwa sposoby:

Rodzice Patki nie chcieli, żeby ich jedyna córka pozegłowała w świat z roblem, prostym chamem, który nie przeczytał żadnej książki, choć oni przerobili wszystkie. Byłem w ich oczach tanim jebaką, przedłużeniem fiuta, który ciągłością wzwodów pragnie wbić się w klasę średnią.

Rodzice Patki nie rozumieli mnie i chcieli dla córki takiej przyszłości, którą uważali za bezpieczną, znajomą, zrozumiałą. Świat tak szybko się dla nich zmieniał.

Jaka różnica? Jakaś była, skoro powiedziałem im to, co powiedziałem.

Progu naszego mieszkania przekroczyć nie mogła; bezdomna była nasza miłość.

*

Matki bardzo różnie odnajdywały się w nowej, małomiasteczkowej sytuacji. Czas łagodził zmiany inaczej dla każdej z nich.

ŻurMama chyba nie zauważyła różnicy, zawirowana wśród garów, przejęta nie tym, co za oknem, lecz tym, co wykipieć może. Czasami narzekała na jakość jedzenia: kurczaki, jej zdaniem, zatruwano jeszcze na farmie, obsypując truchła furą ostrych przypraw, sałata była Frankensteinem, a chleb papierowy. Podsuwała mi talerz pod nos i patrzyła, czy zacznę umierać. Od PituMamy odróżniałem ją po stężeniu smutku, fizycznie zlały się zupełnie, szare jednorako, PituMama do tego nieszczęśliwa. Mieszkanie nie dom, balkon nie obejście, odkurzacz nie miotła, kurzy do ścierania też niewiele, najpierw się snuła, by coraz dłużej zalegać w Pokoju.

Nowe miejsce nakręcało wodę na wesoły młyn BawiMamy, ta, wyłuskana ze wsi zaczęła figlować na całego, z czym ojciec zupełnie nie umiał sobie poradzić. Powiedział jej po prostu, że, skoro już musi wycierać tyłkiem wszystkie knajpy, niech to nie będą knajpy w Rykusmyku.

— Świat jest dość wielki, żeby się kurwić, moja droga — rzekł, co PituMama uznała za przyzwolenie. Odtąd zniknęła na całe tygodnie i nikt nie wiedział gdzie była. Nieodmiennie wracała smutna i sina. Tatko chodził wściekły; jak mu przeszło i BawiMama odespała swoje, jechali razem na kolację.

— Ona kiedyś nie wróci — rzekł. Myślę, że ją najbardziej kochał.

Dla MamyBach Rykusmyku okazało się żyzną łąką nęcących możliwości: nieustannie próbowała wyrwać się na wolność, co działało się z krzywdą dla pozostałych wcieleń. Pokój był dla niej za mały. Wyrывała się ku blokowym komitetom i radom osiedlowym, wkręciła się w modernizację Parku Pokoju i stawała na uszach, żeby nasze uliczki, ożywiane przez nieliczne audice, ople, stare bumiere zostały przecięte jakąś kosmiczną liczbą pasów. Czasem widywałem ją, osiedlowy krążownik z zadartą spódnicą jakby brodziła przez strumień: zdierała ogłoszenia ze słupów, przeganiała pijaków z ogródka jordanowskiego i wytrącała dzieciom szklane lufki z rąk.

Z SmarkoMamą mieliśmy istny krzyż pański i czasem łapałem się na myśli, że lepiej by było, gdyby już umarła. Trudno poczuć się dobrze po

czymś takim, choć przecież nic nie mogłem zrobić, człowiek nie myśli, myśli same się myślą i cześć. Po prostu nie potrafiłem znieść jej jęków i nieustannych oskarżeń. Jej zdaniem wyruszyliśmy ze wsi tylko po to, żeby jej zaszkodzić. Powietrze-niedobre. Ludzie-wrzaskliwi i ślą mordercze spojrzenia pod kwadratowych łbów. Ojciec wypychał ją na dwór, ona obracała twarz ku znieawidzonemu słońcu, on gryzł wargi i drapał przedramiona.

Co ja z nimi zrobię?

Jak pochowam?

Mógłbym użyć różnych zakładów pogrzebowych. W Rykusmyku są jedynie trzy i jeden, kurwa, cmentarz.

Ojca to w ogóle żal mi się zrobiło. Przyglądałem mu się uważniej niż wcześniej. Mimo gwałtowności naszej przeprowadzki, całej tej rozkręconej przez Czesaka rozpierduchy długo wydawał się uszczęśliwiony mieszkaniem w Rykusmyku. Mam wrażenie, że liczył na nowe otwarcie i początkowo rzeczywiście tak było. W kamieniołomie przypomnieli sobie, że jest inżynierem i zaczął dorabiać przy konstrukcji maszyn, na czym znał się jak mało kto. Ludzie go lubili i jestem pewien, że gdybym porozmawiał z jakimś jego kumplem, z gadki szmatki wyłoniłby się zupełnie inny tatuś. Nawet chłał mniej, jakby wraz z ławką porąbał także chętkę na dawanie w palnik od świtu do świtu. Znalazł radosny skład podobnych sobie czterdziestoparolatków. W lecie robili grille, co piątek urzędowali w „Ratuszowej”. Tatuś wracał wedle trzeciej i próbował mnie kupić jakimś świńskim żartem, nie ma co kłamać, kupował jak cholera i skłonił do rewanzu. Zgarniałem sprośności zasłyszane i tak żeśmy się śmiali, młody ze starym, trzeźwy z pijanym.

Bzykał się z Tatamamą, ganiał za BawiMamą, PituMamę nawet w tyłek zdarzało mu się klepnąć, gdy podłogę szorowała.

A potem zaczął gasnąć, jak ogień w wiosennym deszczu, tylko żar został pod skórą, wkrótce i to zniknęło. Zgarbił się, rozmamrotał i wkrótce przeistoczył się w ponurego gbura zainteresowanego własnymi myślami, myśli myślały się wewnątrz jego chorej głowy, wpędzając w smutek bezgraniczny. Przed Rykusmyku tatko chyba liczył na jakiś magiczny zwrot w życiu, na odmianę cudowną, która jednak nie nastąpiła. Miasto wydrążyło go z nadziei. Zrozumiał, że będzie tak już zawsze, że będzie matek dziewięć i tajemnica ich rozmnożenia, zzerająca

go od środka. Nigdy mi jej nie zdradził. Wiem, to myślało się w nim bez ustanku, odślaniało różne części swojego straszliwego, myślowego cielska, a tatko nie mógł zapomnieć.

Nie mógł, bo od Dębowej, od Legnickiej, czasem spod placu dochodził nieustanny ryk HuhuMamy. Znalazła nas bez trudu.

*

Patrycja zauważyła kiedyś, że jestem jak chodząca bomba zegarowa. Wściekłem się o to, ale potem pomyślałem, że może ma połowę racji. Jestem bombą, która czeka na rozbrojenie. Pragnę, by ktoś przeciął we mnie mordercze kable i rozłożył równo na części.

Chcę być zwykłym zegarem, tykającym do spokojnego snu.

Chcę być bezpiecznym kawałkiem plastyku.

Ale nie jestem i chyba nie zostanę, bez ostrzeżenia zapadam się w sobie, cos toczy mnie po ziemi, od matki do matki. Chwycić się nie mam czego, ściągam na siebie krzesło, zastygam twarzą do ziemi.

Muszę dowiedzieć się prawdy. Teraz. W pokoju pootwieranych ust. Może być to jakakolwiek prawda, nie pragnę krat ani wyzwolenia, wszystko mi jedno, po prostu, muszę ją potrzymać w dłoniach.

Zaczynam od szafy. Targam HerodMamę na środek podłogi, powinienem delikatniej, na to jeszcze przyjdzie czas. Wywalam rzeczy z których wszelkie znaczenie ulatnia się jak zapach. Pod moim dodatkiem, ich bluzki, płaszcze, podomki stają się tylko bluzkami, płaszcami i tak dalej.

Przypomina mi się Patrycja i co wtedy zrobiłem.

Co wydarzyło się, gdy bomba zaczęła cykać. I potem.

Wypełzam z szafy. Do szuflad.

Po wakacjach zaczęliśmy kombinować, jakby tu zacząć żyć we dwoje. Robić sobie śniadania i zasypiać przy filmach. Teraz zastanawiam się, czy to było szczerze, oboje pragnęliśmy ucieczki z domu, ja od matek i tatulka, Pati od swoich ćwierćinteligentów, uczepiliśmy się siebie i nic dziwnego, że koniec końców zjechaliśmy na dno.

Na początku jeszcze jakoś szło. Potrafię zrobić niemal wszystko, tylko do spawania oczu mi szkoda, umiem też się zachować, nie piję w pracy i jestem sumienny. Przynajmniej tak mi się zdaje, zresztą, każdy mnie chciał nawet w naszym biednym mieście, padło akurat na takiego Tadka, co parkiety kładł po okolicy. Tadzio w zasadzie był w porządku,

tylko brakowało mu cierpliwości, a jak się spieszysz z podłogą, wychodzą modre fale Dunaju.

Na początku kładłem te nieszczęsne klepki, aż trafiliśmy do parteru z przegniłą podłogą, wszystko krzywe, deski w proch, roztańczyłem się z poziomczkami. Powolutku wsuwałem kliny, ścinałem deski, aż było równo od kąta do kąta, Tadzio w tym czasie siedział na progu, z nogami pod brodą. Potem położyliśmy parkiet, na parkiecie położyłem kulkę z łożyska, ani myślała się toczyć, choć ja toczę się teraz, do komody i zwałam szuflady na siebie.

Obsypują mnie pudry, szminki, plastry, tabletki, drobiazgi kobiecego królestwa.

Plan był prosty: wkręcę się w firmę Tadkową, pozbięram zlecenia i wynajmiemy sobie kawalerkę w Legnicy. Patrycja spokojnie zrobi studia, ja popracuję, a potem zobaczymy co będzie. Niemcy też muszą po czymś chodzić.

-To dobry plan. — powiedziałem jej. — ty pracujesz głową, ja rękami, jedno się potknie, to drugie pociągnie. Tak, kochana moja, należy iść przez życie.

Zgodziła się i natychmiast popędziła do starych, powiedzieć co planujemy. Nie miałem siły jej opieprzyć, choć moim zdaniem rozsądny człowiek nie mówi, tylko robi swoje. Z językiem za zębami wyglądałem nieszczęścia, tymczasem jej ojciec jakoś to przełknął, powiedział, że jest dorosła, czy coś w tym stylu.

Dopiero miesiąc później mu puściło.

Musiałem zaczekać na Patrycję. Październik był słoneczny, usiadłem na schodach, jej ojciec przycupnął obok mnie.

-Wiem, że między nami było różnie — powiedział. — chciałbym, żebyśmy, ja i ty, zaczęli od nowa.

Podał mi rękę, milczeliśmy chwilę.

— Chciałem innego życia dla swojej córki, ale ufam jej i wiem, że ma prawo wybrać taką przyszłość, jaką uważa za słuszną. Jesteś pracowitym człowiekiem, który poważnie myśli o życiu. Nie mogę cię winić za to, kim jesteś i cieszę się, że aspirujesz do lepszych. Twój koledzy nie mają tyle rozumu. Gdybyś potrzebował pogadać, dowiedzieć się czegoś, wreszcie, gdybyś chciał zmienić swoje życie, zawsze możesz na nas liczyć.

Wysłuchałem go spokojnie. Pomimo koszulki od Tommy'ego

Hilfingera i gęstych kudłów bez jednego siwego włosa wydał mi się starcem.

— A co wam się nie udało? — zacząłem. — z waszą wiedzą, inteligencją i kulturą bycia powinniście razem, rzekłbym rodzinnie, wykładać w Warszawie, no, przynajmniej we Wrocławiu, urzędować w mieszkaniu dwupoziomowym, ewentualnie we floacie, jeśli taka zdarzy się wam taka melodia. Raz w tygodniu, przynajmniej, powinniście poznawać jakąś nową, egzotyczną restaurację i organizować przyjęcia dla profesorów z Europy Środkowo-Wschodniej, jeśli nie całej rzecz jasna, koniecznie w bibliotece z półkami robionymi na zamówienie. Tymczasem jadacie w chińczyku, macie meble z Ikei i siedzicie w Rykusmyku już ruski rok. Jakim cudem do tego doszło? Noga podwinęła się panu, czy pana żonie?

HejtMama nauczyła mnie, że takie rzeczy należy mówić bez żadnych emocji. Wtedy naprawdę działają i tak właśnie się stało: stary Patrycji zatrząsł się, jakby dostał zawału i chyba chciał mi przydzwonić piegowatą łapą. Po prostu wstałem. Nie musiałem nawet unosić rąk, stary Patrycji oparł się o stopień.

— Wyjdź — powiedział.

— Nie. Poczekam.

Oparłem dłonie o kolana. Patrzyłem przed siebie. Pati nie przyszła, splunął deszcz.

*

Za ojcem snuła się menda, śledczy z wąsami w nosie, gliniarz z koszulą włożoną do džinsów z placu, piesek Leszek. Był u nas ze dwa razy, w obojętnej sprawie i strasznie chciał wejść do środka; tatko poradził mu, aby zjeżdżał, ale Leszek nie wziął sobie tego do serca.

W jakiś sposób go rozumiem, psu trudno wykazać się w Rykusmyku, gdzie baba nie oskarży chłopa, choćby wybił jej wszystkie zęby. Leszek, tępy fiut wyśnił sobie karierę i zaczął krążyć. Włóczył się po osiedlu, rozmawiał z sąsiadami i cały czas jeździł na wieś, tam rozpytywać. Tatko spluwał na jego widok.

Raz Leszek nawet mnie zatrzymał. Ładowałem deski na pakę i się przypętał, rzutki, zadowolony z siebie kretyn. Zapytał zaraz jak robota i czy nie chciałbym pomóc mu przy domu, gdzie nie wyrabia, żona chora, dzieci gromada. Odpowiedziałem, że jasne, tylko widzi pan, panie

władzo, dechy także same się nie załadują.

A Leszek, małomiasteczkowy spryciula w mundurze bez guzika, zaczął pytać, niby umiejętnie, dlaczego tutaj się przenieśliśmy, jak nam było w poprzednim miejscu i czy jestem zadowolony ze swojego życia. Potem zeszło na tatusia, odpowiedziałem to, co każdy by rzekł na moim miejscu: tatko jest w porządku, cholernie dobry, uczciwy człowiek.

— Nie bądź taki chojrak, bo się jeszcze doczekasz. — odrzekł na to Leszek. Pewno liczył, że struchleję w obliczu takiej groźby.

— No to czekam — uśmiechnąłem się i wróciłem do desek.

Potem dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy. Leszek zagadnął Patrycję, niby w obojętnej sprawie, wiedziałem jednak swoje i chciałem, żeby przynajmniej ona była poza tym. Poza czym? No właśnie. Próbowałem dociec. Tymczasem tatko zaczął się miotać między pokojem matek a monopolowym, musiałem długo ciągnąć go za język, aż wreszcie wyznał, co leży mu na więdnącej wątrobie. Leszek z kolegami poszedł do kamieniołomów, pozawracał dupę, nic nie załatwił, ale niedawni kumple odsunęli się od mojego tatka. Biegał za nimi jak nieszczęśliwe zwierzę, łagodnie odtrącony uniósł resztki godności, uszedł ku matkom, wskoczył w butelczynę. Wyglądał jak ojciec tego faceta, który zasiadał na ławce, dawno temu, przed naszym wiejskim domem.

Gdyby nie Pati, pewno zrobiłbym coś złego. Tak, tylko zaciskałem zęby. Baby w sklepach sprzedawały mi towar bez słowa czy uśmiechu, Tadzio jakoś zmarkotniał, kumple się pochowali. Najpierw myślałem, że prawda o matkach wyciekła do Rykusmyku, lecz wydusiłem z półplotek co innego. Podobno, chyba, być może, stara Czesakowa nie umarła tak znowu sama z siebie, ktoś jej pomógł, ktoś przy szybie zadusił. Leszek umyślił sobie, że to tatko, pragnął tego dowieść. Kucam w pokoju, przerzucam rzeczy wypadłe z szuflad, jedna ręka zamyka się na grubej kopercie, druga, przypadkiem trąca twardy policzek HerodMamy, no jak to było, mamusiu, no jak?

*

Otwieram kopertę z komody, tam zdjęcia. Tatko i któraś z matek przed naszym domem, w Zakopanem, nad jakimś morzem, dokładnie nie wiem którym, lecz cep ze złotem na szyi uchwycony w kadrze wskazuje, że państwo młodzi wybyli do Bułgarii. Na początku nie wiem co jest grane, chwytam po chwili: matka na zdjęciu to żadna z tych tutaj, ani też

obca, jest wszystkimi po trochu, kumulacją cząstek.

Znalazłem zdjęcia sprzed rozszczepienia. Niewiele mi po nich.

Popatrzę sobie w sufit.

Dawno powinienem polecieć w wódę i cieszyć się, że tego nie zrobiłem. Od małego patrzyłem na tatkę zmieniającego się w lumpa, jak szarpie flakon, ciska od siebie a potem pełźnie w noc go szukać. Widziałem deliryków wiejskich. Zamroczeni, zanurzali się w lesie, by wyjść o świcie, mokrzy rosą, podobni do słowiańskich strachów. Spotkałem i innych frajerów, dorosłe dzieci pijących, narosłe z procentowej spermy i tak tym przejęte, że na widok piwa czynili trwożne znaki krzyża, wznosili trzeźwe domy, zapijali smutki mlekiem i sokiem bez cukru, tworząc bliskim inny rodzaj piekła. Wódka jest jak człowiek. Czasem jej potrzebujemy, czasem nie.

Poza pierwszymi klasami technikum aż do teraz chodzę trzeźwy, z nielicznymi wyjątkami. Po rozmowie ze starym Patusi postanowiłem ciut się urznąć, żeby świat przestał dygotać. Byłem wkurwiony na siebie, bo mogłem inaczej to rozegrać, powiedzieć coś mniej prawdziwego. Na nią też się złościłem. Przepadła, kiedy była potrzebna i nikt mi nie wmówi, że to nie jej wina. Ludzie są mądrzejsi niż myślimy, doskonale czują, kiedy wygodnie im zniknąć.

Poszedłem do „Ratuszowej” przywalić w trupa, co niestety nie wyszło. Ogródek jeszcze działał, przysiadłem, deszcz natychmiast przeszedł w ulewę i bałem się, że parasol „Żywca” zamknie się nade mną jak płócienne szczęki. Rozzłoszczony, przemknąłem do środka, tam jeszcze gorzej, zarośnięty tłum w swetrach przeżartych smrodem tanich szlągów, łyse chłopcy z zaczeską wdzięczyły się do ponurych kelnerek i wybierały drobne z pularesów brudnymi paluchami. Zaszyłem się w kąt, ponury jak śledź w puszcze, mały i żałosny.

Najpierw próbowałem myśleć, myślało mi się o przyszłości, o mieszkaniu w Legnicy, nie tym, które mieliśmy wynająć, ale następnym, już zakupionym. Wycinałbym w nim nasze własne cienie, skroił je na miarę dla nas dwojga, wydłubał okna na słońce. Po to pracowałem. I zaraz, zupełnie niepotrzebnie, wyobraziła mi się Patrycja w tym pięknym miejscu. Siedziała na puszystym kancie łóżka i ścisnęła wielki siny brzuch. Skóra rozwarła się z ciepłym mlaśnięciem, druga Patrycja wystawiła mokry łeb na światło, następna wyskoczyła z ucha, nosa, dupy

i tak dalej, były ich miliony.

Tamte brudne fiuty wykręcały swoje: anegdota, gwizd na palcach, mało kelnerki w tyłek nie strzelili, sam bym grzotnął jednego z drugim, straszna szkoda, że tak nie zrobiłem.

W swoim wspomnieniu siedzę w Ratuszowej, teraz wytaczam się z matczyne go pokoju i sztywny idę do zaułku tatusia.

Na zaułek składa się amerykanka, biurko i krzesło ze szkoły. Siadam na podłodze i zaczynam dłu bać przy zamku. Jeszcze jeden wł am, kolego, taki stary, a nic się nie zmieniasz.

Przy następnym piwie myślałem o tym, że jestem miły dla wszystkich, że wszyscy mnie lubią i sam mam wiele postaci najróżniejszych wypełzających z jednego ciała, takiego w ora na sprzeczności i zaraz, już bez mojej woli snułem w sobie opowieść o tym, jak okładam ojca Patrycji pięściami, jak zasadzam mu kopy, a on kuli się przede mną. Masz, skurwysynu, teraz wiesz, jak wygląda życie. Przestraszyłem się siebie i poszedłem.

Wracałem dłuższą drogą, żeby znaleźć spokój. Zmierzchało. Pomyślałem, że zjem kolację, zadzwonię do Patrycji i będzie szansa na miły wieczór. Podziało się akurat na odwrót, bo Patrycja już była u mnie, a matki wirowały wokół niej.

Siedziała przy kuchennym stole obłożona przez dobra i skołowana. Niczym hostessy na rolkach, niczym popieprzone łyżwiarki matki naprzemiennie wyłaniały się z pokoju by zaraz w nim zniknąć, donosiły ciast i herbat, rozkładały ubrania do wzięcia. Patrycja nie wiedziała co dzieje się naprawdę, wyglądała na skołowaną i pewno myślała, że matka jest jedna, za to postrzelona.

— O, jest i nasz książę kochany! — PituMama pociągnęła mnie na środek kuchni.

Chciałem zapaść się pod ziemię. Wyjść z drugiej strony, pod innym słońcem.

PituMama usadziła mnie przy stole i poszła. ŻurMama postawiła makowiec. Już otwierała wino.

Któraś jeszcze kokosiła się w pokoju, przez okno wpadał daleki ryk matczy ny, SmarkoMamę za drzwiami dopadł suchy kaszel. W chwili samotności zapytałem Patrycji po jaką cholere tu przyszła.

— Porozmawiałeś z moim ojcem. To ja chciałam porozmawiać z

twoim. Kto wie, może mam coś do powiedzenia? — odparła wściekła, musiała oberwać w domu i to zdrowo. Chodźmy stąd, chciałem powiedzieć, chodźmy nim coś się podzieje, tylko było już za późno. W progu stał tatko i wybałuszał oczy, rozczapierzał palce, jakby coś wymknęło mu się z rąk.

— Wynoście się stąd oboje — rzekł bardzo powoli. — won, ale już. Ty, gówniaro, bo nikt cię tu nie zapraszał, a ty, żebyś się czegoś nauczył. Jesteś na mojej łasce. Nigdy tego nie zapominaj. Jesteś na mojej łasce — powtarzał — wydaje ci się, że wszystko możesz. Gówno. Spuść głupi łeb i wypierdalaj stąd.

W innej sytuacji nie pozwoliłbym, aby mówił do mnie w ten sposób, nie przy mojej kobiecie, coś bym zrobił, nie wiem co, coś na pewno, a tak wziąłem oszołomioną Patkę pod bok i wyciągnąłem na dwór. Przez okno widziałem tatę, miotającego się od ściany do ściany.

Planowałem zaciągnąć Patrycję do pierwszej lepszej knajpy, tam doprowadzić do pionu, wysłuchać nawet, lecz ona miała inne plany. Najpierw zaparła się mocno, dając słowo, jakby cztery łapy miała i zaraz wpadła w płacz, ryk, słowotok, wszystko na raz: że nikt nigdy jej, że w życiu, że ona myślała coś a teraz coś innego już myśli, potrząsnąłem ją i poprosiłem, by się zebrała do kupy. Tatko taki jest, tatko taki bywa.

— Ktoś cię tu mała zapraszał? — wypaliłem wreszcie. — ojciec to wariat, matka nie lepsza. Próbowałem cię chronić.

— Chronić? Mnie? Po coś do mnie poszedł? Po coś tam takie rzeczy mówił? To nam nie pomoże, wiesz? — i dalej, z grubej rury — mam czasem cię dosyć, zwyczajnie wstyd mi za ciebie, jak mam gdzieś z tobą pójść coś zrobić, przedstawić komuś; co będzie, gdy weźmiemy ślub, to ten człowiek, twój tato też ma przyjść? O ja wiem, ty byś chciał, tobie się to podoba.

Tak plotła i plotła, coraz szybciej, zaczęła okładać mnie pięściami, niezbyt mocno, ale w irytujący sposób, próbowałem chwycić jej nadgarstki, jakoś się osłonić, aż wreszcie przywaliłem jej w twarz otwartą dłoń, nie chciałem mocno, jakoś tak wyszło.

Nigdy wcześniej nie uderzyłem kobiety. Nie jestem taki. Przysięgam, chciałem ją tylko uspokoić. Byłem pewny, że zaraz zrobi krzywdę sobie albo mnie. Upadła, przycisnęła dłoń do policzka, popatrzyła na mnie jakoś inaczej, jak nikt nigdy nie patrzył i odbiegła. Próbowałem ją gonić.

Rozpłynęła się między uliczkami. Słyszałem tylko szloch.

*

Drzwiczki biurka odskakują bezgłośnie, jakby były z dymu, z pary czy czegoś takiego, wewnątrz tatusiowa ciemność sekretna. Łapki mi w niej nikną, wydobywam skarby: koperta gruba, koperta cienka, książka na samym dnie, rozkładałam przed sobą te cuda no i proszę, tato naprawdę był misiem zaradnym, choć niedzisiejszym.

Złotówki, dolary, euro, liczę, gotówka w palcach to przyjemność wielka i nieczęsta w plastikowych czasach, jest tego wuchta i trochę, pięćdziesiąt koła lekko licząc, myśli mi się Patusia pełznąca w mrok.

Nie mogę powiedzieć, że byłem z siebie zadowolony. Kobiet się nie bije, nawet tych głupich, może złych. Krążyłem po Rykusmyku w poszukiwaniu ukojenia. Wiecie jak jest: gdy zrobisz głupotę albo coś złego ci się przytrafi, należy to zatrzeć jakimś innym wydarzeniem.

Rykusmyku to nie Vegas, życie zamiera prędko, bez trudu wypatrzyłem tatusia, osamotnionego pod całodobowym. Przyglądałem mu się chwilę i poszedłem, choć miałem ochotę podejść i powiedzieć: „grasz ostro? No to zobaczmy.”

HuhuMama stała za osiedlem, tam gdzie budowano nam stację benzynową. Z daleka przypominała upiora. Wziąłem ją w ramiona. Nie przestawała krzyczeć. Dotykała mnie po twarzy, niepewna, czy to naprawdę ja.

— Chodź, mamusiu. Od dzisiaj wszystko będzie dobrze. — powiedziałem, ciągnąc ją delikatnie w stronę domu.

Druga koperta: akcje, obligacje, nie znam się na tym i wątpię, żeby tatko jakoś się orientował, coś znaczą te słowa, znaki bankowe, mówią mi „nie martw się niczym, wesoly chłopcze”.

No to nie martwmy się choćby przez chwilę, część łba kalkuluje, cóż z tym skarbem uczynić, część ciągnie HuhuMamę przez ciche Rykusmyku, prosto w żar domu, ku kocom i herbatkom. Na schodach drzenie matczyne przeszło w łoskot kości, cała ta przemarznięta kobiecina przypominała szkielet tułający się po nawiedzonym zamku, więc klęknąłem przed nią na wycieracze i rozcierałem jej dłonie, każdy palec osobno, biel w czerwień, Polska.

W przedpokoju padła na kolana, musiałem wlec aż na kuchenny stół, z pokoju matek dochodził jednostajny szum, skrzeczcie sobie do

woli, nic mnie to, otulam tę zziębnięta. Na stół wjeżdża herbata z wódeczką, ciasto po Patusi, wędlineczka, serek, HuhuMama odwraca wzrok ku ścianom.

-Za długo tkwiłaś na zewnątrz — szepnąłem z klęczek. — byłem dzieckiem i nie mogłem ci pomóc, ale teraz jest inaczej. Potrafię zadbać o ciebie i o siebie, a każdy człowiek ma prawo do domu. Będzie dobrze, mamusiu. Będzie ciepło, mamusiu. Kocham cię.

Ani drgnęła, tyle że przestała się trząść. Odgiąłem jej kark i wlałem herbatę rozchylając usta, wsuwałem kawałki wędlin i ciasta, ciągle coś gadałem, choć równie dobrze mogłem sobie gwizdać. HuhuMama tkwiła głucha i obojętna, tylko te oczy nerwowe jej zwilgotniały. Po ścianach biegało coś, czego nie mogłem dostrzec i pomyślałem, że matki mają swoje własne widma, upiorami są ludzie, zwierzęta, ja oraz tatko, który drugi raz tego wieczora stanął zdumiony w progu, dokładnie taki, jakiego sobie wymarzyłem.

HuhuMama zerwała się z krzesła, byłem pewien, że się na niego rzuci, lecz tylko stali chwile naprzeciw siebie, ona sztywna, on z wosku, rozchełstany, coś tam bełkotał pod nosem, HuhuMama zaczęła się cofać, osłaniając twarz jak przed jaskrawym światłem, pisk przeszedł w skuczenie i już była w kącie, drapała tynk, waliła w mur własną głową. Nim ją podniosłem, połamała sobie paznokcie i rozkwasiała nos. Strasznie to wyglądało.

Kopała i gryzła, gdy ją podnosiłem. Zarzuciłem koc, żeby nie widziała ojca (ten opadł na stołek), pociągnąłem do wyjścia, tam znów histeria, tarzanie się na podłodze, chwyt o wszystko, wreszcie małegośmy ze schodów nie spadli, ona na mnie, ja na poręcz, razem pod księżyc. W jaśniejących oknach wyrastały sylwetki ciekawskich.

To może i śmieszne — nie wiem nawet, gdzie ją porzuciłem, po prostu wlekliśmy się przez Rykusmyku, aż HuhuMama wymknęła mi się z rąk, jak Pati wcześniej, jak wszyscy, w łapach miałem dym po człowieku, tak jak teraz trzymam książkę ze znajomą twarzą na tylnej stronie okładki, czytam słowo po słowie, gównu rozumiem, a jednak w głowie kształtuje się plan wyjścia.

Tej nocy próbowałem porozmawiać z ojcem, jakbym przeczuwał, że okazja do pogadania zdarzy się nieprędko lub zgoła nigdy. Tatko tkwił na stołku przyklejony do swej prawdziwej miłości lat ostatnich, miłość ta

zdążyła wyschnąć. Zwaliłem się obok i powiedziałem mu, że mam wszystkiego dosyć.

-Cały czas myślisz tylko o sobie. Wiem, jak to mniej więcej wygląda. Chcesz nas chronić. Chcesz, abym ja był ochroniony — tak mówiłem. — nauczyłeś mnie tego dziwnego życia i w pewien sposób ci się udało. Nikt nie wie, nikt się nie domyśla. Nawet Patrycja. Kto wie, może miałeś rację co do niej. Tylko, że ja mam w dupie, tato, te niesamowitości, matki mnie nie interesują, niech będzie ich milion z kawałkiem. Chcę normalnego życia. Z tobą, wbrew tobie, wszystko jedno. Chcę dymać do roboty za sensowne siano, walnąć wódeczkę z kumplem, chwycić pannę za tyłek i tak dalej, przede wszystkim jednak, i to weź z łaski swojej do siebie, potrzebuję domu jak każdy normalny człowiek, a dom to miejsce, gdzie wszystko się skupia, gdzie mogę przyprowadzić właśnie kumpla i dziewczynę. Tego właśnie chcę i nie zamierzam czuć się winnym z tego powodu. Słyszysz mnie? — chciałem nim jakoś potrząsnąć i zaraz przyszło mi do głowy, że cała ta noc przekłęta zeszła mi na potrząsaniu.

— Odejdź. — powiedział mój ojciec.

Poszedłem.

Rano zapukał do nas piesek Leszek i zabrał tatę na komisariat. Tatko, po nieprzespanej nocy nie bardzo chciał iść, sam dopiero się zbudziłem i widziałem go przez uchylone drzwi. Zgarbiony, tłumaczył coś ściszym głosem. Życzliwy sąsiad musiał donieść o nocnych wrzaskach. Nic z czego nie można się wywinąć, lecz Leszek przeżywał swoje wielkie chwile, tatko przyjmował jego słowa jak ciosy aż w końcu poszedł na tę pieprzoną komendę. Więcej go nie widziałem.

Widzę za to coś innego.

Zdjęcie matki na okładce książki. Uśmiecha się cierpko.

*

Nie było mnie przy tym, ale potrafię odtworzyć ostatnie godziny mojego taty. Po wizycie na komendzie, widziano go w „Ratuszowej”, być może przy tym samym stoliku, gdzie ja siedziałem, i był obezwładniająco miły. Tkwił do zamknięcia, zabrał dwa Piasty i paczkę czerwonych marlboro. Kelnerka zapamiętała go stojącego na progu, z głową wystawioną na deszcz i papierosem w obwisłej wardze. Uśmiechnął się, jakby coś ukradł, wstydził się i bał powiedzieć, tak wspominała.

Widziała jak tatko odchodzi w stronę naszego osiedla. Nie mogła

wiedzieć, że dotarł tylko do samochodu. Z budynków przy kamieniołomie zabrał skrzynkę narzędzi i dwa długie sznury różnej grubości. Prawdopodobnie już tam zrobił stryczki. Papierosy gasił na siedzeniu pasażera. Piwa skończyły mu się po drodze, w samochodzie znaleziono dwie puste butelki po piwie, więc kupił flaszkę Jacka na stacji benzynowej. Gość stamtąd opowiadał potem, że tatko wcale nie wyglądał na pijanego, tylko był jakiś taki dziwny. W niepokojący sposób. „Bałem się, że wyrwie pistolet i zacznie strzelać”, dokładnie tak rzekł. „Wyrwie pistolet.” Przecież nikt tak nie mówi.

Około trzeciej nad ranem tatko zajechał na nasze stare podwórko we wsi i najprawdopodobniej od razu zszedł do piwnicy. Zastanawiam się teraz, dlaczego cały czas nosił przy sobie ten klucz.

W piwnicy górą szły trzy grube belki podtrzymujące strop. Tatko, popijając z gwinta, wypróbował sznury i wybrał ten, który bardziej mu odpowiadał. Tu nastąpiły trudności. Tatko nie zdołał przeciągnąć sznura pod belką i spróbował wkręcić w nią hak, używając narzędzi zabranych z kamieniołomu. Nie wiadomo, czy drewno było stare i kruche, czy tatusiowi łapy latały z pijaństwa i lęku, dość powiedzieć, że nie poradził sobie z tym zadaniem. Belki znaczą ślady po wkrętach. Przypuszczalnie tatko montował hak, zarzucał sznur, okręcał sobie wokół nadgarstków i wieszał się na próbę. Jeden z haków uderzył go w głowę.

Pomieszczenie piwniczne nosiło ślady jego wściekłości: tatko zdołał kopniakami wygiąć brzeg wanny i połamał kilka starych narzędzi, nagromadzonych w kącie. Próbuję sobie nie wyobrazić, jak wyglądał w tych chwilach, ale to bardzo trudne.

Po dwóch godzinach zmarnowanych w piwnicy, tatko wsadził butelkę w kieszeń, zabrał sznur i poszedł do zrujnowanego czworaka, gdzie bawiłem się jako dziecko, znalazł metalową szynę na ostatnim piętrze, zdjął buty i marynarkę. Lekarz powiedział mi na pocieszenie, że nie cierpiał. Pętla złamała mu kark i stracił natychmiast przytomność.

3. Charisma

Wiem, co powinienem zrobić. Coś, czego nikt nie oczekuje.

Istniała jeszcze jedna matka, matka ukryta, matka, która odeszła. Pamama.

Na zdjęciu wygląda młodziej niż którakolwiek, w jej uśmiechu kryje się cień jakiegoś wielkiego nieszczęścia. Uchwycona w kawiarni, z papierosem i kieliszkiem koniaku mruży podkrążone oczy, ma zwiewną bluzkę i ciężki wisiorek, przypomina trochę te dzikie czterdziestki, które chodzą na basen, do klubów i właśnie zaczynają studia. Czytam, imię, nazwisko, pisarka, autorka „Wichrów w dolinie”, „Żabiej legendy”, „Pokornego”, „Badyli”, ekranizowana, nagradzana debiutowała — no tak, jej debiut jest czymś szczególnym.

Książka, akcje, szmal łądują w torbie, torba na przedpokój.

Nawet się nie pakuję, wszystko, co potrzebne kupię po drodze, choć, tak mi świta, będzie to droga pozbawiona potrzeb.

Godzina przy komputerze wyjaśnia wszystko, artyści są umiarkowanie dyskretni, to kurwy cnotliwe, tak bardzo chcą, aby ich odnaleźć, wsadzić im palec po nadgarstek. Dochodzi czwarta. Ciemno za oknem. Zaczynam od krzesel, tych mamy od cholery, znoszę je przed blok i ustawiam w rzędku, pod blokiem.

Czemu to robię? Dlaczego gadam do siebie i targam matkę za matką po schodach? Nie umiem zmienić swojego życia, mogę tylko o nim świadczyć. Proszę, zobaczcie. Zostawiam z tym was wszystkich.

Nakręcony, gorący znoszę je, robiąc przy tym rejwach co niemiara, jeśli ktoś mnie zobaczy, nawet lepiej. Wyjdz, skurwielu, z nory, to sobie pogadamy.

Jeszcze nie świta, a już po robocie. Ciała matek ułożone na krzesłach, jedna przy drugiej, martwe tak jak żyły. PituMama z rękami na brzuchu, MamaBach unosi głowę i zerka z ukosa na osiedle, TataMamie opuściłem ramiona, jakby właśnie tatko im się wymknął, TylkoMama ma ścierkę, BawiMama butelczynę, a SmarkoNama garść leków na kolanach. ZłejMamie włożyłem papierosa w zimne usta, HerodMatka dzierży wałek niby berło, ŻurMamie, cóż, musiał starczyć słój z przecierem, jakich

mieliśmy w trzy dupy na pawlaczu. Oto są. Wszystkie, poza dwoma. Staję naprzeciw i skłaniam się lekko, ledwo widzę przez łzy. Kto by pomyślał, że tak to się skończy.

Torba na ramię i do samochodu.

Już z szumiącym silnikiem, opuszczam szybę żeby zobaczyć je raz jeszcze, rozsuptane sznury mgły oplatają osiedle, w oknach rozpalają się światła, od bramy do bramy zasuwa człowiek niby mokry gołąb, one tkwią, wreszcie spokojne i bez żadnych potrzeb, razem przed światem po raz pierwszy, a jednak, uciałbym sobie rękę, że siedziały tutaj od zawsze, martwe na stołkach.

*

Pędzę do Warszawy pod pęczniejącym słońcem, między nieszczęśników. Lexusy, Fordy i Ople ze znakami firmowymi na bokach wiozą przedstawicieli handlowych, busy nabite społeczeństwem pryskają na pobocze, łopoczą czerwone flagi MacDonalldsów, umyka pode mną cienka, biała linia, a wszystko to złane w smugę i breję, podobne do przyspieszonego filmu, do plamy benzyny w której wiruje karuzela. Gdy wpadam na gierkówkę dzień mamy już pełny, jest ludno i burczy; coś we mnie, ta sama siła, która ocaliła mnie po wielokroć każe zwolnić. Lokuję się na lewym pasie, ignoruję mruganie świateł i gniewny klakson, zastanawia mi się, czy to co robię ma sens, czy jest w porządku.

Najchętniej byłbym już na tym Ursynowie, ale coś czule szepta, że padnę w takim tempie, człowieku, słyszę, nie wychylałeś się całe życie, weź się wstrzymaj jeszcze. Zakręcam na postój, między ospałych tirowców i Niemca wpierdalającego wursta, odchyłam głowę i zamykam oczy. Mógłbym przysiąc, trafiła mi się drzemka, łupie w kolanach, ledwo ruszam karkiem.

Przed lustrem w toalecie. Ho, tak ze mną źle, a nikt nie puścił farby. Trzeba było powiedzieć: ogarnij się chłopie.

Czoło mi błyszczący, oczy się schowały, chodzą kciuki, mokro na piersi i pod pachami. Jestem chudy. Chudo mi trochę. Ochlapuję twarz, zawisam nad zlewem z głową w dół. Pamama otworzy. Na pewno nie pozna. Próbuję dociec, co zrobię w takiej sytuacji, na ramię spada mi pieśczośliwa dłoń, prostuję się naprzeciw zatroskanego gościa w błękitnej koszuli.

— Wszystko w porządku? — pyta. Potrząsam nim radośnie, krzyczę.

— Nigdy nie było lepiej, człowieku.

Zostawiam go z tą dobrą wiadomością. Już mnie nie ma na parkingu.

Wpadam w korek za Raszynem. Leniwy sznur aut przysypia w rytm mrugania świateł, zerkam po kierowcach. Jak nie gryzą warg, to kurzą szlugi, jak nie gryzą, nie kurzą, to wałą paluchami po desce rozdzielczej, wysiadłbym chętnie i takiego zapytał: czego się durniu złościysz, myślisz, że tam, gdzie jedziesz, będzie lepiej?

Ludzie zawsze chcą być gdzie indziej niż są. Dlatego tak im źle na świecie.

Wedle południa wbijam się do stolicy, pstrokatość bije w oczy, setki szyldów obsypały jednopiętrowe budynki, kupię tutaj kiełbasę, piwo i kobietę, brakuje tylko bicia w bębny, dociskam gaz i już jestem gdzie indziej, wśród szarych czteropiętrowców starych jak mój tato, dalej błyszczą się to biedne downtown, trzy szklane wieżowce na krzyż, te domki na błyszczącej stopce, w których kręcą programy telewizyjne, nic nie ma wspólnego z niczym, jakby każdy tutaj mościł sobie zawzięcie, nie myśląc o innych.

O kim ja myślę? O kim mi się myśli? Przecież nie o matkach, co je potraciłem.

Zwracam się ku żywej, nie ku umarłym.

Zwalniam, próbuję wyłapać drogę na Ursynów. Zabawna myśl pojawia się w głowie. Cały czas się słyszy, Ursynów to, Ursynów tamto, a może tej dzielnicy nie ma, to gigantyczna blaga, taka ziemia obiecana dla frajerów po licencjacie (Pati, cholera, Pati), oto i strzałka, odbijam.

Na miejscu wcale nie weselej, osiedle jest wielkie i poprzdzielane przez szpitale, krążę od szosy do dróżki, aż wreszcie jestem. Nowoczesna zabudowa, plac zabaw pełen kunsztownych konstrukcji z drewna, parking pod ziemią, obok kobiecina zbiera gówna po ratlerku z alejki spacerowej. Gaszę silnik. Próbuję dociec, które okno należy do niej.

Chciałbym mieć za sobą tę rozmowę, ale nie jestem głupi: w dyskoncie kupuję sok pomidorowy, drożdżówkę, jabłko. Jem, popijam przy uchylonych drzwiach, wolną dłonią przerzucam książkę Pamamy, a że między okładkami nie ma nic ciekawego, przyglądam się samej okładce i zdjęciu, czytam notkę raz po raz, muszę wiedzieć, muszę mieć pewność.

„Żabia Legenda”, „Pokorny”, „Badyle”. Nagrody nic mi nie mówią,

jeśli nie liczyć tygodnika „Polityka”, za to niebawem mogę wybrać się do multipleksu. Debiutancką powieść Pamamy, nakręcił, proszę, Patryk Vega, już teraz lub zaraz. Zekranizowano najbardziej kontrowersyjną powieść ostatnich lat.

Nosi tytuł „Charisma” i jest „wstrząsającym studium schizofrenii”.

*

Wchodzę na klatkę za jakimś brzdącem, brzdąc mówi „cześć” i pędzi na górę. Pod drzwiami dopadają mnie wåtpliwości, przecież jeśli nie zapukam, nic się nie stanie. Będę miał swoje życie. Ciekawe, czy Pamama przypomina jeszcze tę kobietę na zdjęciu. Dzwonię i otwiera mi chłopaczyna o czarnych włosach spiętych w lichey kucyk, spod szortów wystają chude nogi, srebrny łańcuszek kołysze się nad nagą piersią. Zamarł, nie wie co ze mną zrobić, tylko mruga maślanym oczkiem i uśmiecha się słabo.

Strzela mi w głowie, że, rety, mam brata. Z głębi mieszkania wyłania się matka w niedbale nałożonym, zwiewnym szlafroku i już poznaję prawdziwą naturę rzeczy. Kochaś potulnie umyka przede mną, ona wyrasta w progu, patrzy długą chwilę i mówi:

-Wejdz.

Prowadzi mnie w głąb mieszkania, jej efeb literacki gorączkowo narzuca na siebie łachy i wali do wyjścia, spoglądam po niezliczonych parach butów, o nogi ocierają mi się tłuste koty. Pamama ląduje w fotelu, mi wystarczy krzesło, milczymy.

W pokoju książki ułożone pod ścianą, wieża i wielki telewizor. Na półkach stoją lampy, ręcznie lepione z gliny, pomalowane na krzykliwe kolory. Są stare świeczniki i szklane słonie, wypalone kadzidła i długi rząd amerykańskich seriali w boxach. Na ścianach, w ławicy tanich akwarelek błyszczą zdjęcia z miejsc, w których nigdy nie byłem, pełnych wysokich domów i trampolin ku słońcu, z ćwieków zwisają naręcza korali.

Matka wygląda świeżo, a nawet pięknie, kochaś zatrząskuje za sobą drzwi i zbiega po schodach. Matka musi rozstrzygnąć, kim dla mnie będzie tego przedpołudnia i wybiera jak umie, nonszalancko plaśnięta w fotel, z szlafrokiem niedbale owiniętym wokół ciała, widzę rowek między piersiami i biel ud. Nie jest mi kobietą ani rodzicielką.

— Zastanawiałam się, czy mnie znajdziesz. Trudno było?

Uśmiecham się tylko i rozkładam dłonie. Co za pytanie, przecież rozsiała własne ślady po całej Polsce, ciekawe tylko, czemu tatko za nią nie podążył. Pamamusia, artystka, człek prawdziwie wolny ma najwyraźniej dosyć gościa, który jej wolność mąci. Konkretnie mnie.

— Potrzebujesz czegoś? Pieniądzy? Mieszkania w Warszawie? Pracy szukasz? — zgaduje, czekam spokojnie, aż wystrzeli co tam ma w głowie i pytam spokojnie:

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego nas opuściłaś.

Pamama kiwa piękną głową, uśmiecha się, wzbijając falę zmarszczek wysoko, pod oczy.

— Powiem ci.

*

„Długo nie rozumiałam, że jestem chora. Lepiej jest być wyjątkowym, niż chorym. Tak wtedy myślałam. W domu nie zaznałam ciepła. Twojego tatę poznałam jeszcze w liceum. Był starszy i na jego tle rówieśnicy wydawali się dziećmi. Dobrze było nam razem. Pobraliśmy się prędko, trzeba było i po maturze już siedzieliśmy na swoim, wyproszonym, załatwionym, na Psim Polu. Urodziłeś się ty. Tato był inżynierem, ja chciałam być nauczycielką w katolickiej szkole i wtedy to się zaczęło.

Najpierw zorientowałam się, że nic mnie nie cieszy i wszystkie obowiązki związane z tobą, z domem i szkołą wykonywałam dobrze, lecz najwyższym wysiłkiem woli. Tato był bardzo wymagający, ale mało spostrzegawczy, jeśli chodziło i innych ludzi, w tym mnie. Reagowałam na to obojętnie, cieszyłam się, że przestałam go obchodzić, co nie było zresztą prawdą. Nawet jak trzymałam cię w rękach, byłeś daleko jak gwiazda. Kiedy matka mówi do syna „jesteś moją gwiazdką” może mieć na myśli coś takiego. Przepęłniała mnie pustka, której nie umiem ci tutaj oddać w słowach, nie potrafię opowiedzieć. Byłam obojętna sobie i innym, a jednak nie opuszczało mnie przekonanie trwania w jakimś oczekiwaniu. Coś miało się zdarzyć i rzeczywiście się zdarzyło.

Pustka ustąpiła w jednej chwili, jakby mi garb odjęto i zdołałam nawet zapomnieć, że kiedykolwiek była. Wszystko w jednej chwili zyskało na znaczeniu. Pamiętałam drobne szczegóły z przeszłości i wiedziałam, co niedługo ma się wydarzyć. Jeśli się nie wydarzało, to tylko dlatego, że zdołałam temu zapobiec. Przechodnie szeptały przeciw

mnie, gazety zawierały szyfry, które tylko ja mogłam rozpracować, Gembarowski w telewizji mrugał okiem na znak, że teraz zacznie się przekaz przygotowany specjalnie na okoliczność mojego trwania. Okoliczność tego, że jestem.

Byłam też jakoś inaczej. Próbowałam potem pisać o tym byciu, nie wiem czy mi się udało, ale wiem, że nie umiem o tym teraz opowiedzieć, tak jak nie potrafiłam wyjaśnić twojemu tacie, co się ze mną dzieje. Miałam wrażenie, że krew mi gnije i zbiera się w brzuchu. Wielki, kulisty strup. Godzinami, ba, całe dni spędzałam goła przed lustrem, macając okolice pępka. Próbowałam wymacać tę kulę martwej krwi, jakoś ją rozgnieść, była jednak za twarda, za to rosła i wkrótce dała się dostrzec. Podobna do ciąży. Jakbym nosiła trupa, który rośnie wbrew własnej trupowatości. Bałam się, że inni to zobaczą i krępowałam sobie brzuch, kiedy twój ojciec zmuszał mnie do wyjścia z domu. Najgorsze, że nie umiałam mu przekazać, co ze mną się dzieje. Rodzina nie chciała nam pomóc, pobraliśmy się wbrew im, zresztą, w swoich własnych oczach nie potrzebowałam własnej pomocy. Rzeczy nieważne stawały się ważne, a potem przyszedł Pan Wąs.

Nazywam go w ten sposób, żeby jakoś okiełznać tamto wspomnienie. Po prostu zaczęło nawiedzać mnie olbrzymie oblicze wąsatego mężczyzny. Wiem, że wąsaci ludzie są śmieszni. On taki nie był. Taki wielki, że przez mieszkanie musiał przechodzić na czworakach, rozwijał język na moich kolanach i mówił słowa, które, ledwo wypowiedziane, stawały się rzeczą i człowiekiem. Pan Wąs wędrował za mną wszędzie, łapał za łydki. Przez okno widziałam jego wielkie ciało rozciągające się przez Wrocław, z głową opartą o mur naszego bloku. Niewiele pamiętam z tego, co mi opowiadał, te zapamiętane okruszki wydadzą ci się śmieszne, proszę więc, nie śmieć się z mojej choroby. Usłyszałam, że jestem wybrana i wyjątkowa, że świat został stworzony po to, bym mogła się narodzić, a następnie przyjąć w siebie Boga-kobietę, wielość w jedności. Sprawiało mi to przyjemność. Wolałam być z Panem Wąsem niż gdziekolwiek indziej. Nie trwało to zbyt długo.

Pan Wąs przestawał być życzliwy, a stawał się groźny. Groźność wypierała życzliwość na zasadzie naczyń połączonych. Zaczęło się od dłoni, konkretnie ich braku. Najczęściej widywałam samą twarz, czasem korpus, rzadko ciało, dłoni nigdy. Ginęły w długich rękawach. Nagle

zaczęłam nabierać przekonania, że pan Was wcale nie ma palców, lecz noże i kruki. Kruki chciały mi wydziobać oczy, noże podciąć gardło. Przestraszyłam się i odtąd próbowałam unikać Pana Wąsa. Było to bardzo trudne.

Czy twój ojciec próbował mi pomóc, nim zrobił to co zrobił, nim ja zrobiłam to co zrobiłam? Zapewne tak. Wszystko ginie tak szybko w pamięci. Potrafię wyłowić spotkania z lekarzami oraz kościoł, w którym czułam się nieco lepiej. Wcześniej nie chodziliśmy do kościoła. Podobały mi się wysokie sufity, to na pewno. Tato twój nie lubił lekarzy, nie ufał im. Tak było od zawsze. Bardzo nie chciałam być oceniana.

Szybko — jak szybko? — Pan Wąs stał się całkiem potworny. Domyśliłam sobie ramiona poskręcane z węży i gnijący korpus, ukryty pod czarną szatą. Pewnej nocy twarz Pana Wąsa zawisnęła nad moim łóżkiem i zobaczyłam, że składa się na nią kilka, może kilkanaście ciał kobiecych. Na wąs składały się, tak naprawdę ich czupryny i łona, tak samo jak słowa Pana Wąsa składało się wiele różnych słów. To kobiety mówiły. Nie śmiej się. Przecież cię prosiłam.

„Pójdiesz do dobrego miasta”, mówił Pan Wąs. Tak naprawdę wielogłos: „pójdiesz stąd i nigdy nie wrócisz”, „miasta miast miazgi dla ciebie”, „dobro smarka i lepi się do ulic” i tym podobne. Nie potrafię powtórzyć tych słów, chcę tylko, abyś zrozumiał co przeżywałam. Kobiety mówiły coraz głośniejsze i natarczywiej, aż zdołały zagłuszyć wszystko inne. Głos taty albo księdza dochodził jak zza grubej ściany. Prosiłam, aby mnie zostawiły, pytałam, co muszę zrobić, żeby tak się stało. Rozwścieczałam je w ten sposób. To było naprawdę męczące i nieznośne. Zrozumiałam, że głosy kobiet, tak jak wszystkie głosy, pragną być wysłuchane. Gdybym opowiedziała o nich innym, może dałyby mi spokój.

Ale jak opowiedzieć? Pan Wąs rozplątał się całkiem i był tylko kobietami. Wyobrażałam sobie jak umyka zawstydzony, spełniwszy swoją rolę. Padło na kościół. Tak uważałam. Stanę na mszy obok księdza, powtórzę słowa kobiet i wreszcie będę wolna. Tak właśnie chciałam zrobić podczas nabożeństwa, tylko nie wszystko poszło tak, jak chciałam. Stałam plecami do ołtarza, naprzeciw wszystkich i nie mogłam nic powiedzieć. Słów za dużo, większość niezrozumiała, musiałabym mówić jak one, wielogłosem, co nie było możliwe. Zrozumiałam, że muszę te

słowa zatańczyć.

Nie umiem powiedzieć wiele więcej. Pamiętam siebie jak siedzę i czekam na właściwy moment, ludzie, wśród których był twój tata, usiłują mnie ruszyć, lecz jestem zbyt silna. Potem, uniesiona mową wielokrotną i łomotem organów wstaję, robię pierwszy krok. Tyle. Potem tylko ciemność i słabe mignięcie samej siebie, jak umykam naga ulicami Wrocławia.

Z tego powodu wyjechaliśmy na wieś. Ojcem kierował wstyd i dobre serce. Musiał uznać, że zmiana klimatu dobrze mi zrobi i z pewnością nie mógł znieść spojrzeń innych. Potrzebował czegoś świeżego. Rzucił pracę, znalazł dom, który doskonale musisz znać i co by o nim nie mówić, opiekował się mną z poświęceniem. Cały czas jego dla mnie, sen też, tylko ja byłam poza, obojętna na łóżku bądź przed domem. Wyobraź sobie, że cały świat kurczy się do rozmiarów spalonego orzeszka i ty w tym orzeszku siedzisz. Odczuwałam coś podobnego, nie jako miraż — czarne ściany gniotły mnie nieustannie, miażdżyły kości, wielogłos przeszedł w skrzek. Nie wiem ile to trwało.

Aż zaciągnął mnie na dół. Do piwnicy, którą przygotował. To akurat pamiętam. Nie jak wydarzenie, ciąg wydarzeń, ale coś zbliżonego do słonecznych błysków obserwowanych z dna głębokiej studni. Rozpoznawałam potem, bardzo potem — rany na ciele. Twój tato składał mnie do wanny wypełnionej zimną wodą. Skrępował mi dłonie, żebym nie mogła się wydostać. Leżałam tam wiele godzin, a on stał nade mną, w tamtych chwilach bardziej przerażający niż pan Wąs i plecionka jego oblicza. Szarpałam się i wyłam bo ból — specyficzne cierpienie związane z zimnem — przebijało się przez moje światy. Przez pana Wąsa, kobiety i orzeszek. Zabierał mnie tam wielokrotnie, chyba dzień po dniu, potem starannie wycierał ręcznikiem, owijał w koce i kazał spać.

Pewnego dnia, w piwnicy, zastałam dół. Twój tato skrępował mi dłonie na brzuchu, wepchnął i zasypał mokrą ziemią. Wystawała mi tylko głowa i kawałek torsu. Walczyłam o oddech, prawda była w tej walce, a i cierpienie jakieś takie inne, bardziej prawdziwe. Twój tato lał zimną wodę. Przysięgłabym, że brzuch mi się otworzył, uwalniając tłuste czerwie prosto do ziemi, czyli tam, gdzie powinny być. Bardzo chciałam się tam dotknąć, dowiedzieć się, czy to prawda.

Na koniec twój ojciec obmył mnie szlauchem, wytarł, nałożył

pidzame i ułożył pod ciepłą pościelą. Nie mogłam zasnąć. W głowie strzelały niepokojące myśli. Mogłabym świat obieć, tyle miałam siły, ale poprzestałam na czymś pomniejszym. Twój tato spał głębokim snem. Ubrałam się i wyszłam. Na korytarzu — może to dziwne, jeszcze raz proszę, oszczędź mi swojego śmiechu — znów usłyszałam głosy kobiet. Brzmiały nieco inaczej, dalej i bliżej jednocześnie, z tej nieszczęsnej piwnicy. Z radością zostawiłam je za sobą. Pobiełam do drogi, do autostrady, do dobrego kierowcy, do ośrodka, dokądś tam, aż wreszcie dobiegłam tu gdzie jestem, gdzie razem siedzimy.

*

Pamama kończy, odwraca głowę ku oknu, wstaje, chcę iść. Rozmowa jest skończona, nie zobaczymy się więcej. Raptem mama wyrasta tuż przede mną, jakby popchnięta, chwyta mój nadgarstek, słabo mi trochę.

— Pomogę ci, jeśli będzie trzeba.

Całuję ją w mokre policzki. Zapewniam, że dam sobie radę, na co Pamama reaguje raptownym szlochem, który zaczyna się tak szybko, jak kończy.

— Jak ojciec? — pyta z czułością — jak on się ma?

— W porządku. Chyba jest szczęśliwy — kłamię, bo na co prawda tutaj.

Pamama odprowadza mnie do drzwi.

— Powiedz mu... to znaczy gdyby kiedyś była okazja, mógłbyś — płacze się w słowach, macha dłonią — nie, w żadnym razie nic mu nie mów.

— Jak tam chcesz — całuję ją w policzek, sam nie wiem dlaczego, już na klatce schodowej Pamama przyciąga mnie ku sobie.

— Nie myśl o nim źle — wyrzuca z siebie. — podziękowałabym mu, tylko nie mam odwagi. Byłam chora. Twój ojciec mnie uzdrowił.

*

No i macie całą historię. Nic tu do dodania. Być może — tak mi się myśli i patrzy na Warszawę, miasto niczym odbicie w ostrzu — ta opowieść powinna być inna, to znaczy, powinny pojawić się rzeczy, których nie było, a które pomogłyby wszystko poukładać. Nie wiem, jak wyglądało matczyne rozmnożenie. Ich ciała na pewno znaleziono, ktoś biedzi się nad nimi, próbuje pojąć, powodzenia kolego, ja tam nie wrócę. Wsiadam do samochodu.

Długą chwilę myślę nad tym, co usłyszałem, w głowie pojawiają się nowe pytanie, tylko, że już ich nie zadam, zostawiam za sobą Pamamę, zamykam ją w przeszłości, niech tam sobie siedzi i cieszy się, że żyje.

Nie każdy miał tyle szczęścia.

Muszę jechać. Tak, pojedę. Przekręcam kluczyk w stacyjne, auto skacze i zamiera przed zderzakiem starego punto: w oczach rozchodzą mi się czarne kręgi, jest też blady tatko z tym swoim nieodgadnionym spojrzeniem. Widzę go w piwnicy, jest przejęty i wściekły, matka wiję mu się w dłoniach, myśli odfruwają od tego obrazu wprost ku Patrycji o puchącym policzku, Patrycji zaskoczony i przerażony, cofający się przede mną. Jej szloch w Rykusmyku. Już nie mogę się oszukiwać, nie chciałem nią wstrząsnąć ani uspokoić, pragnąłem przysolić w gębę i gdyby stanęła tutaj, teraz, gdyby powiedziała choćby słowo, zrobiłbym to ponownie. Coś łączy mnie z ojcem. Coś dużego. Myśli mi się to, nie chce przestać, wymijam punciaaka i wypadam z podporządkowanej na pełnym gazie i

szybka jazda dobrze mi robi, ludzie, sklepy i klomby pozlewały się w smugi naprawdę nie jestem złym człowiekiem tylko wszystko się tak cholernie popieprzyło najważniejsze żeby odpocząć i zrobić porządek ze sobą o pieniądze nie muszę się martwić póki co coś wynajmę gdzieś pojedę jak braknie pójdę robić zabiorę ze sobą to wszystko zamknięte i ciche. Będę normalnie żył. Będę miał dużo kobiet i forsy że hej ludzie ja będę naprawdę i po raz pierwszy do końca nie inaczej bo żaden ze mnie zły człowiek nic złego nie zrobiłem Patrycja zapomni wszyscy zapomną tylko biada wam

biada-wam

biadawam

jeśli wejdziecie mi w drogę.

Koniec

Warszawa, lato 2011

Amerykański horror

*

Boże, lecę do pieprzonej Ameryki. Samolot kołuje po pasie lotniska, a mnie chwytą taka właśnie myśl. Zawsze było coś wcześniej. Wódeczka, przyjaciele, pakowanie, taksówka i dopiero w tej chwili głowa mi trzeszczy: to dzieje się naprawdę.

A przecież nie muszę tego robić.

Żyłbym jak żyłem, od tego ziemia nie przestałaby się kręcić.

Siedzę z bagażem podręcznym, prawdziwie polskim, niewiele mniejszym od babiny na siedzeniu obok. Mam tam cuda, jakby jutro miało eksplodować słońce: wyborową i czteropak żywca, karton fajek, książkę, polską kiełbasę, bez której nie wypada całować amerykańskiej ziemi, oraz płytę Krawczyka dla Joe.

Samolot zaczyna się rozpędzać, a ja zaczynam rozumieć, że nic nie umiem, nie trzymałem nawet szpadla i nie poradzę sobie na budowie; pół biedy, ale pewność siebie została na lotnisku, w chwili, gdy oderwaliśmy się od ziemi. To już bieda cała, bez tego zagryzą.

W dziwnym odruchu zerkam przez okno, głupio licząc, że zobaczę taras widokowy i Kasię na tym tarasie. Rety, ale ryczała. Jakbym uciekał na zawsze.

Tylko pół roku, skarbie. Przywiozę dolary i coś zaczniemy.

Za oknem nie ma żadnego terminala, tylko lekka mgła, w niej czają się kanciaste budynki, słońce gramoli się zza drzew, pasy śmigają coraz szybciej, prujemy przez mokry obłok. O Ameryce wiem tylko tyle, co z filmów i teledysków. Znam podmiejskie dzielnice, pełne domków z atrapami okiennic, wiewiórki i choinki w Nowym Jorku.

Jesteś durniem, mówię sobie, tysiące frajerów większych od ciebie śmiga za Atlantyk i wraca z walizką baksów, żaden nie wiózł tylu wątpliwości, a tych na walutę nie zamienię. Ci mężczyźni wiedzą, jak biegnie życie.

Nabieramy prędkości. Widzę ziemię pod mną, podobną trochę do planszy w jakiejś komputerowej grze strategicznej. Warkot silnika nagle brzmi głucho, tak na luzie, jakby coś się spieprzyło, jednocześnie

mkniemy ostro w górę i serce chowa mi się między zebra.

*

Polaka na obczyźnie poznamy po tobołach. Mógłbym bez pudła wskazać swoich: są objuczeni i mają dzinsy, ze mną jest jeszcze gorzej. Od urzędnika, celnika, anioła, władcy mojej przyszłości dzielą mnie trzy osoby: grube małżeństwo i chłopak w czapce z płaskim, szerokim daszkiem, jakie dotąd widywałem tylko na teledyskach. Mam brązowy garnitur w paski, kamizelkę i buty błyszczące się jak psu jaja, u rąk wiszą mi wielkie torby i można pomyśleć, że zaraz poproszę o azyl. Nawet włosów nie ścinałem, żeby wyglądać łagodniej, mądrzej, słowem, nie jak gówniarz, który przyjechał pracować na czarno.

Emigracyjny odprawia grubasów; targam te siaty, młody facet w czapce z daszkiem wyuczonym ruchem pokazuje paszport. Emigracyjny kiwa kwadratową głową, a mi robi się i strasznie, i źle, i głupio.

Nie znoszę, kiedy ktoś mnie ocenia. Sprawdza — jestem godny czy nie.

Emigracyjny ma nieodgadnione spojrzenie i niskie czoło. Zdumiewają mnie jego palce, kanciaste i cienkie, w pewien sposób podobne do długopisu, który trzyma. Pyta mnie, po co przyjechałem do Ameryki. Znam angielski na tyle, by się nie jękać: skończyłem studia. Wybieram się w podróż życia. Teraz to na mnie się gapi, o rety, jak Bruce Willis w tych kretyńskich filmach. Rusza szczęką, waży coś w tej ciężkiej głowie. Ma pan się gdzie zatrzymać? Opowiadam mu o Joe, pokazuję wymiętą kartkę z adresem. Emigracyjny studiuje ją uważnie i zerka w komputer. Za mną niecierpliwia się ludzie.

Bilet powrotny.

Rozumiem już, że wygrywam, zadowolony wsuwam kolorową kopertę między rozczapierzone palce, tamten mruży oczy i jest już mój. Oddaje paszport z biletem, a ja ciągnę torby ku wielkim, szklanym drzwiom, następnie wlokę się w stronę parkingu, na którym czeka Joe.

*

Joe ma koło pięćdziesiątki i włosy farbowane na czarno. Jest październik, w Polsce ludzie już wskakują w płaszcze, a nad Bostonem dynda rozpalone słońce. Joe stoi oparty o złotawą toyotę. Rozpięty polar odsłania rumianą klatę i łańcuch, na którym można by krowę uwiązać, gdyby nie był ze złota. Na palcach błyszczą sygnety. Joe widzi mnie i

wrzeszczy z radości. Padamy sobie w ramiona. Joe porywa moje torby, ciska do bagażnika, wsiadamy. Toyota jest prawdziwie amerykańska, można by w golfa zagrać, Joe pachnie drogimi kosmetykami, piwem, ma zadbane paznokcie i ciężką bransoletę.

Przełącza coś w gradle i rozbrzmiewa Niemen.

Deska rozdzielcza omamia migotaniem fioletowych diodek. Zapinam pasy, ruszamy bezgłośnie przez miasto, ku przedmieściom,

Mijam wielopoziomowe wiadukty, za nimi wznosi się miasto podobne starym schodom, kamienice pną się po wzniesieniach, miga mi downtown. A Joe nawija tym swoim polsko-angielskim, bo on przecież żaden Joe, tylko Józek z Tarnowa. Nieustannie na granicy krzyku, nie daje sobie przerwać i wali łapami w kierownicę.

Wiem, że wszystko już na mnie czeka, będę malował domy, aż nie zrobi się jesień, szkoda więc, że nie przyjechałem na lato, malowanie jest proste, akurat by wdrożyć się do kontraktorki, a jakbym chciał zostać, to za pięć lat jak nic trafi mi się własny biznes, tu każdy tak ma, za to nikt nie ma tak dobrze jak Joe.

— Mam dom za milion dolarów — słyszę.

Joe pracuje w warsztacie samochodowym.

Pomieszkać u niego na czas malowania, tak ma być, a potem dać mi do księdza, bo ksiądz to nielicha siła nawet w takim Middletown; tam są młodzi, w tym budynku przykościelnym, mówi Joe, a ja z tobą, młody, to mogę tylko wódę pić. Zgoda, odpowiadam, lecz mnie nie słyszy, klnie na traffic, toyota ciągnie się jak smarki z nosa, Joe zerka na mnie i rzecze:

— Znajdziemy ci ciuchy, nie umiesz się ubrać.

Joe obezwładnia, nie daje przestrzeni nawet na westchnienie, na moje nieszczęście łapie się, że głupio tak gadać i pociesza: masz, co chcesz. Pożyczyć coś na początek? Nie, przywiozłem dolary. Zabawa? Polskie zabawy są jak ta lala, jak chcesz, to i dziewczynki załatwimy. Więc, choć nie myślałem o tym wcześniej, zjednuję sobie jego serce. Murzynka. Chciałbyś Murzynkę, Joe?

Wybuchają śmiechem.

— Miałem tysiąc kobiet, jaką chciałbyś? Tę czarnulkę, co?

Z Bostonu wyrasta szklany budynek z czarnym pasem, biegnącym przez całą długość. Odbija się w nim słońce. Skręcamy, widzę tylko jedną

ścianę. Przypomina mi drzwi, które zaraz się otworzą, na szerokość nieba.

*

Dom Joego rzeczywiście jest ogromny, wepchany w czerwieniejącą szczękę lasu. Joe nie może wytrzymać, zaraz oprowadza, ciąga po piętrach, odwiedzam puste sypialnie i łazienki z kafelkami w koty. Zaglądam do pokoju dziecinnego, który jest właściwie pokojem nastoletnim, Joe ma syna, ale syn zjeżdża tylko na weekendy, mieszka przy swojej high school na kampusie, jak trzeba. Syn ma na imię Sebastian. Rozumiem dlaczego, to samo po polsku i angielsku.

Żona Joego jest cichą, skromną kobietą o urodzie zdolnej krawcowej. Jej twarz pokrywa lekki meszek, nogi już zgrubiały, ramiona są krótkie, za to oczy młode i przepełnione niewymuszonym ciepłem. Siadamy w jasnej kuchni z wyspą pośrodku, wysoki stołek uwiera w zad. Trochę huczy mi głowie od braku snu. Jest po szesnastej i jeśli teraz zasnę, zbudzę się w środku nocy i dzień będzie całkiem do kitu.

Wyjmuję prezenty: kiełbasa, piwo i płyta Krawczyka.

Wiem, że Joe grywa na gitarze, śpiewa. Krawczyk jest gwiazdą numer jeden w Polsce, a jego kawałek z Bartosiewicz ścisza za serce. Kiedy z Kasią się nie wiodło, nie mogłem słuchać. Trudno tak być ze sobą.

Irena kręci się przy kuchni, z patelni bucha dym, a Joe zrywa papier, obraca krążek w dłoniach, rozpoznaje wąsaty pysk na okładce.

— O! — cieszy się bez cienia udawania, Joe chyba nie jest najlepszy w kłamstwie — ja go znam! Tu zabawy dla dzieci robił! Naszczałem mu na buty.

Chwali się, wyjmuje wódkę i dwa kieliszki. Zerka na Irenę i przynosi trzeci.

Przede mną ląduje misa krewetek w panierce. Są wielkie jak myszokoczki, skręcone i pyszne, napycham się nimi i nie mogę przestać. Nie przypominam sobie, żebym jadł coś równie dobrego. Dziękuję, Irenko, mówię, Joe polewa, a Irena natychmiast stawia przede mną dokładkę. Panierka ma złoty odcień. Tłuszcz cieknie mi po palcach.

Dzwonek do drzwi.

Facet, który przyszedł, ma na imię Marek i jak rozumiem, znają się z Joem jak łyse konie. Marek ma półdługie, kręcone włosy i koszulę w kratę. Przytargał ze sobą paskudną żonę: jest mała, tłusta, pośrodku

czoła rośnie jej brązowy pieprzyk, od którego nie sposób oderwać wzroku. Siada i nic nie mówi. Jest dobrze. Marek długo ściska mi rękę i bardzo chce się czegoś dowiedzieć. Kim jestem, co robię. Mówię: studiowałem, bujałem się trochę, praca za tysiąc dwieście to żaden cymes, trzeba było tyłek wziąć, skoczyć przez Atlantyckie i szukać szczęścia.

— Zostajesz tutaj? — pyta Marek.

Jego żona gapi się za okno. Zaprzeczam.

— Pół roku. Tyle, co wizy dali.

— Bzdura — oświadcza Marek. Siedzi naprzeciw mnie, podparty pod bok — tu nie masz trosk. Lubisz mieć troski, Karol? Rachunki, wredny urzędnik? Ameryka daje ci spokojne życie. Wołami mnie do Polski nie zaciągną.

Joe kiwa głową i polewa wódki. Pij, Mark, mówi.

*

Kobiety zniknęły, pijemy we trzech.

Joe postawił gorzką żołądkową, bo powiedziałem, że ją lubię. Wiem już, że chińczyk w likierstworze sprzedaje polskie alkohole. Przełamałem granicę pijaństwa i mogę walić gorzałę do świtu, mięśnie mam twarde i studnię miast żołądka.

Joe rozpiął już polar, w jego pępku można by pięść schować.

Marek — Mark — przyjął pozę mentora, odgina się i krzyżuje ręce na piersi.

Panowie nie mogą wyjść ze zdumienia, że nie wierzę w Boga i nie jeżdżę samochodem.

W Boga wierzą tu wszyscy i wiem już, że zaraz z rana polecimy do kościoła. Joe reaguje na moje rewelacje wzruszeniem ramion: gadaj co chcesz, mówi mi, ja wiem, ile Bóg dla mnie zrobił, będę mu dziękował, prosił o jeszcze i śpiewał w kościele. Joe przyjechał z obozu we Włoszech, ćwierć wieku temu. Miał dwadzieścia dolarów i wór starych łachów.

— Pierwszą lodówkę przytargałem ze śmieci — słyszę. Joe wykonuje szeroki gest ramieniem, przebiera palcami, jakby roztrzepywał czarodziejski proszek po całej wielkiej kuchni. Za to Mark słucha, waży słowa. Widzę jego palec, wymierzony prosto we mnie.

— Co cię powstrzymuje, żeby mnie nie zabić? — pyta głosem człowieka trzeźwego.

Nic, mówię, ludzi po prostu się nie zabija.

— Boję się niewierzących, przerażacie mnie — Marek jednak ma w czubie i to ostro — możecie zrobić największe świństwo bez zastanowienia, bo nie macie sumień. Zasady moralne, jeśli poczytasz Biblię... gdyby nie ona, co z nami by było. Wojny! Mordowanie dzieci.

— Możemy jutro wszyscy pokłonić się dzieciątku Jezus — burczy pijany Joe. Muszę mieć wściekłą gębę. Marek orientuje się, że przeholował i dopowiada przyjaźnie:

— Nie mówię, że ty.

Rozmowa schodzi na samochody, panowie pytają, czy będę chciał kupić tu jakiegoś rżęcha. Joe w wielkim odruchu serca chce wypożyczyć mi jeden z trzech swoich samochodów. Odpowiadam, że nie potrzebuję, nie jeżdżę, nigdy nie jeździłem i nie umiem prowadzić. Dwaj mężczyźni obracają ku mnie zdumione głowy, a mnie przechodzi przez myśl, że musiałem palnąć gafę. Może, zamiast o prawie jazdy, wspomniałem coś o tłustej żonie Marka i pieprzyku pośrodku jej francowatego łba.

Albo coś w tym stylu.

Oni zaraz na mnie, jeden przez drugiego. Jak sobie tu poradzę, no dobra, mówi Joe, przecież będą przyjeżdżali na to cholerne malowanie, a potem, przy kościele, warsztat niedaleko. Dobra, dobra, jak tak w ogóle można, lepiej już nogę sobie uciąć, pierwsza rzecz to się robi prawko, kiedy tylko można, szesnaście, siedemnaście lat. Gadają, słucham, odpowiadam.

— Nigdy nie potrzebowałem.

Znów gdaczą. Jak można nie potrzebować prawka?

Mówię: całe życie w jednym mieście. Gdzie miałem jeździć? Do sklepu za rogiem, pod knajpę czy na uniwersytet?

— Uniwersytet, dobre i to — powiada Joe, zadowolony z siebie.

A Marek się natęży i wypluwa z siebie:

— Co będzie, jak urodzi ci się dziecko?

*

Moja praca jest łatwa z małymi wyjątkami.

Wstaję o siódmej, mijam sypialnię, gdzie chrapie sobie Joe. Jem śniadanie, najczęściej tosty, robię sobie kanapki do roboty, jeśli Irena mnie w tym nie uprzedzi. Biorę kawę, piszę do Kaśki (trzyma się laska jak harpun walenia), czekam na klakson. Wskakuję w robocze ubranie, które dostałem od Piotrka i za minutę jestem na dole.

W brązowym minivanie czeka Tomek. Ma osiemnaście lat i jest w porządku.

Pędzimy przez małe miasteczka, jakieś dwadzieścia mil. Przystawienie się na mile przyszło mi z łatwością, za to nie radzę sobie ze stopniami Fahrenheita. Ile by tych stopni nie było, koło dziewiątej lądujemy w domu Piotrka, tam czeka Sosna i przesiadamy się do większego samochodu.

Robota polega głównie na malowaniu domów. Nie wchodzimy do środka, tylko elewacja, wewnątrz najczęściej nie ma nikogo, choć raz widziałem małżeństwo kapłanów, odpowiadające nabożeństwo dla wiernych w domowej kaplicy. Muszę czyścić ściany. Mam szlifierkę z nałożonym płatem grubego papieru ściernego i usuwam łuszczący się lakier. Potem farba. Pędzel trzyma się jak pióro, zanurzam tak, że moczę tylko końcówkę włosa i jadę. Szybko, to ważne.

Około południa spotykamy się na lunch. Leżymy we trzech, Tomek, Sosna i ja, grzejąc się w październikowym słońcu, które tutaj nie ma nic wspólnego z październikiem. Mógłbym zrzucić koszulkę, co Sosna odradza. Nie mówimy o niczym konkretnym, bo i trzeba uważać na słowa. Tomek opowiada o baletach u siebie, znać, że mu tęskno, nie robi jednak z tego wielkiej sprawy. Życie. Sosna przyjeżdża tu od dekady, Piotrek to jego kumpel z kopalni, znają się od ćwierćwiecza. Można zarobić.

A ja niewiele mówię, bo i nie mam o czym.

Wspominam krakowskie knajpy, studentki, które w obliczu kubłów z farbą i suszenia pędzli wydają się nieistotnym wspomnieniem zdławionego świata. Kanapki dojedzone i ruszamy znowu. Obchodzę wielkie domy i wspinam się na dachy, małym pędzelkiem wykańczam gęstą balustradę, rogiem szmatki rozcieram każdą uronioną kropkę. Szybko odnajduję właściwe tempo, nie wolno się wlec ani pędzić — szanujemy klienta, szanujemy też robotę.

Koło piątej zabieramy majdan. Starannie, każdą szmatę i kubeł, Sosna sprawdza, czy nie nachlapaliśmy zbyt dużo, Tomek nie chlapie, ja trochę i wiem, że muszę zaraz się przyznać, Sosna ceni uczciwość, jeśli ten rudy starzec o muskulaturze wrestlera umie docenić cokolwiek, poza czterema piwami co wieczór.

— Cztery — mówi — pięć to już alkoholizm.

Rozumiem trochę, o co chodziło z tym prawem jazdy. Nie licząc paru uliczek przy kościele, Middletown nie ma swojego centrum. Domy wysypały się z wielkiego wora i przyrosły do przypadkowo wijących się ulic — żeby zrobić cokolwiek, na przykład zakupy w jakimś sklepie, musiałbym wcześniej wysiąść, lecz Sosna nie zatrzyma się dla mnie. Spieszno mu odstawić samochód, ciągnie go do czterech piw i telewizora, którego nie rozumie. Kupiłbym sobie książkę albo komiks, a będę mógł zrobić to dopiero w niedzielę, podczas mszy świętej.

Wieczory spędzam samotnie albo z Joe. Irena pracuje w supermarkecie, na nocnej zmianie. Joe uprawia trójpółówkę, rano, popołudnie, nocie w bostońskim garażu, a ja zastanawiam się, jak on zdoła wczołgać się ze swoim brzuchem pod największego nawet tira. W sumie dobrze, że go nie ma, bo jak jest, to leży na kanapie, ogląda choopersów albo stare westerny, wypycha powietrze przez usta i nalewa sobie wina z dwulitrowej butelki.

Sam pijam paskudne, amerykańskie piwa, sprzedawane w dwunastopakach, umiem wytrąbić cały tuzin, pozostać trzeźwym i ganiać do klopa co kwadrans na oberwanie chmury.

Wynotowuję każdą dniówkę w zeszycie, muszę znać liczbę godzin, żeby Piotrek mnie nie oszukał. Piotrek swój, ale wiadomo jacy są ludzie.

Płaci mi raz na tydzień, w gotówce i bez podatku.

W drugiej połowie października psuje się pogoda. Do porannych rytuałów dochodzi nowy i nieznośny. Ledwo oczy otworzę, pędzę do okna i gapię się w niebo. Jak leje, rzucam kurwami i wracam do wyra, wściekając się na stracony dzień. W deszczu nie sposób malować domów. Czuję się, jakby mi ktoś wyciągnął osiemdziesiąt dolarów z kieszeni.

— No, trzeba było zjawić się wiosną — przypomina Joe.

Więc teraz nie muszę nawet iść do okna, by wiedzieć, że nici z mojej osiemdziesiątki. Jednostajny szum kropli, napieprzających w drzewa. Zaciskam pięści, próbuję się uspokoić, jeszcze lepiej — zasnąć. Nie ma mowy, ledwo siódma wybiła, a ja już z kawą i sałatką oglądam amerykańskie programy śniadaniowe. Joe pojechał na rano, Irena śpi.

Podchodzę do okna i gapię się smutno na tę złośliwą pluchę i zbrązowiałe liście. Świta mi, że moje majstersztyki ze szlifierką i pędzlem pociągną tydzień, półtora i z głowy. Trzeba mi do jamy podkościelnej, gdzie pewno podzieje się to i owo, lecz będę musiał zapłacić. Dwieście,

trzysta dolców za miesiąc. Pół tygodnia roboty. Ksiądz, wiadomo. Joe nie weźmie dolara.

Z zamyślenia wyrywa mnie klakson. To Tomek stoi na podjeździe i się niecierpliwi.

Macham do niego — po coś, durniu, przyjechał. Chcesz cztery piwa z Sosną pić?

A on: jest robota!

Błyskawicznie wskakuję w białe, upaprane spodnie, bluzę niewiele lepszą, kontraktorki (tak nazywamy tutaj buty za kostkę z grubą podeszwą), porywam kurtkę i pędzę, nawet bez kanapek. Łąduję koło zaspanego Tomka. Oczy lśnią mu z podniecenia, jak psu, który właśnie wskoczył na sukę w rui.

— Będzie przejebane — mówi Tomek. — Pracowałeś kiedyś w chlorze?

Potrząsam głową, że nie. Tomek wybucha śmiechem.

Wiem, że nie jest złośliwy, razem tkwimy w tej kabale.

Godzinę później pędzimy naszym vanem przez las i wertepy. Gniewimy się na przednim siedzeniu. Tył, odgradzony kratą, wypełniają wielkie białe butle z chlorem, rury, pompki i sikawki. Sosna co chwile wrzeszczy do krótkofalówki, nie może znaleźć drogi. Deszcz dał sobie spokój, mży tylko, ziemia rozmokła. Skręcamy, van zwalnia, a przed nami wyrasta dom jak ze złego snu Draculi, wzniesiony na kamieniach, trzy piętra, do tego wieżyczki, biały, nieregularny i opleciony płotem. Okna są ciemne. Wysiadamy, rozkładamy z Sosną drabiny, w tym tę największą, na piętnaście metrów. Nie wyglądają solidnie. Utrzymałyby słonia.

Tomek pomaga mi zainstalować butlę z chlorem na plecach.

Już wiem, o co chodzi. Znajduję się na wysokości pierwszego piętra. Mam widok na zasmarkane chmury i pięty Sosny pod dachem. Trzymam sikawkę, złączoną z butlą przy pomocy miękkiej rurki, i pryskam na dom. Metr po metrze. Wzarty brud mięknie i spływa. Też metr po metrze. Muszę schodzić i wchodzić na drabinę, przestawiać ją, aż powstanie zachlorowany kwadrat. Wtedy chwytam szlauch i spłukuję, choć moim zdaniem deszcz by wystarczył. Ortalionowy płaszcz nie pomaga, przemokłem. Dzień dopiero się zaczął, rozciągnięty w breji.

Po czterech godzinach mam dosyć, wołałbym już, żeby zęby rwali na żywca.

Podeszwy stóp bolą od szczebli drabiny.

Ledwo unoszę ramiona, napieprza zmaltretowany bark. Z nieba chlusta, uporczywie i nieznośnie, gałęzie wokoło gibią się, jakby harcowały na nich mały. Czasem zaglądam przez okno do ciemnego domu. Tam uśpione ciała mebli, martwe zegary, otwarty pysk kominka. Ciężkawy parkiet.

Chlor mam nawet w oczach. Tryskam w górę, spada na mnie wraz z deszczem, taki jest złośliwy. Gdy przymykam powieki, świat jest kołomyją smug.

Raz na godzinę muszę zejść i napełnić pojemnik.

To prosta czynność i każdy z nas stara się przeciągnąć ją tak długo, jak tylko można. Tomek ma ponurą minę — wiedziałem, że tak będzie, mówią jego oczy — śmieje się, próbuje żartować, ciągnie mnie pod brezent i mówi: warto jednak się przemęczyć, Piotrek dorzuca coś do dniówki. Po spadzistym dachu, niebezpiecznie wysoko, pełźnie sobie Sosna.

Przerwa trwa krótko, nie ma jak odpocząć. Siedzimy w szoferce i wpieprzamy kanapki. Nawet one smakują chlorem. Mam dziwne, pomarszczone palce, broda Sosny jest jakby mniej ruda. Nikt nic nie mówi, patrzymy tylko na dom obłożony drabinami, na to pieprzone, sine niebo. Wokoło przemykają żałosne wiewiórki.

— Po południu przestanie padać — obwieszcza Sosna.

Myli się częściowo (najboleśniejszy rodzaj omyłki), od piątej deszcz przechodzi w ciepłą mżawkę, chmury rzedną, momentami miga sobie czerwonawe słońce, przez co dom robi się krwawy i jeszcze większy, a mnie jest już zupełnie wszystko jedno. Mogę być chlorowym chłopczykiem i do Wielkiej Nocy. Niech tej dziwnej budowli, tym drewnianym szponom wczepionym w skałę, rosną sobie nowe skrzydła, kolumnienki, niech okna nikną, zmieniają się w ściany.

Tuż przed zmrokiem odczuwam atak zmęczenia. Krótki i gwałtowny. Nieruchomieję na drabinie, z głową i dłońmi opartymi o oczyszczoną już ścianę. Chlor płynie mi między palcami, przewieszona przez szyję pompka smętnie dynda na wysokości krocza.

— Ej — drze się z dołu Sosna — dobijamy do mety! Ruchy, młody!

Jest wściekły, trudno mu się dziwić. Na dachu nieźle musiało go prześwięcić.

Rozumiem, że ma rację, ale te ostatnie metry kwadratowe, wejścia i zejścia, przepychanie drabiny już nawet nie męczą, są upierdliwe jak ćmienie zęba, przygaszonego ketanolem, jak ostatni dzień picia na umór i amfetaminowy zjazd jednocześnie. Wszystko jest jedynym wielkim wleczeniem się, nawet ciała już nie rozpoznaję. Ręka sama jedzie, zbyt wysoko, zbyt nisko niż sobie tego życzę. Tryskam sobie, mrużę oczy, słońce dawno zaszło, ale tu, na ziemi Waszyngtona noc zapada powoli. To już. Chłapię chlorem na ostatni kawałek domu, biorę głęboki oddech, zsuwam się z drabiny, w moją stronę wali Sosna ze szlauchem.

Spłukuje. W tym czasie uwalniam się od butli.

Sosna nerwowym krokiem kaprała maszeruje wokół domu. Jego męska, krótka klatka piersiowa drży od płytkich sapnięć. Podpiera się pod boki, ściąga krzaczaste brwi, woła:

— Wszystko wyczyściłeś?

— Mowa — krzyczę w jego języku. Targam już sprzęt do samochodu.

— Miejsce w miejsce? — upewnia się Sosna.

— Toż mówię!

Nie okłamuję go, przelazłem całe swoje skrzydło i jeszcze sprawdziłem. Sosna macha wielką łapą, pozwól, no to idę, zrezygnowany, bo niemal dotarłem do vana, trapi mnie, czego doszperała się ta ruda menda. Już wiem. Sosna stoi w lekkim rozkroku, dom jest biały nawet w półmroku, tylko od ziemi idzie pas brudu, mniej więcej pół metra na dwa.

— A tu?

— Pewnie, czyściłem — mówię głupio, zaledwie przeczuwając skalę własnej pomyłki, już chcę zakładać butlę — poprawię, jak trzeba.

Sosna dopada mnie, boję się, że uderzy, ale tylko zrywa mi butlę z ramienia.

— Zero czasu na pierdoły.

Tryska chlorem na miejsce, które pominąłem, kaszle, wyrzuca z siebie cały potok słów, rozumiem co trzecie, deszcz leje się nam na łby. Jakby nie mógł powiedzieć, klnie Sosna, nie zrobiłeś to gadaj, nic złego, jak kłamiesz, to po tobie, nikt tu nie chce łgarzy, nikt ich, kurwa, nie lubi, mogliśmy uwinąć się wcześniej, Tomek dawno w samochodzie, tak trudno, młody, powiedzieć, spierdoliłem, zapomniałem, nie chce mi się, jak ci się kurwa nie chce, no to zobaczymy.

Rzuciłbym się na niego i przydusił, ale w walce z pięćdziesięcioletnim górnikiem szanse mam marne, zaciskam tylko pięści i łykam łzy. Dobrze, że pada, taki wstyd. Sosna kończy, ciska we mnie butlą i chwyta się szlaucha.

Zostawiamy za sobą dom w całej jego bieli. Tkwię w szoferce między Sosną i Tomkiem, nikt nie ma ochoty na gadanie. Tomek składa głowę na szybie, Sosna ryczy do krótkofalówki, mkniemy w noc.

Myślę o duszeniu i kopaniu grobów.

Znów jestem gnojkiem, który chce pogrzebać panią od fizyki. Ameryka czyni człowieka dziecinnym, bezbronnym po przedszkolnemu.

Silnik huczy, puste butle rozbijają się po całym aucie.

Dojeżdżamy do Piotrka, cuchnę i mam wszystkiego dosyć. Gdyby na podwórku wylądował samolot do Polski, nie wahałbym się ani chwili. Zawieszam wzrok na przemokłej fladze „Solidarność”, przyczepionej do płotu, zastanawiam się jeszcze, co robimy. Zjawia się Piotrek i mówi niepewtarzalnym, piskliwym głosem, że dziś o dziesiątej przyjedzie po mnie Joe. Piotrek wygląda skojarzeniowo, dodać wąsik i będzie Adolf jak marzenie.

I ciągnie nas na werandę od drugiej strony domu, tam zimna wódeczka, udka kurczaka, sałatka. Pijemy i gadamy. Nawet Sosna nie udaje zmęczenia. Dobre chłopaki, mówi.

Piotrek coś wspomina, Tomek się śmieje.

Pijemy wódkę. Jest dobrze, tak dobrze, że aż strach wspominać.

*

Jak niedziela, to i msza święta. Zbieramy się rano, by zdążyć na dziesiątą. Joe w garniturze. Chłopcze kawę, porykuje pieśni religijne, drepcze do garażu. Ma trzy samochody, ale jedziemy najlepszym, prawdziwym rollsem, z niższej co prawda półki. To pieprzony rolls royce, nie ma co. Zastanawiam się, jakim cudem mechanik od trucków może pozwolić sobie na takie cacko, na dom za milion dolarów.

— Ameryka spełnia sny — mówi Joe i wali mnie w plecy.

Jedzie z nami Sebastian. Jego syn.

To bystry czternastolatek, zupełnie pozbawiony wdzięku. Gdy go rozdawali, stał w kolejce po dodatkowe kilogramy. Przypomina mi trochę gapowatego ucznia high school z komedii dla młodzieży i idę o zakład, że pozostanie ostatnim prawiczkiem na ziemi. Niby spogląda na

ojca z lękiem, ale, jak trzeba, umie odpyskować, mam nawet wrażenie, że Joe trochę się go boi. Bezradny wobec miłości ojcowskiej.

Sebastian to Amerykanin w każdym calu, duka po polsku, wtrąca obce słowa. Patrzy na mnie, jakbym był jego młodszym bratem. Jedziemy. Chce mi się spać, chętnie zostałbym w domu. Po miesiącu w Ameryce wiem już, jak ważna jest msza święta.

Kościół z czerwonej cegły stoi pośrodku Middletown, pod nim błyszczą się samochody. Powiniennem przywyknąć do ich wspaniałości, tyle, że nie umiem, takich cacek nie widziałem ani w Londynie, ani na bostońskim lotnisku. Wszystkie są wielkie, przeważnie czarne i aż lśnią. Beemki, sprowadzane z Europy. Ze trzy rollsy, wyraźnie droższe niż ten, którym rozbija się Joe, maybach, merole, kilka marek, których nie umiem nazwać.

Pod polską parafią stoi, lekko licząc, kilkanaście milionów baksów.

Kościół pod wezwaniem świętego Jerzego, sejnt Drożdż.

Zwykle wcześniej wymykałem się z mszy — jak mały chłopiec — korzystałem z okazji powłóczenia się po Middletown, dziurze ubitej niedzielnym porankiem. Ponure sklepy. Rzędy dwupiętrowych kondominiów. Kilka ceglanych budynków, w nich liche pamiątki. Sklep z komiksami, gdzie czatują młodzi czytelnicy i starzy kolekcjonerzy, o dziesiątej wejdą między figurki, gry, zeszytowe przygody superbohaterów. Gdybym poszedł dalej, znalazłbym się na rozwidleniu dróg, rozjeździe ku domom pełnym grubych rodzin i okrągłych samochodów. Tak to sobie wyobrażam.

Śmiertelnie to nudne. Komiksy i Ameryka.

Wolę już wewnątrz kościoła, jego przepych wściekły.

Ustawiam się w ostatniej ławie i mam baczenie. Wszystko tu błyszczący i kapie kosztownością. Droga krzyżowa, malowana olejem, wtłoczona w złotawe ramy, nie mieści się na ścianach. Na witrażach kokoszą się święci, sklepienie przywodzi na myśl gotyk, ale rzeźby tam są niemal współczesne, pokręcone, muskularne, skóra przypomina łuskę.

Dwa witraże wstawiono niedawno.

Na pierwszym piach, pustynia, promień przebija chmury i oślepia Szawła z Tarsu, Szawel akurat upadł, ugrzązł, podkulił nogi. Ma krótkie palce robotnika, okrągłą twarz z workiem podgardla i wąs zupełnie jak u Wałęsy. Wysoko majaczy świetlista postać. Czasem słońce wpada przez

nią do kościoła, na głowy wiernych.

Witraż numer dwa, po mojej lewej: pokręcony smok. Z wielkiej rany na brzuchu jucha bucha aż miło, gad leży na plecach, poddaje się jak kot, w jego długim pysku drzemią pozostałości człowieka, kaptur ze skóry i łuski, naciągnięty na oczy przypomina hełm. Nad nim święty Jerzy — patron — na chudej szkapie i odziany nie po rycersku. Zbroja skórzana, chude ramiona, dłonie oplatające drzewiec włóczni. Szyszak. Pod nim znajoma twarz zamordowanego kapelana.

Amerykanie nie wiedzą, Amerykanie się nie domyślą.

Polonia w Middletown ma swoich świętych.

Msza się rozpoczęła, wychodzi ksiądz Mirek, wodzi wzrokiem po wiernych. Klękam i wstaję, wstaję i klękam. Mirek to kawał faceta, o uśmiechu skrywającym bezmyślne okrucieństwo.

Msza, moim zdaniem jest nudna. Nie to, co gospel w Nowym Jorku.

Prócz ponurych ministrantów z boku, na krzeselku za ołtarzem siedzi drobny człowieczyna w sile wieku. Ma sutannę, żylaste przedramiona i policzki ściągnięte w zadumie. Nie widziałem go wcześniej, więc to chyba ten, o którym mi mówiono.

Zaczynamy śpiewać, tylko ruszam ustami. Z góry, tam gdzie chór, dobiega donośne zawroźnienie, jakby zranionego łosia wrzucono do studni. To Joe śpiewa na chwałę Pana i przeprasza za swoje złe uczynki. W chórze mają kilkanaście osób, zagłuszył wszystkich.

Joe modli się żarliwie, ale po spowiedź i rozgrzeszenie wali do Bostonu, ksiądz Mirek to swój, miejscowy, jemu grzechy nie będą wyznane.

Mirek czyta fragment Biblii, o tym, że jeśli pomogłeś najmniejszemu z ludzi, to tak, jakbyś samemu Chrystusowi postawił drinka, czy coś takiego. Oho, myślę sobie, w zeszłym tygodniu coś mało mówiono o forsie, teraz nadrobiją. Na całym wschodnim wybrzeżu zamykają kościoły katolickie. Trzask, prask, jeden po drugim, jak trumny w noc zarazy. Mirek zamyka Biblię. Uśmiech błądzi mu na lisim pysku, mówi, że tej niedzieli wreszcie wysłuchamy porządnego kazania. Szmer idzie przez salę.

Mirek wycofuje się, klęka przed ołtarzem, do ambony zmierza ksiądz o żylastych przedramionach. Ludzie wstają, szepczą. Ksiądz zaczyna mówić. Ma głos ciepły i dźwięczny, całkiem nie dopasowany do

pokracznego ciała.

Choroba nim kręci, wiem.

To ksiądz Grzegorz ze Śląska. Mówi polszczyzną bez śladu akcentu. Z górniczej rodziny, dla górników msze odprawiał i pomógł im za najczarniejszego Jaruzela. Dał słowo Boże, dach nad głową, może i pieniądze. Prześladowany. Pobity. Nie dał się i widzę, że ciągle jest twardym sukinsynem. Niedługo. Ksiądz Grzegorz ma raka.

Dlatego tu jest, u parafian sprzed ćwierćwiecza. Ameryka ma lekarzy-czarodziejów, ci rozgrzebią mu płuca, pomogą.

Ale ksiądz Jerzy nie mówi o chorobie.

— Nie ma powodu, by wątpić — słyszę — nadzieja jest mocna, nadzieja to prezent dla odważnych. Zawsze powinniśmy wybierać trudniejszą drogę i iść na ostrzejszy szlak. Co z wątpliwościami? Pytacie mnie, jak da się żyć bez wątpliwości — rozłożył dłonie — otóż nie da się wcale. Człowiek wątpi i rozważa własne czyny, inaczej przestałby być człowiekiem. Niech wątpliwość będzie jak rana na ciele. Coś, czego nie da się zatrzeć. Czego nie można zmienić od razu. Co wymaga czasu. Być może wieczności. Ale ranny nie kieruje się swoimi ranami, nie pragnie ich powiększenia i nie ma takiego, co chciałby zmienić się w jedną wielką ranę. Niech rany nas drażnią. Niech czynią niespokojnymi. Ale nie słuchajmy ich głosu i nie idźmy za nimi. Tej jednej rzeczy nie wolno nam uczynić.

Tak skończył. Ludzie milczą i patrzą po sobie. Z ławy przede mną dobiega zawstydzone beczenie, to Sosna się rozkleja, chłop jak dąb, a smarka w rękaw i ociera łzy. Ksiądz Grzegorz, spocony, czmycha za ołtarz, Mirek rusza i msza toczy się dalej.

Po komunii czas na kwestę. Wszyscy naszykowali czeki, tu inaczej, każdy odpisuje sobie datek od dochodów, mimo to kwoty budzą zdumienie. Pięćset, tysiąc dolców. Joe naszykował tysiąc dwieście, wiem, bo machał mi blankietem przed nosem. Zarabia dwa razy tyle, no ale i taca krąży dwa razy. Na kościół i na księdza Grzegorza.

Mirek odczytuje darczyńców z zeszłego tygodnia, znam już listę filantropów Middletown.

Joe nie załapał się na podium, nadrabia śpiewem.

Msza dobiega końca, a ja czekam już na zewnątrz, oparty o mur, ćmię słodkiego szluga. Tu papierosy są inne. Podobno dosypują cukru do

filtra. Zastanawiam się nad tymi zamykanymi kościołami. Przerabianymi na dyskoteki. W świętym Jerzym prędko nie potańczysz, parafia trzyma się mocno. Od krzepkiego kościółka odchodzi skomplikowana struktura budynków, z okazałą plebanią, kuchnią, knajpą, salą na zabawy i maciupkim budynkiem, na wpół widocznym zza drzew. Kiedyś mieszkały tu zakonnice. Wiele wskazuje, że niedługo zamieszkał ja.

Ludzie wychodzą z kościoła i wymieniają uprzejmości. Gromadzą się w grupy. Sam ściskam się z kilkoma, wielu rozpoznaję.

Piotrek, Sosna, Tomek, Joe, Irena. Wiadomo.

Marek przytargał swoją grubą żonę. Gada z Robertem, drobnym kontraktorem, niepokojąco podobnym do przegranego artysty. Obok kokoszą się Darek z Mileną, ich troje dzieci gdzieś się rozbiegło. Od lat zajmują się sprzątaniami domów, mają firmę, dom na kredyt, samochód — tylko prawa pobytu zabrakło. Nielegalni. Walczą. Joe twierdzi, że już, zaraz, w przyszłym roku zielona karta uśmiechnie się do nich. Takie wieści. Będą mogli ucałować swoją Polskę.

Z kościoła wychodzą Adrian i Kate — Katarzyna. Ona piękna, skromna w tym swoim długim płaszczu, owiana niewidzialną chmurą perfum, z rozpuszczoną falą włosów. Z lat osiemdziesiątych wyniosła to, co najpiękniejsze. Adrian to niedźwiedź, wsadzony w gładki garnitur. Ciemnobrażowe włosy, zadbana broda, złota bransoletka, dyndająca na grubym nadgarstku. Ci to mieli szczęście — przyjechali bez niczego, teraz mają restaurację w centrum miasta i motel w sąsiedniej miejscowości, do tego, powiadają, Adrian dorabia na remontowaniu domów, kupuje ruinę, wypuszcza funkiel nówkę nie śmiganą. Tak doszli od pokoju do willi, przy której — tak mówią — chałupa Joego przypomina latrynę.

Pchają przed sobą olbrzyma na wózku. Olbrzym nazywa się Chris.

Jest w nim coś załośnie potwornego, co każe odwracać głowę. Tors ma szeroki, ale płaski, rozprasowany, wychodzą z niego bezwładne ramiona i nogi pozbawione mocy. Mógłbym żeglować w jego butach. Spodnie zwisają z goleni, mogę tylko przypuszczać, jaki ten Chris jest chudy, wolę jednak odpuścić. Wielka mi radość. Gapić się na nogi, które nigdy nie zaznały ruchu. Podobno nie jest całkiem sparaliżowany, czasem poruszy wielką głową, machnie ręką, ale w tej chwili przypomina wielką, niepotrzebną kukłę, ciśniętą na wózek inwalidzki.

Najpaskudniejszy ma łeb. Kowadło obciążone niebieskawą skórą, z

płytkimi oczkami po bokach, jak u rekina.

W samochodzie Joe opowiada mi o nim. Wyje pieprzony Niemen.

— On ma może dwanaście lat, a taki wielki — mówi, tnąc zakręt.

— Był zupełnie normalny — dopowiada Irena z tylnego siedzenia.

— Nieszczęsny gówniarz. No to się popieprzyło.

Pędzimy chwilę w milczeniu, deszcz wali o karoserię, a ja myślę do o Chrisie, to o pogodzie. Jeśli jutro będzie lało, nici z malowania.

— Ja tego nie rozumiem — zastanawia się Joe i pogwizduje — czemu tak się dzieje, no. Rodzice zdrowi. Robotni, i to jak, co jeszcze, uczynni, mało to pomogli innym? A tu takie nieszczęście, takie strapienie. Czemu Bóg na to pozwolił?

— Bóg nie ma tu nic do rzeczy — odpowiadam. Męczą mnie już te rozmowy.

Joe głośno myśli.

— Może Bóg ich sprawdza? Przypomina o czymś. Łatwo tak, cholera, pogubić się w tym wszystkim.

Skrećamy w boczną drogę, falującą, góra, dół. Już widzę nasz dom. Irena ożywia się, wypala:

— Myślę, że Adrian i Kate musieli popełnić kiedyś jakiś straszny grzech.

*

Na zewnątrz leje jak z cebra, a ja jestem na zabawie polonijnej, wyją mi polskie przeboje.

Całe polskie Middletown, kilkadziesiąt osób, harcuje w wielkiej sali przy parafii. Tu kiedyś musiały mieścić się magazyny czy coś takiego, ściany znaczą ślady po hakach, prostokątne okienka wiszą tuż nad ziemią.

Stoły stoją w rzędach, na nich żarcie, każdy przyniósł co mógł. Piotrek polewa piwo po cztery dolary, podchodzę, mruga do mnie i płacę tylko trzy. Piwo tutaj jest zupełnie bez smaku, za to nieustannie pędzi. Tkwią sobie nad zimnym kłosem i podziwiam resztki jakiejś ubojni. Od świata oddziela mnie tylko płyta gipsowa, zagruntowana na biało, nazywają ją tu sitrakiem.

Wracam, opieram się o ścianę.

Większość towarzystwa jeszcze siedzi. Za prymitywną konsolęta rozkłada się Darek, który na tę okoliczność przytargał sobie flaszkę.

Popija i sprawdza mikrofon. Są wszyscy. Sosna pije równo, Tomek gada z jednym takim Michałem z Białegostoku, Piotrek jakiś smutny. Joe trzyma Irenę na kolanach i wodzi czujnym wzrokiem po zgromadzonych.

Przede mną wyrasta kobieta koło czterdziestki. Wygląda jak mysz na sterydach, sypie się jej wąsik. Zagaduje, że ja tu nowy. Bo jeszcze mnie nie widziała. Nawet w kościele. Chodzę do kościoła, odpowiadam, kombinując, jakby tu uciec.

— Ale ja nie chodzę! — wybucha śmiechem. Zerka w mój kufel i zaraz wraca z nowym. Wsuwa mi w łapę.

Oszczędzam każdy dolar.

Opowiada mi o sobie, a Darek zaczyna koncertowanie. Puszczą dobre polskie przeboje, jakie można usłyszeć w Radiu Z. Varius Manx. Virgin. Ich Troje. Łzy. Podskakuje przy tym, macha mikrofonem, widzi siebie na scenie, spowitego dymem. Rozumiem już, co tu się wyrabia, życzę mu, aby był to dym pogrzebowy.

Kobieta, jej imienia nie znam i znać nie chcę, opowiada mi o swoich sukcesach finansowych. Na dom mówi gniazdko. Rozpływa się nad córką. Córka ma osiemnaście lat i same dobre oceny. To gdzie znajdę twoją córkę, chcę powiedzieć, niestety Joe zagubił gdzieś żonę i leci do nas, nawalony jak szpak.

— Młody, chodźmy po wódkę.

— Ale ty stawiasz.

Wali mnie w bark.

— Co przeżywasz?

Wyprawa do likierstore'a ma mnie uwolnić od myszowatej kobieciny, skutek okazuje się przeciwny do zamierzonego. Idziemy gęsiego przez centrum Middletown. Ja przodem, za mną myszowata, wokół niej podskakuje Joe, aż mu łańcuchy dzwonią. Ta strąciłaby go z siebie, gdyby nie był taki wielki.

Przed likierstorem Joe wyprzedza mnie, taranuje drzwi i zaraz wychodzi z litrem Kapitana Morgana. Przyciska do siebie myszowatą, ta zaraz leci w moją stronę, mój ci on. Puszczam w stronę Joego rozpaczliwe znaki, musi wiedzieć, że z nią mi nie po drodze. Śmieje się szelmowsko, rozkłada dłonie. Spokojna głowa, młody.

Zaczynam podejrzewać, że mówiąc o tysiącu kobiet odrobinę przesadził.

Pijemy rum z kubków po piwie. Myszwata mięknie, zaraz zawiśnie na mnie. Opowiadam jej o Joe, jaki on fajny, morowy chłop i tylko zerkam, gdzie Irena, bo zaraz będzie nieszczęście.

Jej nigdzie nie ma, za to ksiądz Grzegorz chłepcze kawę i gromi mnie wzrokiem.

Darek podpalił się na dobre, wiruje za konsolę, trzęsie butelczyną i mikrofonem. Leci akurat Kayah, „Testosteron”, Darek wybija się w górę i wyje radośnie:

— Testerom! Testerom!

Sosna już zasnął, za to Tomek pokłada się ze śmiechu.

Oceniam zawartość butelki, w tym tempie Kapitan Morgan prędko dobije do portu, za to ksiądz Grzegorz przesyła spojrzenie, które wcale mi się nie podoba. Wybucho śmiechem. Ten śmiech podoba mi się jeszcze mniej.

W pijackiej ostrości chwytam, że jestem w jakiejś amerykańskiej dziurze, gdzie wszyscy zaraz uderzą w trupa, do domu mam daleko, za to przytula mnie raszpla. Wymykam się jej lepkiem opuszkom, mknę do ubikacji i wpadam na Piotrka, który sprzedał już całe piwo i ledwo stoi na nogach.

— Porządny z ciebie chłop — mówi — next time przyjedź na wiosnę, roboty co niemiara. Albo zostań. Zostań, człowieku, tu raz dwa dojdiesz do takiej kasy — pokazuje ruchem ręki, jak wielkie grożą mi pieniądze. Zniża głos do szeptu. — zwłaszcza u nas, w Middletown.

Wycofuje się, cienie padają mu na twarz i wygląda już całkiem jak Adolf.

Do salki ładuje się Irena i rozgląda za mężem. Darek tańczy nad konsolę, zwolnił wokalistów i puszcza wersję karaoke. Jego śpiew kojarzy się z ptakiem, co za wcześniej wypruł z gniazda, wzbija się wysoko i czysto, a potem pizga na łeb. Za to cieszy się strasznie, wywija chudymi ramionami i nie dostrzega, że ludzie na parkiecie tańczą coraz wolniej i z coraz mniejszą ochotą. Za to Sosna poderwał ryży łeb i wytrzeszcza zdumione oczy.

Zasuwam do ubikacji, zadowolony, że nikt nie próbuje mnie zatrzymać, tylko Sosna burczy do Tomka, że jeszcze się wyrobię. O Jezu miłosierny, ale bym mu przypierdolił. Wybieram ubikację. Odlewam się z ulgą i jeszcze mokrą ręką pakuję peta w usta. W ubikacji muzyka ledwo

brzmi, nie słysząc Darkowego pienia, za to pędzi ku mnie inny wybitny śpiewak.

— Co ty kurzysz? — Joe unosi brew — a zdrowia ci nie szkoda?

— Pieprzysz, Józek, widziałeś mnie ze szlugiem nie raz, nie dwa.

Mruga do mnie szelmowsko, chwyta za wolną dłoń.

— Słuchaj, ta moja jest już prawie wyrobiona, tylko kłopot mam, bo Irena przecież. Wiem, jak zrobimy. Ty ją zbajeruj, siądziecie u mnie z tyłu w toyocie, a potem weźmiesz ją na górę do pokoju. Też se możesz poskakać, ja poczekam tylko, jak moja zaśnie, a ona jak kamień w studnię, moment, mówię ci, i przyjdę tam do was, kimniesz się na dole. Albo i we dwóch, no co! — śmieje się, szturcha, czeka co powiem.

Jestem zbyt zaskoczony, by wykrztusić choćby słowo. Dopowiadam sobie szczegóły planu, poranne konsekwencje, wspólne śniadanko, oskarżenie o gwałt i ciupę.

— Zobaczymy, co da się zrobić — odpowiadam i zmykam z ubikacji.

Parkiet opustoszał. Ludzie stoją pod ścianami, wrócili do stolików, sączą drinki, kolo mnie Adrian i Piotrek wyklinają Eminema, za to Darek zupełnie nie pojmuję, co się wyrabia, śpiewa co sił, mając przed sobą pusty parkiet. Myszowata mnie dostrzega, kiwa na mnie butelczyną, nie wiem, co ze sobą zrobić, więc piję z nią dwie kolejki. Przytula się do mnie nieco ospale, pewna swej kobiecości, której ja nawet nie śmiem przeczuć, z kąta łypie na nas Joe, już pewny swego, rozpaczliwie szukam sojuszników.

Ksiądz Grzegorz siedzi jakby obok, patrzy po ludziach, uśmiecha się lekko i bez złośliwości, tylko na nasz widok poważnieje, przybiera grymas nieodgadniony. Jedyne oczy skrzą mu wesoło. Nasze spojrzenia nie mogą się spotkać. Dziękuje, dobry księżę Grzegorzu.

— Ksiądz czegoś chce — mówię i uwalniam się od myszowatej. Odprowadza mnie westchnienie pełne rezygnacji.

Podajemy sobie dłonie. Ksiądz Grzegorz wstaje, jest jeszcze mniejszy, niżby się wydawało. Ale muskularny. Kojarzy się z dzieckiem zatrudnionym w kopalni, zmuszonym do nadludzkiego wysiłku, z czymś takim właśnie strasznym — ale nie widzę śladu choroby.

Zamieniamy parę zdań.

— Ty nie stąd.

— Skąd ksiądz wie?

— Inaczej się ruszasz. Zabawne. Ci wszyscy dobrzy ludzie mają proste, pewne ruchy. Ty się rozglądasz na wszystkie strony, aż myśłę sobie, że obawiasz się ciosu.

Drapię się w głowę.

— W takim razie, ksiądz też nietutejszy.

— Widziałem cię na mszy — przypomina sobie — ja nawet cię rozumiem. Gdybym miał dwadzieścia lat, też bym nie wierzył w Boga.

— Mam dwadzieścia siedem.

— Wielkie mi rzeczy — śmieje się ksiądz Grzegorz — w Boga dobrzy ludzie zaczynają wierzyć po trzydziestce. — zerka na smutną myszowatą, znów się śmieje — chodź, pomogę ci.

Stawia drobne kroczyki. Na dworze przymrozek, niebezpiecznie iść, docieramy do schodów i chwytam go pod ramię. Muszę uginać kolana. Na zewnątrz paru Polaków pali. Kłaniają się księdzu. Jest zimno, ulica lśni, szczęściem parafia jest niedaleko, lecz my skręcamy w lewo, do dawnego budynku zakonnicy. Ksiądz Grzegorz uwalnia się od mojego uścisku.

— Nie jest ze mną tak źle.

Middletown lśni pierwszym szronem, okna są martwe, gwiazdy ostre, nic nie rozprasza bezruchu. Drewniane domy przypominają dekoracje, łyse drzewa wkręcają się jedno w drugie, milkną śmiechy polonijne.

— Ksiądz nie sypia u księdza Mirka?

— Wolę być sobą u siebie — odpowiada ksiądz Grzegorz, a ja już wiem, że stosunki między nim a Mirkiem mogłyby być cieplejsze.

Odprowadzam go pod drzwi i tam zostawiam.

Przed jakieś dwadzieścia minut włóczę się pustymi ulicami. Wracam. Polonia powoli się rozchodzi, pijane chłopcy pakują się do samochodów i zaraz będą jechać. Jutro rano msza święta i głupio by się tak rozpierdolić o słup przed rozgrzeszeniem. Myszowata zniknęła. Po pustoszejącej sali rozbija się wściekły trzmiel. Joe.

— Gdzieś ty kurwa był?

— Ksiądz Grzegorz...

— Taka sprawa, a ty się z księdzem włóczysz!

Joe ledwo panuje nad sobą, rusza barkami, głowa mu nisko zwisa, nawet nie próbuje pogodzić się z tym, że dziś musi mu starczyć jego ślubna.

— Chory człowiek, Joe. A z nią gadałem! — kłamię — nie chciała jechać. Odmówiła! Miałem ją siłą zaciągnąć?

Twarz Joego ściąga się do środka, marszczy. Jest stara i zła.

— Takie z tobą gadanie! Jak i robota! Jak i kurwa wszystko! Wracaj ty do Polski lepiej, ot co!

Popycha mnie, porywa niedopitą flaszkę i sunie w kierunku samochodu. Irena za nim, zrównujemy się. Najchętniej pokazałbym mu fucka i więcej nie oglądał. Głupie to i niedojebane. Jestem w obcym miejscu, środek nocy. Nie wziąłem dolarów. Paszportu, czegokolwiek.

Zaczynam żałować, że nie mam prawa jazdy, duszę ten żal w zarodku. Nie dostanie głupi Joe ode mnie satysfakcji. Nawet takiej.

*

Joe zapił i nie jedziemy na poranną mszę, jemy śniadanie z Ireną i Sebastianem, z góry dobiega nas pijackie chrapanie. Można pomyśleć, Joe ledwo się stoczy, przestraszony i potulny jak jagnię, wyciągnięte z sideł.

Gdzie tam, toczy się po schodach, do mnie nie mówi choćby słowa. To i ja się nie odezwę. Jem swoje płatki i zwalam się przed telewizorem, oglądam stare filmy sensacyjne na jakimś kanale, aż Joe nie wyrwie mi pilota i nie przełączy na program sportowy. Zamykam się przed komputerem, w pokoju nieobecnego Sebastiana.

Koło drugiej po południu smutna Irena informuje mnie, żebym się spakował. Wygląda tak żałośnie, że myślę głównie o niej, nie o tym, co ze mną dalej będzie. Czuję nawet jakiś rodzaj ulgi. Składam rzeczy do torby, paszport zamykam na piersi, wyjmuję dolary z szuflady, parceluję między kieszenie. Gapię się chwilę przez okno. Schodzę. Joe już gotowy.

Msza popołudniowa zaczyna się o piątej, wyjeżdżamy godzinę wcześniej. Joe wściekłym ruchem pakuje moją torbę do bagażnika, ostro wchodzi w zakręty, a Niemen wyje dwa razy głośniejsze niż zwykle. Zahukana Irena pyta, jak się mam. Wszystko w porządku, mówię, lepiej po prostu nie może być.

Zatrzymujemy się przed byłym budynkiem klasztornym dla zakonnicy. Joe wywała moje graty z samochodu, uśmiecha się głupkowato, jakby jakaś część jego durnej duszy przeczuwała, że co jak co, ale takie zachowanie nie jest w porządku. Za późno. Już Mirek wynurzył się ze wspaniałości swej parafii. Dał mi klucz. Ja jemu dwieście pięćdziesiąt dolców.

Joe pyta, czy będę na mszy.

Ani mi to w głowie.

— To już chyba nie twój problem — odpowiadam, targając torbę.

Joe obraca ku mnie zdumione oczy. Lekceważąco macha ręką i idzie w jasną cholerę.

*

Podoba mi się nowe miejsce.

Nie obchodzę nikogo prócz księdza Grzegorza.

Mój pokój jest tak mały, że z trudem się obracam. Mam wąskie łóżko, biureczko, szafę, która po tygodniu przeszła już zapachem robotniczych ubrań. Nic na świecie nie śmierdzi tak jak kontraktorki. Nie przyjmuję gości. Musiałbym sadzać ich na parapecie.

Z księdzem Grzegorzem spotykamy się w przestronnej kuchni. Pijemy kawę, robimy sobie jedzenie i gadamy głupoty. Grzegorz opowiada dużo o swoim Śląsku. Babach, czekających na swoich umorusanych węglem mężów. Starych kościołach. Poniemieckich domach ze śladami po kulach.

Co drugi ma tam strzelbę, uświadamia mi ksiądz Grzegorz.

Odwdzięczam się opowieściami o piciu i zabawie. Gorące oczy księdza Grzegorza pozwalają na domysły — facet ma to i owo za uszami. A teraz łapie się życia, jakby każdy oddech miał być ostatnim. Chwyta. Ściska. Obraca się cały ku własnemu trwaniu, pierwszy raz widzę człowieka tak przerażonego perspektywą śmierci.

Grzegorz pyta mnie, czy wierzę w piekło. Nie, bo nie wierzę w nic. Odpowiada, że właśnie o piekło chodzi w tym ambarasie, gdyby miał po prostu umrzeć, nie czułby żadnego lęku, nawet ulgę. Tak twierdzi. Ale tu chodzi o wieczność. Nieskończone cierpienie, brak Boga, pustkę i rozpacz w tej pustce. Ksiądz Grzegorz widzi już te czarne bramy i ziemię jałową.

— Ksiądz wygląda mi na dobrego człowieka — pocieszam go jak umiem.

— Kłops w tym, że w chrześcijaństwie nie chodzi o bycie dobrym — odpowiada, mrużąc oczy — choć masz trochę racji. To by pomogło. Może. Potrzebuję czasu. Nie dla siebie, tak sobie tłumaczę. Czasu, żeby naprawić wszystko, co w życiu spieprzyłem — nawet miękkie przekleństwo brzmi dziwnie w ustach księdza Grzegorza — a tego czasu nigdy nie jest dosyć.

Oczy mu lśnią.

— Rok. Półtora. Czy proszę o tak wiele?

Coś mi się zdaje, że nie wyszło mu z lekarzami. Nie chce o tym mówić.

Prócz księdza Grzegorza jest Maciek. Robi przy płotach i jest popieprzony jak marcowy zając. Opowiada o kochankach w Polsce, umie też z ręki wywróżyć kurs dolara. Bredzi o czarach. Gdy nie mogę spać, słyszę Maćka, łażącego po korytarzu. Gada do siebie o mordach i rzeziach, o skurwysynach, których musi zajebać, nim zajebią jego. Wszyscy umrzemy, charczy mi pod drzwiami. To miejsce spłonie do ostatniej deski. Trzask. Peta zapalił. Boję się Maćka. Jest silny jak tur od stawiania tych płotów.

Mamy jeszcze pana Zbyszka, łagodnego sześćdziesięciolatka, który staje na uszach, żeby nikomu nie wchodzić w drogę. Trzy dziewczyny i pani Teresa, stare, zrzedliwe pudło, przeklinające swój amerykański los. Podobno zarobiła już kupę pieniędzy, tylko ciuła każdy grosz. U Mirka jednak najtaniej.

Wieczorami popijam piwo steel reserve z pobliskiego likierstora. Dwa dolary za butelkę jak po ptysiu. Cierpkie, niezłe. Zasypiając myślę, co zostanie we mnie po tej Ameryce, co będę wspominał. Wychodzi na to, że ciszę.

Ponurą, głuchą ciszę, która spowija ten dom.

*

Nie ma mowy o żadnym malowaniu, nowa robota i kumple, tylko Tomek się nie zmienił. Dojeżdżamy codziennie do Bostonu.

Firmę prowadzą Polacy. Na oko jest tu z pięćdziesięciu nielegalnych, a ponoć w lecie dojeżdża drugie tyle, a Tedy, nasz szef, nawet mi się nie przyglądna, chodź no, chłopie, będziesz robił.

Więc włóczę się po całym mieście, podejmują różne zadania, a że koledzy wydają się w porządku, dzień zlatuje błyskawicznie. Nie odczuwam zmęczenia. Tylko trzymać pysk na kłódkę. Rodak jak może — to cię przekręci.

Wyburzamy wielkie przestrzenie magazynowe. Rozwalam ściany młotem pneumatycznym, zrywam podwieszane sufity, w powietrzu wirują suche kłęby kurzu.

Remontujemy kamienicę na Tremont Street. Ceglana. Wywaliliśmy

podłogę i śmigam po przesłach, na wysokości trzeciego piętra. Pode mną uwija się cała masa chłopa, mało brakuje, a zaczynają sobie wrywać narzędzia. Powoli wzrasta szyb windy i coś mi świta, że niedługo będziemy wlewać cement. Nic miłego. Może Teddy rzuci mnie w inny kąt miasta.

Z kolei na Beacon Street przebudowujemy piętro i ważne, żeby praca szła jak najwolniej, zarazem nie wolno mi stać beczynnie. W żółtym tempie stawiam ścianki, następnie je ocieplam, paląc mnóstwo fajek. Zapijam doktorem Pepperem.

Kiedy wspominał, że mieszka w Middletown, goście patrzą na mnie jakoś dziwnie. Szacunek jak cholera, Middletown to jest coś.

— U, chłopie, trzymaj się tej dziury — radzą mi. — Tam to sobie można szmałem oczy podbić.

I kiwają głowami.

Taki z mnie szczęściarz. Mieszkam w Middletown.

*

Po robocie wpadam do księdza Grzegorza. Jego pokój jest trochę większy od mojego, zawałony książkami po angielsku. Chodzi telewizor. Ksiądz Grzegorz uwielbia komedie, ale teraz nie jest mu do śmiechu. Siedzi na brzegu krzesła i zwiesza głowę.

Pierwszy raz, odkąd się znamy, mówi o lekarzach. Nie pomogą. Nie ma jak.

Obraca w rękach bilet lotniczy. Odlatuje za dziesięć dni.

Składa go na pół i wsadza w książkę, .

— Żal mi żegnać się z tym miejscem — mówi, zachęca, żebym usiadł.

Nie wiem, co odpowiedzieć, mam wrażenie, że wyglądam idiotycznie z tym współczującym uśmiechem. Za drzwiami Maciek warczy o trupach i wielkim ogniu, z twarzy księdza Grzegorza wyziera czysta groza.

— Nie wiem co robić. Po co to wszystko? Ta nieszczęsna impreza. To mój pogrzeb, czy ty mnie rozumiesz?

Za tydzień Joe z kolegami zorganizował bal charytatywny na leczenie.

I ono i bal — bez sensu.

— No nic, przynajmniej napijemy się wódeczki — znajduje takie pocieszenie. Wyjmuje koniak, polewa mi, a ja nie jestem pewien, co

naprawdę chce mi powiedzieć — taki to urok — słyszę — już nie muszę się martwić. Już mogę pić w spokoju.

Ale tylko moczy usta.

Wydaje się teraz mniejszy i nieskończenie kruchy, jak drzewo wydrążone przez piorun. Zaczyna mówić, zupełnie bez sensu, za to coraz szybciej. O tym, jak był młody i wierzył, że boże miłosierdzie jest nieskończone. Potem zmienił zdanie. Tak jest uczciwiej, sądzi. I dalej, obawia się nie tylko piekła, ale i rozgrzebania przez Boga. Słucham o wyjmowaniu z człowieka każdego złego uczynku, rozsmarowywaniu go i preparowaniu, takie grzechy mają wisieć na suchych gałęziach, w lesie szubienic, na sali sądu.

Taki trup, mówi, zna tylko straszne słowa. Biorę się na odwagę. Co zrobiłeś, księżu Grzegorzu.

— Nic, czego nie robilibyśmy wszyscy — odpowiada i zaraz dorzuca — liczy się także to, o czym myślę i co muszę zrobić.

Pijemy dalej, on ledwo może, więc wlewam w siebie butelkę. Tu każda okazja, by chlapać za darmo, jest na wagę złota, nawet jeśli mówimy o wyroku na sąsiada.

Ksiądz Grzegorz się natężył, na przemian blednie i czerwienieje. Chce iść do kościoła, modlić się, rozpaczliwie Boga mu trzeba, w zamian proponuję siebie. Mówię. I jakoś rozplątuję się w tych słowach, mówię te emigracyjne brednie, że przyjadę do niego na Śląsk, jak tylko wrócę do Polski. Pięć miesięcy, obietnica życia. Uśmiecha się smutno, a ja już rozumiem, co go dręczy. Grzegorz boi się bólu. Rakowego konania. Woła go sznur.

— Nie wiem, jak to zniosę — mówi.

Pieprzę coś o farmakologii i uśmierzeniu, dopijam butelkę.

— To nie tak — Grzegorz ściska mi rękę na pożegnanie. — Przywyknę się i pogodzę, tylko potrzebuję czasu. Moje nadzieje, cóż, runęły, jakoś trzeba nad tym przejść do porządku dziennego.

Stoję w progu. Coś jeszcze przychodzi mi do głowy.

Za oknem leje jak z cebra. Jeśli ksiądz Grzegorz wybiera się do kościoła, ma moją pomoc. Postoję w sieni, poczekam. Jest naprawdę wdzięczny za tę propozycję, odmawia. Jutro też jest dzień.

Zamykam drzwi i wlokę się do pokoju. Maciek akurat wychodzi od siebie.

— Kler — warczy — Chrystus już o nich zapomniał.

Zamykam się u siebie, zaraz zawracam do łazienki, puszczam zdrowego pawia, aż łzy z oczu ciekną. Płuczę usta zielonkawym płynem, paskudny posmak znika, wracając po schodach mam zawroty głowy. Aleś się, facet, urządził księżowskim poczęstunkiem.

Słyszę łomot, ksiądz Grzegorz miota się od ściany do ściany, nie mam siły mu pomóc i walę się w ubraniu na łóżko, wiem, że zasnę, nim zdołał o spaniu pomyśleć.

*

Alkohol podniósł ciśnienie, budzę się przed trzecią, wściekły perspektywą nadchodzącego dnia, koło południa będę słaby i nędzny. Teraz mi dajcie młot ze szlifierką, zrobię wszystko na cacy. Mógłbym biegać po tym cholernym Middletown, ale lecę tylko do klopa. Cisza. Spod drzwi księdza Grzegorza bije mdłe światło. Przypominam sobie, jak się tłukł. Pukam. Nic. Otwieram: nic ponownie, puste łóżko. Sprawdzam jeszcze raz łazienkę. Wiatr chyba się wściekł. Wali deszczem.

Przez okno u siebie widzę ciemny kościół świętego Jerzego.

Przekopuję pokój w poszukiwaniu czegoś do picia. Płyn waniliowy, dobre i to. Gapię się znowu, zachodząc w głowę, gdzie podział się ten nieszczęśliwy dureń i nagle go widzę — wysuwa się z kościoła od strony zakrystii, na łbie na kaptur, lecz wiem, że to on. Ledwo idzie, tak wieje, zaraz się potoczy w dół drogi.

Targa coś w obu dłoniach. Siatkę i coś w tej siatce. Przyciska ją do piersi, przebiega przez ulicę, już stoi pod bramą, gapi się na kościół, potem na siatkę i chowa ją pod płaszczem. Przekręca klucz. Pędzę pod drzwi.

Ksiądz Grzegorz kluczy po schodach, przemyka niczym złodziej i pewno jest złodziejem, tak się pilnuje, żeby nie wleźć na Maćka. Bezgłośnie znika w swoim pokoju. Gasi światło.

Cokolwiek zrobił, to nie moja sprawa. Ani mi w głowie pytać.

*

Adrian pruje, ile fabryka dała, drogą podporządkowaną. Jego wielka toyota mogłaby taranować brontozaury.

Jedziemy do niego, jest robota. Adrian opuścił szybę, wywalił opalony łokieć, wiatr wpada mu pod polar.

Opowiada.

O tym, jak było ciężko, kiedy przyjechał w osiemdziesiątym piątym, czterdzieści dolarów w kieszeni (Joe miał dwadzieścia, czyli jest jeszcze dzielniejszy), w pokoju miał karaluchy rozmiarów szczura, a szczury wielkie jak nie wiadomo co.

O pierwszej pracy na farmie: dwanaście godzin dziennie, tango z dynią i kukurydzą.

O tym, że Chris to dobry chłopak.

Niepełnosprawni, zdaniem Adriana, wyróżniają się szczególnym rodzajem dobroci: Bóg pomieszał im w zmysłach, by mogli karmić gołąbki.

— Zawsze chciałem takie auto — informuje mnie Adrian, świadom, że o Chrisie dowiem się jeszcze tego i owego — duże, masywne. Wszystko, co ważne w aucie, tu jest. Wspomagane kierownicy. Inaczej połamałoby mi ręce. Znałem cwaniaka, co się z tym próbował. No, nie podłubie sobie w nosie, ha! Automat. Niektórzy to gadają, że ręczna zmiana biegów to jest to, gdzie tam, patrz, jak sobie jedziemy. A wiesz co najważniejsze jest? No, wiesz?

Mógłbym odpowiedzieć, że silnik, ale mówię felgi, niech Adrian się śmieje. Część gry.

Pracodawca musi być zadowolony.

Adrian wyjmuje elektroniczny klucz, stuka nim w drzwi poniżej szyby.

— Centralny! Jak on działa, to wszystko zagra jak trzeba. Mówili mi o takim gościu co kupił sobie Caddilaka. Każdy cep z Polski marzy o takim, będzie wtedy, kurwa, Amerykaninem pełną gębą, jak Schwarzenegger. Jakoś im szło, żona robiła w hurtowni perfum, on na kontraktorze i rozbijał się tym caddilakiem, prędko też znalazł sobie Murzynkę i zaczął posuwać. W cadillaku, ma się rozumieć, aż pewnego pięknego dnia żona go nakryła razem z tą czarną flądą. Nie wiem, czy chcesz słuchać, bo to straszna historia.

Mówię, że chcę.

— Więc on posuwa swoją czarną, aż się auto buja w krzakach, a tu nagle bęc, centralny zatrzaskuje się i nie chce puścić. Gościu gapi się na swoją ślubną, ślubna ma kluczyk, a on, rozumiesz sam, ma ogon w tej czarnej. Trudno coś powiedzieć. A żona tylko cisnęła zapalną. Łapiesz? Wcześniej zwlokła z roboty od siebie tyle perfum, dezodorantów,

sprejów, ile mogła dźwignąć, zniosła pod samochód, oblała rozpuszczalnikiem i czekała. Poszło z dymem. Facet, murzynka, cadillak. Mówię, nie ma jak dobry zamek centralny, co nie?

— Rzeczywiście — zgadzam się — to straszna historia.

*

Nie rozumiem kalek, nie lubię ich, ale za to się boję.

Chris wygląda, jakby planował skoczyć mi na plecy.

Powinienem zdobyć się na współczucie, czy choćby zrozumienie jego niewesołego losu, a chcę, żeby zniknął.

Opiekowanie się śniętym kolosem, dzień w dzień, to mordęga bez perspektyw, ledwo przeczuwam rozmiar takiej tragedii. Ludzie muszą wzrastać i przekształcać świat. Zdobywać nowe lądy, kupować większe telewizory i przeglądać się w dzieciach. Też mi odbicie. Zaśliniony cap.

Adrian i Kate-Katarzyna muszą mieć własną przestrzeń i pewno pieprzą się jak króliki, w gumie i pod tabletką, przerażeni, że spłodzą drugiego potwora. Lubią też wyjść, jak teraz, do kina i kawiarni, tylko Chrisa, z niepojętych przyczyn, nie sposób zostawić i na piętnaście minut. Podobno raz się pociął, w istocie, ma stare blizny na rękach. Uważam, że schowana, najzdrowsza część tego palanta chciała zakończyć ten ponury cyrk. Teraz Kate-Katarzyna z mężem balują pod Bostonem, a mi przypadł Chris.

\Dostanę sto dolców. Nieźle, nawet jak na zasraną sobotę.

Mogę korzystać z komputera, czytać książki i palić papierosy. Chris siedzi na wózku i gapi się w telewizor. Nie umie używać pilota, warczy, gdy znudzi mu się program. Lubi zwierzęta, pasjami kocha choopersów, tych wąsatych kulturystów przerabiających motory na dzieła sztuki, a najbardziej teledyski. Wysoki, płaczliwy pisk oznacza, że domaga się piosenki. Nie rozumie tylko, że nie sposób jej przyspieszyć ani zwolnić. Uwielbia raperów, reaguje płaczem gdy Snoop, 50 Cent czy inny orzeł kończy swój występ. Chce od początku.

Muszę go trzymać za głowę. Delikatnie, aż się uspokoi.

Kate-Katarzyna uważa, że należy do niego mówić. Byle co, najlepiej po angielsku.

Angielski dla Chrisa jest przyjazny, kojarzy się z tym, co dobre wokoło: motorem i rapem o zabijaniu. Mam to za kompletną bzdurę, ale znudzony nawijam coś o Polsce, filmach, mojej dziewczynie. Nie odrywa

wzroku od telewizji.

O ósmej mam mu podać kolację. Wcześniej sprawdzam pampersa, modląc się, by dramat większy został mi oszczędzony.

Chris reaguje gniewnie, nie chce, bym ściągał mu spodnie, cały czerwienieje i wali pięściami w podłokietniki. Mimo swojego kalectwa jest straszliwie silny. Boję się. Ujmuję za skronie, pozwalam się wypłakać i grzebię w pielusze. Mokro, ale się nie zesrał. Niech Kate-Katarzyna mu zmieni, jak wróci.

Jak na mnie, powinien wsuwać kleiki dla kosmonautów. Jednak wrzucam frytki do piekarnika, odsmażam hamburasa i kroję na drobne kawałki. Chris wpieprza, aż mu się uszy trzęsą, siorbie colę przez słomkę. Strasznie długo to trwa. Część jedzenia ląduje na jego koszuli, zapomniałem śliniaka i muszę to zetrzeć.

Przeraża mnie myśl, że Chris zacznie się popisywać. Zwali sobie konia albo będzie chciał się tulić. Szczęściem, zastyga przed telewizorem. Nadają kawałek Gwen Stefani i chłopak rozczuła się momentalnie. Kocha ją jak nic i zaczyna grzebać w spodniach. Walę go po łapach, próbuje raz jeszcze, raz jeszcze obrywa.

Jego oczy rozpala wściekłość tępego zwierzęcia, kłapie paszczą, chce mnie ugryźć.

Chwytam drania za skronie: spokojnie, mówię, nie zrobię nic złego. Troszczę się o ciebie. Jestem przyjacielem. Jestem prawie jak mamusia i tatuś, smętny bucu, więc mnie nie kłóś, zrobiłem ci coś złego? Chris patrzy ponad moją głowę, Gwen wykrzykuje what you waiting for? i znika, Rihanna wyskakuje jak diabeł z pudełka, a Chris zaczyna wyć pod samo niebo. Jego fioletowa mordą kojarzy mi się z gnijącym mięsem. Odpycha mnie gwałtownie, próbuje wstać, popędzić do telewizora i pewno wydrzeć z ekranu blondynę bez biustu, ale jest za słaby, pada na pysk. Wali głową o podłogę. Podtrzymuję go jak umiem, chwytam za czoło.

Gryzie mnie w nadgarstek. Głęboko. Szarpie.

Walę go w ucho, to puszcza, odskakuje, tracę równowagę. Ściskam się za przegub, który błyskawicznie robi się czarny.

Zostawiam Chrisa na podłodze. Zaraz go podniosę i wpakuję na wózek, zresztą, moja krzywda przyniosła mu ulgę. Już nie wyje, tylko chlipie cichutko.

W progu obracam się i zerkam na niego, chcę mieć pewność, że niczego nie kombinuje.

Chris leży na brzuchu i podnosi głowę. Patrzy na mnie z nienawiścią, zwierzę rozpanoszyło się w jego oczach, ale te oczy nie należą już do głupka. Łypie na mnie coś starego i cholernie sprytnego. Dwie jamy pradawnego świata.

Kręci mi się w głowie. Chris znów wybucha płaczem, leci mu ślina, cały się zasmarował. Ale mu nie wierzę.

Już nie.

*

Przywieźli cement na fundamenty. Dzieje się dokładnie to, czego chciałem uniknąć, szczęściem dwa amerykańskie miesiące pozbawiły mnie gówniarskiej hysterii, jęku nad sobą, przerażenia robotą, jest temat i temat trzeba spełnić. Mógłbym zresztą się wyłgać, napuchnięte przedramię boli, gdy odginam dłoń albo muszę dźwigać coś ciężkiego.

Drzwi prowadzące do kamienicy na Tremont Street zdemontowano. W głębi dwie dziury w podłodze, w nich drewniana, ledwo sklecona rynna, na dole dwa chłopcy, pewnikiem Janek Faja i Janusz „Łocie” szykują się do swoich zadań.

Na ulicę właśnie podjeżdża wielka fura, siedzi w niej ajrisz, wściekle rudy i zarośnięty, z szoferki wyskakuje zaaferowany Teddy.

Między pierwszą wyrwą a dziurami w głębi kamienicy rozłożono deski.

Tomek, ja, trzech innych trzymamy taczki w pogotowiu. Mokry cement nakładać będzie Sosna. Stoi z wielką łopatą i podpira się pod bok, jakby coś kombinował. Domyślam się, co będzie, jestem tu najkrócej i pewno zrobią mi jakiś numer.

Ruszamy. Sosna ładuje mi taczkę, pędzę co sił, kołysząc się na boki, jeśli się wywalę tu, na ulicy, będzie nieszczęście, a zwolnić nie mogę — minuta postoju kosztuje dziesięć baksów, Teddy stoi i liczy sekundy, mój pęd przekłada się na dolce w jego kieszeni.

No to lecę z tą taczką, kątem oka widzę, że inni mają prawie połowę mniej nałożone, Sosna naprawdę się stara. Kombinuję jak się odegrać, wpadam do kamienicy, do rynny, łapię oddech, już chcę wlewać, gdy z dołu dochodzi wrzask: „łocie, łocie”, drze się Janusz „Łocie”, widzę jego cień przez deski, odskakuje, „orajt”, woła i wywalam cement.

Tak w kółko.

Nie wiem, ile to trwa, może i tysiąc lat, ale nie odczuwam zmęczenia, teraz poradziłbym sobie nawet z chlorem i domem, tylko nadgarstek nawala, pędzę, kurs za kursem, aż wreszcie dochodzi do zmiany, teraz nakładam, Sosna będzie śmigał.

Nie jestem mściwy, ładuję uczciwie do taczki, tyle co innym.

To jeden z ostatnich kursów, twarz Teddy'ego gorzeje, ajrisz w szoferce uśmiecha się i ćmi peta. Sosna już wraca z taczką, ładuję najszybciej jak umiem, a Sosna mknie co sił, odprowadzany przez srogi wzrok szefa, nagle, o szczęśliwa sekundo, jego nogi się płaczą, taczka przeważa i leci na bok, Sosna mobilizuje siły, próbując zapobiec nieszczęściu, taczka go ciągnie i lądują razem na amerykańskiej ziemi. Mokry, ciepły cement zachlapuje Tremont Street, Teddy wybałusza oczy, a Sosna jest już na nogach, chwytą łopatę i zaczyna sprzątać.

Kończy pół godziny później, kiedy my już siedzimy na zapleczu, jemy brudnymi rękami i gadamy jeden przez drugiego. Tylko Janek Faja milczy, pali bez użycia rąk. W Polsce robił na złomie.

Janusz „Łocie” pieprzy jak zwykle o tym, jak nienawidzi komunistów, wyklina premiera Millera, wspomina wszelkie nieszczęścia z lat osiemdziesiątych: zaszczuty, udręczony. Sosna wchodzi, otrzepuje ręce, rzuca otwartym tekstem:

— Co ty, Janusz, pieprzysz, przecież jeździłeś na dryndzie.

Ale jest podpalony tym cementem, a ja wiem swoje. Janusz „Łocie” coś nawywijał w Polsce i musiał czmychać za Atlantyk. Co dokładnie, nie powiedzieli, pewno długi. Janusz „Łocie” próbuje zażegnać niemiłe wrażenie i pokazuje nam fotografie domu, który buduje pod Nowym Targiem, chwali się nowymi dachówkami. Wodzi po nich kikutem palca.

Chcę puknąć się w głowę, powiedzieć, Januszku, siedzisz w Stanach dwudziesty rok, na nielegalu i nigdy już nie wrócisz, nie zobaczysz domu ani żony, zresztą, na co ci żona, ciesz się swoją mulatką. Mam to na końcu języka, tak rozpiera mnie poczucie tryumfu nad Sosną, jednak, w drogę wchodzi mi dwóch gości w porządnych garniturach. Zatrzymują się na progu, ten wyższy rzuca w naszą stronę.

— Immigration!

Robi mi się zimno. Chłopy wybuchają śmiechem, taki żart, za nimi materializuje się Teddy, targa wódkę i plastikowe kubeczki.

Goście w garniakach zamieniają z nim parę słów, oceniają postęp na budowie, odmawiają poczęstunku. Gromadzimy się wokół zaimprovizowanego stołu, Teddy leje hojnie i to mi się podoba. Przegoni człowieka, lecz nie jest niewdzięcznikiem.

— Ty, Middletown, Piotrek Mokry, wiesz, który to jest?

Odpowiadam, że wiem i to dobrze, pracowałem u niego na domach. Teddy robi kwaśną minę.

— Muszę cię zmartwić — powiada. Tomek i Sosna nadstawiają uszu.

Dziś rano Piotrek czuł się jak młody bóg, walnął kawę, poszedł biegać i padł na pierwszym zakręcie. Zabrali go do szpitala i jak Teddy rozmawiał z żoną, już prawie było po nim. Płuca, coś dziwnego w nich pękło, tak, że skosiło chłopa w jednej chwili.

Teddy nalewa nam wódki. Sosna stoi chwilę otępiały, zaczyna się trząść i wybiega na ulicę.

*

Piotra mają chować na cmentarzu w Middletown. Przerażony ksiądz Grzegorz informuje mnie, że to on ma odprawić mszę i pożegnać przyjaciela, nie wie, jak sobie z tym poradzi, nie umie nawet sklecić słowa, cały czas wyrzuca sobie, że za mało rozmawiali.

O śmierci Piotra krążą dziwne opowieści. Jedną przynosi mi sam ksiądz Grzegorz, wygląda zresztą jakby ją targał przez całe miasto na własnych plecach. Widzieli Piotra szykującego się do biegu, miał zwyczaj drałować parę kilometrów szybkim truchtem, nic nie wskazywało na taki koniec, aż stanął, dotknął klatki piersiowej, jakby usiłował coś z niej wygrzebać, nagle runął na klęczki, splunął czymś białym, od szyi do brzucha poszła mu sucha rana. Pęknięcie takie, że można pięść wsadzić. Padł martwy na ulicę, nic nie miał w środku. Wydmuszka, nie facet.

Diabeł go wziął, rzuca Maciek, nie zwalniając kroku. Z diabłem tak jest, co jego, to weźmie. Oto się zaczyna.

Sosna rozmawiał z żoną i dziećmi. Nawet nie próbują się trzymać. Sosna to negadatliwy facet, musiał się urznąć, żeby puścić farbę, jąkał się i dukał. Piotrek runął, jakby mu nogi podcięto i próbował pełzać. Zwierzęta: ptaki, wiewiórki, szczury i psy zgromadziły się wokół niego. Dziesiątki. Szarpały ciało, próbowały dziobać.

Dzwonię do Joego, nikt nie odbiera.

Na parę godzin przed pogrzebem Tomek przylatuje z inną rewelacją.

Żadne tam płuca, rany, zwierzęta. Piotrka zabili. Dostał z kuszy sportowej w sam środek serca, bełt wszedł po grot, nawet krew nie pociekła. Kto go kropnął i po co, nikt nie wie, za to policja gania jak głupia po całym Middletown, przyjechali funkcjonariusze z Bostonu, zaraz nas wszystkich rozpieprzą.

— Szczęście w nieszczęściu — rzecze Tomek — zabiorą się za firmę, miesiąc wcześniej, a byłaby deportacja jak nic.

Nie wiem, czy u Piotra są jakieś ślady mojej aktywności. Rachunki, czy coś. Gliny nie są głupie, prędzej czy później trafią do klasztoru, kto wie, może nawet wezmą w obroty Teddy'ego i resztę ferajny.

A jeśli to prawda, z tą kuszą? Polacy się mordują.

— Żadna tam kusza! Diabelski szpon — wrzeszczy Maciek.

Ksiądz Grzegorz nie panuje nad sobą.

— Wracaj do swoich płotów, durniu skończony — gromi go, Maciek cały tężeje i przez moment mam pewność, że będzie nieszczęście. Ale nie. Ksiądz boży człowiek, nie do ruszenia.

— Powinienem był wyjechać wcześniej — mówi, jakby to była jego wina.

No i mamy ten pogrzeb, dmie wiatr z rzadkim śniegiem.

Stoimy na malutkim cmentarzyku, w polskim zaułku, pod brzozą i topolą. Drzewa są nagie, wyglądają, jakby nigdy nie miały zazielenić się na nowo. Chris w garniturze, na wózku, wygląda dwa razy głupiej niż zwykle, Adrian i Kate-Katarzyna stoją blisko siebie. Sosna, Tomek, wszyscy, bez Joe. Nie mogę wypatrzyć grubasa, za to Irena cała się trzęsie, można sądzić — ona, a nie Piotrek, idzie do piachu.

Czuję się niezręcznie, niepotrzebnie, powinienem zostać w domu. Piotr ledwo mignął w moim życiu.

Księża Grzegorz i Mirek kłócą się na boku. Wygląda to nawet zabawnie, jakby spierali się o to, który ma powiedzieć parę słów nad grobem. Mirek wymachuje łapami, czerwienieje i dyszy, Grzegorz punktuje go palcem, uspokaja.

Żona Piotrka wydaje się zupełnie spokojna i pogodzona z losem.

Ksiądz Grzegorz mówi parę słów nad grobem: śmierć Piotra spowodowała w świecie wyrwę nie do naprawienia. Irena szlocha i to tak, że słyhać ją przez wiatr i głos Grzegorza. Jest sama, przeciskam się do niej, wpada mi w ramiona. Nie mam nawet chusteczki. Irenie torebka

leci z rąk, podnoszę, wolną ręką chwytam tę zapłakaną kobietę, odciągam aż za cementarny mur. Rozglądam się za miejscem, gdzie można by usiąść. Do samochodu. Szukam słów pocieszenia, zastanawiam się, co łączyło ją z Piotrkim, a Irena krztusi się, mówi:

— Joe.

Co z Joe, Chryste Panie, co z nim.

Joe leży u siebie w salonie, urżnięty w trupa.

— Powinien być tu, przy tobie — zgadzam się, prostuję sytuację — ale zrozum człowieka choć trochę, stracił kumpla.

— Co tam kumpla! Dom stracił — woła.

I opowiada. Joe przeinwestował i cześć pracy, bankiabrały już domy na Florydzie i szykują się na ten w Middletown. Za długo zwlekali ze sprzedażą, potem Joe poszedł w zaparte i nie spuścił z ceny, czarował, że wszystko będzie dobrze, Irena nie wiedziała. Wczoraj gruchnęło. Joe sobie nie radzi. Urżnął się, mówi Irena, jak nigdy wcześniej, i niszczył wszystko, co mu podeszło pod drąga. Ściany. Meble. Telewizor. I darł się, że jak bank ma brać, to niech bierze takie, rozpierdalone. Padł, od rana pije na nowo.

— Wiesz jaki on jest — Irena ociera łzy — pijak, furiat, ale ma złote serce.

Po tych słowach nie mam siły doradzać jej rozwodu.

*

Dzień pełen niespodzianek nie kończy się z zapadnięciem zmroku.

Wpada do mnie ksiądz Grzegorz z gorącą głową. Siada i mówi, że znamy się krótko, ale porządny ze mnie chłopak. Po tych słowach szykuje się na najgorsze i rzeczywiście, ksiądz chce, abym coś dla niego zrobił.

Wyjmuje karteluszek i wkłada mi go w dłoń. Dodaje mały kluczyk.

— To do skrytki na lotnisku w Bostonie — słyszę. — Mam drugi. Dorobiłem specjalnie dla ciebie.

Zamyka mi palce w pięść.

— Nie rozstawaj się z nim ani na moment. Numer najlepiej zapamiętaj, kartkę zniszcz.

— Księżu Grzegorzu — ważę słowa — chętnie pomogę, ale muszę wiedzieć, co jest grane. Nie wejdę w ciemno. Nawet dla księdza.

Uśmiecha się kwaśno.

— Nie chcę od ciebie niczego szczególnego. A może tak. Wyjeżdżam

we wtorek, po zabawie — zaznacza, przypominam sobie, że w sobotę ma być bal polonijny ze zrzutką na zdrowie księdza Grzegorza. — Jeśli wyjadę, klucz wyrzucić i o wszystkim zapomnij. Mnie też. Wywal mnie ze swojej pamięci, jak ten klucz i tę rozmowę.

Kiwam głową. To da się zrobić.

— Jeśli nie wyjadę, jeśli... cokolwiek mi się stanie, pojedziesz do Bostonu.

— Pracuję w Bostonie.

— Jeszcze lepiej. Po pracy pójdziesz na lotnisko, tam są skrytki.

— Co jest w skrytce?

Ksiądz Grzegorz cały się poci. Przypomina mi szczura zagonionego w ślepy kanał.

— Rzeczy osobiste. Nic szczególnego. W torbie. Nie śmiesz tam zajrzeć, jakby cię nie kusilo. Zabierzesz torbę ze sobą i ją wywalisz. Słuchaj teraz, to najważniejsze. Nie śmiesz jej zanieść między ludzi. Nie wolno, pod żadnym pozorem. wywal ją do oceanu. I zapomnij. Jak mnie, jak całe to miasto. Nic ci nie grozi — uspokaja się, kładzie swoją dłoń na mojej — nie narażałbym cię na nic niebezpiecznego.

Wstaję. Na oczach księdza Grzegorza czytam kilkakrotnie kartkę z numerem i drę ją na drobne kawałeczki. Kluczyk przypinam do smyczy u spodni, niknie między innymi.

— Co jest w skrytce? — pytam.

— Torba. Rzeczy osobiste. Nie musisz wiedzieć.

*

W drodze na lotnisko obiecuję sobie, że tylko zajrzę do torby. Cokolwiek tam jest, włożę z powrotem do skrytki.

Ludzie przypominają teraz duchy, leniwe tłumy wylewają się z terminali, suną za szybami, rozprostowują upiorne kości. Ci bliżej zerkają na mnie spode łbów, wloką za sobą torby i brzdące, powietrze brzęczy, przypominam sobie niejasno, jak tu przyfrunąłem, i zaraz nabieram ochoty, by olać, uciec, wpaść do pierwszego lepszego samolotu. Heja i mnie nie ma.

Znajduję właściwą skrytkę, przekręcam kluczyk i czuję się jak na filmie z lat osiemdziesiątych. Brakuje tapirowanych dziewczyn, tapirowanym dziewczynom, których i tak nie ma, straszliwie brakuje biustów, za zaraz zhaltują mnie policjanci.

W środku mogą być dragi. Jeszcze lepiej, jakieś lekarstwa nielegalne. Albo spluwa. Grzegorz umyślił palnąć sobie w głowę.

Skrytka jest głęboka. Zerkam przez ramię i daję głowę, że wszyscy patrzą prosto na mnie. Miękka skóra torby, szeroki pasek, szarpię i omal nie wypuszczam, spodziewałem się czegoś ciężkiego. Pod pachę, drzwiczki trzask i szybkim krokiem wychodzę na zewnątrz, odprowadzany przez tysiące spojrzeń. Te ciekawskie spojrzenia palą mnie w plecy. Wyganiają dalej.

Macam torbę. Coś podłużnego, starannie owinięte.

Na parkingu nikt nie zwraca na mnie uwagi. Są kamery, wiem i próbuje wyglądać jak człowiek, tłumaczę sobie, że ksiądz Grzegorz jest księdzem Grzegorzem, właśnie — poczciwym chłopem, który nad grobem próbuje naprawić własne winy. Mówi ładne kazania, pije, uśmiecha się do polonii.

Gdzie tam. Ksiądz z lat osiemdziesiątych, Bóg wie, w co uwikłany. Bezpieka, morderstwa, msze.

Przed nosem przejeżdża mi Chrysler, jakiego świat nie widział.

Otwieram torbę, jest tam coś, owinięte w szmaty. Rozwijam, nie szmata, ale koszula, czarna. Wypada koloratka, zapominam o niej, nim sięgnie ziemi.

Trzymam kość przedramienia, na wpół spaloną, czarną.

A żebym nie miał wątpliwości, po jakim stworzeniu są te szczątki, jest jeszcze czaszka z oczodołem i kawałkiem ludzkiej szczęki.

Niewiele myśląc, zawijam gnaty w koszulę, całość do torby i pędzę w stronę skrytki. Układam sobie jakieś durne opowieści, tłumaczenia i zgrywy. Z amerykańską policją nie ma żartów, to nie Polska, nie powiesz „spierdalaj”. Przekręcę kluczyk i ciskam torbę tam, gdzie była. Odejdę. Ksiądz Grzegorz jedzie we wtorek.

Nic się nie stało i nic się nie stanie.

*

Próbuję złapać księdza Grzegorza, ale gdy wreszcie wpadamy na siebie, tracę ochotę na rozmowę. Grzegorz jest tylko cieniem człowieka, suchym i chudym. Drżącymi rękami szykuje sobie zupę w jadalni.

Za to wpada ksiądz Mirek i mówi, że jestem potrzebny. Dzwonią za mną cały dzień: Adrian i Kate-Katarzyna. Grzegorz odprowadza mnie smutnym wzrokiem, jakby planował zabrać mnie ze sobą na stracenie.

Mirek wtyka mi komórkę w łapę, pytam, co się dzieje.

Chris wyje od paru godzin, nie chce przestać, nie zje, nie zaśnie. Wywrzaskuje moje imię, mam przyjść. Wietrzę interes i mówię, że nie mam czasu, jestem zryty po budowie, chcę przespać się i odpocząć przed zabawą. Zaraz utargowałem sto dolców. Proszę księdza Mirka, żeby dopuścił mnie do komputera, nie chce się zgodzić, w końcu mięknie, prowadzi do gabinetu i staje nade mną jak kat. Wielki monitor. Komputer chodzi bezgłośnie.

Sprawnie znajduję klipy Gwen Stefani, zgrywam na płytkę, dopycham No Doubt i gotowe.

Zawiózł mnie Mirek.

Piękny dom Adriana i Kate-Katarzyny jakby w żałobie. Ciemne okna, bałagan na podjeździe.

W progu witają mnie graty, popakowane w pudła. Miga mi jakiś kocmołuch, pewno zabiedzona Polka, którą wzięli do pomocy.

Adrian ściska mi rękę, pytam, co się dzieje. Wzrusza ramionami: powoli szykują się do przeprowadzki, dom za duży, za drogi, do tego Chris nie radzi sobie w jego labiryntach. Przeinwestowali trochę, pora przenieść się do jednopiętrowego. A wcześniej — wyprzedaż. Szkoda wyrzucać graty.

Pozdejmovali nawet obrazy i szable. Stoją pod ścianą, gotowe do wywiezienia.

— Każdy grosz się przyda — woła kocmołuch, w którym, zdumiony, rozpoznaję Kate-Katarzynę. Krząta się, ubrana w workowate spodnie i dresową bluzę, tłuste kudły oblepiają pociętą bruzdami twarz. Pcha przed sobą Chrisa. Ten wyrywa się do mnie, mało z wózka nie zleci.

Obejmuję go. Dyszy mi w kark. Wyje, jęczy, łka, tarza się po całym wózku.

Jak mnie walnął w czoło, to zobaczyłem wszystkie gwiazdy.

Wraz z Kate-Katarzyną pchamy durnia do salonu. Tam wszystko popakowane. Gołe półki. Zwinięty dywan. Obok telewizora stoi przygotowane pudło. Montuję płytkę w odtwarzaczu, puszczam i Chris natychmiast się rozaniela.

Pół godziny później trwa niedocof-party jak ta lala. Siedzimy w salonie, przed telewizorem, popcorn i marshmalaki zapijamy dietetyczną colą. W telewizorze nieustannie przewalają się te same klipy. Gwen płąsa,

ile wlezie, a Chris rozpływa się z radości. Wali dłońmi o uda i pluje przed siebie. Chce mi przybijać piątki. Tuli.

Adrian i Kate-Katarzyna dyskutują gwałtownie w przejściu. On chce, ona nie, tłumaczy i Adrian ustępuje.

Telewizor zostaje.

A śmiech Chrisa brzęczy, rozlewa się po opustoszałym salonie, wali mnie po uszach, jest w nim dziecinna radość i przeczucie śmierci.

*

Zabawa przypomina stypę, jakby ksiądz Grzegorz już poszedł do ziemi.

Przybywam spóźniony, spóźnienie jest zaplanowane. Piwo na zabawie kosztuje cztery dolce za kufel, wyduldałem dwa butelki steel reserve i pod klubem polskim, w parafii świętego Jerzego, melduję się całkiem zrobiony.

Przed wejściem paru smutnych kurzy szlugi, wśród nich Sosna, macha do mnie.

Samochody w dwóch rzędach, pod rozbitą latarnią. Przypominają swoje własne, zmotoryzowane duchy. Ubite reflektory. Tylna szyba pęknięta na całej długości, spieprzone zawieszenie, odchodzący lakier. Przypominam sobie, że jeszcze dwa miesiące temu było tu jak w salonie. Nic to, myślę sobie, kupuje wejściówkę za pięć dolarów i wbijam się do środka.

Tam niespecjalnie wesoło.

Więcej, przede mną rozkręca się prawdziwy festiwal przejebania.

Ponura polonia siedzi przy skromnie zastawionych stołach, pije tanią wodę, mało kto tańczy, Darek zwiesił nos na kwintę, nie pozwolono mu śpiewać. Na niskiej scenie daje czadu polski zespół Orion, ściągnięty specjalnie na tę okoliczność. Dwóch starych gości rzępoli na klawiszach, dziewczyna, młoda i ładna, śpiewa jak umie i ziewa między szlagierami. Nad nimi wisi prostokątna ścierka z wypisaną nazwą zespołu i numerem telefonu. Za barkiem stoi Kate-Katarzyna, obok Chris kiwa głową na prawo i lewo. Zamawiam butelkowanego Heinekena i nim dojdę, przy którym stoliku najlepiej się schować, dopada mnie Joe. Ma na sobie mniej złota, straszy siwymi odrostami. Próbuje być sobą, klepie mnie, jakby nic się nie stało.

Co jest, Joe, pytam, podobno nie najlepiej u ciebie.

Pociąga browara. Mruży oczy, spogląda po kobietach, cmoka.

— Nic, czego bym nie przerobił — próbuje się uśmiechnąć. — Chłopie, pamiętam jeszcze, jak lodówkę ze śmietnika wygrzebywałem. Mieszkaliśmy z Ajriną w pokoju dwa na dwa.

— Wiem, Joe.

— I żaden bank mnie nie położy. Poprosiłem, wiesz, o dwa miesiące. Sprzedam jak nic tamte dwa, jeden mnie ratuje. Będzie dobrze.

— Obniżyłeś cenę?

— A co, kurwa miałem robić — ściska mnie jeszcze i odpływa w tłum — ja bym się nie podniósł?

Niknie między polonią.

Paru polewa wódkę spod stołu. Ku mojemu zdumieniu Chris próbuje tańczyć na swoim wózku, Kate-Katarzyna wiruje z nim po parkiecie. Chris klaszcze w dłonie i się śmieje.

W rogu, przy szatni, zebrała się rada melepetów: Adrian, Darek, który przyjmuje płaszcze i ksiądz Mirek. Splata ręce na brzuszku, srebrny różaniec błyszczy mu wokół palucha. Nagle wpada Teddy, rzuca płaszczy, pędzi po drinka i dołącza do tamtej trójki, zaraz zaczyna machać chudymi ramionami, coś tłumaczy, nie zgadza się i chce w mordę dać.

Chciałbym się ukryć. W zamian ląduję przy ponurym księdzu Grzegorzu. Milczymy przez chwilę. Zachodzę w głowę: domyślił się, czy nie? Nic na to nie wskazuje, zagaduję zwyczajnie, jak się ma, co u niego.

— Szkoda, że nie jest już wtorek — odpowiada.

We wtorek poleci.

Opowiadam mu o sobie, jak to wszystko powinno wyglądać. Niedługo Boże Narodzenie, Nowy Rok i już z górki, bilet mam kupiony na osiemnastego marca. Odkładam tysiąc dolarów miesięcznie, czyli wrócę do kraju z szóstką, niezła kasa, choć dolar na łeb leci, poukładam sprawy z Kaśką, może nawet się hajtniemy, kochasz ją, pyta ksiądz Grzegorz, kocham, odpowiadam po chwili wahania.

Ameryka gładzi wątpliwości.

Wspominam Kasię, jej złości i jej biodra, w głowie rozpycha mi się jednak kość i fragment oczodołu. Nie umiem ich wygnać. Dopijam piwo.

— Jesteś za młody — mówi nagle ksiądz Grzegorz.

— Jesteśmy razem pięć lat — odpowiadam. I już rozumiem, że miał na myśli coś innego, a mnie krew zalewa, mało go nie trzepnę i to tak,

żeby sutanną się nakrył. Najpierw daje kluczyk, teraz gada to co gada. Bywaj zdrów, mówię i mam jasny plan.

Jak tylko Grzegorz wyfrunie do Polski, cisnę klucz na Tremont Street, do szybu windy. Zalejemy go betonem. Spokój.

Czarna kość, oczodół bez oka.

Spalony gnat.

„Zamawiam kolejne piwo i mam mocno w czubie. Zespół Orion ma problem — szmatka z nazwą i telefonem opadła, dziewczyna próbuje ją zawiesić, nie przerywając śpiewania. Czterech świętych: Teddy, Mirek, Adrian i Darek przerywa rozmowę i idzie w stronę księdza Grzegorza. Grzegorz wstaje, podaje każdemu rękę, nie słyszę, co mówi, ale musi ostro się motać. Szuka sojuszników, zerka w stronę drzwi.

— Kiedy znowu będziesz? — zagaduje mnie Tomek.

Nie wiem nawet, skąd tu się wziął. Cieszę się na jego widok, zresztą gęba mu się gniewa nad puszką budweisera. Opiera się o ścianę i snuje wielki plan: za rok ustawimy się i pokażemy polonii zabawy z prawdziwego zdarzenia.

— Ja znam didżejkę, a ty masz łeb na karku.

W naszą stronę zasuwa Chris. Żegnam się z Tomkiem i mknę na szluga, czuję się zaszczuty. Joe, Grzegorz, Tomek, każdy czegoś chce. Wypadam na zewnątrz, już z petem w łapie, deszcz wali mnie w ryja, siecze równo, pod daszek. Wycofuję się, pędzę w stronę klopa, a tu na scenę ładuje się Irena razem z Joem. Dziewczyna oddaje mikrofon i siada na głośniku, wąsate chłopcy pluskają po keyboardach, wyprężony Joe, naczelny dobroczyńca Middletown ogłasza, że właśnie zaczynamy wielką kwestę dla kochanego księdza Grzesia, który to i tamto, dużo zdrowia. Kości, myślę sobie, nie zwalniam. Irena wyjmuje puszkę z orłem i krzyżem.

Od toalety oddziela mnie kotara, idę prosto do męskiego, za drzwiami zatrzymuje mnie Darek. Co jest, pytam, a on nie pozwala przejść.

— Książ Grzegorz zasłabł — słyszę.

Jak zasłabł, to chętnie pomogę.

— Zasłabł, mówię, szczeraj, gnojku, za tancbudą.

Jakby inaczej to rozegrał, poszedłbym bez słowa. Ciskam zimnego szluga: czyś ty się, Daruś, z chujem na łby zamienił, do kogo ta gadka, weź

wypierdalaj na scenę wrzeszczeć te swoje bzdury. Pcham go w pierś, obiema dłońmi. Myślisz, że dasz mi radę? I Darek się cofa. Zerka za siebie. Dopiero w samej łazience próbuje się postawić, uderza niezdarnie, jakby bał się, że sobie kostki pogruchocze. Dociskam mi gardło przedramieniem. Drzwi ostatniej kabiny są otwarte.

— Oddam! Oddam! — to płacze ksiądz Grzegorz.

Puszczam. Darek osuwa się pod ścianą, z ubikacji wysuwa się ksiądz Mirek, Teddy, Adrian. Za nimi, na czworakach lezie ksiądz Grzegorz, zasmarkany, dłonie ma we szczytach.

— Co wyście zrobili, skurwysyny! — wrzeszczę, zapominając o Bożym świecie. I z całym światem bym się tłukł, jeśli trzeba. Daruś tylko się telepie, Mirek zdębiał, Adrian podnosi Grzegorza.

— Wylot masz! — krzyczy Mirek, jakoś niepewnie.

— A weź się goń!

Klękam przed księdzem Grzegorzem. Zabieram papier toaletowy. Ocieram mu twarz i dłonie.

— Musimy cię przebrać — mówię. Podnoszę go i zasłaniam sobą — może mi też wpierdolicie? — wstaję, odwracam się do Mirka — ty kutwo — mówię mu — wylot, tak? Zaraz będziesz miał gliniarzy na łbie.

— Wszyscy jedziemy na jednym wózku — chlipie Darek, który akurat ma najwięcej do stracenia.

— Wali mnie to — odpowiadam.

— Nie — prosi ksiądz Grzegorz. Chce, żebym dał spokój.

Teddy gryzie wargę. Chce, żebym pozwolił na stronę, jest spokojny, nie śmie mi w oczy spojrzeć, wiem też, że gdyby przyszło co do czego, z nim jednym miałbym kłopoty. Ksiądz Grzegorz otrząsa się i wychodzi, za nim reszta, miga mi znajomy kształt. Wózek Chrisa. Ten tu co?

Teddy odwraca się do mnie. Dłonie trzyma z tyłu.

— Piętnaście dolarów za godzinę — proponuje. — żadnych pytań.

Myślę przez chwilę. Dotąd zarabiałem osiem.

— Żadnej ciężkiej roboty.

Teddy smutno się śmieje.

— Sam maj.

Jest mi ciut głupio. Ogołocoony z odwagi. Do tego wytrzeźwiałem.

— Masz rację, Teddy, macie. Gównno mi do tego — zapalam szluga, kombinuję, jakby tu uratować godność — ale zostawiacie dziada w

spokoju. Wykorkuje bez waszej pomocy.

Potrząsa głową na znak zgody. Wychodzi. Przecież nie podamy sobie rąk. Dopalam papierocha, ciskam niedopałek, widzę siebie z boku, jako gościa, który ma równo dosyć wszystkiego. Zerkam jeszcze do kabiny gdzie sprali księdza Grzegorza, płuczę twarz i już mnie nie ma.

Na sali trwa cyrk.

Zespół rozśpiewał się na nowo, Joe z Ireną krążą od stolika do stolika po datki. Zerkam na banknoty. Zaskakująco skromne. Dziesięciodolarówki. Żadnych czeków, za to każdemu wstyd.

Kobiety gniotą się w cieniu, uderza woń tanich perfum.

Wóda aż szczypie w gardło, powodując mdłości, taka tania.

Wydaje mi się, że to sen. Ta sala trzeszczy niczym stary statek, nadyma się i zaraz pęknie, zespół Orion, teraz spowity sztucznym dymem, przypomina widmo, jakaś dawno pogrzebana orkiestra wylazła z topieli i nam brzdąka. „Agnieszka już tu nie mieszka”, kołyszą się do imion, trupich zewów.

Grzegorz tkwi osamotniony na swoim krześle, nie mam siły do niego podejść, nie powinienem, gdyby to mnie topili w klopie, unikałbym wszystkich. Zwłaszcza tych, co widzieli, pomogli. Więc piję tylko, przede mną wyrasta Irena z puszką. Już prawie koniec. Odliczam piętnaście dolców, po chwili wahania dorzucam jeszcze dziesięć.

Dostałem podwyżkę, mogę szaleć.

Na scenę gramoli się Joe. Przejmuje puszkę od Ireny i unosi wysoko nad głową. Pijany w pestkę, ma plamy pod pachami. Mało nie podskoczy. Dziewczyna z grupy Orion podtyka mu mikrofon, gdyby miał trzecią rękę, chwyciłby ją za cycki. Kochany księżu Grzegorzu, prosimy, księżu dobrodzieju, dziękujemy za wszystko.

Ksiądz Grzegorz, któremu jeszcze głowa nie wyschła, patrzy smutno. Nie chce. Ale sala już wyje, tupie nogami, nawet ten durny Darek kaszle i dopiero Teddy sprowadza go na ziemię. Nieszczęsny Grzegorz wolałby już do ubikacji, ale nie ma wyboru, wlecze się na tę scenę, chłopaki pomagają mu się wypindrać, ściska się z Joem.

Joe potrząsa puszką: popatrz, ile szmalu!

A Grzegorza rak tnie od środka, nieodwołalnie.

Grzegorz bierze mikrofon, przesuwa się na sam brzeg sceny, w stronę wiwatującej, pijanej polonii. Unosi rękę, ludzie ciut milkną,

czekają co to będzie, jakie słowa padną, co mądry ksiądz Grzegorz wymyślił, żeby im podziękować za klopa, dolary i dach nad głową. Grzegorz ma minę skazańca, niewidzące oczy, żuchwa mu klepie, już trzeba gadać i jak go znam, prosi Boga o maleńki cud, który pozwoliłby mu zamilknąć.

I cud następuje.

Przetacza się huk, na pewno nie odgłos burzy. Jakby ziemia pękła. Ludzie natychmiast milkną, gapią się na siebie. Ksiądz Grzegorz opuszcza mikrofon, puszka wysuwa się z pijanych rąk Joego i roztrzaskuje się o scenę.

Drzwi wejściowe otwierają się, pchnięte jakąś potężną siłą, do sali wpada wiatr, rozwiewa Grzegorzowe dolary, podrywa włosy, wytrąca flaszki z rąk, włosy jakiegoś faceta mkną pod sam sufit; biedak łapie się za łysinę. Czerwonawa luna rozjaśnia futrynę, próg, podłogę.

Jeden przez drugiego pędzimy na zewnątrz, kątem oka widzę, jak Joe zsuwa się ze sceny, za nim skacze cały zespół Orion.

Syk płomieni w deszczu, wielogłos języków ognia.

Pali się kościół pod wezwaniem świętego Jerzego. Trzaskają witraże, brama jest czerwona i zaraz padnie.

Przez moment wszyscy stoją bez ruchu, zakłęci nieszczęściem.

I nagle każdy gna w swoją stronę, już dzwonią komórki, baby wrzeszczą i tarzają się po ziemi. Ksiądz Mirek wyprzedza wszystkich, biegnie w stronę kościoła, odbija się od gorącej, niewidzialnej ściany. Zawraca, w biegu zdziera z siebie bluzę, pod spodem ma starą koszulkę red soxów, wyrywa Tomkowi pełne piwo, leje na bluzę, drugim browarem polewa sobie głowę. Z mokrym łachem na barkach pędzi w stronę płonącego kościoła, ludzie rzucają się za nim szerokim kluczem, pierwszy jest Joe, któremu tusza w ogóle nie przeszkadza. Razem z Sosną obalają księdza Mirka, przyciskają do bruku.

Ksiądz Mirek wyje pod samo niebo, jest głośniejszy niż wiatr, pożar i głodniejący dźwięk syren, wyciąga dłonie w stronę kościoła, pluje, wreszcie, nie powstrzymany, zaczyna bić głową o asfalt. Tomek, który wreszcie odzyskał zdolność ruchu, chwytą go w kleszcze, za czoło i szczękę.

*

Jest północ, migają niebieskie światła. Strugi z trzech hydrantów

polewają syczące zgliszcza kościoła świętego Jerzego.

Siedzę na schodach przed klubem polskim, trzymam pustą butelkę heinekena, skołowany i mokry. Ludzie wyją wokół, bardzo smutni.

Kościół świętego Jerzego przypomina szczątki wielkiego zęba. Dach zdążył runąć, połamały się mury. Ze środka, raz na jakiś czas, buchnie ciemnoczerwony płomień. Ogień jeszcze szaleje w piwnicach. Przysiada się do mnie Tomek, ma nadpaloną grzywkę. Podaje papierosy. Nie chcę.

— Jutro jadę — słyszę. — mam dosyć tego miejsca.

— Do Polski? — pytam. Wcale mu się nie dziwię.

— Do Nowego Jorku. Wsiadam w pociąg i cześć. Na chuj mi było do tego Middletown? Kto to w ogóle słyszał?

Nie mam nic do powiedzenia.

Wielki obłok gorącej pary przykrywa niebo.

Strażacy uwijają się z węzami, hydrantami. Ksiądz Mirek siedzi w karetkce, otulony w ręcznik dwa razy mniejszy niż wcześniej, ze smarkiem ciekącym z nosa wygląda nierzeczywiście, jak całe Middletown. Ludzi się naschodziło, Murzyni stoją w grupach, ich kobiety wyją głośniejsze niż polskie, mężczyźni wymieniają uwagi oraz szlugi.

— Jedź ze mną — rzuca Tomek — tam zawsze jest robota. Nie uświadczysz takich pojebów jak tutaj.

— Wszędzie są pojeby.

— Ano.

Milkniemy. Mrużę oczy, chyba wzrok mnie myli. Zgliszcza kościelne ruszają się teraz niczym mrowisko, może to drży gorące powietrze. Popioły przebija smolisty dziób, za nim wynurza się głowa, niby ptasia, ale rozmyta, o wielkich, gadzich ślepiach. Szpony torują sobie drogę, jednym pchnięciem ptak wybija się ponad kościół, jest wielki niby garaż, ma skrzydła płaskie i ostre jak brzytwy. Zatacza koło, kracze i mknie w ciemność.

Patrzę po ludziach. Nikt go nie dostrzegł.

Nawet Tomek, który patrzył tam gdzie ja.

No i pięknie, myślę, rzuca mi się na głowę. Jest mi na przemian zimno i ciepło, żołądek boli, sucho w ustach. Idę po piwo.

— Chcesz? — pytam Tomka. Ale jeszcze ma.

W klubie polskim cicho, ciemno, ani żywej duszy. Powywracane stoliki i krzesła. Rozbita puszka. Rozrzucone dolary, torebki, nawet

portfele. Ktoś powinien o to zadbać, dźwięczy mi w głowie. Raczej dudni. Ssie. Szmata grupy Orion kołysze się lekko.

Opieram się o bar, otwieram heinekena.

Nie mam siły nawet iść do siebie. Nie zasnę przez te syreny, wrzaski. Ludzie ciągle się schodzą.

Przypomina mi się lot samolotem tutaj, powietrzne szarpnięcie, serce w żołądku: Boże, co ja tutaj robię.

Między stołami są czyjeś buty. Nogi. Ktoś leży.

Przez moment chcę to olać, jak padłeś — twój problem. Jednak nie. Idę ostrożnie, żeby się nie potknąć. Jest o co. Ciskam krzesłem. Kopię flaszkę i depczę fiolkę perfum. Trach i okej. W połowie drogi, między sceną a wyjściem, leży ksiądz Grzegorz, cały we krwi, z roztrzaskaną czaszką.

*

Siadam na schodach przed polskim klubem, Tomek dostaje heinekkena. Chłodno. Strażacy jakby zwalniają, spacerują po zgliszcach, karetka włącza sygnał i odjeżdża z księdzem Mirkiem w środku.

— Pojedziesz? — Tomek pyta ponownie.

Powinienem. Nie boję się nawet tego, że mnie aresztują. Nie zabiłem księdza Grzegorza. Nic na mnie nie mają. Ale mogę dostać deportację, wilczy bilet do Ameryki. Co z moimi pieniędzmi?

A, piętnaście dolców za godzinę.

Myślisz, że gdzieś jest lepiej.

Nie wiem, bo nie myślę wcale, poza dziwnie głębokim wrażeniem, że taka śmierć jest lepsza. Szybko. Nie od raka. Nic cię, księżę Grzegorzu, już nie schrupie. Wstaję. Tomek podaje mi rękę. Trzymaj się, ty też, już idę, dopada mnie, wyjmuję komiks z tylnej kieszeni, zapisuje telefon, maila na marginesie. Chce wyrwać kawałek kartki, zmienia zdanie. Przygody jakiejś cycatej Japonczki lądują w mojej dłoni.

I odchodzi. Drobny. Już się nie uśmiecha.

Zastanawiam się, czy jeszcze na siebie wpadniemy. Pewno często tak się myśli.

Oczy mi się kleją, ale w pokoju robię wielkie przepakowanie. Ciuchy robocze lądują w foliowym worku. Większość dobytku upycham do plecaka, to co najważniejsze: paszport, pieniądze, sweter, spodnie na zmianę chowam w torbę podróżną. Torba idzie na hak. Mogę zabrać ją w

każdej chwili. Gdyby coś.

Zamykam drzwi na klucz. Od dzisiaj będę spał w ubraniu.

— Boże, zmiłuj się nad nami — na korytarzu jęczy Maciek.

*

Niewiarygodne, ale nic się nie dzieje.

Spodziewałem się, że policja wywróci cały klasztor do góry nogami, przeora pokój księdza Grzegorza, weźmie mnie i innych w obroty.

Tylko cisza z naprzeciwka męczy.

Niedziela — włóczę się po mieście. Przeklinam nieprzyjazne mi prawo: likier stary w dzień święty są zamknięte. Klub polski zabity na głucho, czarna flaga na plebanii, zębodół po kościele. Wlokę się do ajriszy, przepijam dwadzieścia dolarów, drugie dwadzieścia przepuszczam na loterię zdrapkową. Jakoś mi się nie wiedzie.

Nie spotykam nikogo, nie chcę spotkać.

Nawet Maciek zamknął się u siebie.

Nocą wydaje mi się, że słyszę szuranie na korytarzu, jakby trupa po schodach ciągnąć. Ale gdy siadam na łóżku, odgłos milknie. Pewno Maciek się wygłupia. Staję przy oknie i spoglądam na ciemną plebanię. Na ulicę. Kiedy będą? Kiedy ktoś się zainteresuje? Chciałbym mieć to już za sobą. Myślę o Tomku, jak mu w tym Nowym Jorku. Mogę jechać w każdej chwili. Zasypiam późno i na chwilę.

Teraz do Bostonu jeżdżę z Sosną.

Sosna chciałby, żeby podpalacza znaleziono przed policją. Ksiądz Mirek pochorował się od tego. Też chciałby dopaść skurwiela. Joe podobno wychodzi ze skóry, taki jest wściekły.

— Najgorsze, że trzeba wybudować nowy kościół — głądzi Sosna, biorąc zakręt — nikt tutaj nie ma szmalu. Pomyślał byś, noż kurwa bladź! Ich domy, samochody. Ale żeby Bogu dziękować! Skurwysyny!

— A ty?

— Co ja?

— Dasz na nowy kościół?

Sosna przyspiesza, wyprzedza jak wariat.

— Na swój bym dał — odpowiada i milknie, odzywa się znowu już na rogatek Bostonu. — Powiem ci coś, ale trzymaj gębę zawartą. Możliwe, że to przez Mirka.

Mało się w łeb nie puknę.

— Mirek spalił kościół?

Krztusi się ze śmiechu.

— No skąd! — pauza — wiesz, że tak?

Zamieniam się w słuch. Dobijamy do pierwszego korka. Przede mną: pagóry, posypane domami z cegły, szarawe downtown i dom-drzwi na jesiennym niebie. Sosna wbija się w korek, cmoka z niezadowolenia, możliwe, że spóźnimy się na odprawę do Teddy'ego, cóż, problem Sosny, nie mój.

— Mirek to kutwa — informuje mnie Sosna, jakbym nie wiedział. — Sprzedałby własną matkę za zimowe opony. Ile płacisz za ten twój pokoik?

Dwieście pięćdziesiąt.

— Więc widzisz. Idę o zakład, że oszczędzał jak mógł, cholera wie, co trzymał w piwnicach kościoła i dam sobie jaja urznąć, że nie robił przeglądów, zabezpieczeń, czego tam się jeszcze wymaga — wyrokuje Sosna, mruży oczy. — Jakieś instalacje przeciwpożarowe, żartujesz, jak znam życie, Mirek, odkąd siedzi na parafii, nic nie zmienił. Ani pół kabla. No i walnęło, dziwisz się? Pamiętasz, jak się rzucił? Kutas.

— W ogóle nie najlepiej z polskimi parafiami — rzucam, niech Sosna gada, ile może.

— Teraz chce, żeby ludzie mu dali! Ludzie! Jak coś, to zawsze do ludzi! — piorunuje. — Już mówią, że kościół marnie ubezpieczył. Pod siebie, ot co, kto wie, co zrobi, jak dostanie forszę, ale ja świetnie wiem, co wyprawia teraz, śle listy, gdzie może, o pieniądze i już kombinuje, jak przenieść się do innej parafii. U nas na Śląsku, taki fiut... a tego się boi! Żeby nie do Polski, nie do biedy, nie do kłopotów.

Sosna pokrzykuje, zadowolony, korek się rozpędził, mkniemy przez miasto do naszego warsztatu. Uświadamiam sobie, że każdy będzie mnie zagadywał, szczęściarza z Middletown. Już skręcamy. Siódma dziesiąć. Prószy śnieg. Kilkunastu chłopów pali tanie szlugi przed warsztatem. Obok poskręcane blachy, silniki, deski.

— Ty — przypomina sobie Sosna — o której Grzesiek odlatuje? Nie pożegnałem faceta.

Łapię oddech.

— Nie mam, stary pojęcia. Zawaliliśmy trochę.

*

Teddy dotrzymuje słowa. Daje mnie na Beacon St., gdzie właściwie nie ma nic do roboty. Byleby opóźnić, brać dolary.

Chłop nie straci. Za godzinę mojej fuszerki Amerykanin płaci trzydzieści dolców.

Udawać robotę, to moje zadanie. Więc tnę jakieś deski, przymierzam się do postawienia ścianki, o której, wiem świetnie, zaraz się dowiem, że musi stać gdzie indziej. Lubię warkot piły, zapach ciętego drewna, suchość w nosie. Gość przede mną ucharatał sobie palca. Pewno gadał się, spieszył. Robię powoli, nie mam do kogo gęby otworzyć.

Z okna widzę wielkie miasto, na które spada miękki tyłek zimy.

*

W drodze powrotnej Sosna obwieszcza, że ksiądz Grzegorz już leci. Odprowadził go ksiądz Mirek z Adrianem, Darkiem i Teddym.

Znajomy skład.

Pokój Grzegorza znajduję wyczyszczony: koc na łóżku złożony w kwadrat, podłoga lśni jak wylizana. Siadam na brzegu łóżka. Przypominam sobie, jak było tu wcześniej. Takie myślenie nic nie daje. Poszedłbym do księdza Mirka, zagadał o to i owo, w zamian pod nos pcha mi się Maciek, wkurwiony jak diabeł w Boże Narodzenie. Mokro, zimno, nikt nie stawia płotów.

Wołam. Maciek obraca się, wyraźnie zdumiony. Przecież nie rozmawiamy.

— O której wyjechał ksiądz Grzegorz?

Maciek tylko mruga.

— Podobno już poleciał — łzę, chce wiedzieć, co Maciek widział. Gdzie są rzeczy Grzegorza. Drugi klucz do skrytki.

Maciek siada obok mnie.

Przyciska pięści do policzków aż mu palce bieleją, wywala wielkie oczy, mało, a schowa się za mną.

— Wyjechał? — skuczy. — On tu jest.

Nabita na płotach łapa spada mi na kark, dociska, wbijam nos w Maćkowy sweter. Suchy, cuchnie kurzem. Maciek szepcze mi w ucho:

— Był zaraz po mszy, cały we krwi, laźł po schodach jak robak, znaczy, pełznął. Groźny, smutny — w Maćkowym głosie przebrzmiewa wielki szacunek dla martwego księdza Grzegorza — a potem siedział cały dzień, tu gdzie my siedzimy. Dokładnie w tym miejscu.

Podchodziłem, pytałem „czego ci trzeba”, ale on tylko płakał nade mną. Potem przyszedł Mirek, on to jest jedną nogą w piekle. Zatrzasnął drzwi, i tak widziałem. Przede mną się, o nie, nie schowasz,

Próbuję wkręcić się w jego szmergla, przerywam.

— Jak, Maciek, widziałeś? Przez zamknięte drzwi?

Wybuchła śmiechem, puka się w głowę, puszcza mnie z tego powodu.

— A co ty, głupi? Dziurką od klucza?

I nawija swoje.

— Mirek kręcił się jak z roznem w dupie, a dobry ksiądz Grzegorz nic, tylko patrzył. Krew mu ciekła z ust i ran na rękach. Kiwał sobie głową, dopiero, jak Mirek, skurwiel, wychodził, to tak na niego się gapił, że mi zimno było, jakby miał na końcu nosa „już jesteś mój, gnoju jebany, już ja cię zawlokę do piekła” — Maciek bierze głęboki oddech, idę o zakład, że wdycha powietrze innych światów. — A potem tu krążył, całą noc. Biegał po suficie. Przenikał ściany. I pytał, tak milcząco, ale wiedziałem: „Maćku, co ty dobrego zrobiłeś ostatnio? ”, „Maćku, mój Maćku, wiesz może, ile ci życia zostało? ”.

Maciek zsuwa się z łóżka na ziemię, wbija w podłogę długie pazury. Ciało mu flaczeje. Leniwym ruchem obraca się na plecy, patrzy w sufit, mruczy.

Siadam przy nim po turecku.

— Powiedz mi — zaczynam najłagodniej jak umiem — jak był tu ksiądz Mirek, to co robił?

— Zbierał jego graty — Maciek zamyka oczy — trupie, niepotrzebne.

— Zabrał coś?

— Wszystko.

— A gdzie?

Podkurcza nogi.

— Na śmietnik. Znalazł, co swoje. Mało nie zerwał podłogi, znasz drania, najpierw spokojnie, szuflada po szufladzie, książka po książce, aż się wściekł. Walił łapami, wszystko zrzucał. Aż jest. Kluczyk mały! — wyje Maciek. — Jak mu się łapy trzęsły, jak się ślinił, ale zaraz zmarkotniał.

Przerabiam to w głowie. Pytam Maćka, czy pomóc mu się podnieść, piszczy wściekle w odpowiedzi, przykłada dłoń do oczu i zaczyna

śpiewać. Na moje się modli, tylko nie wiem do kogo. Dziękuję mu, wlokę się do siebie, ląduję przy oknie z papierosem i litrową butelką Doktora Peppera. Jutro będzie zgaga jak złoto.

Czyli Mirek znalazł, pewno zaraz popędził na lotnisko.

Na diabła mu te kości, pytam siebie, ale z drugiej strony — co mnie to?

Mogłem je wtedy zabrać. Niech każdy chowa swoich zmarłych.

Słyszę wyraźnie Maćkową piosenkę, nuci sobie strofy o Panu Jezusie, który wrócił na Ziemię, ale po cichu. Wędruje sobie przez małe miasteczka, tu dziwkę szczyplnie, tu w mordę komu da, tu chrust w złote farfocle przemieni. Niedopałek leci za okno. Wyjmuję kluczyk, owinięty w kartkę, zaraz poleci za papierosem, nie, za to ja lecę z powrotem do Maćka, przerywam mu śpiewanie, potrząsam nim, wygląda, jak wyrwany z głębokiego snu.

Pytam: czy Mirek zabrał coś jeszcze. Zeszyt, papiery, cokolwiek. Notował może w telefonie? Gdziekolwiek. Maciek zaprzecza, zły, znudzony, wraca do Jezusa łapiącego stopa.

Śmiać mi się chce.

Mirek buchnął kluczyk, ale może co najwyżej nim flaszkę otwierać, bez kartki, bez numerka, bez jakiegokolwiek tropu.

*

Co piątek na warsztacie mamy rozdawanie czeków.

Pół setki faceta tłoczy się przed gabinetem. Wokół nas pocięte rury i pręty, grube kawały blachy, odrapany blat oraz mnóstwo szajsu, którego przeznaczenia — mimo, że leci mi trzeci miesiąc budowy — nie umiem rozpoznać.

Teddy staje w drzwiach, podobny do złego, bezradnego niedźwiedzia, trzyma gruby plik czeków, wywołuje z imienia i nazwiska. Tnie każdego na pięć, dziesięć dolców, przemnożone da sympatyczną sumę.

Każdy chwyta co jego, jak diabeł dobrą duszę, i pędzi na śnieg. Zapalić, albo i na banię.

Godzinę później ten sam skład spotka się w centrum handlowym, pod bankowym okienkiem, by zrealizować wypłatę.

Dziś wieczorem biedne knajpy w Bostonie wypełni polszczyzna. Hej, poleje się cienkie piwo, w ruch pójda wspomnienia i zdrapki za pięć

dolców. Brzydkie polskie kobiety będą czekać, wkurwione, te piękne popędzą gdzie indziej, szukać lepszego losy i też wkurwione powrócą. W pokojach podobnych mojemu pęknie niejeden Kapitan Morgan, jak nie on, to tania chara z posmakiem mydła. Zadymi pompowane żarcie, kurczak sprzedawany już w folii i panierce, rozżarzą się szluga.

Teddy woła mnie ostatniego, wchodzę, zamyka za mną drzwi.

W gabinecie jest stary komputer z myszką kulkową, masywne biurko, doprowadzone zapewne z jakiejś budowy, na półce z litego drewna stoją segregatory. Na to wszystko, na mnie i zafrasowanego Tadzia, spogląda sam Ukrzyżowany. Wisi sobie nad drzwiami.

To portret wielkości kartki papieru, bardzo kolorowy.

Jezus ma blond czuprynę, niebieskie oczy i poważne oblicze zadowolonego golfisty, powieki zamyka lub unosi w zależności od kąta patrzenia.

Dostaję czek. W głowie szybko mnożę liczbę wypracowanych godzin przez piętnaście, wychodzi na to, że tym razem Teddy naprawdę przyłożył się do rachunku. Dziękuję mu, w zamian dostaję szluga. Pyta mnie o Beacon Street, jak tam to wygląda, odpowiadam, że możemy skończyć w tydzień, albo bujać się do wiosny. Dobrze, rzeczce Teddy i zaraz chce wiedzieć, czy z nami wszystko w porządku.

— A jak ma nie być? — składam czek i chowam starannie do portfela.

Siada. I już wiem, co się będzie działo.

— Byliście blisko z księdzem Grzegorzem? — zagaduje. Bawi się pustym czekiem. — Nie mówił wam czegoś wartego uwagi?

— Tak — odpowiadam, oczy Teddy'ego natychmiast nabierają życia. — Umierał, do ciężkiej cholery, to właśnie mi powiedział.

— Będę z tobą szczerzy. Grzegorz zabrał coś, co należy do mnie i najwyraźniej zapomniał oddać przed wyjazdem. Niby nic wielkiego, a jednak. Rozumiem go świetnie. Choroba. Spalony kościół. Sam nie miałbym głowy. Ale pomyślałem sobie, że może tobie coś przekazał, adres, paczkę, no nie wiem.

Podpuszczam go, pytam.

— A co to takiego mogłoby być?

Przez ułamek sekundy, Teddy zmienia się nie do poznania, żaden to miś, ciepła klucha, ale desperat na krawędzi, gotowy na wszystko.

— Coś mojego. Masz?

— Człowieku, nie mam! — rozkładałam rękę. — Zapytaj księdza Mirka. Grzegorz podobno zostawił mnóstwo rzeczy przed wyjazdem, to Mirek zabrał je i wyniósł. Nie moja rzecz. Nic mi nie zostawił — widzę, jak Teddy markotnieje, a pusty czek ląduje w szufladzie. Dociskam więc drania. — Nie wiesz, czy Grzegorz wylądował bezpiecznie?

Teddy odpowiada głucho, że owszem.

— Muszę do niego przekręcić — rzuca od niechcienia, podając rękę na pożegnanie. — cholernie jestem ciekaw, jak się ma.

Tak go zostawiam, z tym durnym uśmiechem pijanego niedźwiadka.

No co, Teddy, mnie też zabijesz, myślę sobie w drodze na Beacon Street i nagle rozumiem, że może być do tego zdolny.

*

Poluję na księdza Mirka, przyszpilam go wieczorem. Mirek kręci się po ruinach, jakby próbował wygrzebać coś ze spalonej ziemi. Nienawidzę sukinsyna za sam czynsz, który muszę bulić, ale gdy widzę go teraz, pomarszczonego, z ramionami ściągniętymi jakby siaty targał, robi mi się żal faceta.

— Coś wiadomo? — pytam?

Mirek nieustannie trze dłonie.

Brud pod paznokciami, od grzebania w ziemi. Potrząsa głową, szuka słów.

— Mówią, że instalacja. Na pewno nie podpalenie — ogląda się za siebie.

No, a kto mówi, że miało być. Mirek siada na czarnym murku, kawałek ściany, może nic, pierwszy raz widzę go z papierosem, zaciąga się płytko.

— Ludzie nas nienawidzą — słyszę. To skarga. Jakby go obili.

— No — zgadzam się — wiodło się jak mało komu.

Mirek tylko wzdycha. Śmierdzi. Tak cuchnie tylko człowiek, który nie spał od kilku dni, pocił się od tego, ledwo co żarł.

— Mało kto pracuje jak wy tutaj — ciągnę temat, zaraz przeskoczę na księdza Grzegorza. Mirek ożywia się gwałtownie.

— Myśmy mieli Boże błogosławieństwo — rzecze. — Tego jednego ludzie nie odpuszczą. Uszanują pracę. Uszanują i złodzieja. Ale tutaj, gdzie jesteśmy na próbę, diabeł ma wolną rękę. I to jedno, że Bóg ludzi

kocha, że daje dowody tej miłości, jest po prostu nieznośne. Ten gniew, jego nie zdołasz sobie wyobrazić — Mirkowi zaraz z uszu pójdzie para. — Wściekłość istoty skończenie złej, przegranej, która wszystko, co może zrobić, to odwlec moment swojej klęski. Nasze wielkie nieszczęścia, jak to, jak ruina miasta, są dla niego, dla diabła, tylko słabym momentem wzruszenia. Chce mocniej. Chce więcej. Nas nie dostanie.

Myślę chwilę. Pytam:

— Ksiądz naprawdę wierzy, że to diabeł spalił nasz kościół?

— Wiesz co? Chyba lepiej tak wierzyć. Czasem myślę, że wszystko jest tylko przypadkiem, że piekłem, kwestią doczesności, jest właśnie przypadkowość i ta myśl naprawdę przeraża — gada tak sam do siebie, otrząsa się, dodaje: — Porządny z ciebie chłopak.

Jest miękki jak trzeba.

— Ksiądz Grzegorz jak to zniósł?

Patrzę przed siebie. Mirek dyszy.

— Na ile go znam, to uznał, że sam za to odpowiada. Magiczne myślenie, że jakby nie zrobić zabawy, to kościół by stał. Odpowiedziałem: jakbyś nie zachorował, to tak — uśmiecha się smutno.

— Co u niego?

Wstaje. Otrzepuje dżinsy. Ma chude nogi. Odchodzi, rzuca przez ramię.

— Nie miałem do tego głowy.

Odprowadzam go pod pyszny budynek parafialny. Mirek nieoczekiwanie łapie mnie, przyciska do piersi, zaraz się rozbeczy, więc pytam tylko, co mogę jeszcze zrobić. Dla niego. Chyba jest naprawdę wdzięczny.

— Przyjdź na mszę w niedzielę — prosi i mnie zostawia.

Słyszę jego kroki, niknące wewnątrz budynku.

Zaraz, jaką mszę?

*

Chris szaleje.

Nieustannie próbuje zejść z wózka, czołga się po ziemi, pluje i targa mnie za uszy. To wielki facet, ma mocne łapy od kręcenia kółkiem, wyrywam się z trudem, podrywam drania i sadzam na fotelu. Obrywam książką. Co za gnojek.

Nie pomaga nawet Gwen Stefani.

Chris wrzeszczy do każdej piosenki. Próbuję zmienić kanał, wyje jeszcze gorzej. Tłumaczę sobie, że to wina Adriana i Kate-Katarzyny. Ich piękny dom skrywa zapowiedź nieszczęścia. W kuchni cuchnie mentolowym szlugiem, w talerzu znajduję kopczyk z niedopałków. Pełno flaszek w koszu. Wszędzie walają się ciuchy; łazienka brudna, rozrzucone kosmetyki. Świadectwa pośpiechu. Dziwne.

Martwy Piotrek, pijany Joe — tych dwoje nie ma jeszcze źle.

Wrócą przed północą. Nie mam pojęcia, jak uporać się z tym durniem. Chris wykręca się na fotelu, znów zsuwa spodnie aż do bezużytecznych kolan. Teddy dobrze płaci. Nie muszę dorabiać niańczeniem debila. Brutalnie naciągam mu dresik, owiewa mnie odór schnącej spermy. Patrz, idioto, coś narobił. Chris wybucha śmiechem.

— Patrz ile rzeczy cię omija — mówię mu. — Żadnych kłopotów z dziewczynami. Nigdy, żadnego wpierdolu, nawet spalony kościół masz serdecznie w dupie. Jesteś Bożym stworzeniem, Chris, ale lepiej mnie nie wkurwiał.

Robię mu płatki na mleku, ale jak dla mamy; sypię rodzynek, orzeszków, niech łajdak się napcha.

Rzęzi, jęczy, prycha.

Siadam naprzeciw niego, ładuję łyżkę w oślinioną gębę. Za mamusię, za tatusia, za Gwen, za Stefani, za Pink z Madonną. Pluje mi w twarz, mokry migdałek odbija mi się od nosa. Robię rundkę wokół pokoju, Chris zaczyna więc się cały, pakuje rękę w spodnie, od tyłu. Nie ma to-tamto, jak jemy, to jemy, nabieram na łyżkę, kucam, Chris piszczy, wyszarpuje łapę z gaci, jest cała brązowa. Walnął kloca. Strzepuje mi gówna na gębę. Zaraz próbuje klaskać.

Robi mi się czerwono, czarno na przemian.

Chlapię mlekiem w środek roześmianej gęby i Chris już się nie śmieje. Tylko mruga bieluchną powieką. Pędzę się umyć, następnie chwytam drania za fraki i wlokę do łazienki. Jęczy, nie rozumie, już ja go nauczę. Dopiero w drzwiach próbuje stawiać opór. Moja twarz jest sucha. Śmierdę.

Zdzieram mu koszulę, gacie, ciskam pod prysznic.

Teraz to płacze. Próbuje się wydostać, grozę mu pięścią i proszę, chłopak nie jest tak głupi, jak ludzie mówili.

— Wybacz Chris. Ufurmaniłeś się po pachy i trzeba z tym zrobić

porządek.

Polewam go zimną wodą. Chris skuczy, wyraźnie chce się osłonić, nie łapie, że woda to nie pięść, przecieka przez palce. Minuta takiej zabawy zmienia go w żalosego mazgaja, kuli się w rogu, wielki i siny. Nogi ma bez jednego włosa, masywniejsze, niż się zdawało. Mi samemu robi się chłodno, dosyć już może, nie chcę, żeby facet się pochorował, z zapaleniem płuc będzie już całkiem nieznośny, każę mu się odwrócić i wypiąć tyłek, jęk, pisk, odwracam się: Kate-Katarzyna wytrzeszcza oczy, za nią pąsowieje Adrian.

Kate-Katarzyna dopada synalka, wywleka spod prysznic, żałuje, otula ręcznikiem. Adrian zderza się ze mną w przejściu, raczej o nic nie zapyta, stoję w lekkim rozkroku, unoszę dłonie, ku mojemu zdumieniu Adrian mięknie, niemal go odpycham, porywam swoje rzeczy i tyle mnie widzieliście.

*

Tylko na murku przycupnę, zapalę, ochłonę, gdzie tam — wiatr dmie, noc śnieżna i wściekle zimna, a mnie czeka solidny spacer, nie ma co liczyć na samochód Adriana. Ręce w kieszeń, kołnierz wysoko, maszeruję poboczem, między cichymi domami, drzewami, milczącymi sklepami.

Odprowadzają mnie szepty i jęki, śnieg zmienia się w wirujące kły, dachy domów garbią się ku mnie, oczy okien są żółte, nabiegłe kwaśnym kremem. Skrzypi mu pod butem, jakby trzask kości. Biorę zakręt i o mało nie wpadam pod samochód, jakiś debil mknie swoim cadillakiem, omiata mnie gwizd radia, nawet nic nie dostrzegł — tylko migają światła. Siedzę na poboczu i odprowadzam go wzrokiem.

I wlokę się dalej.

Żebyś, skurwielu, się roztrzaskał. Najlepiej o Adriana i Kate-Katarzynę.

Middletown to właściwie garść pryszczycy, rozrzuconych po wzgórzach i lasach. Momentami wlekę się w mroku, bez światła przed sobą. Nawet nie wiem, o czym myślę, taki dureń, przewala się wszystko: Mirek, Teddy, Grzegorz, Chris. Bęc i syk: coś wieje przede mną. Lodowate powietrze z drugiej strony drogi.

A może mi się zdaje.

Pojawia się też smród, dałbym głowę, że wali tak ode mnie, jeszcze

po Chrisie. Owładnięty wstydem, wsadzam łapy w rzadki śnieg, obcieram sobie twarz. Szczypie. Znów syknęło. Jakby tam, przede mną, cmokała wielka gęba.

Dochodzę przed zakręt. Dwie ściany drzew i kępa krzaków.

Śnieg nagle zaczyna walić z nieba, białe, poskręcane leje roztrącają gałęzie, w nich tylko przez moment widzę jakieś ciemne cienie. Błysk smutnego spojrzenia, otrząsam się i nagle słyszę ten jęk, całkiem wyraźnie. Z drugiej strony, z krzaków. Te zaraz coś rozerwie.

Zwalniam, rozglądam się na boki.

Przez środek jezdni, przywalonej teraz śniegiem, biegnie szeroki ślad.

Jakby ciągnąć ciało. Zaciskam pięści i idę w kierunku krzaków. Jęknienie. Rozdzierające. Jakby z wnętrza ziemi. Ale się boję. Kucam na środku ulicy, przechylam głowę. Nie mogę się dopatrzeć. Taki wielki cień, tam w środku.

Wrzeszczę przez wicher. I rzucam się do przodu. Już przy krzakach, teraz żałuję, że nie wziąłem żadnej broni, rozchyłam gałęzie, tam mokre liście i coś w nich się kokosi. Długie palce, masywny grzbiet. Podnosi głowę, wiem już, że za wszystkich świętych nie chcę zobaczyć tej twarzy i, jak chciałem, to nie widzę, potężna siła pcha mnie, odrzuca, lecę i walę plecami o asfalt.

Już wiem, że z tymi gwiazdami to prawda: ćwierkają te błyski.

Gramolę się z jezdni, siadam pośrodku. Krzaki milczą, cokolwiek tam jest, czeka, albo poszło, za to prosto na mnie pędzą światła samochodu. Jeszcze zdążę. Tylko tkwię jak dureń, niezdolny do ruchu.

Samochód nawet nie hamuje.

Wszyscy jeżdżą pijani po tych drogach.

O czym mam myśleć?

Szarpięcie. Za grzbiet. Mocne dłonie na moim karku, znów lecę, tylko nogi podkurczam, coś ciska mnie na pobocze, koziołkuje, miga mi tylko ciemna karoseria, gość w szoferce, wszystko zlewa się w oczach, tamtym autem zarzuca, sukinsyn nawet nie zwolnił. Trzaskają gałęzie. Toczę się po śniegu, zaraz zrywam się na nogi. Cisza.

Robię chwiejny krok. Odwracam się, szukam wsparcia, może chwycę się tej dłoni, co mnie spod kół wyszarpnęła.

Na poboczu, między życiem a śmiercią, stoi ksiądz Grzegorz. Śnieg

obsypał mu ranę na głowie. Nie dotyka ziemi, za to jest mocny i silny, patrzy prosto na mnie i niknie w ciemności.

*

W niedzielę o dziesiątej ksiądz Mirek odprawia mszę świętą.

Nocna wędrówka wydawałaby się snem, gdyby nie stłuczony łokieć, sińce na tyłku i plecach, wielki guz z tyłu głowy. Jeszcze huczy. Wmawiam sobie, że nie było żadnego księdza i stwora w krzakach. Za dużo trupów, podpalają wyobraźnię, za dużo też wiatru i śniegu, jakby wszyscy, łącznie z mirkowym Bogiem, uwzięli się na Middletown.

Niebo jest sine, budynki wokoło ledwo widoczne.

Aby dojść do ruin, trzeba przedzierać się przez śnieg, czasem i po pas. Od mojego klasztoru wiedzie wydeptany ślad, jak przez środek pieprzonej Arktyki, wlecze się nim Maciek, okutany po białka oczu.

Firmy odśnieżające szaleją po mieście, ale nasza ulica przynależy Teddy'emu, ma tu walczyć ze śniegiem w ramach swojego chrześcijaństwa. W istocie, pobożny Teddy stoi dwa rzędy przede mną, w otoczeniu swoich robotników.

Jesteśmy w ruinach kościoła św. Jerzego. Ksiądz Mirek kazał uprzątnąć część gruzu, usunął fragmenty grożące zawaleniem, ale próba osłonięcia naszego nabożeństwa spaliła na panewce, nie na tej wichurze: tylko kawał brezentu łopocze z ogryzka muru.

Pośrodku stoi prosty ołtarz, zapewne biurko, przykryte obrusem liturgicznym. Za nim ksiądz Mirek, ministranci w puchowych kurtkach. Mirek założył ciemne okulary, śnieg sypie mu w twarz.

Zwlekli się tutaj wszyscy. Sosna, wychudzony i nerwowy, Marek, ten którego poznałem pierwszego dnia tutaj; schudł strasznie, klęka na śniegu, to ćwierć faceta. Irena przypomina swoją własną babkę, buty ma eleganckie, umalowana jak należy, tylko płaszcz taki stary: zimno, nie zdążyła kupić nowego. Kate-Katarzyna wyglądałaby jeszcze po ludzku, gdyby nie wielka śliwa pod okiem. Nieustannie poprawia okulary. Adrian za to wygląda jakby zaraz miał pofrunąć na raz w trzy różne strony. Unika mojego wzroku, ja jego — wcale. Chris w czarnym garniturze, z poważną gębą, sprawia wrażenie niemal normalnego, gapi się z uwagą, jakby ksiądz Mirek miał zaraz przemienić się w Gwen Stefani. A mi buty przemokły.

Zaczyna się nabożeństwo, Mirek z pomocą mikrofonu próbuje

przekrzyczeć wiatr i nagle zyskuje niespodziewanego sojusznika. Zza moich pleców dobiegają dzikie wrzaski: to Joe chwali Pana na swój sposób. W jego tle śpiewają też inni. Szukam ich wzrokiem, nie mogę wypatrzeć, wreszcie są: Joe z resztą chórzystów tłoczą się na pace trucka. Wiatr niesie ich pieśń, ale zagłusza słowa.

Mirek wygłasza krótkie kazanie, poświęcone Abrahamowi, figurze starotestamentowej i niezłomnej. „pamiętajmy o rzeczach dobrych i nie gódźmy się na złe. Ale czynmy tę niezgodę bez rozczarowania i złości”, prawi Mirek, „Bóg nie wymaga od nas niczego, ponad nasze siły”.

— Gówno — to Maciek czuje potrzebę aktywnego uczestniczenia w nabożeństwie. — Coście zrobili?

Mirek chyba go nie słyszy i dalej prawi swoje: „musimy być silni w godzinę próby”. Maciek wygraża mu pięścią, ale przebija się ku niemu Adrian z Teddym i dwoma robotnikami, więc chłop natychmiast mięknie.

Podczas podniesienia kielich o mało nie wyleci z Mirkowych dłoni, tak dmie.

Ludzie ustawiają się do komunii, jestem chyba jedynym, który się nie wybiera. Schodzą w brudną kolejkę. Niektórzy trzęsą się, inni nie bardzo chcą klękać. Spokojni. Mirek chyba jest zaskoczony. Ministrant ociera mu twarz ręcznikiem. Korzystam z okazji, żeby osłonić się przed wiatrem, wciskam się w załom na lewo od ołtarza.

Wierni klękają po kolei. Mirek daje komunię, wolną dłonią osłania opłatek od góry, żeby śnieg nie napadał.

Irena trzęsie się, wycofuje skulona. Marek łyka komunię w milczeniu, nieruchomieje, chwytą dłoń księdza, całuje.

Kate-Katarzyna wygląda, jakby jedną nogą stała po drugiej stronie. Cichy Adrian. Teddy z zastępem robotniczych cieni.

Między wiernymi dostrzegam zwałistą sylwetkę Maćka, stoi grzecznie w szeregu i mamrocze coś pod wąsem. Jego wielkie łapy dziwacznie wyglądają, złączone do pacierza. Robi małe kroki. Coś knuje, boję się, że zaraz runie na księdza Mirka z pięściami. Mruży oczy. Jakby coś rachował. I ryms na kolana, mało co, a ściany runą. Wywala wielki ozór. Połyka opłatek, tkwi tak przez moment, klepie pacierz. Wstaje. Wyższy od wszystkich o pół łba co najmniej. Robi krok w moją stronę i na tym się kończy. Maciek kaszle, wywala oczy, próbuje uderzyć się w plecy, daje głowę, że gardło mu puchnie, jakby coś rośło tam gwałtownie.

Wielkie łapy obejmują już szyję. Wokół Maćka robi się krąg. Nikt nie podejdzie.

Maciek robi się żółty, siny, próbuje odkaszlnąć, już lecę do niego. Gnie się w pół. Spluwa krwią. Lecę w jego stronę, jednak żal mi sukinsyna, zaraz staję, bo już jest za późno. Z ust Maćka idzie szeroka, czerwono-czarna struga, daję głowę, prują w niej kawały mięsa, połamane kości, jakby coś od środka wyszarpało mu trzewia.

Maciek jest martwy jak szlauch i tak też naprężony.

Wali się bez życia na to, co z siebie wypluł. Wszystko zakłęte, nawet śnieg zastyga w powietrzu, by zaraz ruszyć, tyle, że jeszcze szybciej, ludzie rozpierzchają się na boki, jeden przez drugiego i mało się nie stratują. Joe mało co nie wypadnie z ciężarówki, tak go ciekawi, co się dzieje, Irenę ktoś chwycił pod boki, a wózek z Chrisem, nieszczęsnym, durnym Chrisem odbija się od człowieka do człowieka, Chris wyje pod samo niebo i nikt go nie wesprze. Jeden łajdak mało co przez wózek nie przeskoczył, ktoś znów potrącił, Kate-Katarzyna i Adrian prą w jego stronę, nawołują. Kate — Katarzyna pada, chwyta się męża, jedzie w górę na jego mocnych rękach, ale z chodzeniem już gorzej.

A co mi tam. Lecę do niego na rympał, między ludzi. Odpycham, ktoś mało nie runął, nikt na mnie nie spojrzy, może popchnie, ledwo czuję. Durny Chris wyje na mój widok, próbuje zeskoczyć z wózka, uczcie lepiej wieloryba fruwać — łapię za uchwyty i pcham przed siebie, nic z tego, kamienie wchodzą pod koła. Masz babo placek, trudno, co robić, nie daj się, zesraj się — staję przed wózkiem i osłaniam Chrisa.

Zaraz chwyta mnie za brzuch i się tuli.

Mało co, a wysmarka mi się w kurtkę.

Ludzie nas mijają, nie muszę zgrywać bohatera, bo ruiny kościoła świętego Jerzego pustoszeją w oka mgnieniu, już warczą silniki, już Joe zlął z trucka i pociesza Irenę.

Ksiądz Mirek klęka nad Maćkiem. Przypomina kuraka grzebiącego w ziemi.

Adrian ciągnie ku mnie przerażoną Kate-Katarzynę, chce dziękować, wyrywam się z objęć Chrisa, odprowadza mnie płacz i adrianowe powitanie. Jeśli się obejrzę, zobaczę tę franc zbolałą trójkę i puszcze pawia jak sam Maciek. Przyspieszam. Ruiny opuszczam sprintem, ani razu nie patrzę za siebie.

Pieprzcie się.

*

Cisza klasztoru jest naprawdę nieznośna.

Nie mogę spać.

Czasem wydaje mi się, że ogień wciąż trzaska w spalonym kościele, czasem znów podłoga trzeszczy, brzmi mamrotanie, jakby Maciek powrócił, zimny jak płot w styczniu.

Siedzi na schodach, mamrocze o śmierci, niebieskie usta owiewa mu obłok lodowatej pary. Obok, na parapecie, przysiada ksiądz Grzegorz, nogi schodzą mu w mrok, przy skroniach wirują błędne ognie.

Przestań tyle myśleć. Obracam się w mokrej pościeli. Maciek z Grzegorzem nikną i nic już nie rozprasza nocy. Tak musiało być tutaj sto lat wcześniej. Cisza dla zakonnic.

Nie pomaga czytanie. Odbijam się od ściany do ściany, przeklinam jutrzejszy dzień — może zdołam zasnąć, skulić się gdzieś na Beacon Street.

Tylko czy będzie jakaś taka Street, robota, może ludzie, jak biegli wczoraj, to biegną do dziś.

Coś błyska za oknem, ksiądz Mirek także nie może spać. Za firanką widzę zgarbioną sylwetkę. Ruch ręką. Jakby pił. Spoglądam na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy nie poszukać towarzystwa, ale Mirek decyduje za mnie. Światło gaśnie, by zaraz zapalić się na dole. Ksiądz Mirek, w sutannie, z czapą wciągniętą głęboko na głowę, opuszcza plebanią i człapie w stronę ruin kościoła. Pociąga Kapitana Morgana i tyle go widzieli.

Jest zimno, powinienem za nim iść.

Jest zimno i dlatego nie pójdę. Jedno wiem z tej Ameryki: trzymajmy się, ludzie, w kupie, ale każdy niech pije za siebie.

Naciągam kołdrę na głowę, wsłuchany w ciszę, przerywaną tylko widmowym oddechem. Co kilka minut. Sapnięcie. Aż chłód bije spod drzwi. Nie wyjdę, choć oddechy składają się w moje imię.

*

Budzę się przed siódmą, wyspany i pełen sił. Nie wątpię, to zaraz się skończy, ale póki co — prysznic, kanapki w pustej kuchni. Nakładam kontraktorki, wbijam się w upačkany farbą polar i grubą kurtkę. Poprawiam kaptur i wychodzę.

Zjadam w pośpiechu jabłko i wypalam papierosa. Natychmiast nogi się gną, wiruje w głowie, siadam na stopniu i podrywam tyłek. Tak zimno. Słońce podnosi się zza domów, rozjaśnia ostre kształty chmur. Mróz aż szczypie.

Równe dwadzieścia minut gapię się na drogę. Nie widać Sosny.

Piechotą do Bostonu dowlokę się na wieczór.

Zbiera we mnie ochota, by wrócić i runąć na łóżko. Kawa pruje przez żyły. Żadnego przewracania się w pościeli. Tak właśnie ma być, oto amerykański sen, prędzej — amerykańska drzemka. Co by się nie działo, normalnie pracujesz.

Zapalam kolejnego i wlokę się w dół ulicy. Być może Sosna podjechał pod ruiny kościoła, może jest tam ktoś inny, kto zawiezie mnie do warsztatu. Ludzie obserwują.

Pierwszy raz widzę je tak wcześnie. Ruiny kościoła świętego Jerzego wydają się wyższe niż wcześniej, szron i śnieg pobłyskuje w słońcu. Wydaje mi się teraz, że były tu od zawsze. Wewnątrz czarny placyk pełen kamieni, graty zamiecione pod resztki ścian. Już ptaki znalazły sobie miejsca w załomach. Niedługo, myślę sobie, dzieci urządują sobie tutaj niezłą strzelaninę.

Obchodzę całość. Nikt nie zaparkował.

Raz na jakiś czas przemyka amerykańska ciężarówka. Zaraz przypomina mi się ksiądz Grzegorz, jego ręka na zakręcie.

Próbuję łapać stopa, bez skutku.

Polscy robotnicy śmierzą.

Tymczasem dochodzi ósma, powinienem czekać pod warsztatem, a nie tu, przytulony do wielkiego zęba, ogarnia mnie wściekłość, połączona z dziwacznym pomysłem, że rzeczy wielkie, trupy i pożary służą drobiazgom. Polonia w Middletown zdycha, żebym nie dotarł do roboty.

Ksiądz Mirek opiera się o czarny ogryzek muru. Głowa mu wisi i pewno umarł. Lecę do niego. Śnieg go przyprószył. Sterczą czarne kudły. Potrząsam nim. Dycha, tylko pijany w pestkę. Ma sine łapy. Walę go w gębę otwartą dłonią. Otrzępało chłopa. Uderzam znowu. Otwiera oczy, rozgląda się zdumiony, zawiesza na mnie przekrwione oczy i wyciąga rękę. Pomagam mu wstać.

Ksiądz Mirek śmierdzi wodą, cały się trzęsie. Mówię, że trzeba dzwonić po karetkę, to wścieka się i ciągnie mnie na plebanię. A krok ma

chwiejny. Ledwo za nim nadążam, przeskakuję przez wertepy, on nieomylny, zna drogę. Grzebie sobie po kieszeniach. Coście najlepszego zrobili ze sobą, księżę dobrodzieju.

Burczy, chwyta się zniszczonych murów. I beka.

Na ulicy muszę go podtrzymać. Ślisko. Brniemy przez wysoki śnieg, ledwo wydeptaną drogą. Zbiera mu się na wymioty. Spluwa, trzyma się za brzuch.

Przed plebanią ksiądz Mirek nie jest w stanie już utrzymać kluczy. Wyjmuję je z zasy, otwieram, pcham drzwi, wchodzimy w ciemność plebani. Ksiądz Mirek ściska mnie za przegub. Spoglądam na niego. Cały jest spięty.

— Ksiądz się położy — mówię. — Pomogę. Zrobię herbaty.

Nie słucha mnie ani trochę. Pcha do salonu.

Wnętrze plebani przypomina jaskinię: puste ściany, niski strop. Podłoga trzeszczy, gdzieś w głębi kapie woda. Salon wypełniają blizny po minionej chwale: cienie po meblach, kilka pudeł pełnych gratów, zamiast żyrandola z sufitu dyndają splecione żarówki. Ostały się krzesła i krzyż nad drzwiami.

— Ksiądz się wyprowadza? — pytam. Nie. Wyprzedaje wszystko.

Nastawiam wodę na herbatę. Znajduję pulower i dresowe spodnie. Wlokę Mirka do łazienki, spogląda na mnie z czymś w rodzaju wdzięczności i zaraz zatapia się w sobie. Pomagam mu się umyć, rozbieram do gaci. Ma miękkie ciało ciepłego mężczyzny, który nigdy nie musiał walczyć. Siada na kłocie, zakładam mu spodnie, zapinam go po samą szyję. Herbata jest gotowa.

Mirek czeka w salonie i gapi się za okno.

Podaję mu kubek. Upija, odstawia za okno.

— Nie musisz już czekać — mówi — już się nie boję.

Nie mam pojęcia, o czym on gada.

A Mirek, któremu odbija się raz za razem, ciągnie tym swoim smutnym głosem.

— Dalej. Śmiało. Jesteś dobry w zabijaniu księży. Masz co chcesz? Po co tu jeszcze jesteś?

Mija parę minut, nim ułożę to sobie w głowie.

*

— Co zrobiliście z trupem?

Już wiem. Teddy z Adrianem znaleźli ciało. Zawlekli na zaplecze klubu polskiego, przeczekali strażaków i policję. Załadowali ciało do vana i pomknęli do Bostonu. Spalili co mogli.

Ksiądz Grzegorz leży pogrzebany na Tremont Street, gdzie pracowałem

Kto jak kto, ale Mirek go nie zamordował, przecież rzucał się w ogień, a potem leżał w karetce.

Teraz kuli się na krześle, wybałusza oczy, pobekuje. Brzmi to dziwnie, jakby próbował wyrzucić z siebie zgniłe mięso, leżące na żołądku.

— Nie wiedzieliśmy, co robić — ściska kubek w obu dłoniach. — Teddy chciał wszystko załatwić po Bożemu — krzywi się przy tym słowie. — Mówił, że dość zła się zadziało. Ja chciałem znaleźć to, no to, co Grzesiek ukradł. Dla nas wszystkich. Przetrzęsnałem pokój.

— Obszukałeś ciało.

Przytakuje. Bek, bek.

— Adrian chciał mu brzuch rozpruć, tak potrzebował klucza.

Przełykam ślinę i wykładam karty:

— Mówimy o kościach. Kawałek czaszki i piszczel. Znalazłeś klucz, ale nie masz zielonego pojęcia, do czego pasuje.

Przez moment Mirek przypomina naciek na ścianie, z którego sterczą krwistoczerwone uszy. Krew odpływa mu z twarzy, próbuje wstać, ale zaraz siada. Kubek wysuwa mu się z dłoni.

— Nie mam ich. Ale wiem, gdzie są.

Prośba księdza Grzegorza — wyrzucić, zapomnij — wydaje się teraz durna, ledwo dźwięczy na dnie czaszki. Słowa ze starego świata.

— Czego chcesz? — Mirek podnosi się ciężko, sunie przez salon. Nie mam pojęcia co wyjmie. Spluwę, czy dolary. Zastyga z kasetką w ręku.

— Na to nie ma ceny.

Mało, a runie mi do kolan.

Beka trzykrotnie, blednie od tego.

— Co to jest? — pytam. — Powiedz mi, a się zastanowię.

Przekrzywiona głowa Mirka wygląda, jakby zaraz miała odpaść. Przekręca kluczyk w kasetce i stawia ją przede mną. Dolców tam, że o la la. Znika w drugim pokoju, by wrócić z butelką Jacka. Targa dwa kieliszki. Polewa do pełna i mówi.

— Było nas trzech. Grzesiek, Jurek i ja — niemal słyszę świst ciężaru, który spada mu z piersi. — Wszyscy młodzi, zapaleni. Wierzyliśmy, że możemy zmienić świat, a przynajmniej Polskę. Ja działałem w Radomiu, Grzesiek na Śląsku, Jurek przy parafii w Warszawie. Poznaliśmy się przez „Solidarność”, był rok osiemdziesiąty i wszystkie nasze sny nagle zaczęły spełniać się na jawie. Wierzyliśmy, że siła narodu z Bożą pomocą skręci komunistom karki. Niemal czułem Boży oddech. Niósł mnie przez moje miasto. Odprawiałem msze dla robotników. Grzesiek siedział przy górniczych strajkach, a Jurek, o Boże, on to miał dar do porywania tłumów. Ludzie w ogień by za nim poszli. Pamiętam dobrze: szczupły i silny, mówił z taką mocą, że zaraz mury runą, ot co. a potem przyszedł stan wojenny. Czas próby, rzekłbym. No i ja tej próby nie przeszedłem.

Pociąga łyka.

— Bezpieka miała nas na celowniku od dawna. Jurka i Grześka zamknęli, ale na krótko, za mną tylko chodzili. Aż doszli. Widzisz, my ludzie jesteśmy brudni, i niemal każdego można złamać. Niemal, to ważne słowo. Grześkowi wpakowali babę do łóżka. Wiem, opowiadała, nachodziła, nachodziła, ksiądz też mężczyzna, mam ci mówić? Potem bezpieka pokazała mu zdjęcia i już go mieli. Kapelan „Solidarności” na Śląsku, a dyma jak górnik w niedzielę — Mirek próbuje się zaśmiać, lecz tylko zgrzyta. — Donosił na swoich, przede wszystkim, stulił głowę.

Milknie.

— Ty — pytam.

— Co ja? — obrusza się lekko. — Już wtedy popijałem, ale to nie problem. Chciałem jeździć. Całe życie w pieprzonym Radomiu. Marzyła mi się Ameryka, to mam — po wargach błądzi mu kwaśny uśmiech. — Odsłużyłem swoje i mogłem wyjechać. Trwało to cztery lata i nieustannie pytali mnie o Jurka. Jak go podejść? Jak chwycić. A jak nie było. Żadnych kobiet, wódki, innych słabości, nawet kumpli nie miał, żył Bogiem i Polską. Nam, mnie i Grzesiowi, zaraz zatkali gęby, ale on nie dał się złamać. Na jego kazania przychodziły tłumy. Raz sam pojechałem. Boże, jaki wstyd. Boże jedyny. Kościół nabity ludźmi, stali jeszcze na ulicy. A on mówił prosto, jasno, to dobre, to złe, rządzą mordercy, zdrajcy, sprzedawczyki. Ty narodzie, wstań — unosi się ksiądz Mirek. — Jak modlił się, to budził Boga w sercu. Potem go zabili.

Nie wiem co jakiś Jurek ma wspólnego z Middletown.

Ksiądz Mirek bierze głęboki oddech.

— Zgarnęli spod parafii, zastrzelili, obciążone ciało wrzucili do rzeki. Milicjanci, kurwa ich mać. Mordercy. Jurek miał nigdy nie wypłynąć.

To beknięcie ma pod sobą wszystkie pozostałe, mało okna się nie zatrząsą, nawet ksiądz Mirek jest zdziwiony.

— Był koniec października — mówi z wyraźnym trudem — zimno, wiało, straszna polska jesień. A w zakolu Odry, w jakimś lewym, paskudnym odpływie, nagle wyrosły kwiaty. Żeby zwykłe kwiaty. Całe naręcza lilii wodnych, w różnych kolorach, ludzie mówili, że płatki były ciężkie jak kotlety. Wiem, że to nie tak, ale właśnie w ten sposób mówili. Zrywali je naręczami. Między nogami, jak słyszałem, pływały ogromne ryby, tak łagodne, że mogłeś łapać je pod skrzela, gołymi dłońmi. Miejscowi chłopcy łowili je na zastrzone patyki. Właśnie jeden młokos znalazł ciało — nalewa sobie na trzy palce, otrzepuje go. Już stał się miękki. — Zawinięte w wodorosty, przy samym dnie. Właściwie kości. Nadpalone. Roztrzaskana czaszka.

Potężny haust.

Zatyka sobie usta ręką. Stłumione beknięcie przypomina szczek zdychającego psiaka.

— Była cała afera, musiałeś słyszeć. Jurka pochowali w Warszawie. I dopiero zaczęły się opowieści. Starcy kładli się na grobie, wierząc, że Jurek uleczy ich dusze nieśmiertelne, jeden z drugim mówili, że taki jeden pofrunął żywcem do nieba. Jurek miał leczyć nowotwory i stwardnienie rozsiane — beknięcie jak sto pięćdziesiąt, mało mu oczy nie wypadną — przywracał słuch i życie płodom w brzuchach matek.

Jestem skołowany, chyba za głupi na to wszystko. Żeby luźniej, przyjemniej. Stukamy się.

— Naprawdę wierzysz w to wszystko?

Przytakuje. Łzy mu ciekną, myślę, że od tych beknięć, ale chyba jednak nie.

— Nad jego grobem dąb kwitnął cały rok. Ściągały chore zwierzęta. Śnieg natychmiast topniał. Komuniści próbowali zamknąć tę część cmentarza, ale ludzie się postawili. Jak z krzyżem w Nowej Hucie. Tam znicze płonęły jak wielkie czerwone morze i wisały różańce —

zachwyca się Mirek, nagle zalewa się łzami. Dziki, niekontrolowany płacz — myśmy te zwłoki rozkradli!

Kuli się na fotelu.

Biorę go w ramiona, delikatnie przytulam do piersi, myślę tylko o tym, żeby nie zwymiotował. Masz, Mirek, napij się jeszcze, wciskam mu tę szklankę. Uspokaja się na tyle, by mówić.

— Kościół ma swoje procedury. Ustalają, co cud, co nie cud, a w Polsce każdy biskup kupiony, cholera wie, kto z Watykanu przyjedzie, nie ufaliśmy nikomu. Ja, Grzesiek, inni przyjaciele Jurka.

Sam się też sprzedałeś, stary capie, mówię sobie w głowie.

— Wykopaliśmy ciało i podzieliliśmy między siebie. Między parafie. Tak bezpieczniej. Niewiele zostało, kto by pomyślał, tak szybko, Jezusie Przenajświętszy, kości psa! Myśmy tam kości psa dali, umykałem z cmentarza jak łajdak, jak złodziej. Ja nie chciałem ich dla siebie — beka tak, że widzę czerwone podniebienie, spróchniałe pieńki tylnych zębów i migdałek jak przepiórcze jajo — ale dostałem. Esbecja zaraz ode mnie się odpierdoliła, dostałem wyjazd. Najpierw do Włoch. Odprawiałem msze w obozie przejściowym. Poznałem Tadka. Poznałem Joe. I wiedziałem, wiedzieliśmy już, że te kości, że Jurek nie może zostać dla nas. Mogłem mieć miliony. Ale przyjechaliśmy tu, do Middletown. Wzięli nasze rodziny. I zaczęliśmy wszystko od samego początku.

— Powiedz mi — przerywam, powstrzymuję się, bo chcę dorzucić „baranie” — jakim cudem przewieźliście kości do Ameryki?

Przerzucić trupa przez Atlantyk to nie takie znów hop-siup.

Mirek uśmiecha się, rozczulony wspomnieniem dawnej chwały.

— Joe to załatwił. Można przemycić wszystko. Narkotyki. Broń. Dzieła sztuki. Joe wynalazł szmuglera antyków z Europy, załatwił jakąś pozytywkę, kości ukrył w pozytywce i było. A może był to kredens? Ludzie szafy przemycają. Nie zapominaj — oko mu błyska — jakby to powiedzieć, sprzyjało nam szczęście.

Mam parę uwag odnośnie działania szczęścia, ale chowam je dla siebie.

— Widziałeś, co się działo. Każdy się dorobił. Nie mieliśmy chorób ani przestępstw, nikt nigdy nikogo nie napadł, żadnych włamań, ja znam spowiedzi tych ludzi, małe, drobne grzechy. Aż mi wstyd. Kupowaliśmy coraz lepsze domy i samochody, dzieci chodziły do coraz lepszych szkół i

tak dalej — mruga, jakby nagle sobie coś przypomniał, beknięcie bije w moją stronę wonią ledwo strawionej wody. — Jak myślisz, czemu Joe cię tu ściągnął? Chciał, żebyś został?

No chciał.

— Zapraszaliśmy ludzi. Żeby zarobili więcej niż gdzie indziej, żeby zostali i wzrastali z nami — gada, a jakby się modlił — nie tylko dla siebie, nie tylko dla siebie. Potem przyjechał Grzegorz. Mówiliśmy, że na leczenie, a tak naprawdę leżał przy kościach i rzeczywiście, trochę mu się poprawiło. Nie dość. Nie wiem czemu. Może historie o uzdrowieniach na grobie były przesadzone? A może to dlatego, że nie mieliśmy całego ciała? Słuchaj, i on... on po prostu je ukradł. To już wiesz. Zabrał dla siebie, bo, ja tak to sobie tłumaczę, ja go znam trzydzieści lat i jemu po prostu pomieszały się zmysły.

No dobra, myślę teraz: tylko czemu kazał mi je wywalić, czemu bał się ich bardziej niż diabła, prosił o co prosił.

Mirek łże, a mi coś umknęło.

I dalej umyka, za to Mirek już nie łże, bo zamknął gębę i tylko straszliwie beka. Aż na schodach dudni.

— Teraz, czy... — pyta i zaraz milknie.

Już chyba wie, że mógł się pomylić.

Głupiec gada, a mądry słucha.

Bo wiecie, ja nie do końca mu wierzę.

Siedzi przede mną przerażony, beka jak koza, co się nazarła torfu, i już chyba wie, że wypaplał, co tylko leżało mu na wątrobie, tymczasem ja nic nie obiecałem w zamian i nic nie muszę zrobić. Nie mówię, może tak. A może inaczej. Nie chwytam do końca. Potrzebuję paru minut.

Ogarniam to z wolna i patrzę, beknięcie za beknięciem, jak na moich oczach księdzu Mirkowi siada trzustka.

*

Bo tak, esbecy zatłukli księdza, podobno świętego.

Lilie wyrosły na jego wodnym grobie.

Ksiądz Mirek buchnął truchło, potem z Joe, Teddym i kogo tam jeszcze miał pod ręką przewiózł relikwie przez Atlantyk i na nich zbudował Amerykańską Osadę Polskiej Szczęśliwości. Pieprzeni ojcowie-założyciele, nie ma co. Ksiądz Grzegorz wszystkich wystawił do wiatru. A tajemnicę powierzył mnie.

Mogę w tej chwili trzasnąć drzwiami, zostawić Mirka wśród jego kłopotów i samemu sprawdzić, czy kości przynoszą szczęście, czy nie.

Ale jak je przewieźć przez Atlantyk? Zostać też mi się chce. Ściągnę Kaškę. Albo będę miał tutaj najlepsze dziewczyny.

Czego obawiał się ksiądz Grzegorz?

Mirek dyszy, wydobywa z siebie beknięcie za beknięciem, czego zupełnie nie kontroluje. Tylko łzy biegną mu do oczu. Zbiera jakieś słowa, mamrocze do siebie.

Próbuję wmówić sobie, że nie mam zobowiązań wobec nikogo; trzasnę drzwiami i ta akurat historia dla mnie się skończy. Jeśli kości, ich moce, są prawdą — a nie wątpię, że Mirek i inni w to wierzą — to jaką korzyść mogę wynieść z tego przedsięwzięcia? Zbuduję sobie złoty dom. Będę miał największy samochód i kobietę z biustem też największym.

Ale historia kręci się w kółko. Dawne skarby wybijają nam zęby.

Kości to bzdura: tylko głupi wypiąłby się na Mirka.

Kości są prawdą: czynią cuda, podrywają zmarłych z grobów. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Podnoszę się z fotela, Mirek zawiesza na mnie wzrok pełen nadziei. Powolnym ruchem, tak, aby zrozumiał mnie dobrze, przekręcam klucz w kasetce i liczę pieniądze; tłusta, miła kupka, jakieś pięćdziesiąt tysięcy baksów w studolarowych banknotach. Sama kasetka jest gruba i ciężka, wyposażona w rączkę. Wyjmuję z plecaka majdan, przygotowany na budowę: rękawiczki, czapkę, kanapki, koszulkę na zmianę; wyrzucam, pakuję kasetkę na samo dno. Mirek wzdycha z ulgą.

Upijam whisky. I mówię: kości leżą tam, gdzie zostawił je ksiądz Grzegorz. Lotnisko. Skrytka numer czterdzieści trzy.

Mirek wyraźnie nie dowierza. Ale podrywa się, woła:

— No to jedziemy!

Chce mnie sprawdzić. Ma do tego prawo, powiedziałem prawdę i się nie boję. Mirek ogarnia się z wolna, choć ledwo stoi. Pociąga solidny łyk.

— Jak ty chcesz jechać? — pytam — Urznięłeś się jak szczur.

Ledwo dziewiąta minęła.

Mirek robi idiotyczną minę, jakby dopiero zrozumiał tę prostą prawdę, nawet przygląda się butelce, resztówce brązowego płynu, kochliwie chlupiącej na dnie. W jego zmęczonej głowie zderzają się dwie senne kulki, bęc — wymierza we mnie palec.

— Ty poprowadzisz! Piłeś mało co.

Rzeczywiście, setkę, nie więcej.

— Nie mam prawa jazdy i nie umiem jeździć — wyjaśniam spokojnie i Mirek baranieje. Jak to, co to... Otrząsa się, rozgląda.

— Weź zadzwoń po kogoś — radzę. Mirek przytakuje, kombinuje teraz, komu zaufać. Podpowiadam. Joe? Pewno też pijany, do tego głośny, z nim nie. Teddy. Ale Teddy w Bostonie. Wiesz co, Mirek, dzwoń ty do Bostonu, niech Teddy bierze dupę w troki, nim przyjedzie, to się pozbieramy.

Zaraz przyjdę. Musze tylko pożegnać się ze swoją Ameryką.

Wracam do pokoju. Wygrzebuję przygotowany wcześniej pakunek, jeszcze raz przerzucam, co potrzebne, wychodzi, że nic. Zostawiam parę koszulek, gacie, jakiś sweter, głównie po to, żeby umościć kasetkę. Leży już sobie, niepozorna.

Oto mój plan: pojedziemy z Teddym na lotnisko, Mirek otworzy skrzynkę i weźmie kości. Nie chcę ich oglądać. Zamienię bilet, albo go zwyczajnie kupię, pierwszy lot do Europy. Gdziekolwiek bądź.

Pieniądze podzielę. Do majtek, do torby. Kasetkę Mirek może sobie wziąć.

A, i jeszcze niech Teddy naszykuje czeki.

Z dziką radością, przyćmiewającą wszystko inne, zdzieram z siebie robotnicze ubranie, zrzucam cuchnące kontraktorki, wszystko zwijam w wielką kulę. Z naręczem brudów pędzę do kosza za klasztorem, ciskam, przywalam dekle, chce mi się śmiać, świat jest piękny.

Sprawdzam jeszcze raz. Kasetka czeka w torbie.

Wypalam ostatniego papierosa, patrząc na ponure, brązowe ściany, zerkam jeszcze za okno, przysiadam na brzegu łóżka i próbuję sobie przypomnieć, po co tu przyleciałem, czego chciałem i jakim cudem, do cholery, wszystko zrobiło się takie dziwne. Nie zajmuje to długo. Gniotę peta, zarzucam torbę na ramię i wychodzę na śnieg.

Mirek czeka już na zewnątrz. W puchowej kurtce i czapce z daszkiem. Nie zadzwonił po Teddy'ego, ten koloratkový dureń połamałby sobie palce we własnej dupie.

Przed parafią krąży zaaferowany Adrian i odpala szluga od szluga.

*

Adrian wita się ze mną, jakby mi życie zawdzięczał, gniecie mnie do

piersi i w kółko dziękuje. A łapy tak mu się trzęsą z tej radości, że wolałbym już Mirka posadzić za kółkiem.

Ten akurat z wolna dochodzi do siebie, idę o zakład, że wydoił, co tam zostało w butelczynie. Opiera się o ścianę i beka miarowo, obracając twarz ku słońcu.

Adrian chce zabrać mi torbę i włożyć do bagażnika. Akurat. Pakuję się z nią na przednie siedzenie. Mirek mości się z tyłu, Adrian pyta, czy dać mu torebkę.

— To tylko nerwy — tłumaczy ksiądz Mirek.

Ruszamy.

— Kto by pomyślał — zagaduje Adrian — Mirek sądził, że ty to masz, ale nikt w to nie wierzył.

— I dobrze — odpowiadam — bo niczego nie mam. Grzesiek powiedział, że coś wziął, coś gadał potem. Zgoda, zajrzałem i....

Adrian wybucha śmiechem, radość go roznosi.

— Nie przeżywaj! Znowu czuję wiatr w żaglach! — wykrzykuje, przyspiesza na prostej drodze, boję się trochę, bo ciut nosi na boki. Ostry skręt i po nas.

Nad szum silnika wybija się bekanie księdza Mirka. Krzywi się. Cierpi.

— Grzesiek miał nosa do ciebie — mówi nagle Adrian — a ja się pomyliłem.

Ostatnie słowa brzmią dziwnie, nie podchodzą. Adrian zwalnia przy swoim domu, ale nie skręca na podjazd.

— Zawołam Kate — mówi. Trąbi, bez skutku. Dzwoni z komórki, to samo. — Minuta dla mnie — dodaje przeproszającym tonem, wyłazi z auta, zatrzaskuje drzwi. Już pędząc w stronę domu, naciska kluczyk i blokuje drzwi.

To podoba mi się jeszcze mniej.

Rzeczywiście, minutę później wraca, lecz bez Kate-Katarzyny. Wlecze się, jakby ktoś niewidzialny wskoczył mu na plecy. Jego twarz przybrała mdły, przeproszający wyraz. Targa czerwony kanister z benzyną. Rozlewa ją, idąc w naszą stronę.

Rzucam się na przycisk otwierający drzwi, nie natrafiam na opór. To samo ten naprzeciwno. Adrian je popsuł.

Szarpię klamką, na próżno, rzucam się do drzwi od strony kierowcy,

to samo. Drę się na Mirka, weź zrób coś, ale, nim Mirek przytomnieje, Adrian jest już przy nas. Nie śmie spojrzeć mi w oczy, zezuje, zerka w niebo, kładzie kanister na boku i kopniakiem podsyła pod samochód.

Walę pięściami w szybę. Cofam się na drugie siedzenie i kopię. Szkło drży, ale nie chce puścić.

Mirek powtarza mój błąd, próbując otworzyć drzwi normalnym sposobem, rozrywa plastik i najwyraźniej nie kapuje, że jesteśmy uwięzieni. Napiera barkiem na szybę, klepie zdrowaśki, beka, jakby właśnie świat miał się skończyć.

Adrian powinien mieć zippo, takie skojarzenie przelatuje mi przez głowę, gdy gorączkowo opróżniam torbę, zamiast tego Adrian wyjmuje długie zapalaki do palenia w kominku.

Znajduję kasetkę.

Tylne drzwi nawet nie drgną, choć Mirek wali w nie, ile wlezie.

Adrian klęka, zapala zapalarkę, czeka aż ogień wejdzie wysoko na drewno. Jest skupiony, sprawia wrażenie czymś zawstydzonego.

Walę kasetką w szybę, ile tylko mam sił. Nic.

Za to zapalarka spada na ziemię, myślę sobie, że zgasła i Adrian chyba też tak myśli. Kolejne uderzenie rysuje na szybie gęstą pajęczynę, nie widzę, co dzieje się tam, na zewnątrz, ponawiam uderzenie, cofam się i walę w okno obiema nogami, jednocześnie — nie mam pojęcia, jak to możliwe — ciskając kasetkę księdzu Mirkowi na kolana. Szyba wypada w jednym kawałku, dzięki czemu widzę płomień, podobny do rekiniej płetwy, pędzący w naszą stronę. Rzucam się do przodu, przelatuję przez okno, szklane odłamki rysują mi plecy, ale to jest nieważne, zupełnie się nie liczy, ważne tylko, że przewalam się przez drzwi, ląduję na ziemi, owiewa mnie zapach benzyny. Pieprzyć ją.

Ognista płetwa pędzi prosto na mnie, turlam się byle dalej i zrywam na nogi.

Krew leci mi po plecach.

Wzrok Adriana jest błędny, zdaje się, nie wie, że istnieję.

Książd Mirek bierze zamach kasetką, a ognista płetwa znika pod samochodem, jeszcze mi mignął: uchwycony w ruchu, z kanciastym ciężarem w obu dłoniach, blady, za to z czerwonymi plamami na twarzy. Otwiera usta, daje głowę, że mówi teraz: „Jezu pomóż” albo coś w tym stylu.

Ksiądz Mirek wypierdala się w kosmos wraz z całym samochodem, który teraz jest tylko kulą ognia, targaną przez eksplozję. Toyota unosi się lekko i znowu trach, poszedł zbiornik z paliwem, opadają tylko czarne, rozgrzane szczątki. Wiruje popiół.

Nie myślę o księdzu Mirku, o pieniądzach i gratach z torby, rozrzuconych pod siedzeniem pasażera. Nie myślę, bo na to przyjdzie czas.

Odwracam się w stronę Adriana.

Dureń nie przewidział, że podwinie mu się noga, mierzy mnie wzrokiem, potem siły na zamiary i rzuca się do biegu. Wciąż dźwiga niewidzialny ciężar, ten omal mu głowy nie ukręci.

W powietrzu wiruje sadza, popiół, iskry.

Ruszam za Adrianem.

Nie ogląda się za siebie, za to jego sapanie słyszę mimo złości i dystansu, jaki nas dzieli, w ogóle nie umie biegać, rozrzuca nogi na boki, jakim cudem wytrzymał na budowie. No, młody był, teraz to stary pierdziel, co wziął się za zabijanie. Ale nie zwalnia, choć zaraz głowa pęknie mu z wysiłku, ten wielki łeb z czerwonymi uszami.

Jak pokonany król, umyka do swojego pałacu, tam się skryje, liczy, że nie będzie znaleziony.

Dopadam go przy schodach i obalam na stopnie. Jęk tłumi odgłos upadku.

Chwytam go za kudły, uderzam czołem o drewno. Adrian wydobywa z siebie coś na kształt szczeknięcia.

Puszczam go, świszczy.

Świszczy i chce mnie przebłagać spojrzeniem.

Próbuje wstać. Kopniakiem pokazuję mu, gdzie jego miejsce.

Wyrywam kawałek barierki. Jest biała i lekka.

— Daruj! — Adrian spluwa krwią, kwili. Przypomina teraz pobitego Krzyżaka. Nie chcę go zabić. Nie mógłbym. Walę białym drągiem tam, gdzie boli. W łydki, pięty, tłuste uda. Adrian skowyczy.

I pełźnie do domu.

Wybuch wciąż dzwoni mi w uszach.

Za mną samochód w ogóle nie przypomina samochodu, to czarna, dopalająca się miazga z trupem w środku. Swąd benzyny. Skwierczącego tłuszczu. Adrian już nie wstanie. Pełźnie tylko w stronę drzwi.

W oknie tkwi przejęta Kate-Katarzyna. I zaraz znika w głębi mieszkania, dobrze, myślę sobie, czekam, aż Adrian chwyci za klamkę. Walę go drągiem w nadgarstek. Rety, ale wrzasnął. Obraca ku mnie wielki brzuch. Trzepocze ramionami.

— Chris! — jęczy i zaraz — daruj!

Gównu mi do tego.

Ten wielki dureń nawet nie wpadnie na to, że nie ma już ojca.

Stoję nad Adrianem, ściskam drąga. Wyglądam jak łowca, który dopadł wampira. Tylko słońce, zimowe i słabe.

— On zdrowieje — charczy Adrian. Podnosi się, wsparty o barierkę. Macham drągiem dla czystego żartu, Adrian się kuli i wiem już, że nie zrobi mi nic złego.

Za to drzwi do domu otwierają się z hukiem

*

Wewnątrz panuje półmrok.

Czuję się jak w brzuchu martwego zwierzęcia. Potrzaskane meble gromadzą się pod ścianą, dywan jest mokry, w suficie straszy dziura, większość żarówek stłuczono. Pałą się tylko dwie i dzięki nim widzę Kate-Katarzynę u szczytu schodów i Chrisa, wyprężonego na wózk, jakby zaraz miał dostać jakiś order.

Ma dresowe spodnie i polar rozpięty do pępka.

Jego ciało jest czerwone, coś wije się pod skórą. Długie cienie ciągną się za nim jak rozłożone skrzydła.

Popycham Adriana, ten leci przez kilka metrów i ląduje na dywanie. Kate-Katarzyna przesyła mu obojętne spojrzenie, za to mnie obdarza wzrokiem, powiedzmy, ciekawym.

Wiem już, że dziewczyna nie jest sobą, coś pomieszało zmysły tym trojgu, sprawia wrażenie, jakby usiłowała płynąć w powietrzu.

Adrian podnosi się, na kolanach sunie w stronę syna. Jęczy, z trudem opiera się na stłuczonym nadgarstku. Gada chyba we wszystkich językach świata, że strasznie mu przykro.

Biję kijem w otwartą dłoń.

Chris mruży oczy. Wodzi za mną wzrokiem, wcześniej nie umiał.

I jak nie ryknie Gwen Stefani, what you waiting for?, tyle, że nie umiem wskazać głośnika, skąd to, jak to. I wiem.

Kate-Katarzyna otwiera usta tak szeroko, że połknęłyby arbuza na

raz.

Jej oczy wypełnia bezbrzeżne cierpienie, a piosenka leci z głębi brzucha.

Adrian dotarł już do schodów. Coś tam chlipie, burczy, chwyta się obiema dłońmi za głowę, zaczyna się kołysać w rytm dźwięków, nawet usta próbują powtarzać słowa, spuchła noga wybija takt. Nagle chwytam, że wpakowałem się w coś, co trochę mnie przerasta i pewno nie wyjdę stąd żywy.

Unoszę swojego drąga i dwie rzeczy dzieją się, jedna po drugiej.

Chris wstaje bez żadnego wysiłku.

Głowa Adriana eksploduje. Huk przypomina dźwięk pękającej opony. Obsypują mnie krwawe strzępy, kawałki czaszki wielkości mniej więcej pięciocentówek, ale ja tego nie wiem, ja zjeżdżam na podłogę i cześć.

*

Nie tracę przytomności ani na moment. Leżę sobie na plecach, a Chris idzie w moją stronę.

Kate-Katarzyna puszcza w kółko refren.

Chris klęka nade mną. Co jak co, ale z tej kabały już się nie wywinę.

Strach przed śmiercią jest dziki i wykręca mi kości. Karty wypadają mi z dłoni, wszystko: trójki, asy, karety, stawka na stole, tracą znaczenie. Chris przekrzywia głowę. Patrzą teraz w oczy mądrej istoty, starszej niż cokolwiek, co żyło na ziemi.

Wydobywa z siebie ziemisty pomruk.

Głos w mojej głowie dopowiada: Nie musisz się bać

Wskakuje mi na pierś, dociska, jak zmora, masą złych snów. I widzę, pociąg gna przez Middletown, trzaskają drzwi w przedziałach, z trakcji sypią się iskry.

Oto ksiądz Grzegorz w pustej sali klubu polskiego, na zewnątrz ogień ogarnia kościół świętego Jerzego, łuna wpada przez drzwi. Gdzieś tam miota się Mirek. Już wyją strażackie syreny. Grzegorz cofa się, przykłada rękę do ust, wiem i ja, wiemy obaj, Grzegorz cofa się w głąb, przez pustą, jak powiedziałem, salę klubu polskiego. Pustą, nie licząc Chrisa, o którym wszyscy zapomnieli.

Chris wstaje z wózka, mniej udanie niż teraz, jeszcze się chwieje, ledwo lezie, ale ma dość sił, by chwycić Grzegorza za gardło.

Ksiądz nawet nie próbuje się bronić, miękną mu kolana, oczy wychodzą na wierzch i jest już po chłopie. Chris z furją ciska ciałem, głowa uderza o kant sceny i pęka.

Chwilę potem jest na wózku, trenuje głupkowaty wyraz twarzy.

Zaraz obrzuci mnie gównem.

Zium! Wio. Jedziemy.

–Już wiesz. Masz prezent ode mnie.

Adrian i Teddy kopią dół w piwnicy.

Ksiądz Grzegorz, spalone resztki, niknie pod ziemią, zawalony cementem. W najgłębszej części podziemi, między lodówką a graciarnią, obok złożone polskie flagi, stare krzyże i obrazy świętych.

Stwór, który mi to pokazuje, ma miliony lat.

Jest jak lawa i kamień na dnie oceanu.

Kocham cię, mówi ten stwór.

Kocha mnie, bo Grzegorz wyniósł kości i chciał je odnieść, umarł, a ja ich nie oddałem.

Kocha mnie, bo gdy rzucił we mnie gównem, potraktowałem go jak człowieka. Którym może był, ale już nie jest, pewno coś ludzkiego, co jeszcze się w nim tliło, przepadło wraz z wywiezieniem kości.

Joe, Mirek, Teddy, Grzegorz tego nie przewidzieli, bo nie ma niczego za darmo. Mieli swoje domy, powtarzam za stworem, samochody i miliony. Dostałem wózek i pampersa.

Łypie na mnie czerwonym okiem.

Takie jest życie, nie ma co się złościć.

W nim są jakieś miliony żyć, przewalają się i tłoczą, jak wściekłe psy, wrzucone do zbyt małej klatki.

Nie ma co.

Ale ja się wściekam

Dźwięk piosenki jest ogłuszający, Chris także ryczy, czarna chmura sadzy spowija jego sylwetkę, trzaskają żarówki, z okien wylatują szyby.

Nie wolno ci się bać.

Macie wdzięczność.

Spluwam i podnoszę się z ziemi, Chris mało mi ręki nie poda, w końcu się cofa, żeby wiedział — nie robi mi krzywdy. Z nieruchomych ust Kate-Katarzyny wciąż dobywa się piosenka, Kate-Katarzyna robi się purpurowa, potem szara, próbuje łąpać oddech.

Nie bój się.

Akurat.

Chris rozrzuca dłonie, w tej chwili wydaje mi się, że cienie to naprawdę są skrzydła, długie niby płaszczyzny, płaty cienkiej skóry zespolone przez kolce.

Kluczyk, słyszę.

Klucz od skrytki na lotnisku. Przez moment nie rozumiem, do czego Chrisowi jest potrzebny, wiem za to, że oddam dużo więcej za ocalenie tyłka. Ciskam go przed siebie, podskakuje radośnie i zatrzymuje się pod stopniem.

Możesz iść, słyszę, ale najpierw mi się pokłoń.

W tych słowach jest miłość, troska, samozadowolenie. What you waiting for, dobywa się z umęczonej Kate-Katarzyny, patrzy to na syna, to na męża, czerwony ukwiał zamiast głowy. Jakby coś wypełzło ze środka.

Chris uśmiecha się łagodnie, strzepuje czerń z palców, tłuste płaty rozpadają się tuż nad zachlapaną krwią podłogą. Chris, uwolniony z wózka, Chris narodzony w noc, gdy do Middletown przywieziono kości. Pokłoń mi się, słyszę, niecierpliwość jest straszna, padam na kolana, padamy, bo Kate-Katarzyna nie ma już sił i stacza się po schodach. Trzask, kręgi.

Kłęczę. Kate-Katarzyna wije się na ziemi z przetrąconym kręgosłupem, nie umiem wyobrazić sobie jej męki, całe jej ciało obraca się i trzepie, a śpiew idzie dalej, z prostym bitem — biorę to za ponaglenie i chylę głowę przed Chrisem. Podpieram się dłońmi, przykładam policzek do podłogi, a gdy wstaję, Kate-Katarzyna jest martwa.

What you waiting for?

Już na progu odwracam się i patrzę na Chrisa, nienaturalnie wysoką, płaską jak folia postać, usadowioną między zmarłymi. Bóg wreszcie wrócił do Middletown.

Zapomniałem, że może być tak zimno.

Stawiam kołnierz i kaptur, odbiegam truchtem, przypominam sobie o papierosach, próbuję myśleć o wielu rzeczach, ale umiem tylko o własnym szczęściu. Zabawne, jakie drobiazgi mogą nas ocalić.

Ty jeden potraktowałeś mnie jak człowieka, przypominam sobie

słowa Chrisa, za nimi leci głowa Adriana, usta Kate-Katarzyny, wyrzucają wszystkie grzechy świata i robię się słaby.

Ledwo idę, przed siebie, byle dalej, mijam tłące się szczątki samochodu ze spaloną głową księdza Mirka w środku. Mirek ściska moją kasetkę.

Wyrywam ją z czarnych dłoni.

*

Uciekam z Middletown na przelaj, przez krzaki, śniegi, wydaje mi się, że pędzą za mną sfory wielkich psów. Przystaję, szukam wśród drzew długich cieni.

Tylko zziębnięte wiewiórki przewalają się przez mokre liście.

Nikt mnie nie goni. Złe zostało w Middletown i zajmuje się swoimi sprawami.

Jest zimno, kasetka wadzi, nie zwalniam marszu, aż wczesnym popołudniem docieram do pierwszych domów. Kto to widział, w Ameryce na piechotę? Z tylnej kieszeni spodni wyjmuję kluczyk, przekręcam, zabieram kilkaset dolców. Kasetka jest czarna jak ksiądz Mirek, a jednak działa.

Wlokę się do malla.

Kupuję rzeczy najpotrzebniejsze: komplet ubrań, nowy plecak, sandwicze, opycham się w Wendys i walę mocną kawę z Donkin' Donuts. Myję gębę w kiblu, dalej wyglądam jak zbrodzień. Nie śmiem pytać o autobus.

Łąduję w hoteliku na obrzeżach miasteczka. Nie wiem, jak się nazywają. Hotel, miasteczko. Za to whisky to Jim Beam. Palę słodkie papierosy, uzynam się, myślę.

Grzegorz z innymi przywieźli kości w najlepszym celu, kto wie, może Jurek naprawdę był święty.

W tamtą noc narodził się Chris.

Pokręcony, słaby stwór w ciele ułomnego człowieka. Ciemna i krucha strona sukcesu w Middletown. Wielkie domy były mu kalectwem, dolary nowotworem, piękno polskich kobiet odebrało rozum, ich cycki pomieszały mu zmysły. Mercedesy, maybachy, a dla chłopca wózek.

Tak świat działa, myślę sobie, jeśli zarobię stówkę, ktoś jej nie zarobi.

Mam miejsce siedzące, stój, chamie jeden, ile wlezie.

Macie historię.

Grzegorz buchnął kości w nadziei na własne wyzdrowienie, rujnując zasobne szczęście Middletown. Jednocześnie Chrisowi zaczęło się polepszać, na co nie wpadł nikt poza Adrianem i Kate-Katarzyną. Nawet oni nie rozpoznali charakteru zmiany. Nie mieli pojęcia, czym staje się Chris. Grzegorz zginął, bo umyślił sobie kości zwrócić.

Chris chciał kluczyk, tylko po to, by kości zostały tam, gdzie są.

Za jakiś czas wygaśnie rezerwacja skrytki, ktoś z lotniska ją otworzy i znajdzie istne cuda. Te trafią na policję, do laboratorium sądowego, diabli wiedzą, lecz nigdy nie wrócą do Middletown. Tylko o to Chrisowi chodzi.

Chris. Jak wiele wściekłości wlało się w tę paskudną głowę przez te wszystkie lata. Pampersy. Niekontrolowane spusty. Śmiertelna wrogość ciała. Cała ta Gwen. Tobół nie człowiek, worek z kłopotami. Sam bym się wściekł, więcej, złość rozszarpałaby mnie od środka, wiem, że jutro zmienię zdanie, będę uciekał, współczułem, modliłem się nawet, żeby nigdy już nie słyszeć o Middletown, ale teraz, w prawdziwie amerykańskim hotelu, z wyłupiastym oczkiem ti-vi, z biblią w szufladzie i butelką pod ręką, w sprzężeniu łkań, drzeń, wymiotów — rozumiem Chrisa i współczuję mu.

Śni mi się rozwścieczony wir, pełen czarnego tałatajstwa. Idzie za mną, gdziekolwiek nie pójde.

*

W autobusie śpię całą drogę. Budzi mnie czarnoskóry kierowca i wesolutko prosi, żebym sobie poszedł.

Czuję się nieźle i nawet wyglądam jak człowiek. W metrze znajduję blade lustro, a w nim siebie: czerstwego, z napuchłym pyskiem, ale i ogniem w oczach. Kręcę się chwilę bez większego sensu, schodzę na perony, wagonem nabitym po sufit zjeżdżam prawie pod warsztat. Muszę tylko przejść przez most. Robota ani mi w głowie, zabiorę swoje czeki i spieprzam na lotnisko, do widzenia ślepa Gienia.

Dzień jest lodowaty, ale niemal pozbawiony śniegu.

Żując kanapkę wlokę się mostem, pode mną suną podmiejskie pociągi, wieżowiec-drzwi wciąż pilnuje dostępu do nieba.

Szeroki pas znajomych garaży, koledzy z pracy czekają, ćmią szlugi jak zwykle, brama jest jeszcze zamknięta. Akurat, gdy dzieli nas tylko ulica, podjeżdża van i wysiada zaaferowany Teddy, gmera w spodniach,

szuka kluczy. Macham ręką do kumpli, oni odmachują. Mam zielone, przechodzę. Wszyscy w roboczych ubraniach. Czapki naciągnięte na czoło. Teddy podaje pośpiesznie dłonie, wkurwia się, są spóźnieni, szarpie za kławkę, uf — otwarte. A ze wszystkich stron, nawet chyba z jam i studzienek kanalizacyjnych, wysypują się mundurowi.

Suki na sygnale, imigracyjni.

Kasetka w moim plecaku momentalnie robi się ciężka.

Towarzystwo rozpierzcha się na wszystkie strony, tylko po to, by nadzieć się na parkujące samochody policyjne, paru sprytnych próbuje czmychnąć do pobliskich budynków i już leży na ziemi. Zbaraniały Teddy unosi wysoko swoje miękkie łapki. Mają ich wszystkich. Sosnę. Janka Faję. Janusza „Łocie”, który jednak się pomylił i niedługo zobaczy polski dom.

Pierwsza myśl — chodu, ale mundurowych nawieźli taczkami, zaraz mnie dopadną.

Idę normalnym tempem, z łapami w kieszeniach i plecakiem zarzuconym nonszalancko przez ramię. Chłopaki patrzą na mnie, żaden nawet nie mrugnie, chwala wam, kumple od bronka i betoniary, parę kroków ode mnie bransolety zatraskują się na nadgarstkach Teddy’ego. Mundurowym towarzyszą cywile w czarnych garniturach, jakby dopiero co urwali się z polowania na UFO, jednego wymijam gładko, inny przygląda mi się bacznie, gada coś do policjanta i lekceważąco macha dłonią.

Przechodzę dalej. Zostawiam ich za plecami, wszystkich kilkadziesiąt, a każdy w poplamionych farbą spodniach, taniej kurtce, kontraktorkach. Mam levisy na tyłku, bluzę za pięćdziesiąt dolców i białą puchówkę.

*

Na lotnisku długo stoję przed rzędami skrzynek. Tajemnice pod kluczem. Sekrety, zdrady, wściekłości. Co ludzie tam kryją. Co byli zdolni schować. Zdjęcia. Pieniądze. Zwykłe szpargały, pochowane tylko dlatego, że ktoś się spieszył.

Rzeczy podrózne i tajemnice wszechświata.

Przez moment widzę te kości w skrytce, jak syczą wściekłe na swój los, jak obracają trupią czerń ku żyjącym. Pulsują, owijają się wokół siebie, niewidoczne w swoim zamknięciu, ich trzask przebija się przez

gwar ludzi tłoczących się w poczekalni, przez skrzek komunikatów. Już wiem, że między rzeczą a człowiekiem nie znajdziesz różnicy. Niektóre rzeczy są bardziej, inne mniej.

Zawracam do kas i próbuję wymienić bilet.

Amerykanka, która próbuje zrozumieć wyczarowany z chmury kawał bredni, jest chyba włoskiego pochodzenia, ma olśniewające włosy i ciemną twarz, na chwilę wybijam ją z rutyny, przez moment nawet wierzy. Tu wierzą człowiekowi.

Umarł mi brat.

Powiesił się, proszę pani, zjadł śniadanie i powiedział, że musi iść. I wróci nieprędko. Zaraz okręcił sznur wokół klamki swojego pokoju, rzucił się całym ciężarem. Mama znalazła go, jak już był zimny. Dlatego przerywam amerykańską wycieczkę i natychmiast muszę wracać.

Dziewczyna bierze bilety, obdarzając mnie wzrokiem pełnym współczucia. Nie wiem, czy wciąż wierzy w te bzdury, czy może zachwyca ją moje kłamstwo. Mówię tak, by niemal słyszała jęk mokrego sznura.

Wraca po dziesięciu minutach.

Myślę tylko o papierosie.

Słyszę, że zrobiła co mogła, gdyby dało się zmienić Myszkę Miki w Marylin Mansona, też by na to poszła, ale to bilety, więc o cudach nie ma co gadać. Lot za trzy dni, przesiadka we Frankfurcie.

To brat mi całkiem wystygnie, mówię po polsku, gnę się w uśmiechu, dziękuję za to po angielsku i pędzę z biletami do wyjścia.

Trzy dni.

Myślę o nich przez całą drogę metrem i potem na murku w Harvardzie, gdzie przede mną przetaczają się hałaśliwe hordy studentów, każdy w kolorowych ciuchach, w czapce z płaskim daszkiem i dziwnych spodniach pełnych wszytych zamków, muzyka huczy im w uszach, targają ze sobą książki dla alterglobalistów. Trzy dni. Potrzebne jak dziura między oczami. Nic nie zdołam zrobić. Ani pójść do roboty, ani pojechać, ani przestać myśleć.

Boję się Chrisa i kości w skrytce.

Mogą pójść za mną i zadusić.

Ale zbieram się w sobie, ciskam szluga, przerzucam plecak przez ramię, kasetka w środku obija mi się o plecy. Aż boli. Wracam tak do

metra i pędzę na ostatnią stację, władowany między smród pasażerów, zwalam się na krzesło. Metro jest ciemne i smutne. Za oknem w tunelu migają reklamy i nagle słyszę coś w rodzaju metalicznego trzasku, jakby szyby rozerwało, nikt nie drgnie, więc wiem, że mi się zdaje i to nieprawda, że zasuwamy ostro w dół, przez stary cementarz, pod kołami jęczą rozpruwane trumny i potrzaskane krzyże: za pociągiem wloką się poturbowane zwłoki Piotra Mokrego. Aż wypadamy na zimne słońce, przez moment za oknem jest tylko ono, spada na wypaloną ziemię bez jednego domu, lecz domy nagle rosą i napełniają się życiem. Tłum wypycha mnie na zewnątrz. Zbiegam po schodach, ginę między uliczkami.

Ktoś idzie za mną. Nie śmiem się obejrzeć.

Znajduję motel.

W niczym nie przypomina moteli znanych z filmów, to przysadzisty budynek pełen małych okien. Odpicowany od środka, z podłogi można jeść, sympatyczny Chińczyk już leci do mnie i pyta, na jak długo zostaję. Wykupuję pokój na trzy dni, wracam zaraz z butelką kapitana Morgana, wlewam ją w siebie, przełączając kanały na telewizorze, otulam się kocem i śpię.

Budzę się rozzłoszczony, chwiejny, lecz trzeźwy.

Biorę długi prysznic, przebieram się i parceluję gotówkę. Kasetka ląduje pod łóżkiem, owinięta w pościel, tysiąc dolarów rozkładam po kieszeniach. Kawę od Chińczyka wypijam szybko, w hallu. Aż parzy.

To nie moja wina, mówię sobie. Nie ja przywiozłem kości do Ameryki, nie ja je podprowadziłem i w życiu nie prosiłem księdza Grzegorza, żeby pofatygował się z taką akurat tajemnicą. Kto inny wzbogacał się przez lata i przywołał Chrisa z tego dziwnego miejsca, w którym przebywał wcześniej. Nic mnie to nie obchodzi, nie mam żadnych długów.

Wiem, że muszę coś ze sobą zrobić, choć trochę zadbać, ląduje w restauracji nad sałatką z wędzonym łososiem. Zapijam sokiem pomidorowym. Zamawiam szklanka po szklance, aż zbieram się, płacę rachunek i pędzę na miasto, znaleźć kogoś, kto sprzeda mi kokainę.

*

Jestem jak rakieta ze zniszczonym napędem; kręcę się jak tylko umiem, a z tyłka wyfruują mi kłęby dymu i ognia.

Mam nowych przyjaciół.

Już późno.

Jarek i Agnieszka przyjechali z Polski, sprawiają wrażenie bogatych i niezadowolonych z siebie, za to marzeniami mogliby zapełnić całą Suwalszczyznę. Właśnie wylądowali i cieszą się Bostonem. Jutro wynajmą auto i popędzą w wielką wędrówkę marzeń: Nowy Jork i Orlean też Nowy, Floryda, Router 66 i ślub w Vegas, w najbardziej popieprzonej świątyni, jaką tylko znajdą.

On pracuje jako developer nieruchomości.

Ona rozkręciła sieć prywatnych przedszkoli w Warszawie.

Trzymają się daleko od siebie i zastanawiam się, jakim cudem samolot, którym przylecieli, nie rozpadł się na dwie różne części. Zasuвам do ubikacji, wsuwam ścieżkę i zaraz idę na zewnątrz, zapalić szluga i obmyślić kilka zabawnych tekstów.

Pytają, co robię, odpowiadam, że pracuje jako zwykły robot, mam apartament i mnóstwo kasy, o której nie może śnić najdzielniejsza nawet polska przedszkolanka. Jarek się krzywi i nawija o swojej pracy, mało co świata nie podbił, ale pić to nie umie: wzrok ma mętny. Śmiejemy się do rozpuku z moich drętowych żartów, zamawiam następną kolejkę, znikam na szluga i zderzam się z Jarkiem, cwałującym w stronę klopa.

A że Agnieszka sama ląduje przy mnie, otaczam ją ramieniem i zaraz macam jej chude, zeszywniałe ciało.

Co się będziesz z palantem włóczyć, mówię jej, świszczę w ucho, zostawiam na nim odrobinę śliny, ja ci dopiero pokażę Amerykę. Ten gość to kompletny fagas, przypominam, idę o zakład, że mieliście awanturę na lotnisku i nie odzywaliście się całą drogę. Gadam tak i ściskam jej sutek.

Fagas nie fagas, ale wrócił i wybałusza gały.

No co, mówię. To wolny kraj.

Odpycha mnie stanowczo, odciąga swoją dziewczynę, więc, wkurwiony nie na żarty, chlapię mu drinkiem w tchórzliwą mordę. Na sali poruszenie, Jarek bierze szeroki zamach, brakuje tylko, aby wrzasnął ostrzegawczo: „oj, zaraz ci przypierdolę”. Nawet nie chce mi się gardy unieść, zbieram cios w policzek, jest jak muśnięcie, wyprowadzam kontrę i trafiam tego debila, co własnej kobiety nie umie docenić, prosto w szyję, chłopina się składa i ląduje na podłodze, dam sobie jajo urznąć, że Aga

klęka, nim ten matoł wyrznie o podłogę. Piszczy, sukinsyn. Zasadzam kopa, ciągnę dziewczynę za rękę, chodź, zostaw matoła, co tam przeżywasz. A suka tłucze szklankę i jedzie mi po dłoni, wyrywam się, co pogarsza sprawę: mam ranę od nasady nadgarstka po środkowy palec. Biję dziewczynę z łokcia, raz i drugi, a że obsługa leci w moją stronę, pędzę na oślep, obalam kelnera i łąduje w śniegu.

Umykam gdzie bądź, byle dalej. Mam mnóstwo sił.

W załomie, pod światłem latarni, wydłubuję kawałki szkła z dłoni. Trochę to krwawi i nie wiem, co robić, w końcu ściągam spodnie, robie z bokserek prowizoryczny opatrunek i pędzę w inną część miasta, tam, gdzie mój motel. Muszę poszukać karty telefonicznej.

*

Potrzeba naprawienia życia jest przemożna. Dzwonię do Kaśki, nie mam pojęcia, która jest godzina. Tu, ani w Polsce.

Odbiera po drugim sygnale, wcale nie zaspana, za to zdziwiona i owszem — dawno się nie słyszeliśmy.

Mówię że wiem, że trochę milczałem, ale widzisz, skarbie, trochę się tu pokomplikowało, ale, jak to wszystko poskładałem, wyszło, że jestem cholernie do przodu. Kupa kasy, słońko, i muszę teraz powiedzieć, że już za trzy dni się zobaczymy, tak, wracam, chcę wracać i wiem, że już wszystko będzie w porządku. Bardzo cię kocham. To najważniejsze. To musisz wiedzieć. Powiedziałaś, że są rzeczy, których nie można naprawić. Rany nie do uleczenia. Wiem, jednak spróbuję. Ten kraj zmienia człowieka i rozumiem, że mogę więcej, dużo więcej niż wtedy, no wiesz. Żadnych milczących obiadów. Żadnego bimbania w weekendy, kłótni do drugiej w nocy, trzaskania drzwiami i wybiegania z domu, Chryste jedyny, tak, powiedziałem: Chryste; bo wierzę już w co tam tylko sobie, kurwa wymyślisz, jest tyle rzeczy do ocalenia w świecie. Żadnej nudy. Będziemy się różnić. Jak za dawnych lat, jak trzeba, więc czekaj na mnie i bądź gotowa, że jak tylko przylecę, to cię przerznę, raz za każdy dzień, kiedy mnie nie było, ekstra za Zaduszki i Dzień Kobiet, przekurwię cię od dupy po gardło jeszcze w taksówce i poprawię w pociągu, a jak przyjedziemy, zobaczysz, słońko, naprawdę będziesz ze mnie zadowolona. Będę łądował, aż ci pośladki poczernieją. Przez miesiąc będziesz piła tylko spernę, aż ciało ci się powygina, bo masz piękne ciało, najcudniejsze na świecie, pełne zakamarków. Mnie tu teraz, pod

telefonem, pałą zęby wybijają, więc, kochanie, księżycu mój i gwiazdo, myszko i cipko, możesz już zacząć się smarować, bo twoja rura, Boże, powiedziałem: rura; raczej twój kwiatuszek będzie w cholere większy i cały fioletowy, zaraz jak tylko wypuszczą mnie z odprawy.

Czekaj na mnie. Tylko czekaj. Bardzo cię kocham i wszystko naprawię.

*

Znajduję sobie czarną prostytutkę, zabieram do pokoju hotelowego, puszczam przodem, z uwielbieniem patrzę na jej tyłek bez kości, tłuste nogi, cała jest w cekinach, burza włosów przypomina zdjęcie satelitarne jakiegoś huraganu. Wyłuskuję dolary i wpycham się w nią, jestem na górze, dziewczynie pocałuję się plecy, jakby posmarować je łojem, tak też pachnie, tak jest śliska.

Wywlekam ze stanika miękkie, obwisłe cyce, mały ledwo mi pinga w ciasnej gumie, więc gniotę te poduchy, pełne źle ukrwionego mięsa, szarpnię miseczki sutków, piersi rozlewają się na łóżku, przemieszane z potem, pościelą, całym pokojem i światłem zza okna.

Ledwo sobie radzę, ale jest dobrze, nie muszą myśleć, oczy tej dziewczyny przepełnia pustka, że aż chcę skoczyć.

— Rznij mnie — powtarza nieustannie — tak jest bardzo dobrze.

Coś jęczy za mną, myślę, że łóżko zaraz trzaśnie, dziewczyna, widząc że się waham, wbija mi w tyłek dziesięciocentymetrowe paznokcie, jęknięcie brzmi ponownie i rozpoznaję ten dźwięk. Cichy skowyt sznura.

Nie przestaję, zerkam tylko za siebie: w łazience pali się światło, choć zostawiłem je zgaszone. Drzwi, przedtem zamknięte, zastaję uchylone wystarczająco szeroko, bym dostrzegł tłusty kształt wisielca. Krótkie, trzepoczące nogi w dresowych spodniach, teraz nasiąkające moczem, odsłonięty brzuch, paluchy całe w sygnetach. Twarzy nie mogę dostrzec. Wiem, że to Joe.

Czarna ponagła mnie, patrzę na nią, nie na nią, bo to ksiądz Grzegorz jęczy pode mną. W piersi ma wielką suchą dziurę na podobieństwo skalnej rozpadliny, rak przypomina czarny mech.

Poniżej wiją się węże, larwy, robactwo. Glisty długie na metr. Moje biodra w nich toną.

— Rznij mnie — mówi ksiądz Grzegorz głosem dziewczyny. — Jestem w tym strasznym miejscu. Na wieki, tam. rznij, rznij mnie proszę.

Zrywam się z wrzaskiem, upadam i toczę się przez pokój.

*

Noc w moim śnie.

Drzwi na bostońskim niebie otwierają się bezgłośnie i, niczym paskudne słońce, wygląda gęba Chrisa. Żółte oczy błędzą i prześwietlają wszystko, mnie już na pewno. Chris leży na brzuchu, ramiona rozłożył, jak do robienia pompek i coś żuje zawzięcie. Strzyka płatem mięsa, rozwiera usta, żebym wyraźnie zobaczył ludzi, którymi się zajada. Pogniecione ciała. Chris przełyka z obrzydzeniem, a niżej, ulicami, w stronę tej gęby sunie nieprzebrany tłum. Tak pokornie. Suwają nogami. Widzę ich wszystkich z bliska i z daleka naraz, a czarna łapa sięga po kolejny kęs.

Siadam na łóżku, suchy jak wiór.

Wokół kłębią się zmarli z Middletown.

Adrian z rozwaloną głową. Ksiądz Grzegorz. Kate-Katarzyna otwiera usta dokładnie tak samo, jak kiedy widziałem ją po raz ostatni, tym razem jednak nic nie gra, nic nie śpiewa. Napuchły Joe. Piotrek z białą dziurą w piersi.

Zrywam się i próbuję ich rozpędzić, równie dobrze mógłbym przeganiać mgłę, bić w wodę — tak miękko i zimno. Przelatuję przez Joego i Kate-Katarzynę, rana na mojej dłoni otwiera się, skomlę, to skomlenie coś mi przypomina. Człowiek na podłodze. Agnieszka. Goluteńki miotam się po pokoju hotelowym, zmarli są coraz bliżej i mają smutne oczy.

Biorą mnie w półokrąg.

Muszę jechać do Middletown.

Ale wcześniej, na Tremont Street.

Już wiem co robić.

*

Middletown, noc. Ta akurat jest młoda, za to wszystko w pobliżu wygląda, jakby miało miliony lat. Żadnych świateł i wielkie drzewa, wzgórze po lewej rozłupane głęboką jamą. Cisza jest przytłaczająca. Tylko śnieg chrupie pod butem. Plecak ciąży bardziej niż powinien.

Mijam pierwszy dom, upiornie pozbawiony życia. Jest tylko ciemnym kształtem na tle drzew i śniegu. Dojazd zasypany. Drzwi otwarte na oścież. Rozkraczony samochód na podjeździe. Wpakował się

w sosnę.

Przez moment wydaje mi się, że słyszę bicie bębnow, ale wiem, że to złudzenie.

Zatrzymuję się pod domem Adriana i Kate-Katarzyny, długą chwilę czekam w cieniu. Rozwalony samochód zniknął, nie ma też księdza Mirka i choćbym urwał sobie głowę, nie umiem znaleźć śladów, gdzie się podzieli. Cisza aż nęci, odbiera odwagę, położyłbym się teraz i udawał, że śnieg jest ciepły.

Po schodach nie ma nawet śladu, resztki piętra sterczą dziwacznie niczym skalna półka. Depczę resztki domowego drobiazgu: talerze, telefony, dalej znajduję całą masę połamanych kompaktów. Za to schody do piwnicy ocalały, jeśli nie liczyć obtartych drewnianych nadproży. Na jednym z nich został kawałek włochatego skalpu. Zszedłem. Włączam latarkę. Tu jeszcze coś ocalało.

Stół bilardowy, a na nim nie rozegrana do końca partia.

Telewizor z dziurą w kineskopie, wywrócona szafka z zabawkami.

Podłogę pokrywają dziwaczne ślady, jakby plamy po rozgrzanej sadzy. Widzę je wyraźnie w świetle latarki. Klękam. Coś wżarło się w podłogę, na centymetr, może dwa. Trzeba iść.

Omiotam światłem latarki kąty pomieszczenia.

Pod ścianą, jak królowie dawnych plemion, złożeni w skalistej krypcie, leżą umarli.

*

Jest ich czworo, nie rozpoznaję nikogo. Trzech mężczyzn i kobieta. Ledwo się wloką środkiem ulicy, wsparci jedno na drugim, o przeżartych, pogarbionych ciałach. Momentami pełzną. Ledwo odziani, mimo takiej pogody, kobieta jest bosa i to ona właśnie pada, przewraca się na plecy i ani myśli wstawać. Jej pierś unosi się wysoko. Mężczyźni okrążają ją, jeden ją trąca, wreszcie chwytają za ręce i ciągną przez asfalt. Kobieta tylko pojękuje, jej pięty bębnią, na drodze zostaje zdarte ubranie i fragmenty ciała.

Na miejscu Chrisa zaryłbym się w mysiej dziurze i odbierał hołdy.

Z wzniesienia mam dobry widok na to, co pozostało z Middletown. W centrum nie pali się żadne światło, jeśli nie liczyć dogasających kup śmiecia i ciemniejących iskierek w oknach. Stacja benzynowa jest czarna i to tak, że prawie jej nie ma, nie umiem wyłuskać domów z ciemności.

Wyteżam wzrok... Maleńcy ludzie zasuwiają ośnieżonymi ulicami.

Ruiny kościoła są częściowo przesłonięte przez inne budynki. Tam idą wszyscy. Każdy coś targa, choćby i trupa. Wewnątrz, co ledwo już mogę wpatrzeć — zamieszanie.

Plan, wcześniej klarowny, teraz wydaje się szaleństwem, równie dobrze mógłbym zestrzelić miga z procy. Przypomina mi się ksiądz Grzegorz. Zakręt. Widmowa dłoń, co mnie ocaliła, rozglądam się po martwym lesie.

Cokolwiek czekało na nas, dawno sobie poszło.

Schodzę śliskim zboczem.

Zatrzymuję się w cieniu domu, choć cień to nie najlepsze słowo, tu wszystko ginie, jest półkształtem. Nawet ludzie, których widzimy. Jak noga, to ręka już nie bardzo. Pół głowy pod garbem.

Każdy coś wlecze.

Czterech tłuściutkich mężczyzn ściska gruby sznur. Za sznurem wlecze się mercedes na luzie. Co chwile stają, ocierają czoła, skręcają kierownicę, ale żaden nie zasiądzie w szoferce.

Wielki plazmowy telewizor przygniata starszą kobietę.

Irena ciągnie opierającego się Sebastiana. Także łączy ich sznurek. Chłopak przypomina smutną kozę na spacerze do rzeźnika.

Są i inne dzieci. Młoda mama z cycem większym od siebie samej niesie kwilący tobołek. Ojciec spaceruje z zaaferowanym nastolatkiem. Dalej, grupa rodziców wiedzie całe przedszkole, błyskają telefony komórkowe, ktoś tam pali świeczkę, ktoś inny wali na kolana i zaczyna się modlić; o Jezus Maria, o Ojczy Niebieski.

To chaotyczny, rozdrobniony pochód, zasilany przez kolejnych, opuszczających swoje domy. Milczenie, tylko to „o Jezus”, „o Święta Panienko”. Niosą. Zestawy kina domowego, maleńkie głośniczki ciągną się po śniegu. Worki złota. Facet próbuje się z szafą. Worek książek obok. Półtonowy harley. Marek ledwo go pcha. Drobiazgi: kolia ściśnięta w ręce. Dolary w foliowym worku. Sosna przyciska je do piersi.

Każdy wygląda, jakby targał ciężar ponad siły, nawet grubas z garścią pierścionków. Co chwile je gubi, pada, zbiera i wlecze się dalej. Czterem facetom auto zjeżdża na pobocze, trapią się tym, pchają. Nikną mi z oczu.

Idę wolniej niż wszyscy, nie chcę wyprzedzić Ireny. Jej ręka wpija się

w kark Sebastiana.

Ruiny kościoła są rozświetlone od wewnątrz. Latarki, znicze, lampy halogenowe odbierają kolory twarzy Chrisa.

*

Chris siedzi wśród ruin po turecku. Ma szlafrok, tylko szlafrok, odsłaniający bezwłosą, muskularną klatkę. Macha bosymi stopami. A pazury jak u kuraka.

Patrzy ponad głowami zebranych. Mieszam się w tłum.

Podnoszę plecak, wsadzam rękę.

Ludzie pchają się do przodu łagodną ławicą, idziemy z nimi, ale o krok dalej. Wzrok Chrisa śmiga nad głowami, jakby gasił niewidzialne ognie. Wpija łapy w kolana. Są prawie czarne.

U jego stóp leży błyszcząca hałda połamanych gratów. Obok kij do krykieta.

Kobieta zrzuca telewizor z pleców, chwytą kij i uderza ile wlezie. Mało nie padnie od tego, wreszcie, rozkłada szeroko dłonie, pada na kolana i spieszy przez ostre resztki, ucałować brudną stopę. Chris cofa się poza jej zasięg, kobieta baranieje i z tego ogłupienia ląduje twarzą w szkło. Inni mruczą gniewnie, idź babo, zrób miejsce innym. Jakoś tam wstaje. Ma pocięte kolana, policzki, dłonie. Niknie zaraz, gdzieś po lewej.

Facet rozsypuje złoto i znów na kolana. Przewraca się i turla, za nim następny, banknoty wirują w powietrzu.

Marek ciska harleya.

Za to goście z samochodem mają problem, koła nijak nie zamierzają toczyć się po gruzie. Wielka sapanina. Ludzie rozstąpili się, robią przejście, do czwórki dołączają kolejni, za dużo do sznura, chwytają podwozie i unoszą za przód. Jeden natychmiast włazi, podtrzymuje od dołu. Widzę tego faceta. Okrągła gęba, małe oczka. Bary jak u tura. Robi małe kroki, mija mnie i niknie z oczu, stają przed Chrisem i puszcza na komendę, tylko ten gość ze środka nie może wyjść ani dźwignąć, pylmouyth jeszcze sekundę stoi i zaraz wbija mężczyznę w szkło. Trach dusi jęknienie.

Przez tłum przebija się Irena. Pcha przed sobą Sebastiana.

Klękają jednocześnie, Sebastian wstaje, Irena klęczy w pokorze. Miękkim ruchem Chris opuszcza swoje siedzisko, ląduje po kostki w gratach i szkło. Brną ku sobie. Sebastian znów chce klękać. Chris

podtrzymuje go za nadgarstki, wpatruje się weń z nienawiścią, że o ja pierdołę, za to Sebastian jest chyba urzeczony.

Irena już idzie w ich stronę. Z kijem do krykieta.

Może to nie krykiet, ale inna gra potrzebuje takich drągów.

Chris ani myśli puścić nadgarstków Sebastiana, rozkłada dłonie. Widziany przez lampy, reflektory, Sebastian składa się z patyczkowatych ramion, czarnego orzeszka główki i korpusiku. Tam właśnie spada uderzenie. Zamach zza głowy. Mignięcie. W dół kręgosłupa, aż poniósł się trzask wybijanych kręgów, Sebastian trzepocze się w mocnych dłoniach Chrisa, Irena poprawia raz, drugi i piąty, aż Chris nie puści. Kij śmiga nad głową chłopaka.

Jeszcze to słyszę.

Ten łoskot kości, trzask kręgosłupa.

Chris odrzuca Sebastiana, a ja ciągle słyszę właśnie to.

Pokłoń mi się, mówi Chris. Raz to zrobiłem i niby nic się nie podziało. Jednak.

Umrzesz.

Chris rośnie i puchnie, twarz okala mu korona z kolców. Grzebię w plecaku. Jestem gotowy.

Umrzesz, powtarza Chris, jego słowa boją, jakby mi głowę krojono, to znaczy, że znikniesz. Wszystko co masz, jest tutaj.

Wydaje mi się, że słyszę jego śmiech.

Brzmi jak kości uderzające o siebie, tego mi nie trzeba, mam swoje. Ciskam mu je pod nogi. Piszczel i kawałek czaszki.

Chris przekrzywia głowę i nic nie mówi. Nagle wybucha śmiechem.

Po co to przyniosłeś? Drwi.

Po gasnących oczach widzę, że wcale mu nie do śmiechu, sięga w głąb siebie, próbując uchwycić chwilę popełnienia błędu. Przecież oddałem klucz. Bez klucza nie otworzę skrytki, a więc skrytka pozostaje nie otwarta. Demon, śledzący zwykłe ludzkie sprawy.

— To są kości księdza Grzegorza, stary capie — mówię.

Zabraliśmy je z piwnic Tremont Street.

*

Przez krótką chwilę nic się nie dzieje, Chris garbi się nad kośćmi, a wzrok ma taki, jakby nie umiał ich wypatrzyć w morzu naznoszonego szajsu.

Kości są ciemne i zimne. Zwykle ludzkie gnaty.

I gdy myślę, że wszystko zawiodło, gdy Chris zwraca ku mnie swoje straszne oczy, już zaczynam rozumieć, bo w jego wzroku niknie nienawiść, wzrasta przerażenie. RzUCA się do tyłu, ale zaraz zaplątuje się w szkło, kable, części motorów i samochodów. Jęczy i pada, toruje sobie drogę, chce zniknąć w tym świeżym kopcu. Na jego ciele otwierają się rany, ze środka bije pustka, zimny cug.

Na czworakach odwraca się ku nam, rozczapierza palce, syczy, ale już nic nie może, wyje tylko, próbuje mnie schwycić. Odsuwam się o krok. Plecy skleiły się mu z brzuchem, . Zostaje tylko wściekłość, Chris zdrapuje sobie skórę z twarzy, rozszarpuje pierś, podkurcza nogi i nieruchomieje.

*

Budzę się mokry, cuchnący i kac rozrywa mi durną głowę, znajduje odrobinę koki i doprowadzam się do pionu, wodze wzrokiem po brudnej pościeli, moje ciało śmierdzi od środka i nie sposób go domyć, schodzę po wodę, odprowadzany przez złe chińskie oko, wypijam cały karton soku. Płuca palą od papierosów. Wiem, że powinienem zjeść, ale nie mam na to ochoty. Przed wyjściem zabieram wszystko, co cenne, wlokę się przez Boston, przerażony perspektywą rozpoznania. Agnieszka, Jarek. Murzynka, co z nią zrobiłem?

Nad kawą w Donkin Donuts los mojej czarnulki pozostaje nieodgadniony, za to świetnie rozróżniam inne sny.

Nie byłem w żadnym Middletown, nie ruszyłem nawet tyłka z pokoju, siedziałem, piłem i miotałem się w czterech ścianach. Dobrze, jak dobrze.

Naprawdę jest okej, bo nie ma nic głupszego niż pchanie nosa w nie swoje sprawy, te muszą płynąć swoim rytmem, choć czasem przypominają rozwścieczony nurt. Dopuszczam możliwość, że widziałem prawdę, że tam rzeczywiście mordują się w ruinach kościoła, niech Chris ma swoje pokłony i trony. Być może na to zasłużył. Ja nic nie zrobiłem. Więc siedzę sobie, skonany ponad siły, piję kawę czując, że powoli opuszcza mnie paranoja, duchy odeszły, jeśli to były duchy. Może coś, co wylazło ze mnie.

Coś co jest słabe i niedługo umrze.

*

Boże, wracam do pieprzonej Polski.

Samolot kołuje po pasie lotniska, a ja myślę o wszystkim, co się wydarzyło. O tym, co dał mi ten pobyt i co ja dałem Ameryce.

Kości wciąż leżą w skrytce, dokładnie tak, jak je zostawiłem. Próbuję przewidzieć, co z nimi się stanie.

Ktoś pewno podniesie kluczyk, skojarzy ze skrytką. Ta prędzej czy później zostanie otwarta. Kości trafią do jakiegoś policyjnego laboratorium. Idę o zakład, że policjantom w Bostonie nagle zaczną się wieść.

Wzrośnie wykrywalność przestępstw, dilerzy znikną z ulic, ludzie przestaną strzelać do siebie.

Tylko dzieci.

Gdzieś tam, w brzuchu jakiejś kobiety, budzi się Chris.

Odrywamy się od ziemi. Żołądek podchodzi mi do serca.

Wiem dobrze, co dostałem, niejasno przeczuwam skalę mojego przemienienia, rozumiem też, o co chodzi z tą Ameryką. Przyjeżdżamy tutaj po dolary. Tanie samochody i życie bez kłopotów.

W zamian możemy dać tylko kości.

Ale to już nie jest moja sprawa.

Koniec

Warszawa 2010

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Równik](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[Rękopis znaleziony w gardle](#)

[1. Opowieści z układu słonecznego](#)

[2. Ecce homo](#)

[3. Demon popołudnia](#)

[4. Mój tato wśród skał](#)

[5. Ludzie porzuceni](#)

[6. Pokój i korytarz](#)

[7. Tam będą smoki](#)

[8. Łazienka jest zajęta](#)

[9. Słowa nie znaczą za wiele](#)

[10. czas płynie jak człowiek a człowiek jak czas](#)

[11. Tak trudno być smokiem](#)

[12. Pan Siwy i nie Pan Siwy](#)

[13. Prawda jest zbędna](#)

[15. Pokój znaczy w poprzek](#)

[16. Czym jest miłość](#)

[17. Coś się zdarzyło, lecz już się nie zdarza](#)

[18. Zamek w drzwiach](#)

[19. Świat prawdziwy, świat namalowany](#)

[20. Dorosłość nam służy](#)

21. To, co ważne
22. Żadnego grobu
23. Bezwład małego człowieka
24. Sztuka i brzuch
25. Pan Siwy tu jest
26. „Nasza szkapą” Henryka Mickiewicza
27. Złoto głupców
28. Kto?
29. Ma swoją drogę
30. Chcę umrzeć we śnie
31. To, co nie moje
32. Ojciec i syn
33. Dziesiąty palec
34. Ostatnią prostą biegnie się najwolniej
35. Wyłapywanie sygnałów
36. Najdroższy synku
37. Taki młody
38. Minister i pies
39. Ten mały, on się doczekał
40. Człowiek w sile wieku
41. Oni ciągle wracają
42. Nurkowanie
43. Koniec układu słonecznego. Nareszcie
Głowa węża

1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.

Noc sobowtórów

Wszystko o moich matkach

1. Pignus
2. Iuvenis
3. Charisma

Amerykański horror